

ELIZABETH THORNTON

Annals

„The Courier”
12 czerwca 1804 roku

Od naszego specjalnego korespondenta

*Winchester, sesja sadu. posiedzenie w dniu 11 czerwca
1804 roku*

W sądzie hrabstwa Hampshire w Winchester rozpoczął się dzisiaj sensacyjny proces Sary Carstairs, lat 21, oskarżonej o zamordowanie szwagra, Williama Neville'a.

Specjalny korespondent „Couriera” donosi, że jak sięga pamięcią, jeszcze nigdy proces o morderstwo nie wzbudził takiego zainteresowania. Któż zresztą nie byłby ciekaw przebiegu tej pasjonującej historii? Oskarżona jest młoda, piękna, a po ukończeniu dwudziestego piątego roku życia ma odziedziczyć wielki majątek po niedawno zmarłym ojcu. Pochodzi z szanowanej, choć nie obracającej się w najmodniejszych kręgach rodziny. Do tej pory nie odnaleziono ciała jej ofiary, syna sir Ivora Neville'a, znanego działacza partii torysów i osobistego przyjaciela pana premiera.

W Winchester kłębi się od przyjezdnych, którzy za wszelką cenę chcą obejrzeć proces. Spotyka się tu między innymi wielu modnych londyńczyków, a i eleganckich panien zjechało niemało. Dziś, wkrótce po tym, jak o godzinie ósmej otwarto drzwi sądu, przed budynkiem zapanował chaos i omal nie doszło do zamieszek, gdy odprowadzono z kwitkiem chętnych, ponieważ wszystkie miejsca dla publiczności zostały już zajęte. W środku ludzie tłoczyli się jak

śledzie w beczce. Na sali panowała nieznośna duchota. Tylko oskarżona Sara Carstairs najwyraźniej nie zwracała na to uwagi; w ogóle nie obchodziło jej to, co dzieje się dookoła. Siedziała na ławie oskarżonych w towarzystwie strażniczki więziennej i urzędnika sądowego i sprawiała wrażenie absolutnie spokojnej, a przy tym nieobecnej duchem.

W trwającej kilka godzin mowie otwierającej proces prokurator, sir Arthur Percy, naszkicował linię oskarżenia, którą mają potwierdzić przed sądem jego świadkowie. Przedstawia się ona następująco: W okresie małżeństwa z siostrą oskarżonej pan Neville wdał się w romans z panną Carstairs. Jednak gdy miało dojść do ogłoszenia zaręczyn tej ostatniej z panem Francisem Blamiresem, panna Carstairs postanowiła położyć kres romansowi. Ponieważ jednak pan Neville zagroził ujawnieniem ich związku, oskarżona zabiła go nocą 27 kwietnia lub wczesnym, rankiem 28 kwietnia, a ciało ukryła dla uniknięcia odpowiedzialności.

Sir Arthur szeroko omówił domysły i plotki związane ze zniknięciem pana Neville'a. Chce dowieść, jak zapowiedział, że zamierzał on mieszkać w rodzinnych stronach jeszcze długie lata. Osoba o takiej pozycji społecznej nie znika jak duch, stwierdził pan prokurator i przypomniał sądowi, że spuścizną wojny domowej są w zachodniej części Hampshire liczne dwory i domostwa z tajnymi przejściami i komnatami. Jeśli wspomnieć ponadto dziką pagórkowatą okolicę, trzeba przyznać, że było aż nadto miejsc, gdzie można niepostrzeżenie ukryć ciało. Należy się więc liczyć z tym, że doczesne szczątki pana Neville'a nigdy nie zostaną znalezione.

Byłoby wielkim nieszczęściem wymiaru sprawiedliwości, zakończył prokurator, gdyby mordercy mogli uniknąć kary tylko dlatego, że udało im się pozbyć ciał ofiar. Wyraził też przekonanie, że dowody, które przedstawi, doprowadzą przysięgłych do nieuniknionego wniosku o słuszności oskarżenia i winie panny Carstairs.

W czwartek ukaże się specjalne wydanie „Couriera” poświęcone w całości temu procesowi. Natomiast doniesieniom naszego korespondenta parlamentarnego poświęcimy uwagę jak zwykle w piątek.

„Courier” ogłasza, że sir Ivor wyznaczył nagrodę w wysokości tysiąca funtów za udzielenie informacji, która doprowadziłaby do odnalezienia ciała jego syna.

1

Max Worthe, właściciel i redaktor naczelny „Couriera”, od pięciu dni przyglądał się kobiecie zasiadającej na ławie oskarżonych. Jego zaciekawienie tą postacią, początkowo raczej umiarkowane, przerodziło się niemal w fascynację. Kobieta była młoda i piękna, skromnie ubrana w szarą jedwabną suknię z długimi rękawami i dopasowany do niej kapelusz. Rękawiczki miała również szare: sprawiała więc wrażenie osoby dobrze urodzonej i godnej szacunku. Wszyscy w sali wiedzieli jednak, że Sara Carstairs z zimną krwią popełniła morderstwo.

Mimo to nikt nie wyczekiwał na jej przykładne ukaranie. Przez owe pięć dni opinia publiczna stopniowo coraz bardziej sprzyjała pannie Carstairs, aczkolwiek Max nie wątpił, że gdyby na tym samym miejscu siedziała stara sekutnica, jej los nie obchodziłby nikogo w najmniejszym stopniu.

Skupił uwagę na profilu kobiety i uznał, że taki typ urzeka mężczyzn nie tylko urodą, lecz również czymś mniej uchwytnym - niezwykłym przemieszczeniem niewinności i wyrafinowania. Cerę panna Carstairs miała jasną, rysy wyraziste, a usta pełne, zmysłowe. Za to trudno było cokolwiek powiedzieć o kolorze oczu i włosów. Oskarżona w ogóle nie patrzyła w stronę publiczności - wzrok miała albo wbity w ścianę, albo zatrzymywała go na swym obrońcy i jego pomocnikach - a spod nakrycia głowy nie wysuwał się nawet najwęższy kosmyk. Gdyby jednak wnioskować po karnacji, to Max był skłonny przypuszczać, że włosy są jasne,

a oczy niebieskie. Krótko mówiąc, z pozorów typowa Angielka. Ale czasem pozory bardzo mylą.

Opis panny Carstairs, jaki Max zamieścił w „Courierze”, nie oddawał jednak dziwności jej zachowania. Proces ciągnął się już pięć dni, minęło pięć ciężkich, dusznych, letnich dni w zatłoczonej sali, a jednak oskarżona wydawała się obojętna zarówno na upały, jak i na dowody, które mogły wysłać ją na szubienicę. Zupełnie jakby wcale nie obchodził jej wynik procesu, jakby to wszystko nie miało z nią nic wspólnego.

Tylko raz Max dostrzegł u niej reakcję uczuciową, wtedy gdy zeznania składała jej siostra, wdowa po ofierze. Anne Neville nie była dobrym świadkiem. Starła się zapewnić Sarze alibi, ale ze zdenerwowania plątała się we wszystkim, co mówiła. Nie mogła sobie nawet przypomnieć, jaki jest dzień, a co dopiero wspominać o wydarzeniach sprzed dwóch miesięcy. Wyszła z sali, wspierając się na ramieniu jednego z pomocników adwokata, i już do niej nie wróciła, a Sara, którą widok siostry wyraźnie poruszył, natychmiast znowu zapadła w letarg.

Obojętność tej kobiety irytowała Maksa. Zastanawiał się, czego byłoby trzeba, by wyprowadzić ją z równowagi. Miał ochotę położyć ręce na jej ramionach i mocno nią potrząsnąć. Czy wzdrygnęłaby się wtedy? Czy spiorunowałaby go wzrokiem? Czy zaprotestowałaby, czy też trwała w biernym oporze? Tylko jak to możliwe, że on, Max Worthe, potomek wspaniałego rodu z tradycjami, w którym rycerskość jest cechą wrodzoną, dopuścił się myśli o tknięciu kobiety, przedstawicielki słabej płci? I to ze złości!

Może jednak nie było jej wszystko jedno. Może po prostu była pewna wyroku. Wszak fanfaronada sir Arthura na otwarcie procesu potem nie znalazła potwierdzenia. Prowadzący sprawę adwokat panny Carstairs, mecenas Cole, znajdował rozsądne wyjaśnienia wszystkich zarzutów, które oskarżenie usiłowało przeforsować.

Max jednak nie dał się na to nabrać. Nie wątpił, że ta kobieta ma coś na sumieniu. Nie był to racjonalny wniosek, poparty dowodami. Max polegał na swym instynkcie, intuicji, a te mówiły mu, że nic nie jest w tej sprawie takie, jak się wydaje, z wyjątkiem jednego: panna Carstairs wie o losie Williama Neville'a znacznie więcej, niż wynikałoby to z jej zeznania na piśmie, złożonego w sądzie.

Rozległo się szuranie butów, ludzie na sali zmieniali pozycję,

by ulżyć zeszywniałym mięśniom, sędzia bowiem, pan Justice Stoner, rozpoczął podsumowanie procesu. Punkt po punkcie filtrował zebrany materiał dowodowy, oddzielał fakty od podejrzeń i domniemań. Nic w jego wywodzie nie zaskoczyło Maksa. Listy miłosne napisane do ofiary ręką Sary Carstairs stanowiły najbardziej kompromitujący dowód i potwierdzały, że oskarżona miała romans z panem Neville'em w okresie, gdy był on mężem jej siostry. Ale pan Justice Stoner nie przecenił znaczenia listów. Czym innym jest nieumiarkowanie seksualne kobiety, powiedział, czym innym zaś morderstwo.

Przepis angielskiego prawa, w myśl którego oskarżonego nie można powołać na świadka, wydawał się Maksowi bardzo głupi. Sprawiłoby mu głęboką satysfakcję, gdyby mógł wziąć tę kobietę w krzyżowy ogień pytań, aczkolwiek na pytania, jakie chciał jej zadać, nigdy nie pozwolono by w sądzie. Czy plotki o niej są prawdziwe? Ilu miała kochanków przed Williamem Neville'em? Czy rodzina zerwała z nią stosunki, ponieważ obawiała się, że niemoralnym prowadzeniem się Sara źle wpłynie na młodszą siostrę? Przede wszystkim zaś: jak ktoś tak uroczy mógł oddać się człowiekowi pokroju Neville'a?

Max trochę znał rodzinę Neville, ale nie czuł sympatii dla spadkobiercy sir Ivora. William umiał być czarujący na trzeźwo, często jednak po pijanemu zmieniał się nie do poznania. Szukał zaczepki, popisywał się okrucieństwem, przeklinał i przestawał nad sobą panować. Poza tym, że imponował męskością, nie było w nim nic, czego można byłoby życzyć kobiecie. Zdaniem Maksa córki Carstairs wykazały pozałowania godny brak gustu.

Lekki rumieniec zabarwił policzki panny Carstairs, Max zaczął więc słuchać ostatnich uwag sędziego, skierowanych do ławy przysięgłych, które najwyraźniej wprawiły oskarżoną w zakłopotanie. A więc mimo wszystko panna Carstairs była jednak istotą ludzką.

- Seksualna rozwiązłość kobiety - powiedział pan Justice Stoner, wędrując spojrzeniem po rzędach przysięgłych jak orzeł, który znalazł się wśród gołębi - musi budzić niesmak wszystkich przyzwoitych ludzi. Wydając wyrok, musicie jednak, przysięgli, zapomnieć o tej całkiem naturalnej reakcji. Przedmiotem sprawy jest zbrodnia popełniona na sir Williamie Neville'u. Jakiekolwiek

podejrzenia żywcie wobec oskarżonej, wolno wam polegać jedynie na tym, co uważacie za niezbitcie dowiedzione.

Ten ton oznaczał coś więcej, niż wyrażały same słowa, dlatego Max poczuł, jak stopniowo opuszcza go napięcie. W istocie sędzia powiedział, że w sprawie Sary Carstairs nic nie zostało dowiedzione.

Gdy przysięgli udali się na naradę, a posiedzenie przerwano, wśród publiczności zawrzało.

- Jaki wyrok pan przewiduje, lordzie Maxwell?

Pytanie postawił Peter Fallon, najmłodszy i najbardziej błyskotliwy dziennikarz „Couriera”, podwładny Maksa. Przez cały czas trwania procesu Fallon sporządzał obfite notatki, z których potem wraz z Maksem korzystali, pisząc artykuły, wysyłane codziennie przez umyślnego do redakcji „Couriera” w Londynie. Zaraz po ogłoszeniu wyroku musieli wprowadzić ostatnie poprawki w materiale do poniedziałkowego wydania, który już czekał gotowy.

Dziennikarze „Couriera” nie byli jedynymi przedstawicielami prasy na tym procesie. Max doliczył się reporterów piętnastu gazet. Przyjechał nawet Jameson z prestiżowego „Timesa”. Doniesienia o morderstwie, zwłaszcza takim jak to, gdy oskarżoną jest młoda, piękna, bogata, a przede wszystkim zamieszana w skandal kobieta, mogły przecież podwoić nakład każdej gazety.

- Słyszałeś sędziego - odparł Max. - Nie mam wątpliwości, że Sara Carstairs wyjdzie stąd jako wolny człowiek.

Rozejrzał się wśród ludzi, szukając w tłoku wysokiej, wyprostowanej sylwetki sir Ivora. Gdy zauważył go pod galerią, uniósł dłoń w geście pozdrowienia. Wiedział, że sir Ivor nie zniży się do prowadzenia rozmów ze zwykłymi dziennikarzami. Ale lord Maxwell Worthe należał do innej sfery, całkiem dosłownie, i na tym polegała różnica. Sir Ivor bardzo sobie cenił swoją pozycję społeczną.

- Nie byłbym tego taki pewien - powiedział Fallon.

- Czego? - Max zmarszczył czoło.

- Tego, że ta panna Carstairs wyjdzie stąd jako wolny człowiek.

Przysięgli są miejscowi. Słyszeli o niej mnóstwo plotek, a niektóre z nich są naprawdę mszczące.

- Na przykład?

Fallon wzruszył ramionami.

- Mówią, że ona miała więcej kochanków niż my znajomych.

- Nawet gdyby rzeczywiście tak było - odparł Max lodowatym tonem - nie ma to związku ze sprawą.

- Wiem. Ale przysięgli są tylko ludźmi.

Max zadumał się nad tą prawdą i ruszył w stronę sir Ivora.

Peter Fallon uśmiechnął się pod nosem, przyglądając się rozmowie Maksa z sir Ivorem. Sir Ważniak, jak przezywali Ivora dziennikarze, trochę odtajał i pozwolił sobie na minę, która ostatecznie mogłaby ująć za uśmiech. Początkowo budził nawet współczucie u ludzi. Nie dość, że znikł jego syn, to kilka lat wcześniej dorastająca córka zmarła na gorączkę piersiową, sir Ivor wydawał się więc postacią tragiczną. Wkrótce jednak rozwiął to wrażenie swą wyniosłością i arogancją. Przypominał bardziej anioła zemsty niż ojca w żałobie.

- Umie go podejść ten Książę Salonów, hm?

Fallon poznał charakterystyczny akcent, więc uśmiechnął się do dżentelmena, który stanął obok niego. Jameson z „Timesa”, otyły, spocony, w wygniecionym surducie, miał jadowity dowcip, który Fallon cenił dość wysoko.

- Książę Salonów? - powtórzył Fallon.

- Lord Maxwell. Sir Ważniak je mu z ręki.

- Ech, wie pan jak to jest z arystokracją. Zawsze znajdują wspólny język.

- O, dobrze wiem. Błękitnokrwisci muszą trzymać się razem. Fallon parsknął śmiechem.

- Ma się wrażenie, że pan im zazdrości.

- Jest pan w błędzie, Fallon. Nie zazdroścę. Po prostu chcę, żeby Książę Salonów zrobił, co do niego należy.

- To znaczy?

- Ożenił się z księżniczką, porwał ją do swego zamku i żył z nią długo i szczęśliwie. Wtedy my, zwykli śmiertelnicy, moglibyśmy liczyć na nieco więcej względów.

Fallon roześmiał się, dobrze jednak wiedział, że przez Jamesona przemawia urażona duma. Chociaż lord Maxwell był zbyt sympatyczny i prostolinijny, by budzić prawdziwą zawiść, to wydawało się dość niesprawiedliwe, że trzydziestoletni mężczyzna, który opływa we wszystko, ma również wyjątkowe szczęście.

Max Worthe był dziedzicem swojego ojca, markiza Lyndhursta,

który miał zamek piętnaście mil od Winchester. Zamek, dom w Londynie, obracanie się w świecie bogatych i uprzywilejowanych... Czego więcej człowiek może chcieć od życia?

Zrządzeniem losu Max był również przystojny. Miał krótko przystrzyżone włosy, a mocno zarysowana szczęka nadawała męski rys jego twarzy, która bez tego mogłaby się wydawać zbyt delikatna. Był wysoki, niewiele brakowało mu do metra osiemdziesięciu, wyróżniał się też krzepką budową ciała. Dla nikogo nie było tajemnicą, że jego ulubionym sposobem spędzania wolnego czasu jest boks, zresztą widziało się to od razu.

Pół roku temu lord Maxwell kupił „Couriera”, który wówczas stał na skraju bankructwa. Wszyscy uznali to za żart, kaprys znudzonego arystokraty, i przepowiadali gazecie śmierć naturalną w ciągu kilku miesięcy. Sam Fallon, człowiek dwudziestoczteroletni, najmłodszy dziennikarz w redakcji, był pewien, że jego dni w tym zespole są policzone, i zaczął się rozglądać za nowym zajęciem. Pilnie słuchał starszych, którzy powinni byli znać się na rzeczy. A ci mówili, że lord Maxwell jest nowicjuszem w branży i nie wie podstawowych rzeczy o wydawaniu gazety. To prawda, że wcześniej publikował periodyk, „The London Review”, był to jednak miesięcznik poświęcony literaturze i eseistyce, zresztą dobrze znany z ciętego dowcipu. Ale gazeta to gazeta. Walka na rynku była ostra. „Times” zajmował niekwestionowane pierwsze miejsce wśród londyńskich tytułów, a większość konkurentów ledwo dyszała, przyparta do muru.

Lord Maxwell jednakże nie zamierzał brać „Timesa” za wzór. Zaczął od usunięcia z pierwszej strony doniesień parlamentarnych i zastąpienia ich materiałami lżejszego kalibru. Morderstwa, tragedie, kłęski żywiołowe, skandale... Właśnie to decydowało o sprzedaży gazet. „Courier” wprawdzie stracił na prestiżu, ale zrekompensował to sobie z nawiązką raptownym wzrostem nakładu.

Peter Fallon z pewnością nie miał za złe lordowi Maxwellowi tego sukcesu. Wraz z rozwojem „Couriera” również jego akcje szły w górę. Podziwiał więc nowego właściciela gazety i bardzo uważnie studiował jego zachowanie, zwyczaje, upodobania, a we wszystkim starał mu się dorównać choćby na tyle, na ile go było stać.

- Podejrzewam, że on skubie jedzenie jak ptaszek - powiedział Jameson w zadumie.

- Przeciwnie, żre jak koń.

Jameson wciągnął brzuch.

- Wie pan, Fallon, kiedy się nad tym dobrze zastanowię, to zdaje mi się, że mógłbym szczerze nie znosić tego pańskiego Księcia Salonów. Ale dajmy spokój drobiazgom. Niech mi pan lepiej opowie swoje wrażenia z obserwacji panny Carstairs.

W pół godziny później rozległ się dzwonek z pokoju narad przysięgłych, a publiczność szybko wróciła na swoje miejsca. Max nie mógł nie zwrócić uwagi na to, jak bardzo napięte ma nerwy. Wargi mu wyschły, serce waliło jak młotem. Spodziewał się, że wydanie wyroku zajmie przysięgłym więcej czasu, nie miał więc pojęcia, czy ten wczesny powrót należy uważać za dobry znak, czy wręcz przeciwnie.

Gdy sala była już pełna, odwrócił się, by zerknąć na ławę oskarżonych. Chwilę później Sara Carstairs wyłoniła się z drzwi prowadzących z dołu i również zajęła swoje miejsce. Nic w jej zachowaniu nie zdradzało najmniejszego zdenerwowania, choć z pewnością musiała wiedzieć, że niepomysłny wyrok będzie oznaczać dla niej szubienicę. Może zresztą, w przeciwieństwie do Maksa, nie zdawała sobie sprawy z powagi sytuacji.

Wzrok panny Carstairs znów zatrzymał się na jednym z pomocników adwokata prowadzącego jej sprawę. Wymieniła z nim spojrzenia, ale nie trwało to długo, bo gęsiego wrócili na salę przysięgli.

Następne minuty ciągnęły się jak godziny. Asesor wolno wywoływał po nazwisku wszystkich członków ławy. Gdy wreszcie wezwano przewodniczącego do wydania wyroku, przez salę przetoczył się szmer podniecenia.

- Niewinna.

Wśród publiczności wybuchł aplauz. Sara Carstairs zastygła w bezruchu, jakby było to ostatnie słowo, jakiego oczekiwała. Strażniczka więzienna ujęła ją za rękę i rozpłakała się, bynajmniej tego nie ukrywając.

Dlaczego, u diabła, ta kobieta tak się zachowuje? - pomyślał ze złością Max. Strażniczka nadal płakała, ludzie dookoła wiwatowali, on cały się trząsł, a Sara Carstairs siedziała tak, jakby wykuto ją z marmurowego bloku.

Aplauz przygasł nieco dopiero wtedy, gdy rozgniewany sędzia polecił aresztować dwóch rozentuzjasmowanych do nieprzytomności młodych ludzi. A gdy posiedzenie dobiegło końca, dziennikarze na wyścigi rzucili się do drzwi, torując sobie drogę łokciami. Musieli teraz pognać za panną Carstairs po schodach, by wyciągnąć od niej wypowiedzi dla swoich gazet. Ale Maksowi się nie śpieszyło. Peter Fallon opuścił salę jako jeden z pierwszych, więc był We właściwym miejscu, gdyby panna Carstairs chciała cokolwiek oświadczyć; Max szczerze jednak w to wątpił.

Wyrok był dla niego nie satysfakcjonujący. Przedtem chciał uniewinnienia panny Carstairs tylko z jednego powodu: karę śmierci uważał za barbarzyństwo i nie mógł się z nią zgodzić pod żadnym pozorem. Teraz, gdy istotnie orzeczono uniewinnienie i Sary Carstairs nie można już było ponownie sądzić za zamordowanie Williama Neville'a, zamierzał wykorzystać niebłaha środki pozostające w jego dyspozycji, by dociec całej prawdy bez względu na to, ilu świadków będzie musiał w tym celu przesłuchać i ile czasu temu poświęcić.

Jednak tylko Sara Carstairs mogła zaprowadzić go do miejsca ostatniego spoczynku Williama Neville'a. Naturalnie tego właśnie chciał. Wyprzedzić resztę sfory. Być pierwszym, który opublikuje całą prawdę. Teraz czuł się wyłącznie dziennikarzem i wcale nie miał z tego powodu wyrzutów sumienia.

Nie spodziewał się, że redagowanie „Couriera” tak go wciągnie. Przejął gazetę, ponieważ lubił wyzwania, a ludzie mówili, że „Courier” musi upaść. Dowodząc im, że się mylą, stopniowo ulegał jednak coraz silniejszej fascynacji nowym zajęciem. Codzienne gazety były śmiertelnie nudne, a czytała je głównie wykształcona mniejszość. Właściwy kierunek wskazała mu matka. Kiedyś powiedziała, że nigdy w życiu nie wzięła gazety do ręki, bo nie znalazłaby tam nic z tego, co ją interesuje. Dla niej ważne były historie o żywych ludziach, jakie publikowano tylko w brukowcach, których ojciec nie pozwoliłby wnieść do domu.

Tak więc, nie rezygnując z uczciwości, Max zmienił profil „Couriera” tak, by dogodzić upodobaniom swej matki, i przez to stworzył właściwie całkiem nową gazetę.

Teraz zerkał zaborczym okiem na następne wyzwanie: „Manchester Post”.

Gdy wyszedł przed budynek, przekonał się, że tłum, który

cierpliwie doczekał ogłoszenia wyroku, oszalał z podniecenia. Ludzie krzyczeli, tańczyli, rzucali kapelusze w powietrze. Jeszcze tydzień temu chcieli, by Sarę Carstairs powieszono. Cóż, młodość i uroda dobrze jej się przysłużyły, pomyślał cynicznie Max.

Peter Fallon przepchnął się ku niemu przez otaczającą go ludzką cizbę. Był zdyszany.

- Nikt nie wie, gdzie ona jest - powiedziała. - Zatrzymano powóz, ale jechała nim tylko kobieta w jej ubraniu. A Sara Carstairs może być dosłownie wszędzie.

Max zachichotał.

- Założę się, że pomocnik adwokata wszystko dobrze zaplanował. W każdym razie tak bym zrobił na jego miejscu. Nie trap się, Peter. Prędzej czy później Sara Carstairs się objawi, a wtedy będę pamiętał, żeby zawrzeć z nią znajomość. Tymczasem wracamy do hotelu i wykończmy nasz artykuł. Wprawdzie nie mamy do zacytowania naszej bohaterki, ale od sir Ivora usłyszałem aż nadto. To powinno uszczęśliwić naszych czytelników. Ojciec w żałobie i tak dalej... Rozumiesz, co mam na myśli?

W następnym wydaniu „Couriera” Max podwoił nagrodę ustanowioną przez sir Ivora, ale nikt się po nią nie zgłosił. Sam też nie miał szczęścia w poszukiwaniach Sary Carstairs. Dobrze się gdzieś ukryła, a on wkrótce przekonał się, że jego środki okazały się niewystarczające nawet do tego, by trafić na jej ślad.

2

Londyn, trzy lata później

Przyglądając się przez okno salonu na piętrze drzewom Hyde Parku, Sara czasem prawie wierzyła, że jest na wsi. Londynu nie lubiła. Wszędzie były brukowane ulice z chodnikami i wielkie kamienice ciasno stojące obok siebie, jakby ich mieszkańcy postanowili, że do fortecy, którą dla siebie zbudowali, nie dopuszczą ani jednego źdźbła trawy, ani jednego promienia słońca. Na szczęście z jej okna rozciągał się doprawdy wspaniały widok.

Był czerwiec, więc przed południem po parku kręciło się trochę ludzi. Piastunki zajmowały się małymi dziećmi, było też kilka powozów i paru jeźdźców, choć elita towarzyska - hordy spacerowiczów i modnych dam w otwartych powozikach - miała pojawić się nie wcześniej niż o piątej po południu.

Po południu jednakże Sara siedziała w domu. Nie mogła zapomnieć, że na jej proces przed trzema laty tłumnie napłynęli do Winchesteru ci sami eleganci z Londynu, którzy bywali w Hyde Parku. Siedzieli na sali, stłoczeni jak ich kamienice, i wlepiali w nią wzrok niczym w dziwadło na jarmarku.

Jeszcze niedawno nie chciała zamieszkać w Londynie ze strachu, że może zostać rozpoznana, ale okoliczności się zmieniły, dlatego teraz czuła się tu bezpieczniejsza niż w prowincjonalnych miasteczkach, w których zatrzymywała się po procesie. W Londynie straż miejska patrolowała nocami ulice, na wyciągnięcie ręki byli sędziowie pokoju i policja. A właśnie fortecy Sara ostatnio potrzebowała.

Przelotnie zainteresowała się chłopcem, który wybiegł spomiędzy platanów. Miał nie więcej niż cztery lata, no, może pięć,

a jego okrzyki zachwytu, wydawane w rytm odbijania piłki, niosły się aż do okna kamienicy. Dzentelmen, który zapewne był ojcem malca, ruszył jego śladem. Sara nie *zauważyła nigdzie piastunki ani* matki, więc przemknęło jej przez myśl, że chłopiec ma wyjątkowe szczęście, skoro rodzic znajduje czas, żeby się z nim bawić.

Jej ojciec nigdy nie zwracał większej uwagi na stadko swoich dzieci i pasierbów. Za bardzo pochłaniało go gromadzenie fortuny i wspinanie się po drabinie społecznej.

- Będiesz miała tytuł, Saro - powiedział do niej któregoś dnia, gdy skończyła szkołę. - Dlaczego nie? Za pieniądze można kupić wszystko. A odebrałaś takie wychowanie, że możesz być damą. Zięć z tytułem bardzo by mi odpowiadał.

Wkrótce znalazł zbiedniałego arystokratę, którego mogłaby poślubić, nie udało mu się jednak kupić jej zgody. Samuel Carstairs odkrył wtedy, że jego najstarsze dziecko dorównuje mu uporem.

Gdyby mógł ją teraz zobaczyć, gdyby wiedział, jak nisko upadła, przewróciłby się w grobie.

Na tę myśl zadrzała i odwróciła się plecami do okna. Zaczęła bez celu przechadzać się po pokoju. Z wyważonych, nieśpiesznych ruchów tej smukłej panny średniego wzrostu nie sposób było odgadnąć, jaki chaos myśli kłębi się w jej głowie. Wielkie ciemne oczy i długie kasztanowe włosy, zebrane z tyłu głowy w schludny węzeł, przydawały dramatyzmu wyrazowi jej kształtnej twarzy o zaskakująco jasnej cerze. Sara jednak świadomie tuszowała dramatyczny efekt odpowiednim strojem. Była ubrana w bardzo zwyczajną suknię z wysokim stanem, zapiętą pod szyją i przy mankietach, a na głowie miała koronkowy czepek. Mogłaby uchodzić za guwernantkę, i tego właśnie chciała. Kiedyś całkiem niezasłużenie przyłgnęła do niej opinia kobiety zepsutej, postanowiła więc, że nigdy więcej nie da nikomu okazji do posądzenia jej o rozwiązłość.

Zaśmiała się gorzko. Naprawdę miała większe zmartwienia, niż przejmować się niesłusznymi oskarżeniami sprzed lat. Proces o morderstwo wiele zmienił w jej życiu. Zmusił ją do zmiany nazwiska, odejścia od rodziny i ciągłych ucieczek z miejsca na miejsce, zawsze gdy zdawało jej się, że przeszłość może ją doścignąć.

Wszystko to było na nic, całkiem na nic, bo przeszłość i tak ją dopadła.

Usłyszała cichy odgłos stukania kołatką, odwróciła się więc do

drzwi. Po chwili do pokoju weszła jej gospodyni i dama do towarzystwa, stateczna, prawie pięćdziesięcioletnia kobieta.

- Są tutaj chłopcy - powiedziała.

Sara uśmiechnęła się, słysząc, jak panna Beattie dobrała słowa. Młodszy bracia Sary, a właściwie bracia przyrodni, studiowali na uniwersytecie, ale dla gospodyni, która służyła w rodzinie od urodzenia Sary, Simon i Martin Streathamowie zawsze byli „chłopcami”, tak samo jak Sara i jej siostra Anne „dziewczętami”, natomiast najmłodsza ze Streathamów, Lucy, na zawsze miała pozostać „małą”.

Panna Beattie piastowała wszystkie dzieci w Longfield, eleganckim domu Samuela Carstairsa pod Stoneleigh, gdy zaś ostatnie przestało potrzebować jej opieki, przeprowadziła się do małego domu w Salisbury. Po procesie Sara dla dobra rodziny postanowiła wyprowadzić się z domu i wtedy panna Beattie zaofiarowała jej swoje towarzystwo.

Teraz Sara była zadowolona, że Bea nie pozwoliła się zniechęcić. Widok gospodyni wzruszył ją, łzy zaczęły cisnąć jej się do oczu. Wiodła samotne życie, o wiele bardziej samotne, niż wcześniej sobie wyobrażała, lecz panna Beattie nigdy się na to nie skarżyła. Sara nie miała pojęcia, czym zasłużyła sobie na taką lojalność.

- Wprowadź ich, Bea.

Dwaj młodzi, bardzo modni dżentelmeni, którzy znaleźli się w salonie, dosłownie się na nią rzucili. Została wyściskana i wycałowana najpierw przez jednego, potem przez drugiego, jednocześnie zaś słuchała ich okrzyków zachwyty. Dowiedziała się, jak dobrze wygląda, jaki mały jest jej nowy dom, jak wiele czasu minęło i jak się obaj cieszą, że znowu ją widzą. Chociaż odpowiedziała na te powitania dość powściągliwie, to cieszyła się całkiem szczerze. Streathamowie byli o wiele bardziej wylewni niż Carstairsowie, ale obie z Anne zdążyły do tego przywyknąć. Ich ojciec ożenił się ponownie, gdy Sara miała dziewięć lat, a macocha wniosła do tego związku dwóch urwipołciów, którzy wtedy jeszcze chodzili na szelkach, i dziewczynkę przy piersi, która wprawdzie była idealnym dzieckiem, ale zaczęła przysparzać niezliczonych kłopotów w wieku dorastania.

- Siadajcie, proszę.

Ożywienie Sary nieco przygasło, przypomniała sobie bowiem powód, dla którego posłała po braci. Wszyscy w tym pokoju dobrze wiedzieli, że w posiadaniu Sary są liczne weksle, które młodzi ludzie wystawili w ostatnich miesiącach, spodziewając się,

że siostra je zapłaci. Teraz nadeszła chwila rozliczeń. W oczach Sary najgorsze było jednak to, że za swe występki w Oksfordzie obaj jej przyrodni bracia zostali wyrzuceni z uczelni do końca semestru. W liście do niej adwokat ze Stoneleigh nazwał to „czasowym zawieszeniem”, niemniej jednak fakt pozostawał faktem bez względu na elegancję sformułowań.

Simon Streatham zajął miejsce na fotelu i przesłał jej rozbrajający uśmiech. Miał osiemnaście lat, o rok więcej niż Martin.

- Z twojej miny, siostrzyczko, wnoszę, że ten adwokacina zdążył przekazać ci to i owo, zanim mieliśmy szansę się wytłumaczyć. Ale nie denerwuj się. Nie ma studenta, którego by przynajmniej raz nie zawieszono. Nie warto o tym mówić. W następnym semestrze znowu będziemy w Oksfordzie.

Kiedyś urok Simona zmiękczyłyby jej serce, ale to było dawno. Zanim przekonała się, jak gorzką lekcję mogą stanowić - w jej przypadku nieliczne - doświadczenia z uroczymi mężczyznami. Od tamtej pory była jednak pewna, że diabeł objawia się właśnie pod postacią przystojnego mężczyzny.

Usiadła na krześle z wysokim oparciem.

- Drew Primrose - powiedziała chłodno - jest bardzo dobrym adwokatem i zasługuje na twój szacunek, Simon.

- To baba, a nie adwokat! Och, wiem, że on nie jest dużo starszy od ciebie, ale doprawdy, Saro, takie świętoszkowate bywają tylko stare panny. Nie mogę uwierzyć, że on też kiedyś był młody. Są tacy ludzie. Nie umieją się bawić. Mnie się zdaje, że Primrose po prostu urodził się podstarzały.

Coś w wyrazie twarzy siostry nakazało mu zamilknąć.

- Obaj moglibyście się wiele nauczyć od Drew - odezwała się surowo Sara - gdybyście tylko zapomnieli o swoich uprzedzeniach wobec niego. Drew jest uczciwy, odpowiedzialny i bardzo dobrze sobie radzi, zważywszy na to, że nie ma majątku i korzystnych koligacji. - Urwała, bo Simon stłumił ziewnięcie, zasłaniając usta dłonią. Zacerpnęła tchu, żeby nie dać się sprowokować, i podjęła wywód: - Czy sądzicie, że Drew jest szczęśliwy, będąc waszym pełnomocnikiem? Zgodził się tylko ze względu na mnie i tylko dlatego, że człowiek, któremu ojciec powierzył wasze sprawy, umył od nich ręce. Drew nie ma prawnego obowiązku opieki nad wami, ja zresztą też nie. To wszystko, co robimy, robimy wyłącznie dla waszego dobra.

Mimo silnej pokusy nie dodała, że również matka chłopców odcięła się od swojej odpowiedzialności. Constance zawsze umiała wykręcić kota ogonem. Jako wdowa po Samuelu Carstairsie naturalnie miała pieniądze na pokrycie długów, których narobili chłopcy. Ale dziedziczką majątku była Sara, a Constance dużo lepiej niż ona opanowała sztukę blefowania.

Do rozmowy włączył się Martin. W gruncie rzeczy Sara nieraz zastanawiała się nad tym, co teraz mówił:

- To nie jest sprawiedliwe, że ojciec zostawił cały majątek do twojej dyspozycji. Powinien był ustanowić dla nas fundusz powierniczy, żebyśmy nie musieli przychodzić i błagać cię o każdego pensa. Naturalnie jesteśmy tylko pasierbami, a do ciebie ojciec zawsze miał słabość, ale mimo wszystko nie wydaje mi się to uczciwe. Bądź co bądź, innego ojca nigdy nie znaleźliśmy.

Martin martwił ją prawie tak samo jak Simon. Podobnie jak on był wysoki, długonogi i posępnie przystojny, ale brakowało mu wdzięku starszego brata. Gdy napotykał jakąkolwiek przeszkodę, dąsał się niczym małe dziecko.

Tłumaczenie, że ojciec odłożył pieniądze specjalnie na ich kosztowną edukację i że po śmierci Constance odziedziczą bardzo pokązną sumę, byłoby bezsensowne. Oni chcieli dostać swoje pieniądze teraz i wieść życie młodych lordów.

Zresztą Martin miał trochę racji: większa część majątku ojca czekała w zarządzie powierniczym, by przejść na wyłączną własność Sary w dniu jej dwudziestych piątych urodzin. Mylił się za to, twierdząc, że ojciec miał do niej słabość. Wybrał ją wyłącznie dlatego, że tylko jej dostatecznie ufał w sprawach finansowych i wiedział, że będzie umiała rozporządzać pieniędzmi.

Czasem nienawidziła ojca za to, w jakiej pozycji ją postawił. Miała dwadzieścia lat, gdy umarł po wylewie, który powalił go rok wcześniej, zaledwie dwadzieścia lat, gdy przejęła kontrolę nad rodzinną sakiewką. Me dość, że było to olbrzymie obciążenie, to w dodatku cała rodzina zaczęła w niej widzieć tyrana.

Miała już szczerze ich dość. Najchętniej od razu przejęłaby majątek zarządzany przez pełnomocnika i spełniła wszystkie życzenia, byle tylko mieć z tym spokój raz na zawsze. Otaczała ją bowiem gromada wydrwigroszów i pasożytów. Naprawdę nie mogła ich już znieść. Constance ciągle nudziła w listach o sezon w Londynie, jako że Lucy skończyła szesnaście lat. Bracia przyro-

dni zakładali, że los wyznaczył im miejsce wśród bogatych nierobów i nigdy nie będą musieli uczciwie przepracować ani jednego dnia. Wreszcie, co też było nie bez znaczenia, Anne rozmarzonym tonem wspominała nowego proboszcza w Stoneleigh, który był ponoć wyjątkowo miły i wyrozumiały.

Nie mogła winić ojca za to, że martwił się o tych, którzy byli od niego zależni. Sama robiła to nieustannie. Dlaczego jednak uznał, że właśnie ona ma dość sił i rozumu, by wziąć w swoje ręce sprawy całej rodziny, skoro tak naprawdę nie umiała uporażdkować nawet własnych? Naturalnie nie mógł przewidzieć spustoszenia, jakie uczyni w ich rodzinie William Neville. Ojca już wtedy nie było, by ich chronić.

Simon wstał, podszedł do kredensu i nalał wszystkim po kieliszku sherry.

- Musisz zrozumieć, sestro - powiedział, starając się sięgnąć po rozsądne argumenty - że jeśli mamy dotrzymać kroku naszym kolegom, to wiąże się z tym duże wydatki. Nie chciałabyś chyba, żeby widziano w nas dziwaków? Zresztą w Oksfordzie wszyscy mają długi.

Była tak zaabsorbowana swoimi myślami, że machinalnie przyjęła od niego kieliszek sherry.

- A co do naszego zawieszenia... - Simon wzruszył ramionami - to była kwestia honoru... honoru damy. Wiesz, co mam na myśli.

Spojrzała na niego przenikliwie.

- Mam nadzieję, że nie pojedynkę?

- Nie, nie! Zwykła walka na pięści.

- Ja bym to raczej nazwał bójką - wtrącił radośnie Martin. - Regularną awanturą. Pech chciał, że pięść Simona wyładowała na nosie wykładowcy, bo inaczej nikt nie robiłby z tego wielkiej sprawy i na pewno by nas nie zawieszono. Nie mam racji, Simon?

- Nie wiedziałem, że to Lewis stoi za mną. - Simon uśmiechnął się na to wspomnienie. - Poczujęm czyjąś dłoń na ramieniu i zamachnęłam się na niego, zanim... - Urwał, bo Sara wstała.

- Czyżbyś wdał się w bójkę z powodu tego, że obrażono zwykłą ładacnicę? - spytała chłodno. - Czy tego uczą was w Oksfordzie?

Simon spąsowił na twarzy.

Martin dumnie wysunął podbródek.

- Źle rozumiałaś, Saro. To wcale nie było tak. W rzeczywistości...

- Zamknij się, Martin - wysyczał Simon. Przesłał Sarze mor-

dercze spojrzenie. - Pewnych tematów dżentelmen nie porusza w towarzystwie, zwłaszcza przy siostrze, a ladacznice należą do tych tematów.

Sara podeszła do stołu, z westchnieniem wzięła z niego duży kwadratowy pakiet i wysypała jego zawartość na blat.

- Można dużo powiedzieć o charakterze człowieka na podstawie jego weksli. Czy wiesz, co te weksle mówią mi o tobie, Simon?

- Boże wielki, znowu wykład- odparł obojętnie.

Puściła tę prowokację mimo uszu.

- Hazard, kobiety, alkohol... myślę, że to trafnie oddaje twój charakter. Jesteś nicponiem, Simon. Niektórzy może nawet nazwaliby cię pasożytem. - Martin parsknął, więc zwróciła uwagę na niego. - A ty wcale nie jesteś lepszy. Wszędzie chodzisz za bratem. Czy nie rozumiesz, jakie macie szczęście? W naszej rodzinie jesteście pierwszymi osobami, które studiują na uniwersytecie, i to nie na byle jakim uniwersytecie, lecz w Oksfordzie. Ojciec starał się zapewnić wam wszystkie przywileje, z jakich sam nigdy nie korzystał. Chciał, żebyście zostali dżentelmenami, prawdziwymi dżentelmenami, nie... - z pogardą zmierzyła wzrokiem ich żółto-brązowe obcisłe spodnie, dopasowane surduty i wysokie buty z niedorzecznymi złotymi kutasikami - ...nie krawieckimi manekinami. Za wasze rachunki od krawca mogłabym szyć sobie stroje przez najbliższe dziesięć lat.

- Wszyscy koryntianie chodzą tak jak my - odparł Martin. - W Oksfordzie, jeśli nie ubierasz się u Westona, to równie dobrze możesz poderżnąć sobie gardło.

- Koryntianie! - z gryzącą ironią powtórzyła Sara. - Za moich czasów mówiło się o dandysach.

- Czekaj, czekaj, Saro - przerwał jej Simon. - Nie masz racji. Koryntianie są atletami. Najlepszymi sportowcami w Anglii.

- Zwykłe próżniaki! - wykrzyknęła Sara. - Znudzeni arystokraci. Może czasem powinniście jednak pamiętać, że pochodzicie z niższej klasy. W naszych żyłach nie płynie błękitna krew. Wszystko, co mamy, mamy dlatego, że ktoś inny się poświęcał i ciężko pracował.

- Ja tam nigdy nie chciałem studiować w Oksfordzie - mruknął Martin. - Tamci ludzie są...

- Nie gadaj tyle, Martin! Sara nie znosi nudziarzy, tak samo jak ja.

Ostra reprimenda brata wzburzyła Martina.

- Nie bądź taki mądry! To nie ja zacząłem tę bójkę i nie przeze mnie nas zawieszono. I nie ja narobiłem długów. Mówiłem ci, że Sara będzie na nie krzywo patrzeć, tylko czy ty chciałeś mnie słuchać? A skądże! Moje zdanie się nie liczy. A co się z nami stanie, jeśli Sara teraz umyje ręce? Jeśli nie spłacimy karcianych długów, to połamiamy nam nogi, ot co! A wszystko przez ciebie.

Simon sprawiał takie wrażenie, jakby w każdej chwili mógł się rzucić na brata.

- Cisza! - Sara zdziwiła się swoim ostrym tonem nie mniej niż jej bracia. Przycisnęła dłoń do skroni, w których czuła bolesne pulsowanie.- Cisza- powtórzyła już spokojniej.- Zaraz wam powiem, co się z wami stanie. Polecę Drew spłacić wasze długi, ale to jest ostatni raz. Informuję was bowiem, że wychodzę za mąż. - Przez chwilę rozkoszowała się wstrząśniętym wyrazem twarzy dwóch młodych ludzi. - Z pewnością zaś wiecie równie dobrze jak ja, że po ślubie majątkiem kobiety zaczyna rozporządzać mąż. A to jest zupełnie inna sytuacja.

Gdy wybrzmiało ostatnie crescendo sonaty Scarlattiego, Sara rozprostowała palce i energicznie wstała od fortepianu. Panna Beattie śledziła ją wzrokiem. Pomyślała, że Sara doskonale umie ukryć swe uczucia przed większością ludzi, ale nie przed nią. Gdy była czymś poruszona lub zaniepokojona, zawsze grała to samo.

- Scarlatti? - powiedziała gospodyni. - A cóż się stało tym razem?

Sara uśmiechnęła się potulnie jak dziecko przyłapano na dzikim wybryku.

- Simon powiedział mi, że jestem podobna do ojca.

Panna Beattie nadal liczyła oczka.

- A w czym, jeśli można wiedzieć?

- Zrobiłam to, czego miałam nie robić. Udzieliłam im reprimendy. Nawet gorzej, Bea. Zagroziłam im. Powiedziałam, że mąż przejmie zarządzanie moim majątkiem.

- I uwierzyli ci?

Sara wzięła świecę z fortepianu i zaczęła zapalać nią inne, rozmieszczone w całym pokoju.

- Myślę, że nagle się w kimś zakochałam i zaślepiona miłością, jestem gotowa rzucić na szalę ich udział w majątku ojca. Zupełnie

jakbym mogła być taka głupia! A słyszałaś, z czym wystrzelili, wychodząc?- Sara aż się skrzywiła.- Poinformowali mnie, że zasięgną porady prawnej, żeby sprawdzić, czy mogą mnie w jakiś sposób powstrzymać.

- A co im powiedziałaś: kogo zamierzasz poślubić? - spytała ostrożnie panna Beattie.

Sara roześmiała się.

- Nikogo. Oznajmiłam, że dowiedzą się wtedy, kiedy będzie mi się podobało, i ani dnia wcześniej. Nie patrz tak na mnie, Bea. Martin i Simon są niepoprawni. [przyjmują za dużo bezpodstawnych założeń. Wprawdzie dziś solidnie ich nastraszyłam, ale wkrótce się uspokoją. Z nimi zawsze tak jest.

- Hmm... - odezwała się panna Beattie głosem pełnym nadziei. - Może jednak nic z tego nie będzie. Nie sądzę, żebyś znalazła mężczyznę, który zechce cię na twoich warunkach.

- Mogę powołać się na autorytet ojca - odrzekła Sara. - Za pieniądze można kupić wszystko. - Tymczasem otwierała szuflady, podnosiła poduszki. Wyraźnie czegoś szukała.

Gospodyni szybko podjęła temat.

- Ale po co w ogóle masz składać sobie na barki taki ciężar jak mąż? Jeśli poczekaś jeszcze tylko rok, nawet niecały, to będziesz mogła dowolnie dysponować swoimi pieniędzmi.

- Dobrze wiesz, po co.

Odbływały już podobne rozmowy wcześniej, więc panna Beattie ugryzła się w język, żeby jeszcze raz nie wytaczać długiej listy argumentów, które znalazła, by zniechęcić Sarę do jej szalonego pomysłu. Dziewczyna chciała dostać spadek natychmiast, nie za miesiąc, nie za rok, lecz z dnia na dzień, a w myśl woli wyrażonej przez ojca jedynym sposobem na to było zamążpójście przed ukończeniem dwudziestego piątego roku życia. Tak naprawdę jednak Sara nie chciała mieć męża. Traktowała małżeństwo jak zwykły interes. Zaraz po zakończeniu ślubnej ceremonii miała zamiar spłacić swojego tak zwanego męża, żeby nigdy więcej nie musieć go oglądać.

Powody, dla których podjęła to desperackie przedsięwzięcie, wydawały się pannie Beattie dalece nieprzekonujące. Sara twierdziła, że wyczerpała się jej cierpliwość. Chciała jakoś ułożyć sobie życie. Poza tym gdyby wcześniej cokolwiek jej się stało, cały majątek odziedziczyłyby Anne, a gdyby wtedy z kolei ujawnił się William Neville, co stałoby się z całą rodziną? William, jako mąż

Anne, przejąłby wszystko. Sara postanowiła więc zawrzeć małżeństwo, a przedtem dopilnować podpisania przez przyszłego męża niepodważalnej intercyzy, w której ten zapewniłby podział majątku Samuela Carstairsa na pięć równych części między jego dzieci i pasierbów.

Gdyby Sara wymyśliła to wszystko przed trzema laty, zaraz po procesie, gospodyni prawdopodobnie łatwiej przychyliłaby się do jej rozumowania. Ale teraz? Po co? Nieustannie stawiała sobie to pytanie. I za każdym razem dochodziła do wniosku, że musiało ostatnio coś zajść, coś, co bardzo zaniepokoiło Sarę. Panna Beattie nie miała jednak pojęcia, w czym rzecz.

Zaryzykowała szybkie spojrzenie na swoją podopieczną, ale zgubiła oczko, więc gniewnie mruknęła coś pod nosem i znów zajęła się robótką. Opiekowała się Sarą od dnia, gdy pan Carstairs zatrudnił ją jako piastunkę do niemowlęcia. Gdyby dziewczyna miała komukolwiek się zwierzyć, to właśnie jej. Największą wadą Sary była jednak skrytość; lubiła zachowywać swoją wiedzę dla siebie. Rzadko pozwalała sobie na okazywanie uczuć. Większość ludzi uważała, że jest chłodna, choć trudno o większą pomyłkę. Rola najstarszego dziecka Samuela Carstairsa nie była łatwa. Jedna Sara miała dość siły, by stawić ojcu czoło. A jeśli młodszym dzieciom też się czasem coś udawało z rodzicielem, to tylko dlatego, że Sara broniła ich interesów.

Ale kto miał bronić jej interesów? Papierowy mąż na pewno nie.

- Bea, gdzie to jest?

Gospodyni znowu zgubiła oczko, więc spojrzała z prawdziwą złością na robótkę, koronkową narzutę na łóżko, prezent ślubny dla siostry mieszkającej w Folkestone. Nie podnosząc głowy, spytała niewinnie:

- Co takiego, kochanie?

- Dzisiejsze wydanie „Couriera” - odparła spokojnie Sara.

Panna Beattie zamierzała udawać głęboką niewiedzę, ale jedno zerknięcie na zdecydowaną minę Sary wystarczyło jej, by zrezygnować z tego pomysłu.

- Nie rozumiem, dlaczego chcesz czytać takie nic - oświadczyła kwaśnym tonem.

- Rozumiesz, rozumiesz. Gdzie jest gazeta, Bea?

Gospodyni westchnęła. Rzecz jasna doskonale znała odpowiedź. Tego dnia przypadała trzecia rocznica niewinnienia Sary od zarzutu zamordowania Williama Neville'a, a w każdą rocznicę

tego wydarzenia „Courier” dokładnie przypominał całą historię. Stało się to już tradycją tej gazety, podobnie jak podnoszenie wysokości nagrody, wyznaczonej przez sir Ivora Neville'a za informację, która pomoże odkryć miejsce pobytu łub pochówku Williama.

Gospodyni jeszcze raz żałośnie westchnęła, potem wsadziła rękę do torby z robótką, stojącej u jej stóp, wyciągnęła stamtąd pracowicie poskładaną gazetę i podała ją podopiecznej.

- Ile obecnie wynosi nagroda? - spytała Sara.

- Pięć tysięcy funtów.

Sara uniosła brwi.

- Aha.

Przysunęła gazetę do świeczki na stole, wygładziła stronicę i zaczęła czytać. Minę miała obojętną, ale panny Beattie tym nie zwiodła. Musiałyby być wykuta z kamienia, żeby zachować spokój. Wypadki przypomniano z najbardziej pikantnymi szczegółami. Nazwisko Sary występowało dosłownie w każdym wersie. Pojawiająca się między wierszami teza artykułu, że Sara jest samolubną, wyrachowaną kobietą bez zasad, uniewinnioną tylko dlatego, że nigdy nie odnaleziono ciała ofiary, była ohydna. Najbardziej przerażające wydawało się jednak to, że „Courier” deklaruje chęć zajmowania się tą sprawą aż do całkowitego jej wyjaśnienia. Zdaniem panny Beattie, wcale nie było to szukanie sprawiedliwości, lecz zemsta na jej podopiecznej.

- Człowiek, który napisał ten artykuł, musi mnie szczerze nienawidzić - powiedziała cicho Sara jakby do siebie. - Nie pozwoli światu zapomnieć o moim istnieniu. Któż to taki? „Specjalny korespondent”. To mi nic nie mówi.

Panna Beattie odczekała, aż dziewczyna zamilknie, i powiedziała:

- Co za różnica, kto to jest? Jakiś zły człowiek i mam nadzieję, że będzie się smażył w piekle.

Sara złożyła gazetę.

- W każdym razie przestałby mnie prześladować, gdyby znalazł ciało Williama - zauważyła rzeczowo.

- Albo gdyby William odnalazł się żywy - dodała panna Beattie.

Sara spojrzała na nią z bardzo skupionym wyrazem twarzy. Widać było, że drży.

- Nie wiem, co przeraża mnie bardziej: myśl o specjalnym

korespondencie „Couriera”, śledzącym każdy mój krok, czy wizja powrotu Williama. Może teraz już rozumiesz, dlaczego koniecznie potrzebuję pieniędzy ojca? Chcę zacząć życie od nowa, daleko stąd. Za dużo już tej niepewności, Bea. Jak tylko będzie to możliwe, wyruszamy do Bath.

- Do Bath - powtórzyła gospodyni.

Sara wyjaśniła jej swoje rozumowanie. W lecie śmietanka towarzyska zjeżdżała śladem księcia Walii do Brighton. W zasadzie Sarze nie groziło więc, że ktoś w Bath ją pozna. A gdyby nie znalazły tam dobrych kandydatów na papierowego męża, mogły przenieść się do Cheltenham.

Godzinę później panna Beattie układała się do snu, a jednocześnie pocieszała myślą, że nie jest najgorzej. Podróż do Bath wydawała jej się krokiem we właściwym kierunku. Pierwszy raz od zakończenia procesu Sara zamierzała poznać nowych ludzi. A że panna Beattie była na wskroś religijną kobietą, nie widziała powodu, dla którego Stwórca nie miałby się wmieszać w szalony plan tej dziewczyny i ułożyć wszystkiego tak, jak należy. Wystarczyłaby odrobina szczęścia, żeby papierowy mąż okazał się wsparciem, jakiego Sara tak bardzo potrzebowała i na jakie uczciwie sobie zasłużyła.

Przejęta nadzieją, wyobraziła sobie podopieczną całkiem odmienioną. Wszystkie te okropne suknie, które teraz nosiła, dałoby się parafialnemu domowi dla ubogich, a ich miejsce zajęłyby eleganckie jedwabie i muśliny w kolorach drogich kamieni, które podkreślałyby jej urodę. Byłyby przyjęcia i bale, i wyjścia do teatru, i pikniki. Sara często by się uśmiechała.

I nie grałaby już Scarlattiiego. Stanowczo nie Scarlattiiego.

I nie nosiłaby więcej koronkowych czepków.

Rycerski mężczyzna dla Sary będzie od dziś głównym tematem moich modlitw, postanowiła gospodyni, która do tej pory prosiła Boga o zniszczenie wszystkich wrogów podopiecznej, a zwłaszcza tego okropnego, godnego pogardy specjalnego korespondenta, który pisze do „Couriera”. Naturalnie nie życzyła mu nic naprawdę straszego. Tyle tylko, żeby ktoś sprzął go na marmoladę.

3

Wieźli go do domu rozpusty. Max przypuszczał, że to miała być dla niego rekompensata za srogie lanie, jakie dostał. Gest należało uznać za szczodry, albowiem przyjaciele stracili mnóstwo pieniędzy, obstawiwszy jego zwycięstwo w walce z Mightym Jackiem Cleaverem, boksem czempionem pięciu okolicznych hrabstw. Powinni byli wykazać więcej rozsądku. On zresztą też.

Chyba oszalał, że pozwolił się przyjaciółom namówić na tę awanturę. Co mu się, u licha, roiło? Przecież nie był zawodowym bokserem, tylko amatorem. Owszem, w Londynie trenował z Dżentelmenem Jacksonem, ale traktował to wyłącznie jako ćwiczenie. Po walce powziął jednak mocne postanowienie, że od tej pory będzie trzymał się krykieta.

Jęknął, bo koło powozu wpadło w dziurę. Teraz już go nie dziwiło, że nie było chętnych na tysiąc funtów nagrody, obiecanych za znokautowanie Mighty'ego Jacka Cleavera. Ten człowiek był wielki jak góra. Topór z nazwiska i z natury.

Właściwie Max nie miał prawa narzekać. Powinien dziękować swej szczęśliwej gwiazdzie, że jeszcze może oddychać. Nie miał złamanego żadnego żebra ani nosa. Tyle że czuł się tak, jakby przejechał po nim powóz.

- O, Reading -- dobiegł go głos z kąta.

Max uniósł nabrzmiąte powieki i wyjrzał przez okno. O tej porze niewiele było widać. Światło dawały jedynie latarnie, wiszące przed co drugim domem. Wyglądało na to, że uczciwi

obywatele miasta Reading już wygrzewają się w łózkach. Ponieważ zaś Max czuł się nietego, wizja łóżka bardzo go pociągała.

Wizyta w domu rozpusty była wykluczona i tego wieczoru, i w dającej się przewidzieć przyszłości. Zresztą kochanka czekała na niego w zajeździe Pod Czarnym Łabędziem, a Deirdre miała temperament, oj miała. Max wiedział, że jeśli się nie zjawi, dostanie potem za swoje. Liczył się nawet z tym, że straci Deirdre, czego szczerze by żałował, bo była w jego typie. Zawsze gotowa do pieszczot, z gęstą grzywą falujących ciemnych włosów i oczami czarnymi jak grzech. Tak, miała grzeszne oczy, grzeszne dłonie i pełne, grzeszne usta. Na myśl o tym Max mimo obolałej szczęki uśmiechnął się.

- Wznoszę toast za Maksa! - krzyknął John Mitford, a chór męskich głosów wyraził głośną aprobatę dla tego zamiaru. Johnowi zaczął się nieco płatać język. - Za naszego dzielnego towarzysza, za najlepszego przyjaciela, jakiego można mieć, za mistrza boksu, mimo że dzisiaj przegrał, za największego z wielkich koryntian!

- Za Maksa - zawtórowały przepite głosy. - Za największego z wielkich koryntian! - Otwarte butelki brandy znowu poszły w ruch.

Koryntianin. Gdy miał dwadzieścia jeden lat, był dumny, że należy do tej elitarnej grupy. Wszyscy jego przyjaciele byli koryntianami. Dlatego przyjął wyzwanie dzisiejszego wieczoru Jacka Cleavera. Ależ z niego głupiec.

Jego przyjaciele wiedzieli jednak równie dobrze jak on, że czasy się zmieniają. Grupa powoli topniała, zainteresowania jej członków coraz bardziej się różniły. Po prostu mieli coraz mniej czasu na utrzymywanie kontaktów. Dla zacieśnienia więzi wpadli więc na pomysł, że corocznie będą spędzać część lipca w Brighton. Nazwali te wakacje „Ostatnią rubieżą kawalerów”, wszak przyjaźnili się od pierwszego roku w Oksfordzie i poprzysięgli sobie, że nic i nikt nigdy ich nie rozdzieli.

Oksford. Ech, to były dni. Wspaniałe, piękne dni młodości.

- Teraz ja wznoszę toast - powiedział Max, niemile zaskoczony skrzypliwym brzmieniem swego głosu. Czyżby i on wypił za dużo alkoholu?

- Boże, litości - jęknął Ash Meynell, największy elegant w grupie. Zerknął na Maksa przez monokl. - Wygląda na to, że ten człowiek jeszcze żyje.

Swoją uwagę wzbudził znaczne ożywienie w grupie. Wszyscy zaczęli wypominać Maksowi niepomyślny wynik starcia z Mightym Jackiem. Słuchał tego bardzo cierpliwie. Stanowili tak zgraną grupę przyjaciół, że szermierka na obelgi stanowiła w ich gronie rodzaj kunsztu.

- Za Oksford! - rzucił, unosząc swoją butelkę brandy.

- Za Oksford - powtórzyła reszta i każdy, kto miał butelkę, pociągnął z niej solidny łyk, po czym podał ją następnemu.

Z podłogi powozu dobiegł ich zadumany głos:

- Odświeżcie moją pamięć. Czy ktokolwiek z nas ukończył tę dostojną uczelnię?

Odpowiedziało mu chóralne przeczenie.

- A czy ktoś powinien był? - spytał Ash, kierując swój monokl ku ciału spoczywającemu na podłodze.

Tony Palmer uniósł się do pozycji siedzącej.

- Ja tak - odrzekł. - Nie pytaj mnie dlaczego. Mój ojciec też nie skończył, ale z synem wiązał większe nadzieje. Doszło do strasznej sceny, kiedy mnie wyrzucono.

Popłynęły wspomnienia z oksfordzkich lat, które z kolei, niezupełnie prostą drogą, doprowadziły do toastów za króla, za polowanie na lisy, za aktorki i baletnice w ogólności, a wreszcie - nieco trzeźwiejszego - za „nieobecnych przyjaciół”.

Trzech z nich, niestety, wzięło już ślub i musiało spełniać oczekiwania żon, a nie przyjaciół. Kawalerskie wieczory w Brighton były nie dla nich. Tymczasem w myśl dowcipu krążącego wśród ich niedawnych kompanów, żonaci mężczyźni mogą się spodziewać od życia jedynie artretyzmu, a ponieważ była to eufemistyczna nazwa syfilisu, żaden z nich nie chciał nabawić się tej dolegliwości przedwcześnie, jeśli w ogóle.

Max zauważył znak, którego wypatrywał, stary kościół świętego Wawrzyńca, więc zagrzmiął pełną pierśią:

- Woźnica, stop!

Jego przyjaciół taki obrót sprawy zaskoczył całkowicie. Ale zanim oprzytomnieli, Max wygramolił się już z powozu. Gdy zaprotestowali, uciszył ich podniesieniem dłoni,

- Panowie - powiedział. - Cieleśne rozkosze lokalu *madame Capet* są dziś nie dla mnie. Pewnie zauważyliście, że w czasie walki Jack Cleaver omal nie pozbawił mnie męskości. Szczerze mówiąc, wciąż ledwie żyję, więc gdybym próbował akrobacji,

które tak sugestywnie mi opisywaliście, prawdopodobnie nigdy więcej nie wstałbym z łóżka.

- Chce nam wytłumaczyć, że dzisiaj mu nie stanie- podsumował John.

Gdy ucichł śmiech, Max powiedział:

- Nie będę zaprzeczał. A zatem do zobaczenia w Brighton.

- To samo powiedziałeś w zeszłym roku i wcale nie przyjechałeś - wycedził Ash. - Wiesz, co myślę, Max? Jesteś wśród nas pierwszy w kolejce do złapania artretyzmu. Moja matka twierdzi, że prędzej czy później spotyka to wszystkich koryntian.

Tym oświadczeniem wywołał burzę protestów. Gdy na chwilę zapadła cisza, Max stwierdził:

- Powinieneś znać mnie lepiej, Ash. Jestem za ostrożny, żeby złapać artretyzm. Na pewno przyjadę do Brighton, chociaż zabawię tam nie więcej niż kilka dni. Interesy wzywają mnie na miesiąc, a może nawet dwa do Exeter i na więcej nie mogę sobie pozwolić.

- Jakie interesy? - rozległ się bełkotliwy głos.

- Nie słyszałeś? Max chce kupić „Exeter Chronicle” - odrzekł któryś z kompanów. - Właśnie się tam wybiera.

Natychmiast przypomniła im się sprośna pijacka piosenka o znakomitych jeźdźcach z Exeter, toteż zanim powóz odjechał, pięć lubieżnych głosów zaintonowało ją z wielkim upodobaniem.

Max odwrócił się w kierunku High Street, przy której znajdował się zajazd Pod Czarnym Łabędziem, ale gwałtowna wolta mu nie posłużyła. Przystanął więc, żeby sprawdzić, jak bardzo ucierpiał podczas walki. Bolało go dosłownie wszystko. Nos przypominał mu o swym istnieniu przykrym pulsowaniem, a szczęka była w takim stanie, jakby rozbito o nią cegłę. Najważniejsze dla niego pytanie brzmiało jednak w tej chwili, czy ma szansę wykazać się jako mężczyzna. Czym innym było wykręcić się od towarzystwa przyjaciół, czym innym zawieść kochankę. Gdyby próbował powołać się na ból głowy albo w ogóle na marne samopoczucie, Deirdre mogła dostać jednego ze swych sławnych ataków wściekłości.

Cholera jasna! Nie zaprosił jej do Exeter, bo wiedział, że tylko by mu przeszkadzała. Ale jej zramolały mąż, sir William Honeyman, wyjechał do swojego majątku w hrabstwie Kent i Deirdre niespodziewanie pojawiła się Pod Czarnym Łabędziem. Tam natychmiast wyczytała z jego miny, że nie ucieszył się jej widokiem.

Gdy zaś oznajmił, że idzie na spotkanie z przyjaciółmi, wybuchła między nimi kłótnia. Wiedział więc, że jeśli teraz spróbuje się wykręcić, skończy się to sceną, jakiej świat nie widział, on zaś nie miał nastroju do burzliwych scen.

Wykręcić się? Przychodzą mu do głowy takie myśli, jakby miał przynajmniej osiemdziesiąt lat. Przecież Deirdre nie mogła nie rozpalić mężczyzny, chyba że ten naprawdę był już jedną nogą w grobie. Max postanowił wykazać się jako mężczyzna, choćby miał skonać.

Przynajmniej konałby z uśmiechem na twarzy.

Zajazd Pod Czarnym Łabędziem był pogrążony w ciemności, jeśli nie liczyć latarni wiszącej na frontowym ganku. Max wszedł przez bramę na podwórze. Tu paliło się więcej latarni. Nie przewidywał spotkania z kimkolwiek o drugiej w nocy, zresztą istotnie nikogo nie spotkał. Reading było peryferyjnym miasteczkiem; ludzie wcześniej chodzili tu spać i wcześniej wstawali. Zajazdy zamykały podwoje niedługo po zachodzie słońca. Max jednak rozważył wszystkie uwarunkowania, zanim opuścił przyjaciół.

W kącie podwórza rosła krzywa jabłoń, której pokryte liśćmi gałęzie sięgały okna jego pokoju. Przed wyjściem zostawił je otwarte, żeby móc spokojnie wrócić, nikogo nie budząc. Jemu, kawalerowi, nie zależało na dyskrecji, ale w przypadku Deirdre była to kwestia zasadnicza. Wprawdzie miała z mężem umowę i każde z nich żyło własnym życiem, ale zachowywali pozory. Inaczej pozycja Deirdre w towarzystwie mogłaby się zachwiać. Takie obyczaje panowały w ich świecie. Pozory miały dużo większe znaczenie niż stan rzeczywisty, zwłaszcza dla kobiety.

W oknie paliło się światło. Czyli Deirdre jednak na niego poczekała. Max westchnął z rezygnacją, zacisnął zęby i chwycił za koślawą gałąź ciągnącą mu się nad głową.

Książka leżąca na jej kolanach spadła z łoskotem na podłogę przykrytą miękkim chodnikiem. Sara drgnęła i otworzyła oczy. Zacisnąwszy dłonie na oparciach fotela, chciała wstać. Gdy jednak zobaczyła książkę na podłodze, zrozumiała, co ją zbudziło, i zaczęła trzeźwiej myśleć. Wolno odetchnęła. Nie miała się czego obawiać. Była w sypialni zajazdu Pod Czarnym Łabędziem, w którym

zatrzymały się na pierwszy postój w drodze do Bath. Najwidoczniej zasnęła nad *Cecylią*. Przecież nikt nie wie, gdzie jej szukać. Nikt.

Wyciągnęła rękę, podniosła z podłogi oprawny w skórę tomik i odłożyła go na stolik obok. Powieść Fanny Burney czytała tyle razy, że mogłaby ją recytować z pamięci. Ale ta lektura miała na nią zbawienny wpływ. Zawsze pomagała jej zapomnieć o kłopotach i dawała kilka godzin wytchnienia. Teraz jednak, po nagłym przebudzeniu, Sara bardzo żałowała, że nie czytała tej piekielnej książki w łóżku.

W oddali zagrzmiało. Nad ranem należało spodziewać się burzy. Sara przeciągnęła się, żeby dać odpocząć mięśniom, i odgarnęła z szyi rozpuszczone włosy. Choć wcześniej otworzyła okno, w pokoiku było gorąco i duszno. Nawet cienka nocna koszula ciążyła jej niemiłosiernie. Rozpięła więc perłowe guziczki z przodu aż do talii i obnażyła piersi. A że wciąż jej było za gorąco, sięgnęła do stolika po karafkę. Naczynie okazało się puste. Westchnąwszy, odstawiła je na miejsce.

Ogarek na gzymsie kominka zaczynał skwierczeć. Sara wstała, wyciągnęła rękę w tamtą stronę i zawahała się. Miała niewielką szansę ponownie zasnąć. Może powinna raczej zapalić nową świecę i... właśnie, i co dalej? Dręczyć się wyobrażeniami tego odrażającego typu, swojego szwagra, takiego jakiego go zapamiętała? Rozwagać bez końca, czy William żyje, czy nie? Snuć domysły, co by z nią zrobił, gdyby kiedykolwiek wpadła mu w ręce?

Po co? Przecież wiedziała to. Naturalnie zabiłby ją. Wtedy Anne weszłaby w posiadanie pieniędzy ich ojca i William wreszcie mógłby położyć na nich swoje chciwe łapska. Tylko tego jednego zawsze chciał: pieniędzy.

Nie mogła pozwolić, żeby znowu skrzywdził kogokolwiek z jej rodziny.

Bea nazwała tę podróż do Bath szalonym pomysłem. W chwilach trzeźwiejszego myślenia Sara przyznawała jej rację. Ale w krytycznej sytuacji trzeba sięgać po ostateczne środki, a sytuacja istotnie była krytyczna. Sara musiała znaleźć sobie męża i podpisać intercyzę, żeby William przestał jej zagrażać.

Niedorzeczność. Przecież wiedziała, że on nie żyje. Wiedziała to. Tylko czy na pewno?

Gdyby przynajmniej mogła komuś się zwierzyć. Ale nie miała komu. Poza tym pewnych sekretów lepiej z nikim nie dzielić.

Przesunęła dłonią po czole. W głowie jej się już mieszało od takiego myślenia. A naprawdę nie miała o czym myśleć. Podjęła decyzję i na tym koniec. Dość tego, skarciła się surowo. Przestań myśleć o kłopotach, połóż się do łóżka.

Podeszła na palcach do kominka, ustawiła dłoń za skwierczącym ogarkiem i zdmuchnęła płomień. Ale w chwili, gdy to robiła, kątem oka zobaczyła w lustrze nad kominkiem mężczyznę, gramolącego się przez okno do pokoju.

Zapadła ciemność; przerażenie ścisnęło Sarę za gardło. Znalazł ją! Jak!

- William? - szepnęła ochryple.

Nie było odpowiedzi.

Drżąc na całym ciele, obróciła się, by mieć intruza przed sobą. Przez chwilę jej oczy przyzwyczajały się do mroku. Nie było jednak całkiem ciemno. Latarnie z podwórza dawały wątle światło, w którym chwiały się cienie. Mimo to nic nie zobaczyła. Po mężczyźnie w oknie nie było już śladu. Za to jej słuch, ostry jak nigdy, wyraźnie zarejestrował czyjś oddech. Głośno zaczerpnęła tchu, gdy się odezwał:

- Nie wiedziałem, że masz rude pasemka we włosach. Ale widocznie damy umieją zmieniać wygląd, kiedy tak im się podoba. Daj mi chwilę odsapnąć. Czuję się tak, jakbym zdobył Matterhorn.

To nie był głos Williama! Ta myśl trochę ją uspokoiła. Nie był to William, ale prawdopodobnie jego przyjaciel, ktoś, kto znał ją z widzenia. Doszła do wniosku, że William wysłał herolda, żeby ten zapowiedział, co się wkrótce stanie: że zacznie się dla niej prawdziwe piekło. A może chciał jej tylko pokazać, że mimo wszystkich jej sztuczek może się do niej dostać w każdej chwili?

Była śmiertelnie przerażona, ale jeszcze bardziej wściekła. Potrafiła sobie wyobrazić, co William nawygadywał o niej przyjacielowi - że jest dziwką, że każdy mężczyzna może ją mieć. Ha, ten człowiek zaraz się przekona, jak William kłamie.

Musiała zachować spokój i szybko zdecydować, co robić. Gdyby zaczęła krzyczeć, mężczyzna dopadłby jej w okamgnieniu. Beza zajmowała pokój po drugiej stronie korytarza, ale zbudziłoby ją tylko trzęsienie ziemi. Inni goście mogliby usłyszeć krzyki i przyjść jej z pomocą, ale mężczyzna bez wątplenia odprawiłby ich z kwitkiem, twierdząc, że to tylko mała sprzeczka zakochanych. A kto uwierzyłby Sarze Carstairs, gdyby jej tożsamość wyszła na

jaw? Zrozumiała więc, że może liczyć tylko na siebie. Nie mogła szybko skoczyć do drzwi, bo nie wiedziała, gdzie stoi mężczyzna. W swoich rzeczach nie miała ani pistoletu, ani noża, a nawet gdyby miała, nie mogłaby użyć broni. Kobiecie, którą już sądzono za morderstwo, z pewnością trudno byłoby wyjaśnić, skąd się wzięły zwłoki w jej sypialni.

Stopniowo rejestrowała coraz więcej wrażeń. Od mężczyzny bił silny zapach alkoholu. Jeśli był pijany, mogło to zwiększać jej szanse. W kominku, tuż przy stopach, leżał pogrzebacz, a dobrze wiedziała, że taką bronią można nawet zabić.

Nie, pogrzebacz nie. Wzdrygnęła się. Nie zamierzyłaby się na mężczyznę pogrzebaczem, chyba że w ostateczności. Co innego karafką. Miała do niej zaledwie kilka kroków, bo naczynie stało na stoliku przy fotelu. Należało obezwładnić intruza, zamknąć go tu i ukryć się w pokoju Bei.

Gdyby tylko wszystko poszło zgodnie z jej planem.

Zaczęła centymetr po centymetrze przesuwać się do stolika, zamarła jednak, gdy mężczyzna znów się odezwał:

- Przepraszam za późny powrót - powiedział. - Nie sądziłem, że będziesz na mnie czekać. Myślałem, że znajduję cię w łóżu.

Chociaż miał miły głos, jego słowa dosłownie zmroziły Sarę. Jemu pewnie się zdawało, że William wszystko z nią ustalił, więc ona przyjmie go z otwartymi ramionami. Wiedziała, że im prędzej wybije mu to z głowy, tym lepiej.

- Wynocha stąd. Już! - Urwała, gdy usłyszała drżenie w swoim głosie: odchrząknęła i dodała: - Jeśli mnie dotkniesz, oczy ci wydrapię.

Zapadła cisza. Sara odniosła wrażenie, że mężczyzna taksuje ją mniej więcej tak samo jak ona jego. Może obawiał się pistoletu. Może dlatego tak zwlekał. Koniecznie musiała coś zrobić, zanim będzie za późno.

- To do ciebie całkiem niepodobne - powiedział. - Nawet mówisz jakoś inaczej. Chyba wypilem więcej, niż mi się zdawało.

Gdy nagle zamajaczył przed nią jego cień, zerwała się do czynu. Błyskawicznie chwyciła za karafkę i odskoczyła do tyłu.

- Nie zbliżaj się do mnie! - krzyknęła.

Nie zwrócił uwagi na to ostrzeżenie.

- Posłuchaj...

Z całej siły zamachnęła się karafką, ale naczynie roztrzaskało

się o nogę łoża, a po chwili intruz rzucił się na nią i przygniótł ją do materaca w poprzek ramy.

Zacisnęła zęby, żeby nie jęknąć. Leżała z szeroko rozrzuconymi nogami, a mężczyzna wgniatał ją ciężarem swego ciała w puchową pościel. Nadgarstki miała unieruchomione nad głową w stalowym uścisku, a metalowe guziki jego surduta boleśnie uciskały jej piersi. Wzdrygnęła się, gdy nieznajomy opuścił głowę.

- Coś jesteś dzisiaj jak nie ty. Nie umiem tego wyjaśnić - szepnął ochryple i cicho się zaśmiał. - Chyba nie doceniłem twoich wdzięków. Ech, Deirdre, nie broń się przede mną.

Gdy ich usta się zetknęły, Sara była przygotowana na brutalną agresję, ale mężczyzna okazał się niespodziewanie delikatny. W miarę jak trwał ten pocałunek pachnący brandy, coraz wyraźniej uświadamiała sobie istnienie jakiejś Deirdre, zaczynała też powoli rozumieć, że wyciągnęła całkiem fałszywe wnioski. Po prostu myślała o Williamie, gdy mężczyzna wchodził przez okno, a jej wyobraźnia dokonała reszty.

Tak jej ulżyło, że zupełnie straciła siły. Próbowwała go odepchnąć, ale na próżno. Gdy stwierdziła, że nic z tego nie będzie, zdecydowała się na bierny opór. Nie broniła się przed jego uściskiem, ale pozostawała nań całkiem obojętna.

Mężczyzna znieruchomiał, aż wreszcie uniósł głowę. Rysów twarzy nie mogła dostrzec, ale widziała jej harmonijny zarys i błysk białych zębów, zdradzający uśmiech.

- Ty nie jesteś Deirdre - powiedział.

- Nie.

- Chyba musiałem to wiedzieć od samego początku. Pomyliłem okna, prawda?

To było szaleństwo, ale odwzajemniła uśmiech. Zdążyła sobie już wszystko poukładać w głowie. To nie był wysłannik Williama ani złodziej. I nie zamierzał jej zgwałcić. Po prostu się pomylił, bo sądził, że w tym pokoju zostanie Deirdre, a nie ją.

Powinna była natrzeć mu uszu za to, jak ją przeraził. Powinna była zażądać, żeby ją puścił i natychmiast się wyniósł z jej pokoju. Ale kiedy rozładowało się napięcie, w którym żyła od kilku tygodni, poczuła, że znajduje się w dziwnej próżni. Była o wiele bliższa wypłakania swoich żalów na piersi mężczyzny niż odepchnięcia go.

- Zdaje się, że oboje popełniliśmy omyłkę - powiedziała.

Uśmiech było słycać również w jego głosie.

- Nie jestem pewien, czy przyście do pani pokoju było omyłką. Deirdre w złości potrafi być potworem. Na pewno nie chybiłaby tą butelką, którą pani próbowała mnie ogłuszyć. Chyba właśnie wtedy zorientowałem się, że to nie ona.

- Czy Deirdre jest pana żoną?

-- Dzięki Bogu nie!

I znów odwzajemniła jego uśmiech.

Czuła sympatię do tego mężczyzny, szczerą sympatię. Nie zaczął jej wygrażać i nie stracił cierpliwości, gdy próbowała go obezwładnić. Owszem, był silny i męski, ale przy tym wydawał się łagodny jak baranek. Sara miała nadzieję, że Deirdre wie, jakie szczęście ją spotkało. Takich mężczyzn nie widuje się co dzień.

Ale sytuacja zaczynała się stawać zbyt intymna. Może zresztą to mrok wywierał na niej takie wrażenie. Odkąd przestała się bać tego mężczyzny, jej zmysły wyraźnie się ożywiły. Mówiła sobie jednak, że gdyby zobaczyła go przy świetle dziennym, mógłby jej się wcale nie spodobać.

Należało z tym skończyć. Położyła ręce na jego ramionach i mocno go odepchnęła. Skutecznie, bo przestał ją przygniatać. Nie wydawało się jednak, by zamierzał zejść z łoża.

Sara uniosła się na łokciach i powiedziała najuprzejmiejszym tonem, na jaki umiała się zdobyć:

- Najlepiej zapomnijmy o tym, co tu się stało. To była zwykła pomyłka, a nikt oprócz nas o niej nie wie.

- Oprócz nas.

- Właśnie.

Znowu odniosła wrażenie, że mężczyzna pilnie wsłuchuje się w każdy jej oddech, każde słowo.

- Lepiej niech pan już pójdzie - powiedziała.

Zapadło bardzo dziwne milczenie, wreszcie odparł cicho:

- Nie chcę iść i wydaje mi się, że pani również tego nie chce.

Przebiegł ją dreszcz, zaraz potem drugi. Usiłowała wymyślić ostrą odprawę dla tego człowieka, ale bezskutecznie. Miał rację. Nie chciała, żeby poszedł. Ale to naprawdę było szaleństwo. Obok niej leżał obcy mężczyzna. Jeszcze parę minut wcześniej się go bała. Co ją nagle tak odmieniło?

Nie chciała kłamać, więc odpowiedziała pytaniem na pytanie.

- Dlaczego pan sądzi, że tego nie chcę?

- Nie wiem. Można przypisać to intuicji, ale wyczuwam...
- Co pan wyczuwa?

Pogłaskała ją czubkami palców po twarzy. Chyba naprawdę z jej głową było coś nie tak, bo nie dość, że ta krótka pieśczoła sprawiła jej przyjemność, to jeszcze wzbudziła tęsknotę za następną.

- Wyczuwam- powiedział łagodnie - że spotkałem tu damę, która potrzebuje przyjaciela.

Niespodziewanie łzy zapiekły ją pod powiekami. Rzadko zdarzało jej się płakać, a już na pewno nie w czyjejś obecności. Była na to za bardzo opanowana. Ostatnio płakała po pogrzebie ojca, ale też dopiero w ciszy swojego pokoju.

Ten mężczyzna naprawdę miał niezwykle zdolności: umiał czytać w jej myślach. Zazwyczaj nawet rodzina uważała ją za osobę całkowicie niezależną. Sara starała się taka być. Nie. Musiała taka być.

Przełknęła ślinę, ale nie udało jej się powstrzymać drżenia głosu.

- To dziwne, że pan mówi coś takiego, chociaż nawet mnie nie zna.

Gdy przysunął się bliżej, uderzyła ją w nozdrza woń brandy.

- Czy wydaję się pani obcy? Proszę powiedzieć prawdę.
- Mnie... nie.
- A jaki się wydaję?

Musiała się zastanowić, zanim ubrała myśli w słowa.

- Znajomy. - Prawdę mówiąc, miała całkiem niedorzeczne wrażenie, że spotkała dawno niewidzianego przyjaciela. - Ale to naturalnie nie ma sensu. Jestem przekonana, że nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy.

- Ja też. - Delikatniej ujął jej twarz w dłonie. - Myślę, że mnie pani urzekła. Co pani o tym sądzi? Proszę mi powiedzieć, co pani czuje.

Czuła się tak, jakby wypiła za dużo alkoholu. Była kompletnie zdezorientowana. Zdawało jej się, że z całego świata został tylko ten pokój i mężczyzna obok niej, którego obecność tak bardzo ją krzepiła.

To musiała być wina ciemności, migotliwych światełek, deszczu, który teraz bezlitośnie smagał szyby... to dlatego wytworzyła się między nimi ta intymna więź. Ale to nie mogło trwać. Nie miało szans przetrwać chłodu dziennego światła.

Spojrzała na mężczyznę, usiłując przeniknąć mrok. Włosy miał

jasne, usta pełne i zmysłowe - tyle wiedziała, resztę musiała sobie wyobrazić. Doszła do wniosku, że jego oczy spoglądają z wielką życzliwością, a przy ich kącikach są wryte drobniotkie zmarszczki. Uśmiech też musiał być życzliwy, żeby pasował do głosu.

- Chce pani, żebym został? - Musnął wargami jej policzek. - Proszę mi powiedzieć!

To było szaleństwo. Nie wolno jej było odpowiedzieć twierdząco, ale nie mogła też powiedzieć „nie”.

Milczała, więc mężczyzna delikatnie pocałował ją w usta. Nie bała się go. Już wiedziała, że może go w każdej chwili powstrzymać, wystarczy tylko, żeby powiedziała: dość! Opadła na poduszki i pozwoliła mu się objąć. Miał ciepłe i czułe usta, a jego ramiona dawały poczucie bezpieczeństwa.

Na chwilę się cofnął.

- Nie bój się - szepnął. - Nie skrzywdzę cię. Nie posunę się za daleko. Chcę tylko trochę cię popieścić.

Znowu delikatnie pogłaskał ją po policzku.

- Nie boję się ciebie - powiedziała.

- Wiem. - Cicho zachichotał. - To chyba ja powinienem się bać.

Zacząła się zastanawiać, co też miało to znaczyć, ale zaraz potem znów poczuła smak jego ust. Tym razem pocałunek był gorący, namiętny. Rozchyliła wargi. Dotyk dłoni, które głaskały ją po całym ciele, poznawały jej piersi, brzuch, uda, był niesamowicie erotyczny. Zdawało jej się, że wartki prąd porывa ją nie wiadomo dokąd.

Ten człowiek próbował ją uwieść.

Przemknęło jej przez myśl, że i ona tego chce. Ona, Sara Carstairs, chciała, żeby obcy mężczyzna ją uwiódł. Nigdy w życiu nie czuła się w ten sposób i nie przypuszczała, by jeszcze kiedykolwiek miała się poczuć. Ale popełniłaby niewybaczalny błąd, gdyby poddała się kaprynowi. Przecież w tej chwili właściwie nie była sobą. Troski i zmartwienia ciążyły jej ponad miarę. A ten człowiek był po prostu miły, to wszystko. Postanowiła jeszcze chwilę nacieszyć się poczuciem bezpieczeństwa w jego objęciach, a potem powiedzieć „dość”.

Ale prąd, który ją unosił, był coraz bardziej wartki. Pocałunki stawały się coraz bardziej namiętne, coraz głębsze. Mężczyzna już nie okazywał jej czułości, lecz dosłownie ją pożerał. Zalało ją gorąco, jej ciało stało się wrażliwe na dotyk jak nigdy dotąd.

A jego ręce...! Czyniły cuda. Mężczyzna dobrze wiedział, gdzie jej dotknąć, żeby rozbudzić pragnienie następnej pieszczoty. Chrapliwie zaczerpnęła tchu raz, drugi i nagle niemal zabrakło jej powietrza.

Tonęła w rozkoszy.

Chciała go odepchnąć, a tymczasem uczepliła się ramion nieznanego i mocno do niego przylgnęła. Jakby czekał na ten znak, bo natychmiast przykrył ją swym ciałem i ułożył się tak, że poczuła przez spodnie, jaki jest twardy. Całe jej ciało przebiegł dreszcz.

- Chyba zupełnie oszalałem, że zadaję sobie taką torturę - powiedział ochryple. - Ale pewnie nie masz pojęcia o czym mówię, prawda?

Jego słowa ledwie do niej dotarły, ale zmysły robiły swoje. Doznania, których doświadczała, stawały się coraz bardziej intensywne. Chciała postawić im tamę, ale za późno. Całe jej ciało wybuchło niepowstrzymaną rozkoszą.

Gdy po dłuższym czasie odzyskała zdolność myślenia, mężczyzna pocałował ją w szyję, potem w oczy, wargi, piersi. Wreszcie odsunął się od niej i wstał z łoża.

- Myślę, że powinniśmy się poznać - powiedział głosem, którym znów pobrzmiwał uśmiech. - Ale najpierw zapalmy świecę.

Tymi słowami wyrwał Sarę z przyjemnego rozmarzenia.

- Nie! - Uniosła się z łoża. - Nie psujmy tego, co jest. To był... to było oczarowanie. Nie czekajmy, aż światło dnia je zniszczy. - I nie chcąc urazić uczuć mężczyzny, dodała ciszej: - Powiedzmy sobie „do widzenia” teraz. Naprawdę uważam, że tak będzie lepiej.

Ledwie poznała głos, który odpowiedział jej z ciemności. Twardy i niezłomny.

- Sen nocy letniej? O, nie. Chcesz uciec. Rozumiem to. Ale obawiam się, że nie mogę ci na to pozwolić.

To nie był ton głosu dawno nie widzianego przyjaciela. Gdzie się podział urok? Gdzie była czułość? Sara opadła z powrotem na poduszki, słysząc uderzenie żelaza o krzesiwo. Jej potulny baranek nie wydawał się już potulny.

I nagle znowu ogarnął ją strach.

4

Max zapalił dwie świece na kominku i wolno się odwrócił, by spojrzeć na kobietę, która wtargnęła do jego życia niespodziewanie jak kometa. Kiedyś, gdy był chłopcem, schronił się w czasie burzy pod drzewem, w które zaraz potem uderzył piorun. Cudem udało mu się wyjść z tego cało. Wbrew wszelkim znakom na niebie i ziemi miał nadzieję, że i tym razem może liczyć na cudowne ocalenie.

Kobieta zebrała z podłogi niezliczone odłamki potłuczonego szkła. Gdy wrzuciła wszystkie do miski, zwróciła się ku niemu.

Długie ciemne włosy, falując, opadały jej na ramiona. Twarz przypominała oblicza posagów greckich bogiń. Ale najbardziej zaintrygowały go oczy, ciemne i wielkie, zupełnie nie pasujące do jasnej karnacji skóry.

Te ciemne oczy wyrażały nieufność, lecz mimo to spoglądały prosto na niego. Podobała mu się bezpośredniość tej kobiety. Nie próbowała płakać, że chciał ją zgwałcić, nie unikała swojej części odpowiedzialności za to, co między nimi zaszło. Pytanie brzmiało jednak, co właściwie zaszło.

Nie umiał tego nazwać. Wiedział tylko, że nie może pozwolić tej kobiecie zniknąć z jego życia, tak samo jak nie może zrezygnować z wydawania „Couriera”.

W pewnej chwili zauważyła, że ma obnażone piersi. Max z uznaniem odnotował, że ani nie spłonęła rumieńcem, ani nie popadła w histerię. Nie odwracając wzroku od jego twarzy, zaczęła zapinać guziki stanika koszuli nocnej. Może tak było najlepiej.

Nie zaspokojone pragnienie Maksa wciąż się odzywało i mogło w każdej chwili wiać nad nim górę, a przecież czekała ich teraz długa rozmowa.

Uśmiechnął się do Sary w taki sposób, by jednocześnie poczuła się pewniej i mocniej zabiło jej serce.

- Słowo daję, że jestem całkiem niegroźny - powiedział.

Nieufność widoczna w jej oczach z wolna ustępowała.

- Naprawdę? Nie wydaje mi się pan niegroźny. Przeciwnie, wygląda pan tak, jakby stoczył pan ciężki bój.

Boże, jak bardzo podobał mu się jej głos, lekko ochrypty, zasadniczy, lecz przy tym jakże uwodzicielski. Było w nim tyle samo sprzeczności, ile w tej kobiecie. Gdy do Maksa dotarło znaczenie odpowiedzi, spojrzął na swoją odzież i stwierdził, że koszulę i halsztuk ma pochłapane krwią. Podniósł głowę i uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Przegrałem walkę - powiedział i dotknął dłonią twarzy. - Zapewniono mnie, że do rana będę miał wielkiego siniaka pod okiem. - Obmacał szczękę i nos. - Mogło się to skończyć gorzej.

- Czy pan jest koryntianinem?

Z tonu kobiety wywnioskował, że koryntianie nie cieszą się jej poważaniem.

- Na to wygląda. A dlaczego pani pyta?

- Mam dwóch braci, którzy są koryntianami, a w każdym razie do tego aspirują. I bez przerwy wdają się w bójki.

- To były zawody sportowe, a nie zwykła bijatyka.

Starannie zmierzyła go wzrokiem, zwracając uwagę na krój odzienia, obcisłość spodni; w końcu zatrzymała wzrok na wysokich butach ze złotymi kutasikami.

- Och, powiem od razu, żeby nie musiała pani pytać, że ubieram się u Westona na Bond Street, a moim szewcem jest Schultz.

- Tak przypuszczałam - stwierdziła chłodno.

Oględziny doprowadziły ją do wniosku, że ma przed sobą dandysa pierwszej wody. Max nie wiedział, czy wybuchnąć głośnym śmiechem, czy ująć się honorem i powiedzieć, że w dziennikarskim świecie jest liczącą się siłą.

Zresztą wkrótce miała się przekonać o jego sile.

Postąpił krok w stronę kobiety, bardzo uważając, by jej nie

splószyć. Ale nie wzdrygnęła się i nie próbowała energicznie się odsunąć. Po prostu sięgnęła po szlafrok i narzuciła go na koszulę.

- Proszę, niech pani usiądzie - powiedział. - Mamy przed sobą długą rozmowę.

- Wolę postać.

Bardzo żałował, że tak szybko doszło do konfrontacji.

- Przepraszam, ale muszę nalegać, żeby pani usiadła,

Przez chwilę zdawało się, że kobieta mu się sprzeciwi, ale jedno spojrzenie na jego surową twarz wystarczyło jej za najbardziej przekonujący argument. Wybrała krzesło z wysokim oparciem, stojące przy mahoniowym stoliku. Max usiadł naprzeciwko.

Milczał, aż w końcu kobieta spytała zniecierpliwiona:

- No, więc o czym chce pan ze mną rozmawiać?

- Przede wszystkim usuńmy z drogi przeszkody.

Ujął jej lewą rękę. Jedno spojrzenie dało mu wiedzę, jakiej potrzebował. Pozwolił jej cofnąć rękę.

- Pani nie jest mężatką - powiedział. - A ja nie jestem żonaty.

- I co z tego?

- To upraszcza sytuację. Nazywam się Max Worthe. Nie, nie mam zwyczaju wspinać się przez okna do pokojów obcych dam. I nie jestem człowiekiem niegodnym szacunku, wbrew pozorom i...- szelmowsko się uśmiechnął- ...wbrew temu, co niedawno zaszło w tym pokoju.

Kobieta się nie zarumieniła, ale długie rzęsy zasłoniły jej oczy.

- Panie Worthe... - zaczęła.

- Proszę mówić do mnie po imieniu.

Westchnęła.

- Rozumiem, że to mają być przeprosiny. Ale przeprosiny nie są konieczne, chyba pan o tym wie. - Znowu spojrzała mu prosto w oczy. - Nie rozumiem, po co tyle ceregieli. W gruncie rzeczy nic ważnego się nie stało. Oboje jesteśmy dorośli, oboje odpowiadamy za swoje czyny. Ale było, minęło i już. Przeżyliśmy... - Przełknęła ślinę, i Max widząc to, uśmiechnął się. - Przeżyliśmy miły epizod. Ale jak powiedziałam, było, minęło i czas się pożegnać.

Szczekliwy wybuch śmiechu Maksa zaskoczył ją. Zmarszczyła czoło.

- Nie pamiętam już, ile razy kończyłem romans tym zdaniem - rzekł, kręcąc głową. - W naszym przypadku jednak nie jest ono

wystarczające. Przede wszystkim nie przeproszałem pani, a poza tym, by użyć pani sformułowania, nic ważnego się nie stało tylko dlatego, że tego nie chciałem. .

Dał jej chwilę na zrozumienie sensu tych słów. Kiedy odetchnęła głęboko, a na jej twarzy dojrzał ślad rumieńca, nie bez pewnej satysfakcji podjął rozmowę:

- Mówię to tylko w tym celu, by przekonać panią, że jestem człowiekiem honoru. Obiecałem nie posuwać się za daleko i słowa dotrzymałem.

Chciała wstać, ale jego mina przekonała ją widocznie, że nie należy tego robić, bo ponownie opadła na krzesło.

- Jeśli mam wyrazić panu moją wdzięczność, to niniejszym to czynię. Do czego jednak prowadzi ta rozmowa? Czego pan ode mnie chce? - Znów głęboko odetchnęła. - Ostrzegam, że moja wdzięczność już osiągnęła swoje granice. Jeśli chce pan namówić mnie na pójście z nim do łóża, to bardzo źle ocenił pan mój charakter.

Tą przemową zachwyciła Maksa. Nie była pruderyjną cnotką. Nie wykluczała mu oczu fałszywą skromnością ani nie udawała oburzenia. Mówiła prosto, bez owijania w bawełnę i patrzyła mu prosto w oczy.

- Nie wiem, do czego prowadzi ta rozmowa - odrzekł, nieco mijając się z prawdą. Wiedział bowiem, dokąd chciałby ją doprowadzić. Jeszcze nigdy nie spotkał takiej kobiety. Ale był cywilizowanym człowiekiem. Mógł poczekać z zaspokojeniem swoich pragnień, póki okoliczności nie będą sprzyjające. - W każdym razie chciałbym lepiej panią poznać, tak jakbyśmy zostali sobie przedstawieni w salonie u mojej matki. - Przesłał jej jeden ze swych rozbrajających uśmiechów. - I to byłby dla nas punkt wyjścia.

Pochyliła się ku niemu.

- Dochodzi trzecia nad ranem.

- Nigdy w życiu nie czułem się bardziej rozbudzony. Może na początek zdradzi mi pani swoje imię.

- I wtedy pan wyjdzie?

- Może.

- Sara - odrzekła natychmiast.

- A dalej?

- Sara Childe.

- Sara - powtórzył, upajając się brzmieniem tego imienia. -
A kim jest William?

Znowu usiadła na krześle.

- William?

- Wspomniała pani jego imię, gdy wchodziłem przez okno.

Kobieta się najeżyła.

- Równic dobrze mogłabym pana spytać, kim jest Deirdre.

- Deirdre właśnie przeszła do zamierzchłej historii - odparł poważnie. - Nie musi się pani o nią martwić.

Przyjrzała mu się tak, jakby był niespotykanym chwastem, który właśnie odkryła w swoim ogrodzie.

- To brzmi bezdusznie.

- Nie jestem bezduszny - zaprotestował Max. - Deirdre i ja mamy umowę. Oboje możemy ją wypowiedzieć w każdej chwili. Nie lubi pani takich układów?

- Nic mnie to nie obchodzi, pod warunkiem że nie zamierza pan zerwać umowy z kochanką z mojego powodu.

A więc jednak nie lubiła takich układów. Szkoda.

- Czy powiedziała coś zabawnego?

Max natychmiast przestał się uśmiechać.

- Właśnie przyszło mi do głowy, że atakuje mnie artretyzm i zastanawiałem się, jak mogę go uniknąć. Ale miała mi pani opowiedzieć o Williamie.

Jej zmieszanie stopniowo ustępowało.

- William również należy do zamierzchłej przeszłości - oświadczyła.

- Były kochanek.

- Nie w tym sensie, jak się panu zdaje.

Gdy znowu zamilkła, zniecierpliwiony Max westchnął.

- Proszę posłuchać. Spędzimy tutaj całą noc, jeśli nie powie mi pani tego, co chcę wiedzieć. Wymieniła pani imię jakiegoś Williama, a potem próbowała mi pani rozbić głowę. To prowadzi mnie do wniosku, że pani się boi tego człowieka. Chcę wiedzieć dlaczego.

Zdrętwiała, bo nagle przyszła jej do głowy bardzo niepokojąca myśl.

- Skoro słyszał pan, że wzięłam go za Williama, to musiał pan wiedzieć, że nie jestem pańską Deirdre.

Max skrzywił się.

- To nie jest moja Deirdre. Ona ma męża, a jej mąż ma na imię William. I niech się pani nie dąsa, bo jej z tym nie do twarzy. Deirdre ma umowę z mężem. Oboje mogą robić, co im się podoba.

Przestała wydymać wargi.

- Rozumiem - rzuciła.

Max stłumił westchnienie. Zaczynał podejrzewać, że z tą kobietą nic nie osiągnie bez ślubu, a wcale mu się nie śpieszyło do małżeństwa. Liczył jednak, że gdy pozna ją lepiej, straci dla niego na atrakcyjności. To się często zdarzało. Niejedna dama nazwała go już zmiennym kochankiem, i była to prawda.

- Opowiadała mi pani o Williamie - przypomniał. - Dlaczego pani się go boi?

- Nie boję się go.

- Mnie się zdawało inaczej.

- William nie żyje. A wymieniłam jego imię, bo... bo po prostu o nim myślałam.

- Tak czy owak chciałbym dowiedzieć się o nim więcej. Nie tylko ze zwykłej ciekawości. Może pomógłbym, jeśli ma pani kłopoty.

- Pan jest...

- Uparty?

Pokręciła głową i uśmiechnęła się.

- Miałam powiedzieć „bardzo uprzejmy”.

Jej uśmiech dosłownie go oczarował. Nawet więcej. Max miał wrażenie, że na ten uśmiech czekał od bardzo, bardzo dawna. To jednak było zupełnie niezrozumiałe. Przecież nigdy przedtem nie spotkał tej kobiety. Tak charakterystycznej urody się nie zapomina. Niby coś mu cicho dzwoniło na peryferiach umysłu, ale nie umiał tego nazwać.

- Tak czy owak nie ma wiele do opowiadania. Kiedyś myślałam, że jestem w nim zakochana. Ale odkryłam, że jest brutalnym człowiekiem. - Urwała, a potem odpowiedziała na pytanie, które wyczytała w jego oczach. - Chodziło o miejscową dziewczynę. Spodziewała się dziecka. Jego dziecka. A on ją zostawił na łasce losu. Dowiedziałam się o tym i tak się wszystko skończyło.

- A z nim co się stało?

- Ożenił się z kim innym i zginął w strasznym wypadku.

Max uśmiechnął się.

- Pewnie lepiej dla świata.

- Tak samo uważam. - Spojrzała znacząco na zegar. - Zaproponowałabym panu coś do picia, ale czas nieubłaganie płynie.

- Natury czasu nie da się zmienić, czyż nie? A pani zdaje się wspomniała coś o picciu. Dziękuję, chętnie skorzystam-

Spojrzała na niego trochę surowiej, ale bez sprzeciwu wstała, podeszła do wielkiego zniszczonego kufra, stojącego przy łóżku, i po chwili wyjęła zeń srebrną płaską flaszkę i srebrne naczynko. Postawiła je na stole przed Maksem.

- Alkohol do celów leczniczych -powiedziała. - Nie najlepszej jakości, ale nic innego nie mam.

- Może być, dziękuję bardzo.

Ponieważ nie zaproponowała, że go obsłuży, sam nalał sobie trochę płynu na dno szklaneczki i zaczął obracać ją w dłoni. Nie miał ochoty na alkohol, ale był zainteresowany przedłużeniem rozmowy, którą kobieta wyraźnie próbowała zakończyć. Naturalnie rozumiał, dlaczego Sara chce się go jak najszybciej pozbyć: by uniknąć myśli o tym, co między nimi zaszło. On też wolał o tym nie myśleć. Może zresztą to nic nie było. Może sam sobie wszystko wymyślił, uległ złudzeniu, i tylko wyobrażenia podsunęła mu przeświadczenie, że ta kobieta zadaje sobie wiele trudu, żeby ukryć swoje kłopoty. Miał szczerą nadzieję, że tak właśnie jest. Bo wtedy mógłby dalej spokojnie wieść kawalerski żywot i zapomnieć o jej istnieniu.

Wciąż miał wrażenie, że jest inaczej.

Gdy wychylił się znad parapetu i ujrzał jej sylwetkę, przyszło mu do głowy, że może jednak Deirdre trochę na nim zależy. Wspięta na palce, zamierzała właśnie zdmuchnąć świecę, ale nie zrobiła tego, tylko z powrotem stanęła na całych stopach i oparła czoło o obmurowanie kominka. Wydawała się bezradna i porzucona, do tego stopnia, że ogarnęły go wyrzuty sumienia, iż postąpił tak bezlitośnie i wybrał towarzystwo przyjaciół. Wcześniej nigdy nie przemknęło mu przez myśl, że Deirdre jest zdolna do jakiegokolwiek szczerego uczucia z wyjątkiem złości. A potem kobieta wyprostowała ramiona, jakby pogodziła się z ciężarem, którego nie może zrzucić, i w pokoju zapanowała ciemność.

Jeszcze nigdy Deirdre nie zrobiła na nim tak silnego wrażenia. Wcale nie myślał o wzięciu tej kobiety do łóżka, gdy wyciągnął ku niej ramiona. Zamierzał tylko ją objąć i pocieszyć.

A gdy odkrył, że to wcale nie jest Deirdre, jej czar podziałał

na niego jeszcze mocniej, zapewne dlatego, że znajomości Maksa z kobietami zawsze były zaprawione dozą cynizmu.

Tym razem jednak to kobieta okazała się cyniczna. Odkąd nad sobą zapanowała, bez wątpienia gorzko żałowała, że pozwoliła mu na poufałość. Do licha, przecieżomal nie znaleźli się w najintymniejszej z intymnych sytuacji. Niemożliwe, żeby nic sobie z tego nie robiła, żeby było to dla niej tak samo obojętne jak uścisk dłoni.

Wypił mały łyk alkoholu i powiedział cicho:

- Niech mi pani coś o sobie opowie, Saro. Gdzie pani mieszka? Dokąd pani jedzie?

- Max... - Spojrzała na niego błagalnie. - To nie ma żadnego znaczenia. Powinam była panu powiedzieć to na samym początku. Jadę wziąć ślub. Właśnie jestem w drodze do rodziny mojego narzeczonego. Wszystko już jest załatwione. - Dotknęła jego rękawa, ale szybko cofnęła rękę. - Przykro mi, jeśli wyrobił pan sobie o mnie fałszywą opinię. - Zerknęła na łożę i wyraźnie zdrzała. - Nie potrafię wyjaśnić tego, co stało się między nami, i nawet nie będę próbować. Ale...

- Jedzie pani na swój ślub! - powtórzył wstrząśnięty.

Skinęła głową.

- Tak.

Max odstawił srebrną szklaneczkę na blat stołu z takim impetem, że Sara aż podskoczyła.

- Nie nosi pani pierścionka.

- Mam go w kufrze, żeby zabezpieczyć się przed kradzieżą.

- Nie kocha pani tego mężczyzny!

Zerknęła jeszcze raz na łożę, a potem na swoje splecione dłonie.

- Może nie, ale bardzo go lubię.

- Niech pani zagra na zwłokę. Odłoży ślub. Niech pani przynajmniej da sobie szansę zdobycia pewności, że właśnie tego pani chce.

- Jestem tego pewna.

Jej oczy nie zdradzały żadnego uczucia, nie było w nich ani śladu żalu. Max widywał takie oczy u doświadczonych ludzi interesu, którzy targowali się o dużą sumę pieniędzy, mającą zmienić właściciela. Korciło go, żeby mocno potrząsnąć Sarą, choćby tylko po to, by zerwać jej z twarzy tę maskę obojętności.

- Intercyza już jest podpisana - podjęła szybko. - Mój narze-

czony był bardzo szczodry. Kiedy wyjdę za mąż, moi bracia i siostry będą mieli dobre finansowe zabezpieczenie. Nie mogę ich zawieść.

- By nie wspominać o pani finansowym zabezpieczeniu - wycodził przez zęby.

Znowu spojrzała mu prosto w oczy.

- Wolę zostać czyjąś żoną niż kochanką. - Urwała i przez twarz przemknął jej uśmiech. - A może źle pana osądziłam? Może jest pan człowiekiem zamożnym? I chce pan mnie poślubić? Czy stać pana na mnie, Max? Niech pan przyzna się od razu albo więcej nie wraca do swojej propozycji.

Max poczuł, że cynizm odbija mu się czkawką. Nie mógł uwierzyć, że pozwolił się tak zwieść. Myślał, że Sara jest inna, a ona okazała się taka sama jak wszystkie kobiety, które widzą w mężczyznach jedynie sakiewkę. Im bardziej okazała zawartość, tym większy szacunek należy się jej właścicielowi.

Gdy straciła na pewno siebie i odwróciła wzrok, ogarnęły go jednak wątpliwości. Jeśli chciała się go pozbyć, *to* po prostu wybrała odpowiednią metodę. Może osądził ją zbyt surowo? Wszak była kobietą i gdyby pozwoliła sobie pójść za głosem serca, miałyby o wiele więcej do stracenia niż on.

- Saro - odezwał się karcącym tonem. - Niech pani zapomni o swoich ambicjach znalezienia bogatego męża. Niech pani zaryzykuje i pozwoli nam się lepiej poznać. O tyle tylko proszę.

Westchnęła.

- Tak myślałam. Nie stać pana na mnie, prawda? I nie proponuje mi pan małżeństwa, prawda, Max?

- Nie i nie - odburknął. Wstał i z nieukrywaną pogardą spojrzał na jej spuszczoną głowę. - Wobec tego pozostaje mi tylko życzyć pani szczęścia w małżeństwie.

Nie spojrzała mu w oczy.

- Dziękuję.

Wystarczyło, że wyszedł z pokoju, a jego wątpliwości przerodziły się w wyraźne podejrzenie, po chwili zaś w niezbitą pewność. Ta kobieta świadomie doprowadziła do kłótni, żeby się go pozbyć. Nie miała żadnego narzeczonego. W przeciwnym wypadku powiedziałyby o nim, gdy oglądał jej lewą rękę, szukając śladów pierścionka lub obrączki.

Stchórzyła, ot co. Zwyczajnie stchórzyła. Tej nocy zaszło

między nimi coś nadzwyczajnego, ale ona nie miała dość ikry, by to przyznać.

Chciał wrócić i powiedzieć jej to bez ogródek, ale usłyszał zgrzyt klucza w zamku i zrozumiał, że żadne argumenty nie skłonią jej do otwarcia drzwi.

- Tchórzliwa kobieta - rzucił pod nose. Na szczęście dla niej on odwagi miał za dwoje. To jeszcze nie był koniec.

Następna myśl zmiotła mu jednak uśmiech z twarzy. Deirdre. Czekał go bardzo przykry obowiązek. Wiedział jednak, że im prędzej go spełni, tym szybciej będzie mógł skupić całą energię na rozwiązaniu problemów z Sarą.

Sara poczekała, aż na korytarzu ucichną kroki Maks, i odeszła od drzwi. Ruszyła do okna. Dopiero gdy dobrze je zamknęła, serce przestało jej bić jak szalone. Wróciła na krzesło i skrzyżowała ręce na piersiach. Czuła się rozbita i głęboko poruszona. Nie mogła uwierzyć, jak niewiele brakowało, by przekreśliła wszystko, co sobie zaplanowała.

Niech pani zaryzykuje.

Nie! Nie! Nie! To byłby początek całkowitej klęski.

Gdy mężczyzna zapalił świecę i zobaczyła koryntianina, pomyślała, że jej się udało, że koniec będzie bezbolesny. Nienawidziła dandysów, jakkolwiek się zwali. Musiała jednak przyznać, że ten człowiek - dandys czy nie dandys - był istotą książęcego pokroju, miał maniery, a przy tym był miły. Okazał się trochę inny, niż sobie na początku wyobraziła, ale pogodnie zmarszczki przy kącikach oczu i życzliwy uśmiech przewidywała słusznie.

Słusznie też założyła, że jest niezłomny.

Uparty - tak sam się nazwał i wcale nie przesadził. Nie spocząłby, dopóki nie wyciągnąłby od niej wszystkich sekretów. Max Worthe był niebezpiecznym człowiekiem, Sara miała więc nadzieję, że nigdy więcej go nie zobaczy.

Niech pani zaryzykuje.

Zerknęła na łożo i wzdrgnęła się. Nie umiała sobie wyjaśnić, co się w nim stało, ale zdobyła wyraźny dowód na słabość swego charakteru. To było upokarzające, poniżające... to było najpiękniejsze przeżycie, jakie kiedykolwiek miała.

To była jedna z jej największych niedoskonałości - nie umiała

okłamywać samej siebie. A prawda była taka, że groziło jej śmiertelne niebezpieczeństwo, utrata wszystkiego, dosłownie wszystkiego, na co postawiła w życiu.

Patrzyła na łożo długo, długo, aż wreszcie wstała i zaczęła szybko pakować swoje rzeczy do kufra. Wiedziała, że nie zazna spokoju, póki nie znajdzie się na pewno poza zasięgiem Maksa Wortha.

Następnego ranka Max zbudził się razem z ptakami. Zawsze tak było, gdy spędzał noc w wiejskim otoczeniu. Większość ludzi uważała, że z dala od Londynu panuje idylliczny spokój, ale nie on. Wrzaski wron i gołębi, by nie wspominać o przenikliwych szczebiotach ptaków śpiewających wyrwały go ze snu zawsze, choć mógł bez trudu przespać defiladę wojska przechodzącego pod oknem jego sypialni w Whitehall.

Życie w Londynie znacznie bardziej odpowiadało jego upodobaniom.

Tego ranka wyjątkowo nie miał jednak nic przeciwko hałaśliwym ptakom. Niebo ledwie różowiło się na horyzoncie, w zajeździe panowała jeszcze martwa cisza. Nie mógł co prawda powiedzieć, że nie ufa Sarze, ale wołał nie ryzykować. Po ich nocnej przygodzie mogła zdecydować się na ucieczkę, a on miał wobec niej inne plany. Postanowił nie spuszczać jej z oka, dopóki osobiście nie przekona się o istnieniu narzeczonego.

Na myśl o tym, że Deirdre nie jest już problemem, machinalnie zaczął nucić pod nosem. Namydliwszy twarz, uśmiechnął się do swojego odbicia w lustrze nad miską. Gdy nad ranem wrócił do swojego pokoju, Deirdre już tam nie było, zostawiła mu jednak wiadomość, o wiele bardziej wymowną niż liścik. Wypakowała jego rzeczy i poobcinała rękawy wszystkich surdutów, a także nogawki spodni. Tylko koszule i bielizna ocalały przed zniszczeniem. Max nie miał więc innego wyjścia, jak włożyć ten sam surdut i te same spodnie co poprzedniego dnia.

Nie bardzo wiedział, dlaczego się śmieje. Spał zaledwie kilka godzin, jego kosztowne stroje od Westona zamieniły się w kupę szmat, porzucanych na podłodze, cały był obolały, wreszcie zaś musiał się liczyć z tym, że ktoś podkupi mu „Exeter Chronicle”, on bowiem zaniedbał swoje obowiązki.

W Exeter oczekiwał go Peter Fallon i to na niego z pewnością spadł gniew właścicieli gazety, gdy on, Max Worthe, nie zjawił się, by podpisać dokumenty przejęcia własności. Trudno. Przeżył coś, czego nie umiał nazwać, i wiedział, że gdyby przeszedł obok tego obojętnie, już zawsze zastanawiałby się, czy...

Sara.

Dlaczego wydawała mu się inna niż wszystkie? Rozmyślał nad tym przez cały czas przy porannej toalecie. Znał piękniejsze kobiety, ale żadna nawet w połowie tak go nie zafascynowała. Jediną kobietą, która obsesyjnie przykuwała jego uwagę, była Sara Carstairs, ale to z powodu morderstwa, które uszło jej płazem.

Siedział na łożu i wzuwał buty, gdy znowu naszły go myśli o Sarze Carstairs. Przypomnił sobie proces i jej zobojętnienie na wszystko. Przypomnił sobie, jak chciał nią potrząsnąć, żeby tylko zdjęła tę maskę.

Tak samo ostatniej nocy chciał potrząsnąć Sarą.

Pokręcił głową. Sara Carstairs była typową Angielką. Miała jasne włosy i niebieskie oczy. Jej podobieństwo do Sary Childe było...

Wlepił wzrok w buty i zaczął przypominać sobie różne wrażenia z ostatniej nocy. Długo, bardzo długo musiał czekać, nim kobieta się do niego uśmiechnie. Wydała mu się znajoma. Miał ochotę nią potrząsnąć, żeby zdjęła tę maskę, za którą skryła swą prawdziwą twarz. William ożenił się z kim innym i zginął w strasznym wypadku.

William Neville ożenił się z jej siostrą, a potem Sara go zamordowała.

William. William Neville.

Niemożliwe. Sara Carstairs miała jasne włosy i niebieskie oczy. Wprawdzie podczas procesu włosy zakrywał jej kapelusz, a w stronę publiczności nie spojrzała ani razu, ale miała tak jasną cerę, że Max natychmiast wyobraził ją sobie jako typową Angielkę.

Tak też ją zapamiętał.

Przypomnił sobie jeszcze coś o Sarze Carstairs. Urzekła mężczyzn nie tylko urodą, lecz również niezwykłym przemieszanym niewinności i wyrafinowania. A czy nie tym właśnie zauroczyła go w nocy ta kobieta? Do końca nie wiedział, czy zaproponować Sarze, by została jego kochanką, czy też ma do czynienia z kobietą, którą interesuje jedynie małżeństwo.

Sara Childe i Sara Carstairs były jedną i tą samą osobą. Ostrożnie rozważał tę teorię, by po długim namyśle szpetnie zakląć i cisnąć butem o ścianę. Sara Childe i Sara Carstairs naprawdę były jedną i tą samą osobą! Nie rozumiał, dlaczego nie wpadł na to wcześniej. Minęły trzy lata, odkąd widział Sarę Carstairs, ale jej wizerunek mocno wrył mu się w pamięć. Zawsze był pewien, że pozna ją natychmiast, gdy tylko spocznie na niej jego oko, a jednak zmyliły go te niezwykle ciemne oczy i włosy.

Nie wiedział, dlaczego nagle wpadł w złość. Przecież miał nadzieję na cudowne ocalenie i oto nieba mu je zesłały. Nie mogło dojść do niczego między nim i Sarą Carstairs. Ta kobieta miała więcej kochanków niż on znajomych. Nie była wybredna, szła do łóżka z każdym, kto się nawinie, czego zresztą dowiodła ostatniej nocy. Gdyby wykazał więcej stanowczości, mógłby ją mieć.

To wszystko, co niedawno tak go urzekło, teraz napawało odrazą. Myślał, że połączyło ich coś niezwykłego, tymczasem Sara Carstairs chciała po prostu mężczyzny, a nie właśnie jego. Każdy byłby dobry. A on zachował się tak powściągliwie, bo zwiodła go pozorami niewinności.

Nigdy więcej nie popełni tego błędu.

Bezwstydnie go okłamała. Nie było żadnego narzeczonego. Przecież sama była dziedziczką. Sara Carstairs nie musiała szukać męża, żeby zabezpieczyć się finansowo. Za to chciała szybko się go pozbyć z pokoju, więc wymyśliła tę bajeczkę, by zmylić trop.

Ptaszyna na pewno już wyfrunęła z gniazodka. W nocy wypytywał ją tak uporczywie, że nie mogła się nie spłoszyć. Mniejsza o to, bez trudu mógł podążyć jej śladem. O tak wczesnej porze na pewno nie było wielu powozów na drodze. Tak. Postanowił pojechać za nią, choć teraz nie aspirował już do roli kochanka. Chciał mieć materiał dla swojej gazety i poprzysiągł sobie, że tak czy inaczej go zdobędzie.

Nigdy w życiu nie targała nim taka furia. Musiał poczekać, aż trochę ochłonie, zanim w końcu wyszedł z pokoju.

5

Panna Beattie otworzyła gazetę na kolumnie z ogłoszeniami i zaczęła szukać anonsu Sary. Trudno jej było uwierzyć, że tylu dżentelmenów i tyle dam nie umie sobie znaleźć partnera bez pomocy prasy. Ale Sara miała rację. Rubryka „Towarzystwie” była dłuższa niż dział nieruchomości.

Panna Beattie znalazła tekst i przeczytała:

Zamożna, miła, stateczna dama pozna pana pocziwego charakteru (wiek i majątek bez znaczenia) w celu zawarcia małżeństwa z rozsądku. Skrytka 41, „The Chronicle”.

- Nigdy nie zgadniesz, ile dostałam odpowiedzi - odezwała się Sara.

- No, ile?

- Dwadzieścia pięć.

Panna Beattie zrobiła zdumioną minę.

- Ile???

- Dwadzieścia pięć. - Sara wybuchnęła śmiechem. - Mnie też trudno w to uwierzyć. Myślałam, że będę miała szczęście, jeśli dostanę jedną lub dwie. - Wyciągnęła przed siebie dużą szarą kopertę. - O, tu mam wszystkie. Maggie je przyniosła w czasie, gdy się ubierałaś.

Maggie była służącą przypisaną do umeblowanych pokoi, które Sara wynajęła w Bath na parterze porządnego, choć skromnego domu przy Queen's Square. Ich gospodyni, pani Hastings, wdowa, dla której nastały ciężkie czasy, mieszkała piętro wyżej.

Sara załatwiła tę kwaterę i publikację ogłoszenia jeszcze przed wyjazdem z Londynu. Poprzedniego wieczoru dotarły do Bath, a pierwszy poranek w nowym miejscu Sara rozpoczęła od wysłania służącej do redakcji „Bath Chronicle” po odpowiedzi na anons. Teraz siedziały w pokoiku śniadaniowym na tyłach domu, piły herbatę i pogryzały grzanki.

Panna Beattie jeszcze raz przeczytała krótki tekst.

- Chyba jestem głupia, ale dlaczego takie ogłoszenie przyciągnęło tylu chętnych? Nic w nim prawie nie ma.

Sara wzięła ze stołu srebrny czajniczek i dołała herbaty swojej towarzyszce, a potem sobie. Na wargach zaigrał jej cyniczny uśmiezek.

- Tu się mylisz, Bea. Można w nim wiele znaleźć, tylko trzeba czytać między wierszami. Mam ci przetłumaczyć?

Panna Beattie skinęła głową.

- Tak, proszę.

- Młoda kobieta z tłustym rachunkiem w banku, która nie chce, żeby ktokolwiek zadawał jej niewygodne pytania o przeszłość, jest gotowa dobrze zapłacić za przywilej małżeństwa ze zbiedniałym, lecz godnym szacunku dżentelmenem, który zechce się zdematerializować tak szybko, jak tylko zostanie podpisany akt małżeństwa.

- Co takiego?! - Panna Beattie zakrztusiła się herbatą. Odkaszlęła. - Wymyśliłaś sobie to wszystko.

- Skądże znowu. Przeczytaj ogłoszenie jeszcze raz, Bea. Znajdziesz tam wszystko, co powiedziałam. Naturalnie ubrałam to w dużo eleganckie sformułowania. Nie możemy razić wysublimowanych uczuć dżentelmenów, chyba rozumiesz.

Panna Beattie przeczytała ogłoszenie jeszcze raz i jęknęła.

- Czy ty rozumiesz, co to znaczy? Obiegnie cię armia łowców posagów i... i niegodziwych, obrzydliwych typów.

- Niegodziwa kobieta nie może być zbyt wybredna - odparła Sara.

- Nie mów tak! To jest poważna sprawa.

Uśmiech w oczach Sary przygasł.

- Żartowałam, Bea. - Nie dodała jednak tego, co pomyślała: że wiele zdań mówionych żartem wyraża szczerą prawdę. Opiekunka zawsze ślepo trzymała jej stronę i nie pozwalała powiedzieć o niej złego słowa, nawet jeśli padało ono z ust samej Sary. - Poza tym nikt nie będzie mnie oblegał, nie jestem taka głupia.

Nie ujawnię, kim jestem, póki nie przyjdzie na to pora. Najpierw przejrzymy razem te listy i wybierzemy trzech, czterech najlepszych kandydatów. Potem postaram się poznać każdego z nich w towarzystwie. Dopiero kiedy dokonam ostatecznego wyboru, powiem jednemu z nich, że to ja dałam ogłoszenie w „Chronicie”.

Zastanowiwszy się nad tym, panna Beattie spojrzała na podopieczną.

- Twój plan wydaje się dziecinnie łatwy, ale czy wzięłaś pod uwagę, że możesz narazić się na niebezpieczeństwo?

- Niedorzeczność. Wszyscy tak robią jak ja. Gdyby istniało jakieś niebezpieczeństwo, nikt nie ogłaszałoby w gazecie, że szuka małżonka, prawda?

- Ale... - Panna Beattie urwała, wiedziała bowiem, że wytoczyła już wszystkie argumenty, którymi mogłyby przekonać podopieczną do rezygnacji z planu.

- Co takiego? - spytała Sara.

Gospodyni wiedziała, że rzuca grochem o ścianę i że wszystko to mówiła już wcześniej, ale nie potrafiła się powstrzymać.

- Podejmujesz nieodwracalną decyzję. A co będzie, jeśli w przyszłym roku albo za dwa lata, albo za dziesięć lat zmienisz zdanie? Co będzie, jeśli wtedy spotkasz wymarzonego mężczyznę?

- Mój wymarzony mężczyzna to ten, który zniknie zaraz po podpisaniu aktu małżeństwa - odparła Sara. Lepiej posprzątajmy ze stołu i weźmy się do pracy.

Podzieliły listy na dwie kupki i zaczęły je czytać. Panna Beattie poświęcała każdemu wiele uwagi, Sara tylko przebiegała wzrokiem treść i najczęściej darła list natychmiast po wstępnych oględzinach.

W pewnej chwili panna Beattie syknęła.

- Co się stało? - spytała Sara.

- Co za tupet! Ten człowiek chce wiedzieć, ile jesteś gotowa zapłacić za przywilej noszenia jego nazwiska. - Już miała podrzeć ten list, ale podopieczna wyrwała go jej z ręki.

- Bea, przecież właśnie takiego mężczyzny szukam! - Szybko przeczytała to, co było napisane na kartce, i odłożyła ją na bok. - Wiem, wiem. Major Haig sprawia na tobie wrażenie łasego na pieniądze i niezbyt dobrze wychowanego człowieka. Ale to dobrze, nie rozumiesz?

- Nie rozumiem - przyznała kwaśno panna Beattie. - Jeśli jesteś zdecydowana wyjść za mąż, żeby zyskać bezpośredni dostęp

do kapitału zarządzanego przez pełnomocnika ojca, to dlaczego nie znajdziesz mężczyzny, z którym będziesz szczęśliwa?

- Bo mężczyzna, z którym mogłabym być szczęśliwa, jest zbyt roszkodny, żeby poślubić kobietę podejrzaną o morderstwo.

- Przecież cię niewinniono.

- Tak? To dlaczego żyjemy tak jak żyjemy?

Gospodyni odwróciła od niej wzrok. Gdziekolwiek się zatrzymały, wytykano jej palcami natychmiast, gdy ludzie dowiedzieli się, kim jest Sara. Grono ich przyjaciół i znajomych topniało wtedy w okamgnieniu. Zdawało się, że nikt nigdy nie zapomni o procesie Sary, zwłaszcza że specjalny korespondent „Couriera” pilnował, by sprawa była żywa. Sara miała rację. Rozsądny człowiek nie chciałby mieć z nią nic wspólnego, bo również jego zaczęto by wskazywać palcami, a to samo dotknęłoby potem ich dzieci. Beznadziejna sytuacja.

Sara westchnęła.

- Nie martw się, Bea - powiedziała cicho. - Zobaczysz, że wszystko ułoży się jak najlepiej. Kiedy tylko spełnię swój obowiązek wobec rodziny, będę mogła zacząć życie od nowa. No, nie w Anglii. Ale co nam przeszkadza, na przykład, popłynąć do Ameryki?

- Do Ameryki? - powtórzyła bezgłośnie panna Beattie.

- Tam mnie nikt nie zna, a co najważniejsze, nie ma tam „Couriera”, który mógłby mnie prześladować.

- Ale... ale to jest daleko.

- O to chodzi. Tymczasem jednak nie ma co o tym myśleć. Musimy działać krok po kroku. A powinniśmy zacząć od znalezienia nic nie podejrzewającego mężczyzny, który może dać mi to, czego pragnie moje serce.

Panna Beattie szybko podniosła głowę, zobaczyła uśmiechniętą minę podopiecznej i wbrew sobie również się uśmiechnęła.

Nie całe pół godziny później Sara zredukowała listę kandydatów do trzech prawdopodobnych i dwóch rezerwowych. Natychmiast odrzuciła mężczyzn, którzy byli za młodzi i jeszcze mogli spotkać wybranek serca, a także tych, którzy zapewniali, że przy nich Sara zapomni o małżeństwie z rozsądku i będzie żyła długo i szczęśliwie u boku żarliwego kochanka, naturalnie za swoje pieniądze.

Doprawdy perspektywa godna pozazdroszczenia!

- Co dalej? - spytała ponuro panna Beattie.

- Teraz zabawimy się w detektywów. Och, nie będziemy robić wokół siebie hałasu. Zachowamy niezbędną dyskrecję. Poznamy towarzystwo w Bath, a przy okazji dowiemy się jak najwięcej z tego, co nas interesuje..- Zerknęła na listę obejmującą trzech kandydatów. - Mamy tu pana Townsenda, pana Bloora i majora Haiga. Pójdziemy do pijalni, Bea. Nasza gospodyni twierdzi, że tam się spotyka całe Bath. Podejrzewam, że picie wód stanowi codzienny rytuał nie tylko dla gości, lecz również dla stałych mieszkańców. Pani Hastings ofiarowała się wprowadzić nas do kręgu swoich znajomych.

Gospodyni parsknęła pogardliwie.

- Pani Hastings jest głupią, pospolitą kobietą. Czy wiesz, co zrobiła wczoraj wieczorem, gdy byłaś odwrócona do nas plecami? Puściła do mnie oko i powiedziała, że ma reputację doskonałej swatki, więc jeśli nie będzie umiała dla mnie nikogo znaleźć, to znaczy, że nikt tego nie umie. Co ty napisałaś tej kobiecie w liście?

Sara przytknęła filiżankę do ust, żeby ukryć uśmiech. Upiła łyk herbaty i odpowiedziała:

- To, co ustaliłyśmy. Że jesteś moją chlebobawczynią, a ja twoją damą do towarzystwa.

- Obawiam się, że musiałaś napisać znacznie więcej.

Sara wzruszyła ramionami.

- Może dałam jej do zrozumienia, że czujesz się samotna.

W istocie rzeczy Sara była zachwycona tonem listów pani Hastings. Natychmiast zauważyła, że ich przyszła gospodyni lubi wszędzie wścibiać nos. Normalnie unikałaby takiej osoby jak ognia, ale w tych okolicznościach pani Hastings była darem niebios. Sara nie omieszkała więc napomknąć, że jej „chlebobawczyni” szuka męża, żeby potem bez wzbudzania podejrzeń wypytać panią Hastings o dżentelmenów, którzy odpowiedzą na ogłoszenie.

Panna Beattie dopiła herbatę i ostrożnie odstawiła filiżankę na stół.

- Czyli jestem twoją chlebobawczynią, a ty opłacaną przeze mnie damą do towarzystwa. Czy ta szarada jest konieczna, Saro?

- Konieczna i dobrze wiesz dlaczego. Nie chcę, żeby mnie rozpoznano. Na opłacaną damę do towarzystwa nikt nie zwróci najmniejszej uwagi.

To założenie bardzo irytowało pannę Beattie. W jej wizjach Sara kupowała sobie nowe stroje, pięknie się ubierała i bawiła się jak szalona. A ona tymczasem wciąż chodziła w sukni guwernantki.

- Bea, nie utrudniaj nam życia, dobrze?

Gospodyni nie mogła oprzeć się pokusie.

- Kto tu nam utrudnia życie, hm? Ale mniejsza o to. Nie traćmy czasu. Ruszajmy na podbój Bath.

Sara była u siebie w pokoju i związała czepek pod brodą, gdy jej myśli zdryfowały z trzech potencjalnych mężów na Maksą. Nic dziwnego, myślała o nim nieustannie od paru dni, jednak dopiero teraz, kiedy uznała, że dzieli ich bezpieczna odległość i raczej już się nie spotkają, mogła spojrzeć na ich spotkanie krytycznym okiem.

Byłoby dziwne, a nawet zabawne, gdyby to koryntianin i dandys miał ją wyleczyć z głębokiej nieufności do mężczyzn. Ale Max zrobił o wiele więcej. Wprowadził ją w świat doznań, których do tej pory w ogóle nie znała.

Namiętność. Jak to możliwe, że nieznamy wywarł na niej takie wrażenie?

Może nie powinna być zanedo zduwiona. Właśnie przed takimi mężczyznami matki udzielają przestrogi dorastającym pannom: przystojny, ujmujący, doświadczony i z moralnością...

Nie, jego moralności nic nie mogła zarzucić. W niczym nie przypominał Williama. Był delikatny i czuły i dlatego tak łatwo uległa jego urokowi. Bez trudu mógł być ją uwieść, ale nie zrobił tego.

Teraz żałowała, że okazał się taki rycerski. Gdyby nie to, miałaby piękne wspomnienie na następne, samotne i zimne noce. Wcale nie żałowała, że wszedł przez okno właśnie do jej pokoju. Każda kobieta powinna mieć w swojej przeszłości jakiegoś Maksę Worthe choćby tylko po to, by wiedzieć, że kiedyś jakimś mężczyźnie wydała się piękna i ponętna. Bo ten człowiek wcale nie udawał.

Rozmarzonym wzrokiem spojrzała przed siebie, przypominając sobie z najdrobniejszymi szczegółami tę noc, i nagle jej zmysły ożyły. Poczowała muskularne ciało, przygniatające ją do materaca, delikatne dłonie głaszczące jej piersi, brzuch, uda. Namiętne

pocałunki. Ta wizja była tak plastyczna i erotyczna, jakby to wszystko działo się od nowa.

- Saro! - Panna Beattie wsunęła głowę do pokoju. - Co cię jeszcze zatrzymuje?

Sara wytrzeszczyła na nią oczy, bąknęła coś niezrozumiałego i dopiero potem raptownie się ocknęła.

- Och, nic takiego - rzuciła, choć brakowało jej tchu. - Naprawdę nic takiego. - Szybko wzięła z krzesła torebkę i wyszła na korytarz.

Była to pierwsza wizyta Sary w Bath. Chociaż bardzo jej się podobało to, co zobaczyła podczas krótkiej przechadzki z Queen Square do pijalni - lśniące kamienne budynki w stylu klasycystycznym - to nieustanny strach, że ktoś ją może rozpoznać, wydatnie zmniejszył przyjemność ze spaceru.

Musiała sobie z tym poradzić. Tu nie mogła przecież zachować się tak, jak zachowywała się zawsze, gdy gdzieś ją poznano. Dotąd po prostu przenosiła się do następnej miejscowości. Teraz jednak zapędzono ją do rogu. Nie miała innej możliwości, jak podjąć walkę. Musiała jeszcze trochę wytrzymać, pilnując się, żeby William jej nie dopadł.

Musiała też znaleźć mężczyznę, który poślubiłby ją na jej warunkach.

Zaczął padać deszcz. Panna Beattie, zawsze przygotowana na różne niespodzianki, rozłożyła czarny parasol.

- Może powinniśmy skorzystać z lektyki - powiedziała, wskazując powszechnie używany w Bath środek lokomocji, zmierzający ku centrum miasteczka.

- Nigdy nie widziałam tylu lektyk - odrzekła Sara. - Przypuszczam, że okoliczne wzgórza są zbyt strome dla powozów.

- Albo zegary w Bath zatrzymały się w ubiegłym stuleciu. W każdym razie ja odniosłam takie wrażenie - zareplikowała panna Beattie, a widząc pytające spojrzenie podopiecznej, dodała: - Lektyki? Dżentlemani w spodniach za kolana i pudrowanych perukach? Chyba naprawdę cofnęłam się w czasie.

Sara parsknęła śmiechem. Panna Beattie miała rację. Większość mijających ich ludzi była, jeśli nie w starszym wieku, to przynajmniej nie pierwszej młodości. Wprawdzie damy przejęły z Londynu

modę na suknie z podniesionym stanem, ale stroje mężczyzn były zdecydowanie staroświeckie. Widziało się bardzo niewiele obcisłych dzianych spodni i równie obcisłych surdutów, jakie nosiła stołeczna elita.

To spostrzeżenie uspokoiło Sarę. Bath było znane z leczniczych właściwości wód mineralnych. Właśnie dlatego zjeżdżało tu tyle starszych osób, które leczyły swoje dolegliwości. Dlatego również nie był to już modny kurort. Za mało się tu działo; ludzie pokroju tych, którzy tłumnie przyjechali na jej proces w Winchester, tutaj śmiertelnie się nudzili.

Po niecałym kwadransie dotarli do pijalni, a gdy weszły do środka, przekonały się, że jest w niej niezwykle tłoczono. Niektórzy przechadzali się, inni siedzieli na ławkach, jeszcze inni stali przy słynnym ujęciu, znajdującym się w niszy, i czekali ze szklaneczkami na swoją kolej, by osobiście przekonać się o dobroczynnym działaniu miejscowej wody mineralnej. Szmer rozmów nakładał się na tło majestatycznych akordów *Muzyki na wodzie* Haendla, granych przez kameralną orkiestrę w kącie sali. Podniosła muzyka odbijała się echem od wysokiego stropu, wspartego na złoconych greckich kolumnach.

Sara pomyślała, że jest to jedno z najpiękniejszych pomieszczeń, do jakich zdarzyło jej się wejść.

- I co dalej? - spytała panna Beattie, zresztą nic pierwszy raz.

Sara rozejrzała się po ciżbie ludzi.

- Pani Hastings powiedziała, że tu będzie i wszystkim nas przedstawi.

- A jeśli jej nie ma?

- To skosztujemy wody i poczekamy, aż ktoś zwróci na nas uwagę.

Były już prawie przy ujęciu wody, gdy żwawym krokiem zbliżyła się do nich starsza kobieta.

- Moja droga panna Beattie! I panna Childe. Wypatruję was od dłuższej chwili. No, i proszę, są panie.

W ten sposób odnalazła się ich gospodyni, pulchna, pięćdziesięcioletnia matrona z budzącym respekt biustem i mnóstwem wystających spod czepka złocistych loczków w podejrzanie mosiężnym odcieniu. Jej jasnoniebieską jedwabną suknię zdobiły niezliczone kokardki i fałbanki. Pani Hastings wyglądała jak kobieta, która rozpaczliwie stara się odmłodzić. Niestety, efekt był wręcz przeciwny.

Panna Beattie tymczasem stanowiła wzór prostoty i skromności. Jej granatowa suknia z krepy, z dopasowanym w kolorze szalem, w ogóle nie miała zdobień. Ale to właśnie panna Beattie wyglądała elegancko i dostojnie.

Wcieliła się w swą rolę bez wahań i zakłopotania.

- Dzień dobry, pani Hastings - powiedziała. - Jakże miło, że zauważyła pani nasze nadejście. Właśnie rozmawiałam z Sarą o tym, jak zagubione czujemy się wśród tylu obcych twarzy. Prawda, Saro?

Pani Hastings promiennie się do nich uśmiechnęła i zniżyła głos do szeptu.

- Możemy temu od razu zaradzić. W Bath znam dosłownie wszystkich, więc i panie wkrótce nie będą obce.

Przez następne pół godziny przedstawiono je niezliczonej liczbie osób, pani Hastings dowiodła bowiem, że nie chełpi się bez powodu. Zainteresowanie Sary znacznie wzrosło, gdy usłyszała dwa nazwiska jej kandydatów: pan Bloor i pan Townsend. Obaj zbliżali się do pięćdziesiątki. Pierwszy miał czerstwą twarz, głośno mówił, jowalnie się śmiał i był zbudowany jak byk. Drugi przeciwnie: szczupły, wyciszony, o wiele bliższy wzoru dżentlemena niż jego poprzednik. To jednak nie wpłynęło na ocenę Sary. Dla niej ważne były u przyszłego męża takie cechy, jakie każdą normalną kobietę przyprawiłyby o omdlenie.

Przede wszystkim jednak musiał to być mężczyzna, któremu można zaufać. Miała już swoje doświadczenia z Williamem i mocno wątpiła w to, czy przeżyłaby podobne.

Ku rozczarowaniu Sary pani Hastings przerwała ich rozmowę z panami po kilku zdawkowych uprzejmościach i ruszyła w stronę ławki.

Gdy oddaliły się od rozmówców, przeszła Beę przenikliwym spojrzeniem i pokręciła głową.

- Oni na nic się nie zdadzą, panno Beattie, szkoda robić sobie nadzieje.

- Słucham?

Pani Hastings nie zwróciła uwagi na ostrzeżenie zawarte w tonie głosu Bei.

- Pan Bloor i pan Townsend są biedni jak myszy kościelne.

- Moja droga pani Hastings... - Panna Beattie urwała, zmitygowana groźnym spojrzeniem Sary. Odchrząknęła i dokończyła całkiem innym tonem: - Prawdę mówiąc, nie powiedziałabym, że

pan Bloor mi się podoba. Jak na mój gust za bardzo przypomina właściciela wiejskiego majątku. I pachnie stajnią.

- To byłoby pani najmniejszym zmartwieniem - odrzekła pani Hastings. - Bloor bardzo pragnie mieć dziedzica z prawego łoża. Sądziłam więc, że... - Zostawiła tę kwestię nie dopowiedzianą.

- Zupełnie słusznie! - wykrzyknęła panna Beattie, gdy wreszcie pojęła, o co chodzi.

Sara w myślach wykreśliła pana Bloora z listy.

- No, właśnie. - Pani Hastings zaczęła utykać. - Czy nie mają panie nic przeciwko temu, że usiadziemy? Rozbolały mnie stawy, muszę ulżyć moim stopom.

Gdy ich gospodyni siadała, panna Beattie przewróciła oczami i szepnęła do swej podopiecznej:

- Ta kobieta jest nieznośna.

Sara odpowiedziała jej gniewnym zmarszczeniem czoła.

Wreszcie wszystkie zajęły miejsca i wtedy panna Beattie powiedziała:

- Pan Townsend wydał mi się mężczyzną w typie dżentelmena.

- Och, to prawda, ale jeśli on ożeni się ponownie, a chyba będzie musiał, zrobi to dla pieniędzy.

- Czy to znaczy, że jest wdowcem?

Pani Hastings skinęła głową.

- Owdowiał rok temu. Dopiero niedawno zdjął żałobę. Nie znam szczegółów tej sprawy, ale jego żona miała jakieś dochody, które ustały wraz z jej śmiercią. Biedny pan Townsend został z piątką osieroconych dzieci na wychowaniu i domem zadłużonym tak, że bardziej już nie można.

- Hmm - powiedziała panna Beattie. - Może będzie miał szczęście. Może jakaś bogata dama zechce go poślubić.

- Tak pani sądzi? - Pani Hastings spojrzała z zainteresowaniem na rozmówczynię.

- W każdym razie to nie będę ja— stwierdziła dobitnie panna Beattie. - Mam swój rozum i nie zamierzam zajmować się w moim wieku piątką sierot. Poza tym nie jestem bogata.

Pani Hastings wybuchnęła śmiechem.

- Och, to wiem! Gdyby była pani bogata, nie zamieszkałaby pani w moim skromnym domu, tylko na Royal Crescent.

Sara wykorzystała przerwę w rozmowie i zwróciła uwagę na szczegół, który ją zaintrygował.

- Ten pan Townsend jest taki smutny.

- A jest, jest -- potwierdziła pani Hastings. - Po śmierci żony całkiem się załamał. Powiem pani tyle: gdyby nie pieniądze, nawet nie myślałby o ponownym ożenku. On i jego Mary postanowili się pobrać, kiedy jeszcze byli dziećmi, zawsze trzymali się razem. Taki człowiek nie powinien drugi raz się żenić. Jest jak łabędź, panie rozumieją. Nieprzyjemna historia, prawda?

- Bardzo.

Przyglądając się bezgranicznie smutnemu panu Townsendowi, który właśnie opuszczał pijalnię, Sara uświadomiła sobie, że wcale nie współczuje temu człowiekowi, tylko mu zazdrości. To był jeden ze szczęśliwców, którzy znaleźli miłość, o jakiej inni mogą tylko marzyć.

Długo wpatrywała się zadumana w otwarte drzwi, potem westchnęła i wróciła myślami do rzeczywistości, jakże przykry dla kobiety zmuszonej do małżeństwa z rozsądku.

Musiała poznać jeszcze tylko jednego kandydata ze swojej listy, mężczyznę, którego pani Hastings miała w głębokiej pogardzie, majora Haiga. Sara nie przejęła się tonem jego listu. Owszem, był arogancki, protekcyjny i od pierwszych słów zdradzał bufona. Ale nic z tego nie dowodziło, że major nic spełnia warunków, jakie Sara stawiała potencjalnemu mężowi.

Napisał przecież, że jest bardzo przystojnym mężczyzną i choć posiadał mu włosy - naturalnie przedwcześnie - to przydają mu one dystynkcji.

Zatrzymała spojrzenie na mężczyźnie, który stał we wnęce przy ujęciu wody, pochłonięty rozmową z jakąś damą. Był bardzo porządnie ubrany, zgodnie z zasadami elegancji obowiązującymi starsze pokolenie - nosił beżowe spodnie za kolana i niebieski surdut. Ponadto miał siwe włosy i wyraziste rysy twarzy. Opis „bardzo przystojny mężczyzna” wydawał się w jego przypadku trafny.

- Pani Hastings- odezwała się Sara- kim jest ten siwowłosy dżentelmen?

Starsza pani obróciła się, a gdy zobaczyła, o kogo chodzi, nagle zmieniła się na twarzy.

- To jest major Haig - odrzekła.

Zapadło wymowne milczenie, w końcu panna Beattie bąknęła:

- Major Haig? Gdzie ja już słyszałam to nazwisko?

Pani Hastings pokręciła głową.

- Każdy tylko nie on, panno Beattie. On jest niebezpieczny. Pewna dama... moja przyjaciółka... bardzo żałuje, że kiedyś go posłuchała. Zainwestowała... zainwestowała w jedno z jego przedsięwzięć, licząc na małżeństwo. Pieniądze straciła, a ze ślubu nic nie wyszło.

Sara nie wątpiła, że pani Hastings mówi o sobie. Niechcący zdradziła dużo więcej, niż chciała powiedzieć. Wszak w jednym z listów napisała, że była zmuszona wynająć połowę domu, ponieważ straciła dużo pieniędzy przez niefortunną inwestycję. Gdyby zaś sądzić po wyglądzie pokoi na dole, to na pokrycie długów musiała zapewne sprzedać również meble i obrazy.

Panna Beattie taktownie zmieniała temat, wdały się więc z panią Hastings w rozważania na temat złotych dni Bath. Sara mogła spokojnie obserwować majora.

Mówił i mówił, i mówił, a jego towarzyszka, dama, która dawno już przestała być jasnowłosą pięknoscią, patrzyła na niego z zachwytem. Ale major wcale nie zwracał na nią uwagi. Rozglądał się po sali, zatrzymując wzrok na coraz to innej osobie.

Widocznie wyczuł, że jest obserwowany, bo nagle obrócił się i na chwilę skrzyżowali z Sarą spojrzenia.

Może major szukał kobiety, która dała ogłoszenie w „Chronicie”, próbował odgadnąć jej tożsamość? To byłoby całkiem uzasadnione zachowanie, pomyślała Sara. Ale jego nieuwaga była jednak obraźliwa dla rozmówczyni.

Sara znów dyskretnie spojrzała na majora i stwierdziła, że gapi się on na damę w zielonym turbanie. Nagle strzelił palcami, niespodziewanie skłonił się przed swoją rozmówczynią, urywając w połowie zdanie, i odszedł, kierując się wprost ku obiektowi swego zainteresowania.

Osaczał zdobycz.

Sara zadrżała. Miała osiemnaście lat, gdy padło na nią nerwowe spojrzenie Williama. Schlebilo jej ponad wszelką miarę, że zostawił na parkiecie młodą kobietę, z którą tańczył, i ruszył prosto do niej.

Chociaż majątki ojców jej i Williama sąsiadowały ze sobą, oni w zasadzie byli dla siebie obcy. William Neville najpierw wyjechał do szkoły, potem na uniwersytet, a Neville'owie nie utrzymywali stosunków z sąsiadami ze Stoneleigh.

Sara spotkała go na przyjęciu w Winchester.

Nie zrobiło na niej wrażenia, że William jest dziedzicem sir Ivora. Była to jednak postać na wskroś romantyczna i imponująca; Sara nie знаła nikogo podobnego. W niczym nie przypominał podstarzałego wicehrabiego, którego ojciec próbował dla niej kupić.

Był nieokiełznany i wiele o nim opowiadano. Przekonał ją jednak, że teraz, gdy się poznali, to wszystko stało się tylko burzliwą przeszłością. Chciał się z nią ożenić, a ona była najszczęśliwszą panną na świecie.

Na drodze stał im tylko sir Ivor, który był nadzwyczaj dumnym człowiekiem. Tak wytłumaczył jej William, lecz mimo to obiecał powiedzieć o nich ojcu przy pierwszej sprzyjającej okazji. Tymczasem Sara potajemnie się z nim spotykała, a kiedy nie mogła przyjść na spotkanie, przelewała swoje uczucia na papier i słała do niego długie wzruszające listy.

Właśnie przez te listy omal jej nie powieszono.

Major obdarzył niepodzielną uwagą damę w zielonym turbanie, której wyraźnie to schlebiało. Oczy jej lśniły, a twarz mieniła się czarującymi uśmiechami.

Zdobycz, pomyślała znowu Sara i zadrżała. Nie mogła postępować wbrew instynktowi. Nigdy nie czułaby się bezpieczna, nawiązawszy znajomość z kimś, kto przypominałby jej Williama.

Major przestał ją interesować.

Skoro osiągnęła cel, uznała, że czas opuścić pijalnię. Ale panna Beattie miała inne plany. Byłoby przestępstwem, oświadczyła, przyjechać do Bath i nic skosztować jego sławnych dobrodziejstw. Wysłała więc Sarę, żeby przyniosła „pani” szklaniczkę wody.

Sara dobrze wiedziała, że opiekunka chce wygospodarować chwilę na prywatną rozmowę z ich gospodynią, by podsycić swe święte, acz całkowicie niedorzeczne przekonanie, że ideał mężczyzny może pojawić się w każdej chwili. Bez wątplenia zamierzała dokładnie wypytać panią Hastings, gdzie zbierają się w Bath młodszy ludzie, jeśli w ogóle takowi tam są.

Biedna Bea, nie umiała pogodzić się z losem.

W drodze do kranu i z powrotem Sara bardzo uważała, żeby mijając majora Haiga, broń Boże na niego nie spojrzeć. Gdy znalazła się z powrotem przy ławce, stwierdziła, że miała rację. Pani Hastings nie traciła czasu. Jak spod ziemi udało jej się wykopać dżentelmena, który wcale nie wydawał się zramolały.

Stał odwrócony do niej plecami, ale jego strój wiele mówił: obcisłe beżowe spodnie podkreślały muskulaturę łydek i ud, a szerokie ramiona okrywał granatowy frak, na którym nie śmiałyby się pokazać najmniejsze zagniecenie. Sara zobaczyła też wysokie buty z nedorzecznyymi kutasikami.

Prawdziwy dandys!

Uśmiech stopniał jej w chwili, gdy mężczyzna zaczął się obracać w jej stronę. Ogarnęło ją przerażenie.

I oto spojrzały na nią roześmiane niebieskie oczy, przy kącikach których były widoczne drobne bruzdki. Mężczyzna uchylił kapełusza i wtedy w jego jasnych włosach zaigrało światło, zabłąkany promień słońca, który wpadł przez jedno z wysokich, wąskich okien. Jego uśmiech wyrażał radość życia i olbrzymią pewność siebie.

To był Max Worthe.

- O, panna Childe - powiedziała. - Jaka miła niespodzianka. Właśnie mówiłem pani towarzyszkom, że poznaliśmy się w Reading, gdzie miałem okazję... wyświadczyć pani drobną przysługę.

Sara nie zdążyła pomyśleć, co robi. Przytknęła szklanekę do ust i wypijała duży, bardzo duży łyk wody.

6

Stało się, pomyślał Max. Nareszcie. Na masce obojętności Sary Carstairs pojawiły się rysy. Nawet więcej. Maskę pękła na pół. Sara chciwie *przełykała* paskudną wodę mineralną, tak jakby właśnie przeżyła pustynię. .

W tym stanie podobała mu się znacznie bardziej. Była zmieszana, policzki miała okryte rumieńcem i gorączkowo szukała właściwych słów.

Jej towarzyszką, panną Beattie, która, jak się zorientował, dostała awans na chlebobawczynię Sary, w końcu przerwała niezręczne milczenie.

- Poznał pan Sarę w Reading, panie Worthe?
- Pod Czarnym Łabędziem.
- Tam właśnie się zatrzymałyśmy.
- Wiem.

Nastąpiła krótka przerwa w rozmowie, panna Beattie rozważała bowiem otrzymane informacje.

- I pan wyświadczył jej przysługę?- Przeniosła wzrok na Sarę. - Nic mi o tym nie wspomniała.

Nic dziwnego.

- To była naprawdę drobna przysługa - wyjaśnił Max. - Nie powinienem być nawet o niej wspominać. Lepiej, żeby opowiedziała o tym panna Childe.

Wiedział, że postępuje niełojalnie, ale nie był pewien, czy Sara sobie na to nie zasłużyła. Okłamała go. Uciekła. Wprawdzie już

dawno przestał być na nią zły, ale uraza pozostała, nie widział więc powodu, dla którego nie miałyby prawa do małej zemsty.

Zresztą, szczerze mówiąc, świetnie się bawił.

Sara wypijała wodę do ostatniej kropelki, ale szybko tego pożałowała. Mogła przecież wylać zawartość szklanki na śmieszne buty Maksa Worthe'a.

Panna Beattie i pani Hastings patrzyły na nią z takimi minami, jakby nagle rozebrała się do naga. Trudno jej było zapanować nad przemożną chęcią ucieczki.

Bezradnie wzruszyła ramionami i powiedziała:

- Nie chciałam cię martwić i dlatego o tym nie wspomniałam. Bo, widzisz, spadłam ze schodów... och, tylko z kilku stopni, niewysokich, w każdym razie pan Worthe był taki miły i... i... - zerknęła na pustą szklankę, trzymaną w dłoni - i przyniósł mi wody.

- Panna Childe była bardzo poruszona tym wypadkiem.

- To prawda - przyznała Sara prawie niesłyszalnie. - Na szczęście już doszłam po wszystkim do siebie. Bardzo przepraszam, panno Beattie, że wypijałam pani wodę, ale tu jest strasznie gorąco. Proszę poczekać, zaraz przyniosę pani drugą szklaneczkę. Panie Worthe, czy zechce pan podać mi ramię?

Max bardzo żałował, że jej uroczą niepewność znikła bez śladu. Znowu panowała nad sytuacją. Nie domyślała się jednak, jak fascynuje Maksa tą umiejętnością i jak prowokuje go do rzucania jej wyzwania.

Ledwie znaleźli się w miejscu, z którego dwie gapiące się na nich damy nie mogły ich usłyszeć, a Sara natychmiast puściła ramię Maksa.

- Co pan tu robi?

- To chyba łatwo zgadnąć.

Sporunowała go wzrokiem, ale zaraz odwróciła Oczy.

- Mnie niełatwo.

- Jaki inny powód mógłby mnie ściągnąć do tego okropnego miejsca, jeśli nie pani, Saro.

- Śledził mnie pan!

- No, na pewno nie wybrałem się tutaj dla zdrowia, zresztą przed chwilą omal się nie udławiłem, kiedy pani jednym haustem wypijała wodę swojej chlebobawczyni. Jeśli zaś można tu znaleźć jakieś rozrywki cielesne, jest to najlepiej strzeżony sekret w całej

Anglii. Pozostaje więc tylko możliwość, że po prostu przyjechałem tu pani śladem.

- Och, wiem, że w Bath nie ma atrakcji dla mężczyzny pana pokroju, czyli dla koryntianina i dandyś - powiedziała zjadliwie. - Przypuszczam, że większość czasu spędza pan na nadskakiwaniu niewinnym młodym kobietom.

- Niewinnym?

Tym razem nie odwróciła spojrzenia.

- Traci pan czas. Lepiej niech pan po prostu sobie idzie, panie Worthe.

Uśmiechnął się leniwie.

- Dobrze pani zna nas, koryntian. Czas ciąży nam niemiłośnierie, robimy więc wszystko, żeby pokonać nudę.

Wprawdzie dobrze ukrył swoje uczucia, ale bardzo go ubodło, że Sara zaliczyła go do próżniaków, których nie interesuje nic oprócz kroju surduta i ugania się za kobietami. Ponieważ zaś zarzut postawiła mu kobieta z przeszłością, uznał to za wielką hipokryzję.

Niczego bardziej nie pragnął niż powiedzieć jej prosto z mostu, że wie, kim naprawdę jest Sara Childe. Ale podczas długiej i nudnej dwudniowej podróży z Reading, gdy przestał już kipieć ze złości, zdążył się zastanowić, jaką taktykę przyjąć, gdy znajdzie się u celu. Nie chciał spłoszyć Sary, bo wtedy znowu uciekłyby i poszukała kryjówki.

Postanowił rozegrać wszystko tak, jakby jej nie rozpoznał. Coś go jednak niepokoiło. Wiedział bowiem, że nawet gdyby naprawdę jej nie rozpoznał, i tak przyjechałby do Bath. Jedno spotkanie z tą kobietą zachwiało całym jego życiem. W pewnym sensie zadała mu cios, jakiego nie powstydziliby się Mighty Jack Cleaver.

Niestety dobrze pamiętał, czym skończyło się dla niego starcie z Mightym Jackiem!

Sarze nie spodobał się nagły wybuch wesołości w oczach Maksa i jego głupkowaty uśmiech. A najbardziej nie podobała jej się nerwowość, z jaką na niego reagowała.

Powoli przesunęła się w głąb wnętrza z kranem, tak że pani Hastings i panna Beattie musiały stracić ich z oczu. Zorientowała się, że z całych sił ścisła pustą szklanekę, więc odstawiła ją na obmurowanie kranu, po czym ukryła dłonie w fałdach sukni.

- Panie Worthe...

- Max. Proszę mówić do mnie Max. To brzmi bardziej przyjaźnie.

- Nie jesteśmy przyjaciółmi.

- Nie. Posunęliśmy się znacznie dalej.

Odczekała chwilę, aż serce przestanie jej bić podejrzenie szybko, a umysł zacznie funkcjonować w bardziej uporządkowany sposób, i powiedziała:

- Chcę wiedzieć, co pan wyjawiał moim towarzyszkom, zanim nadeszłam.

Omiał odruchowo nie odparł, że nie zdradził i nie zdradzi jej sekretu, ale się powstrzymał. Nie chciał zmiążdżyć tej kobiety, tylko nią potrząsnąć, a ona zaczynała przejawiać objawy słabości.

- Przedstawiłem się i spytałem o panią - rzekł cicho. - To wszystko, Saro.

- A skąd pan wiedział, że panna Beattie jest moją chlebodawczynią?

- Saro, już przyznałem się do tego, że przyjechałem tu za panią z Reading. Nie było mi trudno ustalić, kim jest pani towarzyszka podróży. Wczoraj wieczorem śledziłem panią aż do frontowych drzwi domu przy Queen Square, a potem znalazłem kwatery dla siebie.

- Skąd pan wiedział, że będziemy dziś rano w pijalni?

- Zajrzałem na Queen Square. Tam pani służąca... Maggie, prawda...? powiedziała mi, gdzie mogę panią znaleźć.

Sara pomyślała, że nie powinna się ani trochę zdziwić. Nie pierwszy raz odniosła wrażenie, że ma do czynienia z absolutnie niezłomnym człowiekiem. Pozornie Max rozplątywał się w uśmiechach i czarował wszystkich wokół siebie, ale to nie była cała prawda o nim. Ten mężczyzna był niebezpieczny i zapomnianie o tym byłoby niewybaczalną lekkomyślnością.

- Saro, co ja takiego powiedziałem? - spytał, gdy zignorowała dłoń, którą do niej wyciągnął.

- Że śledził mnie pan dwa dni i dwie noce. Zdradziecko czał się pan za moimi plecami i wypytywał o mnie ludzi. Po co pan to robi? Po co?

- Wie pani po co.

Ich spojrzenia się spotkały. Sara zadrżała. Max zmarszczył czoło. Oboje czuli, że coś się między nimi dzieje. Max był tym wstrząśnięty, Sara przerażona.

Odwróciła wzrok.

- Wychodzę za mąż, Max. Już pan to wie.
- Nie wierzę pani. Gdzie jest narzeczony?
- Trochę się spóźni. Ale wkrótce przyjedzie. Proszę, Max, niech pan nie psuje mi planów.

Lekceważąco wzruszył ramionami, ale Sara wciąż czuła przeskakujące między nimi iskry.

- On jest głupcem, skoro zostawia panią bez opieki - stwierdził Max nagle. Zaskoczona, szerzej otworzyła oczy, a on dodał zniecierpliwiony: - Tylko niech pani wyobraźnia nie przeinaczy tego, co powiedziałem. Nie skrzywdzę pani, Saro. Ale nie zamierzam też usunąć się na bok.

Dawno już nauczyła się, że warto nad sobą panować. Kobieta okazująca uczucia jest słaba i przez to narażona na różne ciosy, a jej nie wolno było pozwolić sobie na słabość. Uznała więc, że należy unieść się honorem.

- Grubo się pan myli, Max, jeśli sądzi pan, że można mnie *zmusić do zrobienia czegoś* wbrew moim chęciom.

Osołomił ją czarującym uśmiechem.

- Nie wiem, Saro. Od pewnego czasu jednak używa pani mojego imienia. Rzecz w tym, że trzeba wiedzieć, jak postępować z kobietą.

- A pan ma mnóstwo doświadczenia, jak rozumiem.

Roześmiał się, sięgnął za jej plecy i wziął od mężczyzny obsługującego kran następną szklankę wody.

- Niewątpliwie.

Wracając do ławki, na której zostawili dwie starsze damy, nie zamienili ani słowa. Sara kipiała ze złości, ale choć bardzo chciała wysłać Maksa Worthe'a do wszystkich diabłów, bała się urządzić scenę. Wyczuwała u niego niefrasobliwość, która budziła w niej prawdziwy popłoch. Wiedziała bowiem, że jeśli nie zachowa ostrożności, to jej imię znajdzie się na ustach wszystkich plotkarzy w Bath.

Starła się podsycać swoją złość, mimo to wkrótce była już w doskonałym humorze. Max Worthe naprawdę umiał postępować z przedstawicielkami płci pięknej. Przyglądając mu się, Sara doszła do wniosku, że cała sztuka polega na tym, by poświęcać kobiecie uwagę. Zaobserwowała, że podczas rozmowy Max nie ma rozbieganych oczu, nie przenosi wzroku z miejsca na miejsce,

jakby myślami był gdzie indziej. Wydawał się tak samo zaabsorbowany konwersacją jak dwie jego rozmówczynie.

Jej dobry humor bardzo jednak przygasł, gdy uświadomiła sobie, że Bea, nieodwołalna i zdeklarowana stara panna, otwarcie flirtuje z Maxem. Nigdy jej takiej nie widziała. Bea miała zaróżowione policzki, trzepotała rzęsami i słodko się uśmiechała. Poza tym o wiele za dużo mówiła, wymieniła bowiem po kolei wszystkie miejsca, które zamierzały odwiedzić, praktycznie zapraszając w ten sposób Maksa do złożenia tam wizyt.

Jak na gust Sary przyjaźń jej „chlebodawczyni” z Maksem pogłębiała się zbyt szybko.

Sara próbowała pochwycić jej spojrzenie, by ją skarcić, ona jednak okazała się bardzo uparta. Nie bez powodu. Max Worthe był właśnie takim mężczyzną, w jakiego cudowne objawienie się wierzyła Bea. To miał być dla jej podopiecznej ratunek. Przystojny, towarzyski mężczyzna, z którego ujmującym wdziękiem niewielu mogło konkurować.

Ale właśnie z tego powodu Max Worthe był jak najbardziej nieodpowiednim człowiekiem.

- Co sprowadza pana do Bath, panie Worthe? - spytała w pewnej chwili panna Beattie.

- Przyjaciel - odrzekł Max. - Mieszka tu w pobliżu, w Marston Manor. Czy panie go może znają?

Pani Hastings skinęła głową.

- Tam mieszka lady Meynell. Czyli pańskim przyjacielem musi być Ash Meynell.

- We własnej osobie.

- Ojej - powiedziała pani Hastings. - Jeśli się nie mylę, pan Meynell wyjechał do Brighton. Jeździ tam co roku o tej porze.

Max podrapał się po podbródku i zerknął na Sarę.

- Wygląda na to, że przebył pan długą drogę na próżno, panie Worthe - zauważyła słodko.

- Och, sam nie wiem - odparł gładko. - Właściwie nigdzie mi się nie śpieszy. Równie dobrze mogę zatrzymać się w Bath i zobaczyć, jak tu się żyje.

- Cieszę się, że pan to mówi. - Bystre oczy panny Beattie spojrzały najpierw na Maksa, a potem na Sarę. - Jestem pewna, że będzie pan z tego pobytu zadowolony.

- Mam nadzieję - odrzekł z uśmiechem.

Max nie zabawił już długo w pijalni. Gdy wyszedł, starsze panie zaczęły wymieniać spostrzeżenia.

- Wydaje się bardzo sympatycznym młodym człowiekiem - stwierdziła panna Beattie.

Pani Hastings zachichotała.

-- Co do tego nie mam wątpliwości, ale jeśli jest choć trochę podobny do swego przyjaciela Asha Meynella, to matki w Bath powinny zamknąć córki na klucz i siedzieć razem z nimi. Dużo mogłabym pani opowiedzieć o Ashu Meynellu! - Oczy jej zabłyśły i aż pokręciła głową. - Pomyśli pani, że źle mówię o tym młodym człowieku, ale nic, mimo jego reputacji wszyscy tutaj bardzo go lubimy. Tylko że kiedy przyjeżdża do miasta, zawsze jest o nim głośno.

Panna Beattie spojrzała rozmarzonym wzrokiem za oddalającym się Maksem, a pani Hastings znowu zachichotała.

- Założę się, że na widok pana Worthe wszystkim damom w pijalni szybciej zabiły serca. Niech panie popatrzą dookoła i powiedzą, czy nie mam racji.

Sara i panna Beattie posłusznie rozejrzały się po pijalni. Nie było najmniejszej wątpliwości; Max Worthe ściągnął na siebie spojrzenia wielu dam, młodych, w średnim wieku i tych starszych.

Nagle pani Hastings wykrzyknęła:

- Ojej, Maxwell Worthe! Już wiem! To jest najlepszy przyjaciel Asha Meynella, innymi słowy lord Maxwell. O, to dopiero donżuan. Niech pani tylko nie mówi, że jej nie ostrzegałam, panno Beattie. I pani też, panno Childe.

Przestroga była zbędna. Sara już nie miała wątpliwości co do tego, że Max Worthe może jej przysporzyć tylko kłopotów.

Przez następne dni Max pilnował, żeby być wszędzie tam, gdzie przychodziła Sara. Nie było to trudne zadanie. Panna Beattie bardzo go polubiła i gdy jej podopiecznej nie było w pobliżu, zawsze napomykała, dokąd idą po południu lub wieczorem.

Właśnie przed chwilą wrócił z pijalni do hotelu Christopher. Gdy wszedł do swego pokoju, nie czekał na niego ani służący, ani nikt inny, kto otrzepałby mu ubranie z kurzu albo podpowiedział, w co się przebrać. Max zrezygnował ze wszystkich przywilejów należnych człowiekowi jego stanu, kiedy został dziennikarzem.

W tej profesji arystokraty podróżującego z armią służących nie traktuje się serio, a Max chciał, by się z nim liczone.

Zaraz po wypadkach w Reading posłał umyślnego do zamku Lyndhurst po swoją garderobę i teraz jeden z hotelowych lokai kończył wypakowywać rzeczy z kufra i przekładać je do garderoby. Po wyjściu lokaja Max otworzył masywną mahoniową garderobę i dokonał przeglądu jej zawartości.

Wreszcie mógł włożyć przyzwoite odzienie.

Zastanowiło go, czy Sara zauważy różnicę. Przecież widziała w nim zwykłego dandysa, którego największymi troskami są krój surduta i pogoń za kobietami. Nie zadała mu żadnych pytań o rodzinę ani koneksje. Po prostu uznała go za kłopotliwą osobę, a umiała sobie z tym poradzić tylko w jeden sposób: trzymając go na dystans.

Zmełł przekleństwo pod nosem i rzucił się na łożo.

Sara. Gdy o niej myślał, był pewien tylko tego, że uczucia, które rozbudziła w nim Pod Czarnym Łabędziem, wciąż są żywe. Co więcej, jeszcze się nasiliły, i to go przerażało. Powinien objawiać więcej rozsądku. W redakcji „Couriera” miał na temat Sary pękata teczkę, a lektura zawartych tam materiałów nie należała do przyjemnych.

Sara Carstairs była kobietą amoralną. Zaczęła romansować z Williamem Neville'em pod samym nosem siostry, co zresztą nie było trudne, ponieważ Anne i William Neville'owie mieszkali na gruntach Longfield, w efektownej elżbietańskiej rezydencji, której Samuel Carstairs przywrócił dawny splendor. Zajmowali tam tak zwany wdowi domek, który kiedyś żona właściciela Longfield dostawała w dożywocie.

Sara nigdy nie zaprzeczyła swemu romansowi ze szwagrem, a gdyby nawet próbowała, to listy, które do niego napisała, zdemaskowałyby kłamstwo. Co więcej, przyjaciele Williama zeznali, że ten wpadł w wielki gniew, gdy się dowiedział, że Sara zamierza wyjść za mąż. William zostawił ich przy kielichu w zajeździe King's Head w Stoneleigh, przysięgając, że odpłaci jej za to jak należy. Potem nikt go już nie widział.

Alarm podniósł ojciec Williama. Następnego ranka znalazł jego konia, błakającego się po wapiennych wzgórzach w okolicy. Wnet przystąpiono do poszukiwań ciała.

Konstabl zaczął od złożenia wizyty Sarze.

Alibi miała nieprzekonujące. Nie było jej we dworze w Long—field. Noc spędziła we wdowim domku, gdzie doglądała siostry, tak w każdym razie twierdziła. Naturalnie zrzędzeniem losu jedyna służąca Anne Neville akurat tego wieczoru pojechała w odwiedzinę do krewnych w Winchester.

A w oświadczeniu, które odczytano podczas procesu, Sara zeznała pod przysięgą, że tego wieczoru William nie wrócił do domu. Siostra potwierdziła tę wersję, ponieważ jednak Anne Neville przyjęła przedtem dawkę laudanum, nikt jej nie wierzył.

Max zwłókł się z łóżka i stanął przy otwartym oknie. Z jego pokoju rozciągał się widok na opactwo i dalej na ogrody, zajmujące stok opadający ku rzece Avon. Co, u licha, taka kobieta jak ona robiła w Bath?

Gdy wyjechał z Reading i stwierdził, że Sara kieruje się na zachód, zgadł, że w Thatcham skręci na drogę do Stoneleigh. Był tak pewien dalszego ciągu, że wysłał przez specjalnego posłańca list do Petera Fallona, w którym kazał mu wszystko rzucić i wyznaczył spotkanie w Stoneleigh. Tam właśnie był teraz Peter. Ale w Thatcham okazało się, że powóz Sary wcale nie skręca, lecz nadal jedzie na zachód.

Powiedziała mu, że wychodzi za męża.

Może nawet by jej uwierzył, gdyby w Reading wyprosiła go z pokoju, zanim sprawy zaszły za daleko.

William, szepnęła, gdy wchodził przez okno do jej pokoju, i wydawała się przy tym śmiertelnie przestraszona. Ale potem powiedziała mu, że William nie żyje i jest zamierzchną przestłośnią.

Kiedyś myślałam, że jestem w nim zakochana. Ale była miejscowa dziewczyna. Spodziewała się dziecka. Jego dziecka. A on ją zostawił na łasce losu.

Czy William żył, czy nie? To pytanie obsesyjnie dręczyło Maksa przez całą drogę z Reading. Jeśli żył, to znaczy, że wszyscy, a zwłaszcza on, omylili się co do Sary. Jeśli żył, to być może podczas procesu oskarżona po prostu podsunęła wszystkim taką wersję wydarzeń, jaką chciała im podsunąć.

Oczy miała ciemne, ale nie piwne, jak mu się zdawało w mrocznym pokoju Pod Czarnym Łabędziem. Były szare i niezgłębione niczym wody zimnego Morza Północnego.

Jakie sekrety przed nim ukrywała?

Gdyby nie zaczął zgłębiać tej sprawy, postąpiłby wbrew wszystkim zasadom dziennikarstwa.

Na wargach zagrał mu uśmiezek, wesoły i trochę szelmowski. Nie mógł okłamywać samego siebie. Śledził tę kobietę nie tylko dlatego, że chciał mieć materiał do poczytnego artykułu. Znacznie bardziej zależało mu na odkryciu prawdy. Musiał się dowiedzieć, czy Sara Carstairs jest tą kobietą, którą spotkał Pod Czarnym Łabędziem, czy też bezwzględna morderczynią, jaką widział w niej prokurator.

Odwrócił się od okna i zaczął wyjmować ubranie z garderoby. Miał dużo do zrobienia, a przede wszystkim musiał opracować plan działania. Sara i Bath mogły trochę poczekać. Postanowił najpierw wrócić tam, gdzie wszystko się zaczęło.

7

Dwór będący od niepamiętnych czasów siedzibą rodu sir Ivora zbudowano w żyznej dolinie, mniej więcej pięć mil od Stoneleigh, przy drodze do Winchester. Ze swymi kamiennymi ścianami w kolorze miodu i pięknymi oknami w wykuszach stanowił on perełkę angielskiej architektury. Tak wyglądała fasada. Max pamiętał jednak, że dwór wzniesiono na miejscu średnio-wiecznej twierdzy, w środku ciągnął się więc istny labirynt komnat i przejść prowadzących donikąd.

Poczekał w przedsiönku, aż kamerdyner zanieśie swemu panu bilet wizytowy. Miał nadzieję zamienić kilka słów również z lady Neville, ale sługa powiedział mu, że pani nie przyjmuje gości. Wtedy Max przypomniał sobie, że lady Neville stanowi żałosny przypadek niedorozwoju, jest trzpiotowatą pensjonarką uwięzioną w starzejącym się ciele. Jego matka, o wiele bardziej wyrozumiała dla ludzi niż on, uważała za cud to, że mając takiego męża, biedna lady Neville nie skończyła w domu dla obłąkanych.

Matka Maksa nie lubiła sir Ivora Neville'a. W zasadzie nie byli sąsiadami, ale obie rodziny należały do elity hrabstwa Hampshire, więc siłą rzeczy ich ścieżki nieraz się krzyżowały. Pomyślał o krewnych Sary. Pod wieloma względami Carstairsów należało zaliczyć do wiodących rodzin w okolicy Stoneleigh. Byli też, najbliższymi sąsiadami sir Ivora; ich domostwo, Longfield, znajdowało się zaledwie milę albo dwie od jego dwora. Max wątpił jednak w to, czy sir Ivor zaprzyjaźnił się z Samuelem Carstairssem. Był za bardzo przekonany o własnej wartości, by spoufalić się

Z człowiekiem, który zbił majątek na handlu. Sir Ivora musiało irytować w najwyższym stopniu to, że jego syn i dziedzic ożenił się z Anne Carstairs.

Rozmyślania przerwał mu powrót kamerdynera, który oznajmił, że sir Ivor go przyjmie. Gdy Max wszedł do biblioteki, gospodarz wstał zza biurka i wyciągnął doń rękę, a potem wskazał mu wielki fotel stojący przy kamiennym kominku, który mógłby ogrzewać wielki zamek. Sir Ivor był elegancko ubrany w niebieski surdut i spodnie za kolana. Srebrzyste włosy miał nienagannie uczesane. Zresztą nienaganne było w nim wszystko. Pierwszy raz Max pomyślał o sir Ivorze z cieniem współczucia.

Dziennikarze obecni na procesie Sary przezwali tego człowieka Wązniakiem i trzeba przyznać, że przydomek był uzasadniony. Miarę świata dla sir Ivora stanowiły tradycja i pokrewieństwo. Williamowi Neville'owi z pewnością było trudno sprostać wymaganiom ojca. Może właśnie dlatego ożenił się z Anne Carstairs, żeby zrobić na złość rodzicowi.

- To dla mnie prawdziwa przyjemność, a zarazem niespodzianka - powitał go sir Ivor. - Od pańskiego ojca słyszałem, że spędza pan lato w Exeter, bo zakłada pan gazetę czy coś podobnego.

- Tak było, ale rozmowy utknęły w martwym punkcie.

- Czyli korzysta pan z zasłużonego odpoczynku od pracy?

- Niezupełnie. Nie, dziękuję - dodał, gdy sir Ivor wziął karafkę brandy i zachęcająco nią potrząsnął. - Lubię mieć jasny umysł, kiedy pracuję. Ale nie odmówiłbym kawy.

Sir Ivor odstawił karafkę na miejsce i zwrócił się do lokaja stojącego przy drzwiach:

- Zajmij się tym.

Gdy zostali sami, gospodarz znowu usiadł za biurkiem.

- Mam nadzieję, że w zamku Lyndhurst wszystko układa się jak najlepiej.

Sir Ivor zawsze prowadził rozmowę tak, jakby był bardzo zaprzyjaźniony z rodziną Worthe'ów, co Maksa bardzo irytowało.

- Rodziców nie ma w domu - odparł z obojętnym wyrazem twarzy. - Zawsze spędzają lato w Derbyshire.

Gospodarz strzelił palcami.

- Naturalnie, przecież uwielbiają wędrować po górkach, prawda?

Max znowu poczuł przypływ irytacji, usłyszał bowiem w tonie

sir Ivora rozbawienie, jakby wędrówki po wzgórzach były poniżej jego godności.

- Dbają o sprawność fizyczną - powiedział. - Nie chcą być gorsi od naszych krewnych z Derby.

Sir Ivor splótł długie, chude palce i położył dłonie na blacie biurka.

- Ale pan nie przyjechał do Hampshire tylko po to, żeby pogawędzić ze mną o tym i owym.

- Nie - odrzekł Max. - Przyjechałem spytać o pańskiego syna.

- Czy ktoś się zgłosił w sprawie nagrody? - zainteresował się sir Ivor.

- Nie.

- O co więc chodzi?

Nie było sposobu wykładania tego w oględny sposób. Max musiał się trzymać nie zbadanych tropów, które znalazł pamiętnej nocy podczas rozmowy z Sarą.

- Co może mi pan powiedzieć o młodej kobiecie, miejscowej, która miała dziecko z pańskim synem? - zapytał na początek.

Spodziewał się wybuchu oburzenia albo gniewu, ale sir Ivor po prostu skamieniał. Krew odpłynęła mu z twarzy, bąknął coś niezrozumiałego. Zaraz potem spurpurowiał i rzucił ze złością:

- A co to ma wspólnego z jego śmiercią?

- Nie zaprzecza pan temu?

- William mi się nie zwierzał.

Sir Ivor raptownie wstał, podszedł do kredensu i nalał sobie drinka. Wypił go do dna i napełnił szklaneczkę jeszcze raz. Gdy wrócił na swoje miejsce za biurkiem, znowu imponował opanowaniem. Uśmiechnął się wątle.

- Proszę mi wybaczyć. Nikt nie lubi, gdy źle się mówi o jego synu. Jeśli William miał dziecko z jakąś miejscową panną, to nic o tym nie wiem. Ufam, że pan zachowa dyskrecję. Matce złamałoby serce, gdyby ta wiadomość do niej doszła. Co to za panna?

- Nie wiem.

- Ale chciałby się pan dowiedzieć, prawda? Osobiście sędzę, że to nie ma znaczenia. Nie usprawiedliwiam postępowania syna, jeśli ma pan rację co do dziecka, ale wielu młodych ludzi nie panuje nad swoimi instynktami. Należy nad tym ubolewać, nie można jednak traktować tego jak czegoś nienaturalnego.

- Wspominam o tej dziewczynie, ponieważ istnieje możliwość, że Williama zabił z zemsty jej ojciec lub brat.

Sir Ivor pokręcił głową.

- Jest pan na złym tropie. Mojego syna zabiła Sara Carstairs. - Z powrotem usiadł na krześle i przeszył Maksa Worthe'a bystrym spojrzeniem. - Kto powiedział panu o tej pannie?

- Wiem to z dobrze poinformowanego źródła. Tyle mogę ujawnić.

- Nie, nie. Pan wie to od niej, prawda? Od Sary Carstairs!

Max poruszył się niespokojnie.

- Wie pan to od niej, prawda? - powtórzył sir Ivor i dodał niedowierzającym tonem: - Znalazł ją pan, przesłuchał, a ona próbuje zepchnąć winę na kogoś innego.

Max ani tego potwierdził, ani temu nie zaprzeczył.

- Chcę tylko usunąć kilka niejasności.

- Dlaczego akurat teraz? W tej sprawie od trzech lat nic się nie dzieje. No tak, ale pan znalazł Sarę Carstairs. Inaczej nie da się tego wytłumaczyć.

A miałem nie mieszać do tego Sary, pomyślał Max. Ech, Peter Fallon przeprowadziłyby tę rozmowę dużo lepiej.

- Owszem, znalazłem ją- przyznał niechętnie.

- Czy ona jest w Stoneleigh? Mój Boże, ludzie ją ukamieniają, kiedy o tym usłyszą.

- Nie, nie w Stoneleigh. Wciąż się ukrywa. I tylko tyle zamierzam panu powiedzieć.

- Rozumiem. - Sir Ivor pogardliwie skrzywił usta. - Jest pan głupcem, jeśli wierzy pan choć trochę tej ladacznicy.

Max zachował obojętny ton głosu i równie obojętną minę.

- Ja tylko próbuję dociec prawdy.

- Dziwi mnie, że ona panu zaufała. Do tej pory pańska gazeta raczej nie okazywała jej sympatii.

- Ona nie wie, że jestem związany z „Courierem”.

Zapadło milczenie, potem sir Ivor parsknął śmiechem.

- Ach, zaczynam rozumieć. Wątpię, czy ojciec akceptowałby pana metody, ale moje poparcie pan ma. Wiem, że nie można jej powtórnie osądzić za zamordowanie mojego syna... - Jego głos stał się ochrypły. - Ale jeśli uda się panu odkryć doczesne szczątki Williama, jego matka i ja pozostaniemy na zawsze pańskimi dłużnikami. - Odchrząknął. - Co jeszcze mogę panu powiedzieć?

Gdy sir Ivor wrócił do biblioteki po odprowadzeniu Makska do drzwi, czekała na niego lady Neville. Zmarszczył czoło, widząc żonę na wózku inwalidzkim. Ostatnio poruszała się w ten sposób coraz częściej, chociaż lekarz powiedział, że nie ma takiej potrzeby. Doktor Laurie przypisywał słabość lady Neville dyspozycji umysłu, twierdził, że jest to rodzaj hysterii w wyniku utraty w tragicznych okolicznościach najpierw córki, a następnie syna.

Sir Ivor pocałował żonę w policzek i ruchem głowy dał znak roslému lokajowi, że nie będzie potrzebny.

- Dobrze dzisiaj wyglądasz, Jessico.

- Beckett obwiał mnie po ogrodzie. Myślę, że świeże powietrze dobrze mi zrobiło.

Gdy sir Ivor wręczył jej kieliszek sherry, podziękowała mu ciepłym uśmiechem.

- Dziękuję, kochany.

Była smukła, można by nawet powiedzieć, że krucha. Rysy miała regularne i delikatne jak porcelanowa lalka. Zmarszczki na twarzy były prawie niewidoczne. W miarę upływu lat jej lordowska mość coraz wprawniej używała pudru i maści dla utrzymania młodzieńczej cery. Jeśli nawet wśród jasnych włosów o bladym odcieniu zdarzały się jakieś siwe, to nikt o tym nie wiedział. Lady Neville była ubrana w muślin barwy pierwiosnków - przed trzydziestoma laty sir Ivor cieszył się, że suknia w takim kolorze nadaje jej skórze piękny miodowy odcień.

- Zrobiłabyś lepiej, Jessico - stwierdził - gdybyś odbyła spacer po ogrodzie o własnych siłach. Naprawdę nie powinnaś ulegać takim niemądrym kaprysom. Doktor Laurie mówi...

Urwał, bo żona zmarkotniała i spojrzała na niego jak skrzywdzone dziecko. Kiedyś jej dziecięca niewinność wydawała mu się atrakcyjna, ale już wiele lat temu zaczęła go irytować.

Strofowanie żony nie było dobrym sposobem.

- Przepraszam. - Westchnął. - Wiem, że się starasz. Co chciałaś mi powiedzieć?

Niewymuszona pochwała zrobiła swoje. Na jej wargach znów wykwitł promienny uśmiech.

- Kiedy byłam w rosarium, widziałam nadjeżdżającego lorda Maxwella Worthe'a. Czego on chciał, Ivorze? Czy to miało coś wspólnego z Williamem?

Łatwo mógł uniknąć odpowiedzi, wiedział jednak, że wtedy

żona zaczęłaby wypytywać służbę, a on nie tolerował plotek wśród zatrudnionych ludzi.

- Znalazł Sarę Carstairs - odrzekł. - Dotarł do jej kryjówki. Nie wiem tylko, co dobrego może z tego wynikać. Tymczasem nie przyznała się do niczego, a nawet gdyby to zrobiła, drugi raz nie można jej osądzić. Poza tym to i tak nie wróciłoby nam Williama.

Chude wargi Jessiki ułożyły się w małe kółeczko.

- Jessico, słyszysz mnie?

Skupiła wzrok na twarzy męża.

- Może ona powie lordowi Maxwellowi, gdzie ukryła ciało Williama.

Pokręcił głową.

- Ta Sara Carstairs, którą ja znam, nic nie powie. Dobrze pamiętam ją z procesu. Jest twarda jak kość. Pogódź się z tym, Jessico. Nigdy się nie dowiemy, co spotkało Williama.

Skinięła głową, ale wargi jej drżały, a do bladoniebieskich oczu napłynęły łzy. Sir Ivor wiedział jednak, że nie należy jej pocieszać. Skończyłoby się to potopem w domu.

Tak czy owak miał jej coś do zakomunikowania.

- Wcześniej był u nas także proboszcz.

Łzy natychmiast jej wyschły.

- Tak?

- Powiedział mi, że zaprzyjaźniłaś się kobietami od Carstairsów.

- Z kobietami od Carstairsów? - spytała tonem niewiniątka. - Masz na myśli panią Carstairs i Anne?

- Nie próbuj udawać, że nie rozumiesz - burknął. - Wiesz, że chodzi właśnie o nie.

Jessica nadała się.

- Spotykamy się na zebraniach koła parafialnego. Przygotujemy jarmark w Stoneleigh. Co mam robić? Chcesz, żebym je ignorowała? Czy to byłoby po chrześcijańsku? Zresztą nie jeżdżę do Longfield i nie zapraszam ich tutaj. Widujemy się tylko w kościele. Sam mi powiedziałeś, że powinnam więcej i częściej wychodzić z domu, dlatego przyłączyłam się do koła parafialnego. Czy mam rozumieć, że zmieniłeś zdanie?

- Myślałem, że masz więcej rozsądku i nie będziesz się zadawać z nikim z tego gniazda żmij.

Zerknęła w swój kieliszek sherry.

- Co mam, twoim zdaniem, zrobić? Wystąpić z koła?

- Nie. To spowodowałyby plotki, a tych mieliśmy już dość. Bądź ostrożna, Jessico. Bardzo ostrożna. Niczego im nie mów, przede wszystkim pod żadnym pozorem nie wspominaj, że był tu dzisiaj lord Maxwell. Inaczej ostrzegą Sarę Carstairs i lord Maxwell niczego więcej się od niej nie dowie.

Lady Neville zaczęła drażnić temat.

- Czy sądzisz, że lordowi Maxwellowi uda się *to*, co nie udało się innym?

- Jest to wysoce nieprawdopodobne. - Widok łez żony nieco go jednak zmiękczył. - No, ale może...

Lady Neville przyłożyła palec do ust.

- Pst. Nie powiem nikomu ani słowa.

Nie powiedziała ani słowa nikomu z wyjątkiem osoby, którą uczyniła swoim powiernikiem, to znaczy lokaja Becketta, młodego człowieka, noszącego ją po schodach i dbającego o jej wygodę.

- Sara Carstairs przestała się ukrywać - oznajmiła. - Znalazł ją ten dziennikarz, lord Maxwell. Ona naturalnie nic mu nie powie. Ale w każdym razie jest to krok we właściwym kierunku.

Zobaczyła błysk satysfakcji w ciemnych oczach lokaja, więc również jej oczy zalśniły.

- Wiesz, co myślę, Beckett? Że Sara Carstairs wróci do Stoneleigh. Musimy tylko być cierpliwi, a na pewno dostaniemy to, czego chcemy.

- Tak, milady.

- Ile wynosi obecnie nagroda „Couriera”?

- Pięć tysięcy funtów.

- To wszystko będzie twoje, jeśli właściwie rozegramy nasze karty. A teraz idź sobie. Chcę odpocząć przed kolacją. Zadzwoń na ciebie, kiedy będziesz mi potrzebny.

W swoim prywatnym salonie lady Neville nie używała inwalidzkiego wózka. Sir Ivor rzadko wchodził do tego skrzydła domu. Gdyby Jessica miała umrzeć tego wieczoru, a Becketta akurat nie byłoby na miejscu, minęłoby wiele dni, nim ktokolwiek zwróciłby uwagę na jej nieobecność, i jeszcze więcej, nim zainteresowałaby się tym jej mąż.

Znowu do oczu zaczęły jej się cisnąć łzy. Otarła je dłonią. Robiła wszystko co w jej mocy, by zadowolić męża, ale to, czym kiedyś go urzekała, teraz wydawało mu się nużące. Wprawdzie powiedział jej, że zawsze może na niego liczyć, ale to nie była prawda. Przekonała się już, że im starszy jest mężczyzna, tym młodszych kobiet pożąda.

Nigdy nie zrobiła mu sceny, ponieważ sir Ivor nienawidził scen. Wiedziała też jednak, czego mąż pragnie najbardziej na świecie, i chciała mu to dać. Wtedy mogłaby odzyskać jego względy.

Łzy znikły z jej oczu bez śladu, gdy pomyślała o tym, ile wdzięczności będzie miał dla niej sir Ivor. Znowu zaczęnie poświęcać jej czas i uwagę, a ona przestanie jeździć na wózku.

Nie mogła jednak osiągnąć swojego celu bez Becketta, więc błogosławiła dzień, w którym lokaj zjawił się na jej progu, prosząc o przyjęcie do służby. Od razu wiedziała, że ma wiele na sumieniu. Był za przystojny, zbyt śmiały, zbyt ambitny i nie miał referencji. Wypytała o niego i dowiedziała się, że z ostatniego miejsca służby zwolniono go, bo uwiódł córkę swego pana.

Miał niejedno na sumieniu i właśnie dlatego był dla niej wymarzonym człowiekiem.

Otworzyła drzwi i weszła do kapliczki. Okna w grubych murach były wysoko, toteż wpadające przez nie światło nie sięgało podłogi. Przy ołtarzu Jessica przystanąła. Stały tam dwa miniaturowe portrety przedstawiające jej córkę, Caroline, i syna, Williama.

Najpierw wzięła do ręki portret Caroline. Spojrzała na nią poważna młoda panna. Biedaczka. Zawsze była chorowita. Zawieźli ją do najlepszych lekarzy, do samego Londynu, ale i oni nic jej nie pomogli. Umarła w Londynie na gorączkę piersiową, gdy miała zaledwie szesnaście lat. Przynajmniej jednak miała swój grób na cmentarzu w Stoneleigh. Była to drobna pociecha. William nie miał nawet tego.

Odstawiła na miejsce portret Caroline i spojrzała na syna.

- Niedługo cię znajdziemy - powiedziała do niego. - Obiecuję ci. Przecież wiesz, że mama nigdy nie łamie danego słowa.

Peter Fallon patrzył, jak jego chlebodawca nerwowo chodzi tam i z powrotem przed kominkiem. Byli w prywatnym salonie zajazdu Pod Kotem i Skrzypcami w Stoneleigh i chwilę wcześniej

otworzyli butelkę burgunda, czekając na przyniesienie kolacji. Max zadał kilka zdawkowych pytań o pobyt Petera w Exeter, widać było jednak, że tamtejsza gazeta teraz nie ma dla niego znaczenia. Petera to nie zdziwiło. Sara Carstairs zawsze budziła obsesyjne zainteresowanie jego chlebobdawcy.

Peter był szczupłym człowiekiem z ni to jasnymi, ni to ciemnymi włosami, które zaczynały już rzednąć na skroniach, co trochę go postarzało. Jego twarzy na pewno nie nazwałoby się ładną, ale była miła, ciepła, przyjacielska, a Peter dobrze wiedział, że taka fizjonomia w jego zawodzie bardzo się przydaje. Ubrania nosił kosztowne, dobrze skrojone, pilnował jednak, żeby nie były ani zbyt modne, ani zbyt staroświeckie. Krótko mówiąc, nie wyróżniał się w tłumie i to też stanowiło atut w jego profesji.

Zgodnie z poleceniem Maksa spędził cały dzień na wypytywaniu mnóstwa nieciekawych ludzi, którzy nie chcieli, by ich o cokolwiek pytać. Czekając na chlebobdawcę, czuł śmiertelne znużenie, teraz jednak wrócił mu wigor. Wreszcie ją mieli. Sara Carstairs wyszła z ukrycia i „Courier” dopadł ją pierwszy.

Wprawiło to Petera w triumfalny nastrój.

To był dar od samego Boga, powiedział mu Max. Sara Carstairs znalazła się przez pomyłkę, przez to, że wybrał niewłaściwe okno.

- Sara Carstairs.

- Teraz nazywa się Sara Childe - powiedział Max. - Ale poznałem ją.

- Czy wie, kim pan jest?

- Wie, że nazywam się Max Worthe, ale nie wie o moim związku z „Courierem”. W każdym razie jeszcze nie.

Peter cicho gwizdnął.

- Na tym może się pan poślizgnąć.

Max uśmiechnął się.

- Nawet nie wiesz, jak łatwo.

- Nie wydaje się pan zanadto szczęśliwy - zauważył Peter, przyglądając mu się badawczo.

Max wzruszył ramionami.

- Jeszcze nie zdecydowałem, jak to rozegrać. Stawka jest większa, niż ci się zdaje.

- Nie rozumiem, czym się pań martwi. Nie można jej osądzić drugi raz za tę samą zbrodnię.

- Sam to sobie cały czas powtarzam - rzekł Max i przekazał treść rozmowy z sir Worem.

- Kiedy powiedziałem mu, że William miał dziecko z miejscową panną, cały spurpurowiał. Bardzo mnie zaskoczył tą reakcją. Bądź co bądź nikt nigdy nie twierdził, że William jest niewinny jak lilia.

- Może, ale rodzice zawsze lubią myśleć, że ich dzieci są idealne. Szczerze mówiąc, mnie ta informacja również nie wydaje się istotna. Ale oczywiście sprawdzę ją, jeśli ma się pan lepiej poczuć z tego powodu.

- Dziękuję. Teraz powiedz, czego ty się dowiedziałeś.

Służąca wniosła pierwsze danie, więc zajęli się jagnięciną w potrawce oraz pierożkami. W przerwach między kęsami Peter składał sprawozdanie. Ludzie w Stoneleigh, powiedział, mają buzie zamknięte mocniej niż ostryga skorupę.

- Nie chcę rozmawiać o Sarze Carstairs i nie chcę kontaktów z kimś, kto miał jakikolwiek związek z procesem - ciągnął. - Bo widzi pan, Max, wtedy spłynęła na nich sława. Zwykli ludzie i dziennikarze z całej Anglii przyjechali do tej targowej miejsciny i pytali dosłownie o wszystko. Miejscowym woda sodowa zaczęła uderzać do głowy. Każdy miał do opowiedzenia swoją historię o Sarze Carstairs i Williamie Neville'u, a jeśli ktoś nie miał, to na poczekaniu wymyślał, żeby nie być gorszym od innych. Rozumie pan?

- Rozumiem - odrzekł spokojnie Max. - Mówisz, że historie, które krążyły po okolicy na temat Sary Carstairs, zawierały dużo przesadzonych faktów.

- Właśnie. A niektóre z nich były od początku do końca zmyślane. To straszne, wiem, ale trzeba pamiętać, że takie obłeśne plotki nie miały wpływu na przebieg procesu. Poszlaki przeciwko Sarze Carstairs były i są bardzo obciążające. Myślę, że ona jest winna.

- Mów dalej. Czego jeszcze się dowiedziałeś?

- Weźmy na przykład opowiadanie o jej narzeczonym, Francisie Blamiresie. Plotki głoszą, że zerwał z nią zaręczyny po jej aresztowaniu. Ale w rzeczywistości było całkiem inaczej.

- Co się z nim stało?

- Phi, ożenił się z kimś innym i wyjechał. Ma teraz farmę, chyba w hrabstwie Kent.

Po chwili Max spytał:

- A co z przyjaciółmi Williama, tymi, którzy zeznawali podczas procesu?

- Nie byli stąd. Przyjechali z Londynu na zaproszenie Williama. Znasz ten gatunek ludzi, którzy lubią gdzieś pobyć na cudzy koszt. William wynajął im pokoje w zajeździe King's Head. Nie szczędził na nich wydatków. Ale nikt nie wie, gdzie ci ludzie są teraz.

- Jeśli mieszkańcy Stoneleigh mają buzie zamknięte mocniej niż ostryga skorupę, to skąd wzięłeś te wszystkie informacje?

- Gdybym zdradził panu moje metody, mógłby pan zrezygnować z moich usług. I co bym wtedy zrobił? No, niech pan tak na mnie nie patrzy, Max. Nie zrobiłem nic niezgodnego z prawem.

- Peter...

Peter parsknął śmiechem.

- Najwięcej usłyszałem od konstabla. Wypiliśmy w zajeździe po kufelku piwa. Powiedziałem mu, że chciałbym się gdzieś osiedlić, ale miejscowi odnoszą się do obcych tak nieprzyjaźnie, że chyba nie mógłbym tutaj dobrze się poczuć. Wtedy zaczął mi tłumaczyć, dlaczego mieszkańcy Stoneleigh lubią trzymać język za zębami.

- Nikt nie zapamiętał cię z procesu?

- E, tam. Od tamtej pory minęły trzy lata, a ja umiem schować się w tłumie. Inaczej niczego bym nie zdziałał w naszej branży.

- Czego jeszcze się dowiedziałeś?

- Po procesie poczciwcy ze Stoneleigh myśleli, że wszystko będzie normalnie. Panna Carstairs wróciła do domu i znowu zamieszkała z rodziną. Ale nic nie ułożyło się normalnie, w dużej części dlatego, że sir Ivor Neville wyznaczył nagrodę za informację, która pomogłaby odnaleźć jego syna. Na miasteczko najechały hordy ludzi. Mieszkańcy nie mogli zrobić kroku, żeby nie natknąć się na obcych, którzy szperali po piwnicach i opuszczonych farmach albo rozkopywali ogródki i pola. A gdy „Courier” podwoił nagrodę, zrobiło się naprawdę niedobrze.

Peter przerwał sprawozdanie, bo jego chlebobdawca hałaśliwie sięgnął po butelkę burgunda i nalał wina do kieliszków.

- Nie mógł pan wiedzieć, że tak się to skończy - rzekł Peter. Max na chwilę podniósł głowę.

- Nie mogłem. Mów dalej. Co to znaczy, że zrobiło się naprawdę niedobrze?

Peter pożałował, że w ogóle otworzył usta. Dobrze znał właś-

ciciela „Couriera” i wiedział, że teraz jest bliski furii i że to on, Peter, będzie musiał ścierpieć ten atak wściekłości.

- No?

- No, więc... - zaczął, starannie dobierając słowa, choć i tak było już na to za późno - gromada młodych ludzi, a właściwie rzezimieszków najechała domostwo Carstairsów. Byli pijani. Mieli broń i zażądali, żeby Sara Carstairs pokazała im, gdzie ukryła ciało Williama. Zaczęli strzelać w okna. Na szczęście nikt nie został ranny, a gdy ktoś z wnętrza domu odpowiedział ogniem, banda się wycofała. Ale to ich nie usatysfakcjonowało. Znaleźli w pobliżu wdowi domek, ten, w którym kiedyś mieszkali Anne z Williamem, i podłożyli pod niego ogień. Następnego dnia Sara Carstairs opuściła Stoneleigh i zaczęła się ukrywać.

Peter upił duży łyk wina. Miał ochotę osobiście kopnąć się w cztery litery. Od efektownego początku doszedł do bardzo niemiłego końca. Sam nie rozumiał, dlaczego tak się stało. W każdym razie był najwyższy czas zmienić kierunek opowieści.

- Wie pan, co myślę, Max? Myślę, że ona jedzie do Stoneleigh.

- Po tym, co mi powiedziałeś, to wydaje się mało prawdopodobne.

- Ale tamto zdarzyło się wiele lat temu, zaraz po procesie. Teraz jest inaczej. Miejscowi bardzo się wstydzą tego, jak wtedy postępowali. Przyjęliby ją, a w każdym razie tolerowali dopóty, dopóki poszukiwacze sensacji trzymaliby się z dala od Stoneleigh.

- Sir Ivor jest innego zdania. Mówi, że miejscowi by ją ukamienowali.

- O, nie. To jest tylko jego nabożne życzenie.

- Po co Sara Carstairs miałaby wrócić do domu?

- Może zmęczyło ją życie pod przybranym nazwiskiem.

- To dlaczego podróżuje jako Sara Childe?

Peter przeciągle westchnął.

- Nie mam pojęcia. Ale na mój nos to ona zmierza do domu. Zobacz, przejechała tyle kilometrów z Londynu do Bath i tam zatrzymała się na kilka tygodni. Może chce się upewnić, że nikt jej nie śledzi. A może czeka na męża albo kochanka. Kto wie, co się z nią działo przez te trzy lata? W każdym razie mnie się zdaje, że jej celem jest dom. Bath leży w odległości zaledwie jednego dnia jazdy konno od Stoneleigh. Ona się cały czas zbliża. Robi to powoli i ostrożnie, ale proszę mi wierzyć, że ma zamiar wrócić.

Max zapatrzył się w bursztynowy płyn w swoim kieliszku.

- Czy jesteś przekonany o jej winie?

- Nic mnie nie zachwiało w tym przekonaniu. To, co stało się po procesie w Stoneleigh, było karygodne. Głęboko nad tym ubolewam. Możliwe też, że William Neville był łotrem. Ale to nie zmienia faktów. Sara Carstairs miała z nim romans. Nigdy temu nie zaprzeczyła. A...

Max uniósł dłoń.

- Pomału, Peter. Nie jestem głupi i nie daję się nabierać na kobiecie sztuczki. Chcę wiedzieć tylko jedno: czy William Neville żyje, czy nie.

- I czy Sara Carstairs zaprowadzi nas do jego ciała.

Max strzepnął pyłek z rękawa.

- Jeśli tak, to będziemy wiedzieć, że jest winna, i opublikujemy całą historię w „Courierze”. - Spojrzał na zegarek. - Powinienem jechać, póki jeszcze coś widać. Może zdążę dotrzeć przed zmierzchem do Salisbury.

- Wraca pan prosto do Bath?

- Naturalnie.

- A co ja mam robić?

- Zostań tutaj i czekaj na pannę Carstairs. Pod jakim pretekstem się tu zatrzymałaś?

- Co? Ach, mam infekcję dróg oddechowych, więc lekarze zalecili mi zmianę klimatu i świeże wiejskie powietrze. Ale nich mi pan powie jeszcze, gdzie w razie czego mam pana szukać.

Max dopił burgunda. Po chwili odpowiedział:

- Pamiętaj, Peter. Jeśli zobaczysz, że Sara Carstairs ma cień, to wiedz, że tym cieniem będę ja.

8

Sara przyglądała się swemu odbiciu w dużym podłużnym lustrze. Jak przystało na damę do towarzystwa, miała suknię z podniesionym stanem i długimi rękawami, uszytą z szarej krepy. Zaczesane do tyłu włosy skromnie schowała pod koronkowym czepkiem. W ten sposób osiągnęła swój cel. Postarzyła się i wyglądała jak stateczna, rozważna dama, która dobrze wie, co robi.

Była zdenerwowana, bardzo zdenerwowana, tego wieczoru bowiem postanowiła ujawnić najlepszemu ze swoich kandydatów, panu Townsendowi, że to ona zamieściła ogłoszenie w „Bath Chronicie”. Niechybnie oczekiwały ją pytania, na które wolałaby nie odpowiadać, lecz zwłaszcza jedna konieczność budziła w niej gwałtowny opór. Musiała powiedzieć panu Townsendowi, jak się nazywa. Do aktu małżeństwa trzeba było wpisać prawdziwe nazwisko, bo inaczej dokument nie mógłby posłużyć jako dowód w sądzie, gdyby kiedykolwiek okazał się potrzebny.

To samo dotyczyło intercyzy, którą Sara miała zwiniętą w rulonik w torebce. Londyńscy adwokaci zapewnili ją, że tak przygotowany dokument jest wiążący i ma takie samo znaczenie prawne jak każda inna umowa. Bardzo Sarę interesowało, jak zachowa się pan Townsend.

Przecież odpowiedział na moje ogłoszenie, powtórzyła sobie w myślach. Tylko naprawdę zdesperowany człowiek posunąłby się tak daleko. Była więc duża szansa, że pan Townsend przyjmie jej propozycję.

Przez ostatnie dni mieli okazję kilka razy porozmawiać i z każdą

rozmową Sara coraz bardziej go lubiła. Opowiadał przede wszystkim o swoich dzieciach, czasem także o żonie. Budził sympatię; mając takiego wuja lub ojca na pewno byłaby szczęśliwa.

Inni kandydaci nie zrobili na niej najmniejszego wrażenia. Praktycznie ignorowali ją, była bowiem tylko damą do towarzystwa, płatną służącą, nie zaś sakiewką, wokół której warto się zakrzętać. Sara bardzo była zadowolona, że jej maskarada przynosi efekty. Panna Beattie skupiała całe zainteresowanie na sobie. Nawet rozmowy Sary z panem Townsendem odbywały się zawsze w jej obecności. Nikt nie szukał jej towarzystwa. Nikt nie widział w niej kobiety.

Nikt z wyjątkiem Maksa Worthe'a. To znaczy lorda Maxwella, poprawiła się w myślach. Ale jego od dwóch dni już w Bath nie było i nie spodziewała się, by wrócił. Widocznie wreszcie zrozumiał, że między nimi nic nie będzie, i z godnością ustąpił pola.

Ponieważ przestał sprawiać jej kłopoty, mogła teraz uczciwie przyznać, że za nim tęskni. Nawet jeśli był dandysem i koryntianinem, polubiła go, naprawdę polubiła. Podobały jej się nawet jego buty z kutasikami i halsztuk z fantazyjnym węzłem. Max mówił różne oburzające rzeczy, na które dama nie powinna pozwolić. Drażnił się z nią, czego nikt przedtem nie próbował. Może gdyby sytuacja była inna, to nauczyłaby się od niego szermierki na słowa.

Gdyby sytuacja była inna... Zawsze zawierano takie małżeństwa. Arystokraci bez pensa przy duszy żenili się z bogatymi pannami, których ojcowie zbili majątek na handlu. Jej też kiedyś niewiele do tego brakowało. Ale Sary Carstairs, którą wszyscy uważali za morderczynię, nikt nie traktował jak dobrej partii. Zresztą Max też nie był dobrą partią. Powiedział jej przecież, że tytuł, który mu przysługuje, jest grzecznościowy. Naturalnie chciała się dowiedzieć o nim więcej szczegółów, ale powstrzymała się od zadawania pytań, obawiała się bowiem, że jeśli ich znajomość posunie się za daleko, to rozstanie będzie zbyt bolesne, zwłaszcza dla niej.

Im mniej o sobie wiedzieli, tym w sumie lepiej. Sara postanowiła ukryć wspomnienia o Maksie w najciemniejszym zakamarku serca i tylko od czasu do czasu poświęcać mu jakąś miłą myśl. Tak miało być już zawsze. Max pozostanie dla niej odległym, choć miłym wspomnieniem.

Nie było czego żałować.

Panna Beattie czekała na nią w sieni. W ciemnoniebieskiej sukni i dopasowanym kolorystycznie czepku wyglądała bardzo elegancko. Od dnia wyjazdu Maksa biedna Bea była bardzo przygnębiona. Nie można jej było wytłumaczyć, że zbyt nie zacieśnienie stosunków z tym dżentelmenem stanowiłoby niebezpieczną komplikację w ich planie.

- Jesteś gotowa? - spytała panna Beattie.
- Tak. Gdzie jest pani Hastings?
- Poszła przodem z panną Perry i panią Harman.
- No, to idziemy.

Wybrały się do Sydney Gardens na koncert i pokaz sztucznych ogni, który miał się odbyć po zachodzie słońca.

Właśnie wtedy Sara zamierzała ukradkiem wymknąć się do hotelu Sydney i tam zawrzeć umowę z panem Townsendem.

Max odbył podróż powrotną do Bath w rekordowym czasie, toteż hojnie wynagrodził woźnicę wynajętego powozu za dotrzymanie terminu. Po wejściu do hotelu zażądał od gospodarza przydzielenia mu jednego z lokajów na osobistego służącego. Był zmęczony przemierzaniem Anglii wzdłuż i wszerz w rozklekotanych, wynajętych powozach z połamanymi sprężynami i czekaniem, aż przypadkowa służba łaskawie zainteresuje się jego potrzebami. Nawet jeśli był to z jego strony postępek niedemokratyczny, to trudno, mógł z tym jakoś żyć.

Gospodarz zauważył pańską minę Maksa, chłodne, niebieskie oczy i uśmiech, który właściwie trudno było nazwać uśmiechem, i zanim zorientował się, co robi, skłonił się przed jego lordowską mością.

Tak to jest z tymi arystokratami, powiedział żonie po tym, jak osobiście musiał dopilnować przygotowania kąpieli jaśnie pana. Raz klepią cię po ramieniu, a zaraz potem zadzierają nosa. I nie ma sprawiedliwości, bo to od nich wszystko zależy. Jeśli powiesz takiemu coś do słuchu, zaraz rozpowie to przyjacielom i potem pies z kulawą nogą nie zatrzyma się w hotelu. I jak tu żyć?

Na służącego przydzielił Maksowi swego syna i spadkobiercę, a ponieważ Roiło był żywo zainteresowany zadowoleniem jego lordowskiej mości, niecałą godzinę później Max był już wykąpany,

przebrany i wzmocniony jedną z najlepszych kanapek z wołowiną, jakie kiedykolwiek miał w ustach.

Sprawna obsługa znacznie poprawiła mu humor. Wszak nie wychowywano go w taki sposób, by dawał wszystkim odczuć, że jest lordem. Uspokoił więc sumienie, wręczając Rollowi hojną zapłatę, a potem odszukał gospodarza z żoną i - ku ich bezbrzeżnemu zdumieniu - zaczął wychwalać hotel pod niebiosami.

Wyszedł na ulicę z uśmiechem na twarzy, ale gdy przeszedł High Street i skręcił na Pulteney Bridge, przestał się uśmiechać. Skupił się bowiem na niedawnej rozmowie z Peterem Fallonem, która dała mu wiele do myślenia.

A może czeka na męża albo kochanka. Kto wie, co się z nią działo przez te trzy lata?

Wychodzą za mąż, Max.

Nie uwierzył jej, ale po rozmowie z Peterem zobaczył sprawy w innym świetle. Sara nie przyjechała do Bath dla podreperowania zdrowia. Ale jeśli był to tylko etap w drodze do Stoneleigh, to dlaczego siedziała tu tak długo?

Wychodzą za mąż, Max.

Im więcej o tym myślał, tym silniejsze podejrzenie go dręczyło.

Przed nim jarzyły się okna hotelu Sydney, a dalej ciągnął się park Sydney Gardens, w którym między drzewami wisiły kolorowe latarnie. Przed jego wyjazdem z Bath panna Beattie powiedziała mu, że tego wieczoru będą z Sarą na pokazie sztucznych ogni. W zasadzie prawie zaprosiła go do towarzystwa.

Zapłaciwszy przy bramie za wstęp, przystanął. Było po dziesiątej i ściemniło się już na tyle, że wkrótce można było rozpocząć pokaz. Tymczasem wciąż jeszcze grała orkiestra, toteż oprócz śmiechów i gwaru rozmów dolatywały do niego również urywki melodii. Ludzie przechadzali się po parku, podziwiając pracowitą iluminację fontann i krzaków.

To jest w Bath szczyt szaleństwa, pomyślał Max i uśmiechnął się.

Swoje damy znalazł na rozległej połaci trawy, na której grała orkiestra. Panna Beattie i pani Hastings siedziały na jednej z wielu ławek, ustawionych tam dla widzów.

Pani Hastings dostrzegła go pierwsza i pisnąwszy z zachwytem, pomachała mu ręką. Na twarzy panny Beattie odmalował się wstrząs.

- Myślałam, że wyjechał pan z Bath na dobre - powiedziała, gdy skłonił się nad jej dłonią.

- Czyżbym nie wspomniał, że za kilka dni wrócę?

- Tak, ale... - Bezradnie wzruszyła ramionami. - Młodzi ludzie czasem mówią co innego, a robią co innego.

Max przyjrzał się pannie Beattie. Wydawała się zdenerwowana, mimo że zaskoczenie jego widokiem zaczęło ustępować miejsca niekłamanemu zadowoleniu.

Po chwili jego wzrok ściągnęła na siebie pani Hastings.

- Gdybyśmy wiedziały, lordzie Maxwell, że zdaży pan wrócić na pokaz sztucznych ogni, zaprosiłybyśmy pana potem na mały poczęstunek. - Uśmiechnęła się doń powabnie. - Pewnie nie chciałby pan przyłączyć się do kompanii czterech lub pięciu dam na kolacji w hotelu Sydney. - Nagle zasłoniła usta dłonią. - Ojej, przepraszam, panno Beattie. Całkiem zapomniałam, że to pani urzęduje ten poczęstunek.

Panna Beattie uśmiechnęła się w nieco wymuszony sposób.

- Rzecz jasna jest pan serdecznie zaproszony, lordzie Maxwell, ale nie urazi pan naszych uczuć ewentualną odmową. Jestem pewna, że młody człowiek ma lepsze zajęcia niż bawić gromadkę podstarzałych dam.

- Damskie przyjęcie? - spytał Max. - Nie, nie, tylko bym zawadzał. - Potem zaś dodał z głupią frazą: - A czy panny Childe tam nie będzie?

Tym pytaniem wyraźnie stropił pannę Beattie.

- Sary? - Rozejrzała się, jakby się spodziewała, że jej dama do towarzystwa nagle wyłoni się z tłumu.

Jej westchnienie wydało się Maksowi znakiem rezygnacji, ale gdy dama na niego spojrzała, wyczytał z jej oczu coś zgoła innego, jakby nadzieję.

- Naturalnie, że Sara również będzie obecna - odrzekła. - W tej chwili jest w hotelu i dogląda przygotowań w prywatnym saloniku, który wynajęłam, żeby nasza kolacja była udana. Powiedziała, że nie lubi sztucznych ogni, więc chętnie się tym zajmie.

Zdobywszy potrzebne wiadomości i dawszy pannie Beattie do zrozumienia, że właśnie o tym chodziło, Max wygłosił jeszcze kilka uwag na temat orkiestry i parku, po czym odszedł.

Gdy skierował kroki w stronę hotelu Sydney, przemknęło mu przez myśl, że prowadzi go błogosławieństwo panny Beattie.

W recepcji spytał o prywatny salon zarezerwowany przez pannę Beattie. Pięć minut później pchnął drzwi saloniku, a to, co zobaczył, doprowadziło go do pasji.

Jakiś mężczyzna obejmował Sarę i całował ją w czoło. Max trzasnął drzwiami z taką siłą, że omal nie wypadły z zawiasów. Para rozłączyła się raptownie, jakby z poczuciem winy.

- Max! - zduszonym głosem krzyknęła Sara.

Wszedł głębiej do saloniku. Błysk w jego w oczach i uśmiech na twarzy dziwnie do siebie nie pasowały.

- Pan Townsend, prawda? - Elegancko skłonił się przed mężczyzną, co zagadnięty skwitował nieznacznym pochyleniem głowy. - Panna Beattie przysłała mnie tutaj - wycedził - żebym dotrzymał towarzystwa jej damie do towarzystwa, co stawia mnie w dość niezręcznej sytuacji. Normalnie nie przeszkażalbym, ale sam pan rozumie sytuację.

- Mam nadzieję, sir, że umie pan poznać całkiem niewinny pocałunek - odrzekł sztywno pan Townsend.

- Nie wątpię w jego niewinność - potwierdził Max, nadal cedząc słowa. - Pan mógłby przecież być ojcem obecnej tutaj damy. - Na chwilę zamilkł. - Zdaje się, że pan już wychodził, prawda?

Pan Townsend spurpurowiał na twarzy i to rozwścieczyło Sarę. Stała plecami do Maksa i podała panu Townsendowi rękę. Uśmiechając się do niego, powiedziała ciepło:

- Do widzenia, panie Townsend. Serdecznie dziękuję panu za... za wszystko. - Odwróciła się z powrotem do Maxa. - A teraz, panowie zechcą mi wybaczyć, ale mam tu co robić.

- Czy mogę pomóc? - spytał Max.

- Nie!

- Wobec tego spokojnie poczekam na nadejście panny Beattie. Muszę spełnić jej oczekiwania. Dobranoc, panie Townsend.

Mężczyzna popatrzył na Maksa, otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, lecz widocznie się rozmyślił, bo niedbale skinął głową i wyszedł z saloniku.

Ignorując obecność Maksa, Sara zaczęła się krzątać przy stole, rozkładać sztućce i serwetki. Max podszedł do kredensu, podniósł wieczko srebrnego naczynia i wyjąwszy stamtąd kawałek ogórka, nadziany tartym jabłkiem i daktylami, zaczął go przeżuwać. Przełknął przekąskę i poczęstował się następnym kawałkiem.

Gdy Sara nie mogła już dłużej znieść milczenia, przerwała swoją krzątaninę i spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie wierzę, że panna Beattie tu pana przysłała, żeby dotrzymał mi pan towarzystwa.

- Nie użyła dokładnie tych słów - wyjaśnił Max. - Widziałam jednak, że się o panią martwi. A ponieważ powiedziała mi, gdzie pani szukać, czułem się w obowiązku zapewnić pani ochronę.

- Bardziej trzeba mnie chronić przed panem niż przed panem Townsendem.

Groźny błysk w oczach Maksa dawno już zgasł. Teraz śmiały się one bardzo radośnie.

- Jeśli to ma znaczyć, że nie pocałowałbym pani w taki sposób jak pan Townsend, to istotnie nie.

Skarciła go chłodnym spojrzeniem i wróciła do swojego zajęcia.

Max odsunął się od kredensu.

- Czego chciał Townsend?

- Niczego. Zobaczył, że tu wchodzę, i przyszedł zamienić ze mną kilka słów. To bardzo miło z jego strony.

- A za co mu pani dziękowała?

- Rozmawialiśmy o książkach i obiecał mi kilka pożyczyc. Czy to pana zadowala?

- A dlaczego panią całował?

Sara wyzywająco uniosła głowę.

- Chwilę wcześniej powiedziałam mu, że wkrótce wychodzę za mąż, więc chciał mi złożyć życzenia wszystkiego najlepszego. To zresztą nie jest pana sprawa.

- Aha, znowu jesteśmy przy duchu narzeczonego. W każdym razie mam nadzieję, że to jest tylko duch. Tak byłoby lepiej i dla pani, i dla niego.

- Nie rozumiem, co pan ma na myśli.

- Nie? Chciałem powiedzieć, że jest pani stanowczo za młoda, żeby nosić koronkowe czepki. Czy to ma mnie odstraszyć?

Zanim zdążyła się odsunąć, zerwał czepkę z jej głowy i wyciągnął szpilki, więc rozpuszczone, faliste włosy rozsypały się na wszystkie strony.

Chwycił ją za ramiona.

- Dlaczego panna Beattie martwi się o panią, Saro?

- Mówi pan od rzeczy, Max.

Przesunął dłonie wzdłuż jej ramion i zatrzymał je na talii.

- Zdaje się, że rozumie pani tylko jeden język.

Pocałował ją w usta tak niewinnie, jakby na jego miejscu był pan Townsend, z tą różnicą że pocałunek Maksa bardzo Sarę ożywił. Tym razem wiedziała, co się stanie, i była na to przygotowana. Musiała zmobilizować całą siłę woli, żeby przeciwstawić się burzy zmysłów - powieki jej ciążyły, a nagła słabość kazała szukać oparcia w mężczyźnie. Ale zdołała się opanować.

Gdy Max podniósł głowę, była pewna, że odniosła zwycięstwo, i odetchnęła z ulgą.

Spojrzał na nią śmiejącymi się oczami.

- Och, Saro. To też pani nie pomoże.

Przytrzymał ją mocniej w talii, przyciągnął do siebie i pocałował znowu. Tym razem nie była to nieśmiała pieszczota, lecz znak posiadania. Sara z każdą chwilą bardziej traciła panowanie nad sobą.

Max wsunął palce w jej włosy i podparł dłonią głowę. Sara miała miękkie, powabne usta i lgnęła do niego całym ciałem. Czuł, jak napiętność porywa ich oboje. Miał ochotę wziąć ją tu i teraz, na podłodze.

W tej chwili błysnęło i zagrzmiało. Siła Maksa wzbudziła nabożny podziw w Sarze. Ale następny grzmot przywrócił jej trzeźwość myślenia. Czar namiętnej chwili prysł.

Gdy Max się cofał, Sara dusiła się ze śmiechu.

- Myślałam, że to pan! Myślałam, że to pan!

Uwolniła się z jego objęć i wskazała ku oknu.

- Myślałam, że to pan. A to tylko sztuczne ognie.

Marsowa mina Maksa stopniowo łagodniała, w końcu i on wybuchnął śmiechem.

Zdawało mu się, że Sara przemieniła się w rusałkę. Ta kobieta naprawdę miała wiele twarzy, a każda z nich była fascynująca. Wreszcie zrozumiał pasję posiadania spalającą znawców piękna. Był gotów oddać niemal wszystko, byle mieć Sarę.

Gdy zbliżył się do niej o krok, przestała się śmiać, ale nie cofnęła się. Ujął ją pod brodę.

- Musi pani poczekać, aż będziemy razem - odrzekł. - Obiecuję niejedną racę.

Jej oczy zabłysły, ale zaraz spochmurniały.

- Moje „nie” jest ostateczne, Max.

- To niech mnie pani o tym przekona, żebym uwierzył. No, niech mnie pani przekona.

Długo milczała, spoglądając na niego z wyrzutem, więc wreszcie poklepała ją po policzku tak, jak mógłby to zrobić pan Townsend, i opuścił salonik.

Nie interesował go pokaz sztucznych ogni, dlatego po zejściu na parter zajrzał do hotelowego baru. Tłoczyli się tam dżentelmeni, którzy jak należało sądzić po opowiadanych dowcipach- skorzystaliby z nieuwagi wpatrzonych w niebo małżonek i mieli nadzieję wrócić na czas, zanim panie się opamiętają i zauważą ich nieobecność.

Zamówił brandy i opierając się łokciem o kontuar, rozejrzał się po pomieszczeniu. W Bath nie znał prawie nikogo, ale natychmiast poznał twarz dżentelmena, któremu przedstawiono go w pijalni. Dżentelmen ów wstał i zaczął się przepychać w jego stronę.

Max przypomniał sobie nazwisko tego człowieka, Bloor, i zapach stajni. Tego wieczoru jednak pan Bloor pachniał wyłącznie alkoholem.

- Jeszcze raz to samo! - zagrmiał do barmanki.

Max odsunął się nieco, żeby zrobić dla niego miejsce.

- Co za impertynencja! - mruknął pan Bloor. Gdy barmanka podała mu pół szklaneczki whisky, chciwie przełknął duży łyk trunku. Następne jego pomruki były zupełnie niezrozumiałe, ale gdy skupił wzrok na twarzy Maksa, powiedział całkiem wyraźnie: - Pan Maxwell, prawda?

- Mniej więcej - przyznał Max.

- Tak myślałem. Spotkaliśmy się... och, już zapomniałem gdzie.

- W pijalni - przypomniał mu Max.

Pan Bloor znów pociągnął łyk whisky ze szklaneczki.

- Niech je wszystkie piorun strzeli - rzekł i otarł usta rękawem.

- Kogo? - zainteresował się Max. Rozejrzał się po gościach, żeby sprawdzić, czy jest wśród nich pan Townsend. Zachował się wobec niego niegrzecznie i chciał mu to wynagrodzić postawieniem drinka. Że też mógł być zazdrosny o takiego starego dziada! Jego przyjaciele umarliby ze śmiechu, gdyby wiedzieli, jak skończył Max Worthe.

- Kogo? - powtórzył groźnie Bloor, patrząc bykiem na Maksa. - Wszystkie kobiety! Niech je piorun i do diabła z nimi! Gdybym nie był dżentelmenem, przełożyłbym ją przez kolano i złał po tyłku.

- Znam to uczucie - wyraził zrozumienie Max.

Był czas wyjść. Townsenda nie było, Bloor zachowywał się

uciażliwie, a bar powoli pustoszał, bo pokaz sztucznych ogni dobiegł końca.

- Wielka mi dama! Zadziiera nosa, ot co! - sierznił się Bloor. - Skąd miałem wiedzieć, że to nie ta? Haig pomyślał tak samo. Czyż nie flirtowała z każdym starszym mężczyzną? Nie zrobiłem nic gorszego niż major, a ona prawie mi złamała nos. Tylko dlatego że ją pocałowałem.

Pamięć zrobiła swoje. Na wargach Maksa zaigrał leniwy uśmiezek.

- A mnie powiedziała, że moje pocałunki są jak race.

Bloor spojrział na niego bardzo podejrzliwie.

- Kim ona jest? Chciałbym to wiedzieć. Najpierw sądziłem, że chodzi o pannę Beattie, ale ona nie ma wypchanej kieszeni, bo inaczej nic mieszkaby u pani Hastings. Więc potem pomyślałem, że to ta, co zadziiera nosa, panna Penwarren. Ona ma pieniądze jak lodu i wydaje je bez umiaru. Ale powiedziała mi, że nic nie wie o żadnym ogłoszeniu. Już po tym, jak mnie uderzyła w nos. Co, u diabła, kobiety trzymają w torebkach? Granitowe bloki?

Na wzmiankę o pannie Beattie czujność Maksa zaostrzyła się. Ponieważ jednak wyczuwał wrogość swojego rozmówcy, musiał postępować ostrożnie.

- Ogłoszenie? Ach, rozumiem. Opacznie pan zrozumiał.

- No, ona nie podpisała go nazwiskiem, jeśli o to chodzi, ale w Bath nie ma zbyt wielu dam, które mają dość pieniędzy, żeby kupić sobie męża. Ciekaw jestem, kogo wybrała.

- Nie mnie - odparł Max. Upił łyk brandy i czekał, co będzie dalej.

Pan Bloor wlepił w niego wzrok, aż wreszcie się uśmiechnął.

- To wiem. Pan jest jeszcze gołowąsem, a ona chciała trochę starszego.

- Skąd pan wie?

- Umieć czytać między wierszami. Chciała pana pocziwego charakteru, prawda? Wiek i majątek bez znaczenia, zgadza się? No więc ja owszem, chętnie. - Dopił whisky. - Kłopot w tym, że połowa mężczyzn w Bath jest tak samo chętna, nawet jeśli to ma być małżeństwo z rozsądku. - Wymierzył Maksowi sówkę w bok i mrugnął porozumiewawczo. - Ja jej dam małżeństwo z rozsądku! Zmieni zdanie, jak tylko skosztuje tego, co mogę jej zaproponować. - Nagle przyszło mu coś do głowy, bo wykrzyknął: - A pan ją podobno całował, tak pan mówił.

- Nie - odparł Max. - Chodziło mi o inną damę.

Stał przy kontuarze i spokojnie składał w całość ułamki rozmowy z Bloorem. Chciała pana poczciwego charakteru, wiek i majątek bez znaczenia. Pieniądzy ma jak lodu. Dała ogłoszenie do gazety, a chodziło o małżeństwo z rozsądku.

Przymierzył to do panny Beattie, ale nijak mu nie pasowało. Ale nie pasowało również do Sary. Nie mógł zrozumieć, po co Sara miałaby uciekać się do ostateczności.

Mimo to zaniepokoił się, postanowił więc zdobyć trochę więcej wiadomości.

Następny dzień zaczął od wizyty w redakcji „Bath Chronicle”, bo z jego doświadczeń wynikało, że dziennikarze wiedzą na ogół dużo więcej, niż mają odwagę opublikować w gazetach. Tom Kent, wydawca, rzeczywiście go nie rozczarował. Członkowie redakcji zakładali się już nawet, że tajemniczą kobietą, która dała ogłoszenie, jest jednak panna Beattie, a to z tego prostego powodu, że jej dama do towarzystwa odebrała odpowiedzi. Ale to nie panna Beattie miała spotkanie sam na sam z panem Townsendem w saloniku hotelu Sydney i dlatego Max pozwolił sobie wyciągnąć własne wnioski.

Kent był też całkiem szczerzy co do osoby pana Townsenda, ale tylko dlatego, że rozmawiał z kolegą z branży i wiedział, że może liczyć na dyskrecję. Max słuchał tego i czuł, jak włosy stają mu dęba.

Ale na tym nie poprzestał. Wykorzystał swój czar, żeby zdobyć następne informacje, a gdy czar go zawodził, zawsze miał w odwodzie możliwość przekupstwa. Po trzech dniach zebrał dość faktów, by być pewnym, że małżeństwo Sary z Townsendem jest palcem na wodzie pisane.

Sara zamierzała poślubić człowieka dwa razy starszego od siebie! Czy wiedziała o jego długach? Czy znała jego charakter? Czy to ją w ogóle obchodziło?

Co ona, u diabła, wymyśliła?

9

Sara trochę się odprężyła dopiero wtedy, gdy wynajęty powóz znalazł się daleko od Bath. Jej celem była katedra w miasteczku Wells. Pan Townsend udał się tam już rano, ona natomiast wyruszyła dopiero pod osłoną ciemności. Nie chciała, by zauważono jej wyjazd. Gdyby ktokolwiek chciał odwiedzić ją w domu przy Queen Square, Bea miała go powstrzymać, mówiąc, że już położyły się spać. A nazajutrz żadne wymówki nie były potrzebne. Sara wiedziała, że do tego czasu zostanie żoną pana Townsenda.

Jej przyszły mąż załatwił wszystkie sprawy w Wells. Zdobył pozwolenie na pośpieszny ślub, znalazł duchownego, który zgodził się go udzielić, i wynajął pokoje w hotelu Pod Aniołem przy High Street. Wieczorem miał podpisać intercyzę, a z rana Sara miała zostać panią Townsend.

Okazało się to bardzo proste. Za proste.

Pan Townsend skapitulował prawie natychmiast. Suma, jakiej zażądał, była o wiele niższa, niż Sara przewidywała. Naturalnie przeżył wstrząs, gdy zdradziła mu, kim jest, ale dużo bardziej niepokoiła go jej przyszłość niż jego własna. Niełatwo było go przekonać, że nie jest to wcale poświęcenie z jej strony i że prawdziwe małżeństwo jest nie dla niej.

Max! - zdawało się rozpaczliwie krzyczeć jej serce.

Boże, co się z nią działo? Wszystko rozwijało się dokładnie według planu. Powinna się cieszyć. Skąd więc te wszystkie wahania? Max Worthe tylko niebezpiecznie komplikował sprawę, i tyle.

Koniec, kropka.

Koniec czegoś, co nigdy nie powinno się było zacząć.

Zadrżała z zimna, chociaż nie dalej jak pół godziny wcześniej zdjęta płaszcz, bo było jej za gorąco. Teraz znów włożyła wierzchnie odzienie i zapięła je na wszystkie guziki, a potem zaczęła wyglądać przez okno.

Nie było widać niczego oprócz żywo płotów, oświetlanych lampami powozu, w którym jechała. Podróż musiała już dobiegać końca, bo jazda do Wells trwała normalnie zaledwie dwie godziny, a w wyjątkowo niesprzyjających warunkach - trzy. Rano, po ślubie, pan Townsend miał wrócić do Bath, a Sara zamierzała udać się do Salisbury i tam poczekać na pannę Beattie.

Już nie uciekała. Wracała do domu, by stawić czoło wszystkim duchom przeszłości.

Gdy dojeżdżali do hotelu Pod Aniołem, padał deszcz. Portier, który zdawał się na nią czekać, wyszedł jej naprzeciwko z parasolem. Zapłaciła za podróż i wysiadła. Miała z sobą tylko jeden kufer i skórzaną torbę, którą uparła się nieść sama.

Miejsce bardzo przypominało jej hotel Christopher w Bath, w którym zatrzymał się Max. Budynek pochodził z epoki Tudorów, miał małe pokoje i długie, wąskie korytarze. Z jej pokoju rozciągał się widok na dziedziniec. Już miała otworzyć okno, gdy przypominała sobie zupełnie inny dziedziniec zupełnie innego hotelu.

Szybko jednak wymazała Maksa z pamięci, sprawdziła, czy okno jest zamknięte, i rzuciła torbę na najbliższe krzesło. Następnie doprowadziła się do porządku po podróży. Gdy była gotowa, wzięła torbę i zeszła na dół. Od recepcjonisty dowiedziała się, że zarezerwowany przez pana Townsenda prywatny salon jest na parterze, w głębi budynku, a pan Townsend czeka tam na nią.

Głęboko odetchnęła i przed wejściem do salonu przykleiła do twarzy ujmujący uśmiech. Ale widok, który zastała w środku, zmroził jej krew w żyłach. Na podłodze leżało przewrócone krzesło, pan Townsend siedział skulony na drugim krześle i trzymał przy nosie zakrwawioną chustkę. Jej wzrok przeniósł się na człowieka stojącego w nonszalanckiej pozie przy kominku i popijającego bursztynowy płyn ze szklaneczki.

Max.

Kolana się pod nią ugięły. Chwyliła za oparcie najbliższego krzesła, żeby nie stracić równowagi. W tej chwili pozbyła się ostatnich wątpliwości. Słusznie żywiła obawy. Max Worthe był nieprzewidywalny i bardziej niebezpieczny niż tygrys.

On tymczasem uniósł szklaneczkę w powitalnym geście, obojętny na krwawą scenę obok.

- Wreszcie przyjechała panna Childe - powiedział. - Townsend i ja już zaczęliśmy się zastanawiać, co panią zatrzymuje.

Panna Childe. Jej lęk nieco przycichł. Najwidoczniej Townsend nie zdradził mu jej prawdziwego nazwiska.

Gdy pan Townsend wydał nieartykułowany dźwięk, rzuciła torbę na ziemię i szybko do niego podeszła.

- Co tu się dzieje? Co tu robi lord Maxwell? Proszę pozwolić, że panu pomogę.

Townsend odsunął jej wyciągniętą rękę.

- Dam sobie radę.

Max zazgrzytał zębami.

- Niech pani nie marnuje współczucia na tego typu. Dostał to, na co zasłużył.

- Jak pan mógł tak się zachować?! - krzyknęła i zwróciła się do Townsenda: - Czy mam wezwać doktora? Czy nic panu nie jest? Niech pan coś powie, panie Townsend.

Max sprawiał wrażenie śmiertelnie zmęczonego.

- Na miłość boską, przecież jemu tylko krew leci z nosa.

Ze złością odwróciła się do Maksa.

- Chciałabym usłyszeć, co ma do powiedzenia pan Townsend.

- Ten pan napadł na mnie - stwierdził jej narzeczony. - Napadł zupełnie bez powodu.

- Ja tylko go zatrzymałem, żeby nie uciekł.

Spojrzała Maksowi w oczy. Czasem trudno było cokolwiek z nich wyczytać. Zawsze sprawiał wrażenie nonszalanckiego, niczym nie przejmującego się człowieka. Ale Sara nauczyła się już, że to jest tylko jedna strona jego charakteru. Pod maską czarującego mężczyzny kryła się nieustępliwość. Oczy, które się w nią w tej chwili wpatrywały, były bystre, czujne i błyszcząły emocją.

Skoro jednak był wściekły, to znaczy, że mieli ze sobą wiele wspólnego, bo ona również kipiała ze złości.

- Co pan tu robi, Max? Skąd się pan dowiedział o panu Townsendzie i o mnie?

- Wyciągnąłem odpowiednie wnioski - odrzekł. - Szybko do nich doszedłem, gdy tylko zorientowałem się, że to pani dała ogłoszenie w „Bath Chronicle”. Ale nie sądziłem, że pani się zdecyduje na taki krok. Na wszelki wypadek jednak ruszyłem za Townsendem, kiedy wyjechał dziś rano z miasta. No, i jesteśmy tu razem. Czy to nie urocze?

Zignorowała sarkazm.

- To nie wyjaśnia przyczyny pańskiego przyjazdu, a tym bardziej przyczyny napaści na pana Townsenda.

- Napaści? Pani doprawdy używa zbyt wielkich słów. Ja go tylko... no, po prostu zatrzymałem. Bo rozumie pani, Saro, kiedy portier przyszedł nam powiedzieć o pani przyjeździe do hotelu, pan Townsend próbował dać nogę. Przeszkodziłem mu. Ale myślę, Saro, że on się jednak nie chce z panią ożenić. Już nie.

Chociaż serce biło jej tak mocno, że czuła pulsowanie krwi w uszach, udało jej się zachować pozory spokoju.

- To nie pańska sprawa, czy pan Townsend chce się ze mną ożenić.

- Mam inne zdanie na ten temat. Proszę mnie posłuchać, Saro. Ten człowiek jest po uszy w długach. Nie ożeni się z panią za mniejszą sumę niż czterdzieści tysięcy. Czterdzieści tysięcy! Czy panią stać na tyle? Ile mu pani obiecała?

Nie odwróciła wzroku, ale przebiegł ją dreszcz.

- Osiem tysięcy - powiedziała. - Taka była umowa.

- On nie ożeni się z panią dla głupich ośmiu tysięcy, Saro - powiedział spokojnie Max. - Niech go pani sama spyta.

Pan Townsend spąsowił na twarzy.

- Roczny dochód w wysokości ośmiu tysięcy. To miałem na myśli - odparł drętwą. - Po przemyśleniu tej propozycji postanowiłem jednak ją wycofać.

Ostrożnie uniósł się z krzesła, ale widząc zbliżającego się Maksa, natychmiast usiadł z powrotem.

Max pochylił się nad nim tak, że znaleźli się prawie nos w nos.

- Chciał pan przez to powiedzieć, że teraz, gdy jestem tutaj i pilnuję, żeby nie wyłudził pan od tej damy pieniędzy, widzi pan, że nie ujdzie mu to na sucho. Ciekaw jestem, Townsend, czy kiedykolwiek naprawdę miał pan zamiar się z nią ożenić. Jak to oszustwo miało wyglądać?

- Niech pan przestanie mu grozić! - krzyknęła Sara. - Dlaczego pan go tu zatrzymuje wbrew jego woli?

- Bo wiedziałem, że pani nie uwierzy w nic, co usłyszałyby pani ode mnie. No, więc niech pan Townsend zaprzeczy, jeśli może, temu, że jest po uszy w długach. Sprawdźmy, czy będzie chciał się z panią ożenić dla głupich ośmiu tysięcy.

Pan Townsend zaczął gniewnie odpiierać zarzuty Maksa, a Sara poczuła, że ma tego dość. Odwróciła się plecami do mężczyzny, podeszła do okna i wyjrzała na dziedziniec. Nie mogła znieść tego, co się tu działo, ohydy, zdrady i oszustwa, więc zajęła uwagę widokiem dwóch stajennych, wyprzegających parę gniadoszki ze zgrabnej kariolki. Stajenni przeklinali deszcz, konie i pasażera, który oderwał ich od gry w kości, chociaż o tej porze wszyscy przywoici ludzie powinni siedzieć w domu.

Coraz mocniej drżała, skrzyżowała więc ramiona na piersiach, żeby choć trochę ukryć swój stan. Nie chciała pokazać, ile nerwów kosztuje ją to wszystko.

- Saro, co mam zrobić z tym śmierdzącym tchórzem? - spytał Max.

- Niech go pan puści - odrzekła bezbarwnie. - Już pan dowiódł swojej racji.

- To się nazywa mieć szczęście - powiedział Max.

Sara nie wiedziała jednak, czy skierował te słowa do niej, czy do Townsenda, więc milczała.

Tymczasem Max odsunął się na bok, ani na chwilę nie odrywając od niej wzroku. Pan Townsend wstał, trochę otrzepał wygnieciony surdut i podszedł do drzwi. Otworzywszy je, odwrócił się do Sary i powiedział z godnością.

- Miałem czyste intencje, ale może powinna się pani zastanowić nad intencjami lorda Maxwella. On wie, kim pani jest. Nie, nie powiedziałem mu tego. Ale zdaje mi się, że ma ochotę zagarnąć pani majątek dla siebie.

Sara raptownie się obróciła i napotkała wzrok Maksa. Przyglądał jej się w skupieniu i nieufnie. Pokręciła głową, a on wzruszył ramionami.

- Miałem to pani powiedzieć później, kiedy zostaniemy sami - wyjaśnił.

- Co powiedzieć?

Zawahał się, a potem wyjaśnił spokojnie:

- Że byłem na pani procesie.

- Na moim procesie? - Ledwie mogła wydobyć z siebie głos. -
Był pan na moim procesie?

- Tak. Wiem, że pani jest Sarą Carstairs.

Zmartwiała. Nawet język odmówił jej posłuszeństwa i zaczęła się jąkać.

- Pan był jednym z tych dandysów, którzy przyjechali się na mnie pogapić?

Drgnął mu mięsień w policzku.

- Byłem tam, bo relacjonowałem proces dla mojej gazety. Powiedziałbym pani o tym, nawet gdyby Townsend tego nie przyspieszył. Proszę zrozumieć, Saro. Nie mogłem od razu się przyznać, kim jestem, bo wtedy pani znowu uciekłaby i zaczęła się ukrywać. Ale łączy nas coś dużo ważniejszego niż to, że jest pani Sarą Carstairs, a ja dziennikarzem. Nie rozumie pani tego? Chcę pani pomóc.

- Z jakiej gazety? - spytała ochryple.

- Porozmawiamy później.

- Z jakiej gazety?

Po chwili ciszy Max powiedział cicho:

- Jestem właścicielem i wydawcą „Couriera”.

Miała dziwne uczucie, jakby w tej chwili jej mózg eksplodował i zostawił w głowie absolutną próżnię. Musiała przytrzymać się okiennej ramy.

- „Couriera” - powtórzyła bezgłośnie.

Pan Townsend, który przysłuchiwał się ich rozmowie z bardzo zadowolonym uśmiechem, wybrał tę chwilę na pożegnalną kwestię.

- Proszę na niego uważać, panno Carstairs. Ja chciałem tylko pieniędzy. On może nałożyć pani stryczek na szyję.

Max zaklął szpetnie i dwoma susami pokonał szerokość salonu. Townsend zdążył się jednak odwrócić i uciec na korytarz. Max zatrzasnął za nim drzwi, głęboko odetchnął i spojrzał na Sarę.

- To kłamstwo - powiedział. - Poza tym została pani uniewinniona. Nie można pani osądzić drugi raz za to samo.

Odrętwienie powoli ją opuszczało. Czuła, jak krew napływa jej do twarzy, a umysł zaczyna pracować. Stopniowo wszystko stawało się jasne jak słońce.

- W Reading... kiedy wszedł pan przez okno do mojego pokoju... wiedział pan, kim jestem.

- Nie. Dopiero rano uprzytomniłem sobie, że już panią gdzieś widziałem. - Gdy postąpił krok w jej stronę, a ona się Wzdrygnęła, znieruchomiał. - To, co stało się tamtej nocy w pani pokoju, to, co zaszło między nami, było prawdziwe. Szczerze.

Odrzuciła głowę do tyłu i spojrzała na niego z nieukrywaną pogardą.

- W panu nie ma nic prawdziwego ani szczerego. Z dużą swadą odegrał pan rolę znudzonego arystokraty, udawał pan, że go pociągam, a chciał pan tylko mieć artykuł dla swojej gazety.

- Pani naprawdę mnie pociąga, Saro, nic na to nie poradzę. Owszem, chciałem mieć również artykuł dla „Couriera”. Jestem dziennikarzem i nie mogę tego zmienić, nawet dla pani. Ale chcę pani pomóc, Saro.

Skuliła się, jakby zamierzała się na niego rzucić.

- To pan prześladuje mnie tyle miesięcy. To pan przesyła mi te okropne lity.

- Jakie listy? O czym pani mówi?

- O Williamie! - wybuchnęła. - Niech pan nie udaje niewiniątka. - Do oczu napłynęły jej piekące łzy. - Od samego początku „Courier” był przeciwko mnie. To pan mianował się sędzią i ławą przysięgłych w jednej osobie. Uznał mnie pan za winną i zaczął prześladować. Nadal mnie pan prześladuje.

Ruszył ku niej z ręką wyciągniętą przed siebie w pojedynczym geście, ale przystanął, gdy niespokojnie drgnęła.

- Czy zechce się pani uspokoić i mnie wysłuchać? Nie miałem pojęcia, na co panią skazałem. Przysięgam, że dowiedziałem się o tym dopiero niedawno, kiedy pojechałem się spotkać... - Urwał w pół zdania.

- Z kim pan pojechał się spotkać?

- Z moim podwładnym, Peterem Fallonem. Wysłałem go do Stoneleigh, żeby zebrał informacje.

- Pan mnie szpieguje! - krzyknęła histerycznie.

- Próbowałem pani pomóc! Sama nic by mi pani nie powiedziała, więc postanowiłem wziąć sprawę w swoje ręce. Właśnie wtedy usłyszałem o pożarze w pani majątku i o tym, jaki miała z nim związek nagroda ogłoszona w „Courierze”. Nie wiedziałem, słowo daję, nie wyobrażałem sobie, ile szkody to może narobić. Naprawdę jest mi przykro, niezwykle przykro.

- Hm, teraz przemawia przez pana dandys, ale jeśli chodzi panu o rozgrzeszenie, to pomyłka w adresie. Ja nigdy panu nie wybaczę.

- Dobrze. To nie jest w tej chwili ważne. Chcę usłyszeć, co to były za listy.

- Po co? Żeby mógł pan owinąć mi stryczek wokół szyi?

- Żebym mógł panią obronić.

Zaczęła się śmiać, ale raptownie zamilkła.

- Saro - odezwał się kojącym tonem. - Usiądźmy, porozmawiajmy o tym jak rozsądni ludzie.

Milczała, więc spróbował jeszcze raz.

- Niech mi pani opowie o tych listach. Czy były od Williama? Czy to William panią prześladowuje? Czy tak pani myśli?

- Naprawdę pan sądzi, że po tym wszystkim panu zaufam?

- Nie rozumie pani? Usiłuję się poprawić. Właśnie, gdzie są te listy? Ostrzegam, Saro, nie daję pani wyboru. Jeśli grozi pani niebezpieczeństwo, chcę o tym wiedzieć.

Wpadła w panikę. Takiego mężczyzny najbardziej się obawiała. Był bezlitosny i na zimno dążył do wytkniętego sobie celu. Będzie ją męczył i dręczył, póki nie usłyszy prawdy. A to równałoby się owinięciu sobie stryczka wokół szyi, nie z wyroku sądu, lecz z wyroku „Couriera”.

Od dawna znała nienawiść, ale nikogo jeszcze nie nienawidziła tak, jak w tej chwili Maksa Worthe'a.

Ramiona jej zdrząły, potem chrapliwie odetchnęła.

- Mam je na górze - powiedziała. - W swoim pokoju.

Wyciągnął do niej rękę.

- Niech mi pani da klucz, to je przyniosę.

Zawahała się, ale w końcu włożyła rękę do kieszeni.

- Są w mojej torebce, w najwyższej szufladzie toaletki.

Zignorowała jego wyciągniętą dłoń i położyła klucz na stole.

Gdy odsuwała się, żeby nie znaleźć się w zasięgu jego rąk, Max z zaciśniętymi ustami podszedł do stołu.

- Saro...

Odwróciła się do niego plecami.

Bez słowa wyszedł z salonu.

Kiedy drzwi za nim się zamknęły i Sara została sama, przygryzła pięść. W głowie miała chaos. Max Worthe był na jej procesie, słyszał o wszystkich ohydnych szczegółach jej romansu z Wil-

liamem. Zniszczył jej życie, rozdzielił ją z rodziną, a wszystko dla jakiegoś parszywego artykułu w szmatławej gazecie.

W „Courierze”.

On nigdy się nie podda, jeśli nie będzie miał artykułu.

Nie podjęła świadomej decyzji, lecz mimo to wyszła na korytarz. Ruszyła do drzwi na dziedziniec. Na dworze lało. Światło dawały tylko latarnie przyćpione do ściany budynku. Sara nic nie widziała i nic nie słyszała. Umysł miała otępiały.

Nie przystanąła, żeby się rozejrzeć, nie wróciła po płaszcz. Nie wiedziała, dokąd idzie, i wcale jej to nie obchodziło. Chciała tylko znaleźć się jak najdalej od Maksa Worthe'a.

Idąc do góry po schodach, Max rozmyślał, jak porozumieć się z Sarą. Potrafił zapanować nad jej złością, ale serce mu się krajało na wspomnienie popłochu, jaki zobaczył w jej oczach, gdy wyjawiał, że jest właścicielem „Couriera”. Nie chciał jej zranić. Po skończeniu sprawy z Townsendem naprawdę zamierzał jej opowiedzieć o swoim związku z tą gazetą. Ale nie zdążył: Townsend zemścił się srodze i teraz było już za późno.

Na szczęście szkoda nie była nie do naprawienia. Max wiedział i wierzył, że może przemówić Sarze do rozumu, w tej sytuacji bowiem wina spadała nie tylko na niego. Ona też miała przed nim sekrety. Postanowił ją przeprosić. Był gotów nawet zniżyć się do błagania. Nie wolno mu było ryzykować, że ta kobieta znowu ucieknie.

Dostawała listy od Williama Neville'a. Czy to właśnie z tego powodu tak jej się spieszyło do małżeństwa z Townsendem? Czy dlatego wymyśliła ten obłądny plan? Wciąż jeszcze musiała niejedno mu wyjaśnić.

Był bardzo znużony swoimi intrygami i równie zmęczony kłamstwami, którymi mu odpłacała. Do prawdziwej pasji doprowadzała go jednak myśl o tym, jak bardzo Sara była przekonana o słuszności swojego obłąkanego planu. Nie przypuszczał, że posunie się aż tak daleko. Był pewien, że nie starczy jej odwagi i zrejteruje sprzed ołtarza.

Grubo się mylił!

Torebka leżała we wskazanym miejscu. Kusiło go, żeby zajrzeć do środka i od razu przeczytać listy, uznał jednak, że bardziej

dypłomatycznie będzie znieść torebkę na dół, żeby Sara sama mu je dała. W ten sposób nie narażał się na zarzut niegodziwości.

Gdy zszedł na parter, salon był pusty. Nie wydało mu się to niepokojące. Miał torebkę Sary, a skórzana torba wciąż stała na podłodze w tym samym miejscu, w którym ją rzuciła. Uznał więc, że skoro zostały torba i torebka, ich właścicielka nie może być daleko. Na pewno wróci po swoje rzeczy.

Postawił przewrócone krzesło, znowu nalał sobie brandy, tym razem prawie po brzeg szklaneczki, i usiadł w oczekiwaniu. Po dziesięciu minutach poczuł pierwsze objawy strachu.

Wyszedł z salonu na korytarz i raptownie przystanął, zauważył bowiem, że tylne drzwi hotelu są uchylone. Pchnął je i znalazł się na dziedzińcu.

Deszcz lał jak z cebra od godziny, więc Max postawił kołnierz, choć niewielki był z tego pożytek. Gdy oczy przyzwyczały mu się do mroku, zobaczył dyżurnego stajennego, który przycupnął pod okapem stajni.

Biegiem pokonał dziedziniec, klnąc soczyście na strugi deszczu, które spływały po szyi pod ubranie. Wyjątkowo szpetne przekleństwo zmełł, gdy chcąc ominąć kałużę, wpadł w inną, głębszą.

To niemożliwe, żeby w taki wieczór Sara opuściła hotel.

Stajenny wyprostował się na jego widok.

- Widziałeś kogoś wychodzącego z hotelu w ciągu ostatniego kwadransa? - spytał Max.

- Dżentelmen odjechał powozem do Bath, ale minęło już prawie pół godziny. Pan Townsend, tak się nazywał.

- Czy ktoś mu towarzyszył?

- Nie, był sam.

- A w ciągu ostatniego kwadransa? Ktoś pieszo?

Stajenny skinął głową.

- Czy chodzi o kobietę, panie?

Lęk Maksą wzmógł się dziesięciokrotnie.

- Próbowałem ją zatrzymać, ale nie zwracała na mnie uwagi.

- Którędy poszła?

- Do bramy i potem w prawo.

Nie czekając na dalsze wyjaśnienia, Max wybiegł na High Street. Ulica zdawała się całkiem wyludniona, nie było na niej ani powozów, ani jeźdźców, ani pieszych. Nic dziwnego. Minęła

już północ, a Wells było peryferyjnym miasteczkiem. W niezliczonych oknach paliły się jeszcze światła, ale miejscowość spała.

Gdzie więc, u licha, ta kobieta mogła się podziewać?

Z ponurą miną Max wrócił do hotelu.

Zaczął od przeszukania jej torebki. Listów naturalnie tam nie było. Włożył więc płaszcz i najbardziej pańskim tonem, na jaki umiał się zdobyć, polecił recepcjoniście, żeby nie zamykał hotelu na noc aż do jego powrotu.

Przez następną godzinę chodził od zajazdu do zajazdu, ale Sara nie wynajęła pokoju w żadnym z nich, nikt też nie widział kobiety odpowiadającej jej opisowi.

Max wlewał w siebie zawartość trzeciego, a może czwartego dzbanka kawy tej nocy, gdy ktoś zakołatał do drzwi hotelu.

Odstawił filiżankę.

- Pójdę zobaczyć, kto to - powiedział sennemu recepcjoniście, którego zmusił do pozostania na służbie.

Drzwi nie były zamknięte na klucz wyłącznie z powodu nalegań Maksa, który nie chciał, żeby Sara miała trudności z wejściem do hotelu, w razie gdyby wróciła.

Po otwarciu drzwi przeżył jednak rozczarowanie, zobaczył bowiem wielkiego, krzepkiego mężczyznę, na oko pięćdziesięcioletniego, z ciemnymi krzaczastymi brwiami i jeszcze bujniejszym wąsem.

- Konstabl O'Hanalon - przedstawił się nieznanemu. - Kim pan jest?

- To jest lord Maxwell. - Sara ukazała się zza olbrzymiej postaci konstabla i weszła do hotelu. - Powiedziałam panu, że on za mnie poręczy. To wszystko jest jednym wielkim nieporozumieniem.

Rzadko się zdarzało, by Maksowi odebrało mowę, tym razem jednak właśnie tak się stało. Przez pół nocy wyobrażał sobie najstraszniejsze możliwości: Sarę napadniętą przez bandytów, jej zwłoki wrzucone do rzeki albo jeszcze gorzej. Tymczasem stała przed nim cała i zdrowa, a on był ledwie żywy ze strachu.

- Och, Max, niech pan zamknie drzwi - powiedziała Sara z sieni. - Konstabl O'Hanalon chce z panem porozmawiać.

- Słucham?

- Niech pan zamknie drzwi - powtórzyła.

Popatrzył na drzwi.

- Słusznie. - • Zrobił, o co go poproszono, i podszedł do Sary.

A że jego najgorsze obawy się nie potwierdziły i wyglądało na to, że kobieta nie poniosła żadnych konsekwencji swojego nieprzemyślanego zachowania, dał upust rozsadzającej go złości.

- Czy pani wie, co przeżyłem przez ostatnie trzy godziny? Czy potrafi sobie pani wyobrazić, co czułem, nie wiedząc, gdzie pani jest ani co się z panią stało?

- Przepraszam, Max. To jest po prostu klasyczny przypadek przedślubnego niepokoju. - Jej szare oczy wysyłały do niego błagalne sygnały. - Konstablu O'Hanalon - zwróciła się do potężnego mężczyzny. - To właśnie jest mój narzeczony, lord Maxwell.

- Czy to prawda, sir? - spytał konstabl. - Czy jest pan narzeczonym tej panny?

Max spojrzął na Sarę spod przymrużonych powiek.

- To się jeszcze okaże - mruknął. - Jakich kłopotów napytała sobie tym razem?

Konstabl zachichotał.

- Strażnik miejski zastał ją na próbie włamania do katedry.

- Myślałam, że zacięły się drzwi - powiedziała Sara. - Nie przyszło mi do głowy, że katedrę zamyka się na noc. Sądziłam, że drzwi kościoła są zawsze otwarte dla ludzi, szukających pociechy w Bogu.

Konstabl cmoknął niedowierzająco.

- Mogło tak być, proszę pani, ale odmówiła pani podania strażnikowi swojego nazwiska i w ogóle nie chciała mu pani nic wyjaśnić.

- Byłam... - Spojrzała na Maksa, ale szybko odwróciła głowę. - Byłam zdenerwowana.

- Gdyby powiedziała pani strażnikowi wszystko, jak trzeba, nie spędziłaby pani połowy nocy w miejskim areszcie. Od razu zawieźlibyśmy panią do domu.

- W miejskim areszcie? - Max popatrzył na Sarę. W jego głosie słychać było najwyższe zaniepokojenie. - W miejskim areszcie? Dlaczego nie przysłała pani po mnie? Przecież musiała pani wiedzieć, że się tu zamartwiam.

Sara zbladła.

- Nie myślałam o tym.

- A co pani robiła?
- Ja... zasnąłam.
- Co takiego?

Max urwał, bo zapomniany recepcjonista nagle z hukiem wygramolił się zza kontuaru i stanął między nim a Sarą.

- Panno Childe, może coś pani podać? - spytał. - Kawy? Herbaty? Kanapkę?

Pierwszy raz od powrotu do hotelu Sara się uśmiechnęła.

- Dziękuję, George. Dobrze pamiętam imię, prawda? Chętnie napiję się herbaty.

George uśmiechnął się do niej nieśmiało.

- Służę, proszę pani. Może przejdzie pani do salonu i zechce spocząć. Zaraz przyniosę tam herbatę.

Spojrzała na konstabla.

- Czy mam na to pozwolenie?

- Myślę, że tak, skoro jest pani pod opieką tego oto dżentelmena. Ale proszę zapamiętać, co teraz powiem. - Ujął jej dłoń. - Miała pani wielkie szczęście, że znalazł panią strażnik. Kobieta chodząca samotnie po nocy sama prosi się o kłopoty.

- Będę o tym pamiętać. I bardzo dziękuję za pańską uprzejmość - odrzekła. Potem zwróciła się do Maksa: - Wobec tego do zobaczenia w salonie, kiedy skończy pan rozmawiać z konstablem.

Odeszła z recepcjonistą, a w ciszy, która zapadła, Max uświadomił sobie nagle, że dla konstabla i recepcjonisty to on ponosi winę za to, co się stało. Popatrzył na O'Hanalona i z układu krzaczastych brwi stróża prawa wywnioskował, że reprimenda będzie surowa.

10

Dziesięć minut później Max stwierdził po wejściu do salonu, że George przyniósł Sarze nie tylko obiecaną herbatę, lecz również półmisek malutkich kanapek. Gdyby Max miał jeszcze wątpliwości co do tego, czyją stroną trzyma recepcjonista, to fakt, iż do czajniczka z herbatą podano tylko jedną filiżankę, był bardzo wymowny.

Skórzana torba Sary stała teraz na podłodze, u jej stóp. Kusiło go, żeby sprawdzić jej zawartość, ale w tym celu musiałby pokonać srebrny zameczek, a i bez tego naraził się już dostatecznie.

Usiadł więc przy stole obok Sary i poczęstował się jedną z maleńkich kanapek. Ser i ogórek przykleiły mu się do podniebienia, jakoś jednak je przełknął. Gdyby George chciał go ukarać, nie mógłby wybrać lepszego narzędzia niż kanapki z serem i ogórkiem.

- Konstabl O'Hanalon nie przebierał w słowach- oznajmił. - Nie zostawił na mnie suchej nitki.

Zerknęła na niego, a potem szybko przeniosła wzrok na półmisek z kanapkami.

- Musiałam mu powiedzieć, że pan jest moim narzeczonym. Chciał mnie odwiedzić do domu, do brata albo ojca. Nie puściłby mnie, gdyby wiedział, że nie łączy nas żaden związek.

- Konstabl kazał mi lepiej się panią opiekować.

- Powiedziałam mu, że mieliśmy małą narzeczeńską kłótnię. - Przsunęła filiżankę do warg i ostrożnie upiła łyk herbaty. - To było prostsze niż wdawanie się w długie wyjaśnienia.

- Wspomniał też, że gdy panią przyprowadzono, była pani głęboko wstrząśnięta. Pani stan bardzo konstabla zaniepokoił.

Spojrzała mu w oczy i powiedziała:

- Przypomniało mi się inne więzienie, to, w którym czekałam na proces.

Głos Maksa zhardział.

- Jeśli ktokolwiek panią straszył albo pani groził...

- Nie! Oni byli bardzo mili. Wysuszyli mi ubranie. Nakarmili mnie. Jakaś kobieta pomogła mi położyć się do łóżka. Tylko nie powiedziałam im, kim jestem, i nie odpowiadałam na żadne pytania. Dlatego mnie tam zatrzymali.

Pokręcił głową.

- Saro, dlaczego pani uciekła?

Znowu przesłała mu niezłomne spojrzenie.

- Dręczył mnie pan, Max, swoimi pytaniami. Chciałam zostać sama. Chciałam mieć święty spokój. Myślałam, że katedra będzie otwarta.

Nie uwierzył jej, ale nie naciskał.

- A tymczasem przespała pani kilka godzin w miejskim areszcie.

- Tak.

Nie spała jednak długo, a kiedy się ocknęła, po prostu leżała nieruchomo na prycy, usiłując pogodzić się z faktami, z powodu których znalazła się w tej sytuacji. Zaczęła ogarniać ją rozpacz, udało jej się jednak trochę ją uciszyć i wtedy postanowiła wziąć się w garść.

Leżała dalej i myślała, myślała, myślała. Stopniowo wracały jej siły, coraz bardziej panowała nad swymi uczuciami. Przypomniało jej się Stoneleigh; próbowała sobie wyobrazić, co ją tam czeka. Nie było już dla niej odwrotu. Najpierw jednak musiała znaleźć sposób na rozbrojenie Maksa Worthe'a.

Nie wolno jej było w myślach nazywać go „Maksem”. To był zwykły dandys, koryntianin, który uśpił jej czujność swoim czarem. Tymczasem okazał się specjalnym korespondentem „Couriera”, człowiekiem, który na łamach tej gazety praktycznie ją ukrzyżował i przysiągł, że „Courier” nigdy nie zaprzestanie poszukiwań ciała Williama Neville'a.

Ponieważ była już mądra po szkodzie, mogła teraz spokojnie przeanalizować wszystkie spotkania z Maksem, począwszy od pierwszego, kiedy wszedł przez okno do jej pokoju w Reading.

Wyrobił w niej wtedy przekonanie, że jest znudzonym elegantem, który nie wie, co robić z czasem. Ale w rzeczywistości chciał tylko jednego: zbliżyć się do niej, żeby móc napisać artykuł do swojej gazety. Taki człowiek łatwo się nie poddaje.

Ale ona też nie zamierzała złożyć broni.

W skupieniu dołała herbaty do pustej filiżanki, a Max obserwował jej profil. To była twarz kobiety, którą widział podczas procesu, spokojna i obojętna na wszystko. Sara Carstairs broniła się, budując wokół siebie mur z lodu. Max jednak nie chciał tego muru roztrzaskać, chciał go stopić.

- Dlaczego pani wróciła, Saro? - spytał cicho.

- Wszystko tu zostawiłam, ubrania i pieniądze. Musiałam to zabrać.

- Nie sędzę. Jest pani bardzo przedsiębiorczą młodą damą. Z pewnością znalazłaby pani sposób, żeby wrócić do Bath, omijając ten hotel. Dlaczego więc siedzimy w tym salonie? Dlaczego pani ze mną rozmawia? Spodziewałem się raczej, że w chwili gdy wejde, pani się zerwie, zatrzśnie za sobą drzwi i zamknie się na klucz w swoim pokoju.

Max Worthe nie był głupcem i musiała o tym przez cały czas pamiętać.

- Co by to dało? Szczuje mnie pan od lat. Owszem, niczego nie pragnę bardziej niż zapomnieć, że pana kiedykolwiek poznałam. Chciałabym jakoś ułożyć sobie życie. Ale to nie będzie takie proste, bo pan chce mieć artykuł i nic pana nie powstrzyma.

Smutno westchnęła.

- Po przemyśleniu sprawy doszłam do wniosku, że jedynym sposobem na to, żeby się pana pozbyć, jest odpowiedzieć na pańskie pytania. To byłaby atrakcja dla gazety, gdyby mogła opublikować na zasadzie wyłączności wywiad z Sarą Carstairs, czyż nie? Niech pan tylko się zastanowi, Max. Może pan potroić w ten sposób nakład „Couriera”. W gruncie rzeczy przecież nigdy pana nie interesowało nic innego oprócz zwiększania nakładu.

Słuchając tego przydługiego monologu, Max przeszedł od poczucia winy przez irytację do płomiennego złości. Wiedział, że w rozmowach z Sarą popełniał błędy, ale nie był przecież zimnokrwistym draniem...

- Chwileczkę, Saro...

Nie była jednak w nastroju, w którym można by jej przerwać.

- Ale chcę czegoś w zamian. Obieca mi pan, że jeśli odpowiem na wszystkie pytania, to poczeka pan z publikacją wywiadu do czasu, aż wyjadę z Anglii.

- Pani... wyjeżdża za granicę?

- Najszybciej, jak będzie to możliwe. Teraz przygotowania mogą się wydłużyć, bo spłoszył pan pana Townsenda, ale taki mam zamiar. Po prostu muszę to zrobić.

Znowu próbowała odciąć się od wszystkiego, co mogłoby ich łączyć. Pewnie nawet nie powinien mieć do niej o to pretensji. Nie dość, że nie wiedziała dobrze, na jakim gruncie stoi, to wciąż była po uszy w tarapatach.

Trudno. Był gotów podjąć jej grę, ale jeśli sądziła, że się go łatwo pozbędzie, to grubo się myliła.

- Niech mi pan obieca, że wstrzyma się pan z publikacją wywiadu do czasu mojego wyjazdu z Anglii.

Skinął głową.

- Chcę, żeby pan to wyraźnie powiedział.

- Obiecuję - odrzekł szorstko.

Upiła duży łyk herbaty i zerknęła na niego znad brzegu filiżanki.

- No, dobrze. Co pan chce wiedzieć?

- Może pani zacząć od opowiedzenia... - Urwał, gdy Sara upiła następny łyk herbaty. - Do stu piorunów! - Zerwał się z krzesła, podszedł do drzwi i otworzywszy je, ryknął na całe gardło: - George!

Recepcjonista zjawił się błyskawicznie, bez wątplenia podsłuchiwał pod drzwiami.

- Nie martw się, George - powiedział Max, gdy młody człowiek próbował zerknąć na Sarę nad jego ramieniem. - Jeszcze nie pożałem twojej owieczki, ale jeśli nie przyniesiesz mi natychmiast filiżanki świeżo zaparzonej kawy i drugiego półmiska z kanapkami, to zacznę ostrzyć sobie na ciebie kły, rozumiałeś?

George zrozumiał. Przesłał Maksowi spojrzenie pełne wyrzutu, wyprostował się i szybko odszedł.

- I pamiętaj, że jestem drapieżką. Nie życzę sobie żadnej papki serowo-ogórkowej.

Z trzaskiem zamknął drzwi salonu i wrócił na krzesło. Spojrzał na Sarę.

- Z czego pani się śmieje?

Nie wiedziała. Nie było jej do śmiechu, lecz mimo to nie umiała się powstrzymać.

- Nie mam pojęcia. Z pana. Z George'a. Wątpię, czy on wie, co Oznacza słowo „drapieżca”. Jestem bardzo ciekawą, jakie kanapki panu przyniesie.

Max również się uśmiechnął.

- Lubię, kiedy pani się uśmiecha. Pani oczy stają się wtedy takie przejrzyste, czyste. Mógłbym utonąć w ich głębi.

Jej uśmiech natychmiast zgasł.

- Takiego strzępienia języka spodziewałabym się raczej po dorastającym młokosie - stwierdziła.

- Umieć lepiej.

- Niech się pan nie trudzi. Chciał mi pan zadać kilka pytań.

- Ach, tak, wywiad. - Spojrzał na swe splecione dłonie, a potem przesłał jej smutny uśmiech. - Najpierw chciałbym oczyścić teren. Przepraszam, Saro. Kiedy znalazłem panią w Bath, powinienem był od razu przyznać się do swoich powiązań z „Courierem”. Ale, jak już mówiłem, bałem się, że pani natychmiast ucieknie i nigdy więcej pani nie zobaczę. Szczerze mówiąc, chciałem również mieć artykuł.

Na chwilę zamilkł.

- Przepraszam także za Stoneleigh. Przykro mi, że moja gazeta zamieniła pani życie w piekło. Wiem, że te przeprosiny nic nie zmieniają i brzmią nieprzekonująco, ale nie mam pojęcia, co innego mógłbym w tej sytuacji powiedzieć.

Wolno uniosła brwi.

- Czy ta technika zwykle jest skuteczna, Max?

- Mówię szczerze. - Wyrażnie się obruszył.

- Nie. Łatwo pana przejrzeć. Chce pan zyskać moje zaufanie, żebym powiedziała wszystko, co wiem. - Uśmiechnęła się do niego wątle. - Nie ufam panu, Max, ale zawarliśmy umowę, a ja zawsze dotrzymuję słowa.

- Kłopot polega na tym, że pani jest bardzo podejrzliwa.

- Wiem. Może wreszcie przejdziemy do rzeczy?

Czasem Maksowi zdarzało się, że pod wpływem chłodnego spojrzenia Sary ma ochotę nią potrząsnąć. Tak było właśnie w tej chwili. Przeżyła jednak dość wstrząsów tej nocy. Zasługiwała na to, by odnosić się do niej z największą łagodnością.

Nieprawda! Nie po tym, jak musiał się przez nią nacierpieć!

- Może pani zacząć od wytłumaczenia mi, co, u diabła, pania opętało, żeby dać to głupie ogłoszenie w „Bath Chronicle”- zaproponował. - Gdzie ty miałaś rozum, kobieto?

Widząc gniewny błysk w jej oczach, z powrotem usiadł na krześle i zaczął ją bacznie obserwować. Spokojnie do tej pory, szare oczy Sary wydały mu się nagle podobne do wzburzonego morza.

- Jeśli zamierza pan rozmawiać ze mną takim tonem, to nie usłyszysz pan ani słowa w odpowiedzi - zagroziła.

- Wobec tego proszę pozwolić, że przeformułuję pytanie. Dlaczego uznała pani za konieczne poślubić pana Townsenda?

- To był jedyny sposób, żeby szybko zdobyć dostęp do kapitału po ojcu, który jest obecnie w zarządzie powierniczym. Chcę mieć te pieniądze teraz, a nie dopiero wtedy, gdy skończę dwadzieścia pięć lat. Chcę zapewnić bezpieczeństwo mojej rodzinie, przede wszystkim siostrze. A to jest jedyny sposób, jaki znam.

Max tak zmarszczył czoło, że aż zbiegły mu się brwi.

- Przed czym chce im pani zapewnić bezpieczeństwo?

- Przed kim. Przed Williamem Neville'em.

- Myśli pani, że on żyje? Czyli to on pisał do pani listy?

- Tak.

- Nie ma ich w pani torebce.

- Nie. To był tylko pretekst, żeby się pana pozbyć. Niestety, spaliłam je, więc nie mogę ich panu pokazać.

-- Powiedziała mi pani w Reading, że William nie żyje.

- Sama nie wiem, co o tym sądzić. Czasem chciałabym, żeby nie żył. To było prawdziwe bydlę, zwierzę. Wiem, że nie powinnam tak myśleć i mówić, ale nic na to nie poradzę. William Neville przysporzył mojej rodzinie dość zgryzot. Nie pozwolę mu już nikogo skrzywdzić.

Max postanowił wrócić do tego wątku później, po poznaniu podstawowych faktów.

- Niech mi pani opowie coś o tych listach.

- Zaczęły przychodzić mniej więcej pół roku temu. - Zamyśliła się. -- Nie, trochę później.

- Czy były doręczane przez posłańca?

Zawahała się, a potem powiedziała:

- Nie. Odbierałam je na poczcie w Winchester. Nieważne, kto

je pisze. Rzecz w tym, że ktoś mnie prześladowuje. A jeśli to William... - *Zadrżała.* - Gdyby coś mi się stało, Anne odziedziczy praktycznie wszystko. William jest jej mężem. W końcu zdobędzie więc to, do czego zawsze dążył: majątek Carstairsów.

- Po co Williamowi majątek Carstairsów? - spytał Max. - Przecież on jest... to znaczy był dziedzicem sir Ivora.

- Pokłócił się z ojcem na długo przed poślubieniem Anne. Wiem tylko tyle, że zawsze brakowało mu pieniędzy.

Sir Ivor nie wspomniał nic Maksowi o kłótni z synem.

- Ale pani się ukrywała. Jak William lub ktokolwiek inny mógł wiedzieć, gdzie panią znaleźć?

Wzruszyła ramionami.

- Pisywałam listy do rodziny. Oni pisywali do mnie. Prawdopodobnie ktoś z nich postąpił nieostrożnie. Naprawdę nie wiem, jak mnie znalazł.

Wstała i Max zobaczył, że Sara drży.

- Muszę go powstrzymać. Tym razem nie pozwolę mu wygrać. - Popatrzyła na Maksa. - A jedynym sposobem na to jest uzyskanie dostępu do kapitału po ojcu i podzielenie go na pięć równych części dla jego dzieci, tak jak ojciec zawsze chciał zrobić. Gdy się z tego wywiążę, zacznę nowe życie w Ameryce. Wyjedziemy razem z Anne.

- Chciała pani poślubić Townsenda tylko po to, żeby odziedziczyć majątek po ojcu, majątek, który i tak pani za rok dostanie? To mi się wydaje bardzo desperackim krokiem.

Usiadła równie nagle, jak wstała.

- Nie słyszał pan, co powiedziałam? On mnie prześladowuje. Ukrywałam się, a on mnie znalazł. Nie mogę się od niego uwolnić. Prędzej czy później wpadnę mu w ręce. Jeśli mnie zabije, jego następną ofiarą będzie Anne. Mogę go powstrzymać tylko w jeden sposób: jak najszybciej zdobyć dostęp do pieniędzy po ojcu.

Max rozważał to przez chwilę.

- Powiedziała pani, że w razie gdyby coś się pani stało, wszystko odziedziczy pani siostra Anne?

- Zdecydowaną większość. Są też małe zapisy dla Simona, Martina i Lucy.

- A czy nigdy nie rozważała pani takiej możliwości, że za tymi listami może stać pani siostra? Wydaje mi się, że William nie jest

jedyną osobą, która miałyby powód, żeby panią zabić. Pani bracia i siostry...

- Myli się pan! - odparła gwałtownie. - Moja rodzina nie byłaby zdolna do czegoś takiego.

Widział, że trafił w czuły punkt. Sara musiała rozważać taką możliwość, lecz po prostu sama myśl o tym była dla niej nie do zniesienia. W końcu pojął jednak, dlaczego chciała poślubić Townsenda przed powrotem do Stoneleigh. Gdyby podzieliła na równe części majątek po ojcu, nikt nie miałby już powodu, żeby ją zabić. Ani William, ani ktokolwiek inny.

- A może jest jeszcze ktoś? - spytał w końcu. - Ktoś, kto żywi do pani zapiekłą urazę. Jakich ma pani wrogów, Saro?

- Williama i jego ojca. Może również jego przyjaciół. A jedyną osobą oprócz nich, która przychodzi mi do głowy, jest pan, Max, a właściwie „Courier”.

- „Courier” do nikogo nie żywi uraz. Staramy się wydobywać prawdę na światło dzienne.

- Bez względu na to, komu przy okazji stanie się krzywda!

Zacisnął zęby, lecz po chwili burknął:

- Niech mi pani opowie o tych listach. Co zawierały?

- Bardzo niewiele. W jednym, pamiętam, było napisane: „Kto wymagał, ten płaci”. A w innym: „Im bardziej przykre rozstanie, tym miłsze przywitanie”. Wszystkie były w podobnym duchu. Teraz wcale nie wydaje mi się to takie straszne, ale gdy dostawałam taki list, zawsze byłam przerażona.

- Czy jest pani pewna, że były pisane ręką Williama?

- Znam jego charakter pisma. Kiedyś dostawałam od niego listy.

- Naturalnie. Zapomniałem, że byliście kochankami.

Ta beżmyślna uwaga przeniosła rozmowę na zupełnie inną płaszczyznę. Sara zdrętwiała. Max odpowiedział marsową miną.

- Max, jest pan ostatnią osobą na świecie, która ma prawo udzielać mi pouczeń moralnych.

- Ja nie spałem z żoną brata.

- Ale spał pan z Deirdre. Ona też jest czyjąś żoną, w każdym razie tak mi pan powiedział.

- To co innego. Deirdre ma umowę ze swoim mężem.

Sara zmierzyła go chłodnym spojrzeniem.

- Może w ten sposób przysłużyłam się Anne. Może ona i William też mieli umowę. Dlaczego pan jest taki zły?

- Nie jestem zły.- Spiorunował ją wzrokiem.- Jestem zaskoczony. Sama pani niedawno powiedziała, że William był zwierzęciem. Jak mogła się pani oddać komuś takiemu?

Zacisnęła pięści.

- Pana nie obchodzi William. - Ponieważ zaś widziała, że Max jest i wściekły, i urażony, a nie wiadomo było, która połowa przeważy, dodała: - Ani on, ani nikt inny. Może co innego pana irytuje, Max? Słyszał pan o legionach moich kochanek i nie może pan odżałować, że nie skorzystał pan z okazji, tak? Niech się pan nie krępuje. Co pana powstrzymuje? Przecież pan wie, że nie jestem wybredna.

Błyskawicznie wyciągnął ręce nad stołem i zacisnął swe długie palce na jej ramionach.

- Gdybym choć przez chwilę myślał, że naprawdę tak jest...

- To co? - prowokowała dalej, wściekła ponad wszelką miarę.

- Niech pani mnie nie poddaje takim próbom, Saro, bo może się pani nie spodobać wynik.

Wytrzeszczyła na niego oczy. Ciężko oddychała. Każdy głęboko rzeźbiony rys twarzy Maksa ostrzegał ją, że wybuch jest bliski. Prowokowała go dość beztrzesko, ale nie miała pojęcia, że zareaguje aż tak gwałtownie.

Wreszcie Max ją puścił i wstał. On też był przerażony swoją reakcją na te zaczepki. Nigdy nie przypuszczałby, że może zagrozić kobiecie w tak ordynarny sposób. Jak to się stało, że on, Max Worthe, któremu zawsze powtarzano, że do kobiet należy odnosić się z szacunkiem, jeśli nie po rycersku, dopuścił się czegoś podobnego? I co takiego było w tej kobiecie, że budziło w nim niepohamowaną złość?

Głęboko zaczerpnął tchu, żeby trochę się uspokoić.

- To była czcza groźba. Mam nadzieję, że pani o tym wie.

Milczała.

Powinien był powiedzieć więcej, ale nie miał pojęcia, jak ją przeprosić za coś, czego sam nijak nie rozumiał.

- Zdaje się, że bardzo się oddaliliśmy od wywiadu dla „Cou-riera” - powiedział wreszcie. - Może wrócimy na neutralny grunt?

- Ja też sądzę, że tak byłoby najlepiej - odrzekła bez wahania.

Podszedł do kominka, żeby znaleźć się jak najdalej od niej w tym ciasnym pomieszczeniu. Nie chciał przypominać tej kobiecie o tym, że jest silniejszy.

- Co będzie dalej, Saro?

Nieznacznie wzruszyła ramionami.

- Mam się spotkać z panną Beattie w Salisbury. Naturalnie myślałam, że wtedy będę już mężatką, dysponującą aktem małżeństwa, który przedstawię swoim adwokatom. Ale teraz... - Pokręciła głową. - Myślę, że wrócimy do Bath i tam wybiorę innego kandydata.

Miał szczerą ochotę krzyknąć na nią z całych sił, wiedział jednak, że musi zachować spokój.

- Czy nadal jest pani zdecydowana na małżeństwo z rozsądku?

- To jedyny sposób.

- Chce pani podzielić majątek po ojcu na pięć równych części między jego dzieci i pasierbów? I ja mam w to uwierzyć?

Uśmiechnęła się wstępliwie i sięgnęła ku szyi. Wyciągnęła spod ubrania łańcuszek z zawieszonym na nim kluczykiem. Zdjąwszy kluczyk, podała mu go na wyciągniętej dłoni.

- Może tak pana przekonam. Tym otwiera się moją torbę.

Skorzystał z zaproszenia, ale w torbie nie znalazł nic oprócz dokumentów. Były przygotowane przez kancelarię adwokacką z Londynu i niewątpliwie stanowiły intercyzę, którą miał podpisać Townsend. Tekst był szalenie skomplikowany, toteż początkowo Max poprzestał na pobieżnym przejrzeniu całości. Sara nic skłamała. Dzieliła wszystko równo pomiędzy całą piątkę.

Spojrzał na nią zamyślony.

- O co chodzi? - spytała.

- Dlaczego pani ojciec nie sporządził właśnie takiego testamentu? Dlaczego zostawił wszystko w pani rękach?

- Wierzył w mój rozsądek, a nie wierzył Williamowi. Pewnie chciał chronić Anne. Ale nie wiem, naprawdę nie wiem.

Coś ważnego uszło jego uwagi, nie mógł jedna ustalić co takiego. Może zadawał niewłaściwe pytania.

Niestety, we znaki dało mu się śmiertelne zmęczenie. Przez pół nocy martwił się o Sarę, a ona tymczasem była traktowana jak królowa w miejskim areszcie.

- Zadowolony pan? - spytała.

- Tylko obejrzałem te dokumenty, nie przeczytałem dokładnie.

- Proszę się nie spieszyć, mamy dużo czasu.

Przeciągnęła się, wstała i zaczęła chodzić po saloniku. Wreszcie usadowiła się na małej kanapie przy kominku. Natomiast Max zajął się studiowaniem intercyzy słowo po słowie.

Sara przeciągnęła się i wolno uniosła powieki. Pokój zalewało słoneczne światło. Doleciała ją mieszanina dźwięków: stukot końskich podków o bruk, stłumiony męski śmiech gdzieś za oknem, ćwierkanie ptaków. Wydało jej się, że czuje zapach kawy.

Zaczął się z niej zsuwać koc, więc chciała go przytrzymać i wtedy jej dłoń zacisnęła się na czymś małym i twardym. Srebrny guzik. To wcale nie jest koc, tylko płaszcz Maksa, przypomniała sobie. Nie leżała w łóżku, lecz kuliła się na kanapie w hotelowym salonie. Czyli to nie był sen. Max rzeczywiście okrył ją płaszczem i pocałował w czoło.

- Max.

- Jestem tutaj.

Jego głos podziałał na nią jak wystrzał z pistoletu. Przełknęła ślinę i powoli się uniosła.

Stał nad nią; jego sylwetka rysowała się na tle okna.

- Spóźniliśmy się na śniadanie, ale zamówiłem kawę - powiedział. - Zaraz przyniosą nam coś do zjedzenia.

- Która godzina?

- Minęło południe. Oboje zaspaliśmy.

Wzięła od niego filiżankę.

- Co to jest? - spytała.

Max spojrział na stół.

- To są kanapki, które George przyniósł mi w nocy, kiedy już pani spała. Okazuje się, że on całkiem dobrze wie, co oznacza słowo „drapieżca”. - Widząc jej pytające spojrzenie, dodał: - Kanapki są z siekaną wątróbką, odrobinę przysmażoną, ale właściwie prawie surową.

Mimo woli uśmiechnęła się.

- Czy George jeszcze żyje?

- Był dla mnie za szybki. Zanim zdążyłem ugryźć pierwszy kęs, znikł bez śladu.

Pomyślała, że przez noc Max się zmienił. Znowu był bliższy swego czarującego wcielenia. A to znaczyło, że jest wyjątkowo niebezpieczny.

Opadł na krzesło i położył obute nogi na poręczu drugiego. Nie miał teraz halsztuka, a górne guziki koszuli były rozpięte. Wyglądał zupełnie niegroźnie. Ale Sara już wiedziała swoje.

- To zadziwiające, jak dobrze wpływa na człowieka kilka godzin snu, nie sądzi pani? Całkiem rozjaśniło mi się w głowie - wyznał Max.

-Naprawdę?

- Tak. Przez ostatnią godzinę oddawałem się rozmyślaniom i chyba znalazłem rozwiązanie problemu.

- O czym pan mówi? - spytała nieufnie.

- O Williamie Neville'u. Pani sądzi, że on panią prześladowuje. Ja natomiast jestem przekonany, że William nie żyje. Czyli musi to być ktoś inny. Niech pani tylko pomyśli, Saro. Po co pani szwagier miałby zniknąć bez śladu? Na jaki zysk mógłby liczyć?

- Może chce, żeby powieszono mnie za popełnienie morderstwa?

- Po co wtedy te listy? Jeśli żyje i chce przejąć majątek Carstairsów, to dlaczego czeka?

- Z zemsty! On taki jest. Chce zobaczyć, jak cierpię.

- Z zemsty za co?

Przekłęła się w myśli za nieostrożność i gorączkowo zaczęła szukać powodu, który zadowoliłby Maksa.

- Za zerwanie naszego związku. Za to, że chciałam poślubić sir Francisa Blamiresa.

Skrzywił się z niechęcią.

- Mamy jeszcze jeden powód, żeby wypłoszyć pani prześladowcę z kryjówki.

- Do rzeczy, Max.

- Rzecz w tym, że nie wiemy, kim on jest, i nie znamy jego motywów. Może nie ma to nic wspólnego z testamentem pani ojca, może to coś znacznie bardziej osobistego. Dlatego, poślubiając Townsenda albo innego z tak zwanych kandydatów, nic by pani nie zyskała.

- To musi być William - odparła. - Nikt inny nie ma motywu, żeby mnie skrzywdzić.

Max miał na ten temat własne zdanie.

- Jeśli ten człowiek chce cię zemścić, Saro, będzie mu wszystko jedno, czy jest pani mężatką, czy nie.

- Nie zamierzałam czekać, aż się ujawni. Nie jestem głupia. Po wręczeniu adwokatom aktu małżeństwa uciekłabym z Anne do Ameryki.

Max wyraźnie znowu zmieniał wcielenie. Jego czar szybko się ulatniał.

- I uciekałaby pani do końca życia. A może chce pani jeszcze raz zmienić nazwisko i żyć w ukryciu? Wszystko jedno. Tak czy

owak zawsze z niepokojem oglądałaby się pani za siebie. Czy pani o tym wie?

Zadrzała.

- Dokładnie się nad tym nie zastanawiałam.

- Niech pani zastanowi się nad tym teraz.

Przeszyła go wzrokiem.

- Dokąd to ma prowadzić, Max?

Skrzyżował ramiona i odchyliwszy się do tyłu, zaczął bujać się na krześle.

- Już pani powiedziałem. Powinniśmy zrobić wszystko, żeby wypłoszyć tego drania z ukrycia. Gdy dowiemy się, kto to jest, będziemy mogli sobie z nim poradzić.

My. Tego właśnie się obawiała. Specjalny korespondent „Couriera” łatwo się nie poddaje.

- Chce pan pojechać ze mną do Stoneleigh?

- A kto inny chciałby teraz w panią zainwestować? O swoich perspektywach w Bath może pani zapomnieć. Nie ma co się łudzić, że Townsend nabierze wody w usta. Przeciwnie, na pewno będzie się starał przedstawić siebie w korzystnym świetle. Przy okazji wyolbrzymi mój udział, żeby zasugerować, że nas coś łączy.

- To nie moja sprawka, tylko pańska!

- Nieważne, czyja to sprawka. Szkoda już się stała. Nie rozumie pani? Próbuję pani pomóc.

Na chwilę zamknęła oczy i przypomniała sobie wszystkie ordynarne słowa, które czasem słyszała w ustach braci, choć jej nigdy nie chciały przejść przez gardło.

- Jak?

Uśmiechnął się.

- Zwyczajnie. Postąpimy mniej więcej zgodnie z pani planem.

Udało mu się zbić ją z tropu. Nie mogli postępować zgodnie z jej planem, póki nie była mężatka, a nie uwierzyła, że Max posunąłby się aż tak daleko tylko po to, żeby napisać artykuł.

- Nie poślubię pana, Max - powiedziała ostrożnie.

- Boże uchwaj! - Wydawał się naprawdę wstrząśnięty. - Chyba nie wyobraża sobie pani, że chciałem się żenić z każdą miłą panną, którą kiedykolwiek... całowałem.

Uraził ją tym śmiertelnie.

- Myślałam o moim majątku - odburknęła.

- No, tak. - Zadumał się. - Pani poświęca dużo czasu myśleniu

o pieniądzach, prawda? Niech Bóg panią strzeże przed poślubieniem biedaka. Miałaby pani złamane życie, Saro.

Z głośnym stukiem ustawił na czterech nogach krzesło, na którym się bujał.

- Mam następujący plan: Odegram rolę pani narzeczonego. Będziemy parą zakochanych, pochłoniętą przygotowaniami do ślubu, który zresztą nigdy się nie odbędzie. Naturalnie nie padnie ani słowo o tym, że w intercyzie każe pani mężowi zrezygnować z praw do pani majątku. Wszyscy muszą być przekonani, że z dniem ślubu przejmuję rozporządzenie tym kapitałem. - Uśmiechną się szeroko. - To powinno podzielać jak kij w mrowisko. Co więcej, jestem przekonany, że William albo osoba, która się pod niego podszywa, zechce się ujawnić, więc będę w pogotowiu.

Sprawiły jej jej najgorsze przeczucia. Już, już miała na końcu języka, żeby poszedł sobie do diabła, ale nie wolno jej było unieść się gniewem. Zbyt wiele miała do stracenia. Nie chciała zobaczyć swego nazwiska złożonego wielką czcionką na pierwszej stronie jego gazety. Nie chciała, żeby teraz „Courier” w mieszał się do jej spraw. Potrzebowała trochę czasu.

Wysłać go do wszystkich diabłów mogła potem.

- Niech pan uważa, Max - powiedziała i uśmiechnęła się. - Mimo wszystko istnieje możliwość, że zadaje się pan z morderczynią. A co powstrzyma mnie przed popełnieniem następnej zbrodni?

Wolno unióśł brwi i dokładnie jej się przyjrzał. Wreszcie wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Wobec tego niech pani zabije mnie od razu, Saro, bo to jest dla pani jedyny sposób, żeby się mnie pozbyć.

Był nieznośny! Nie do wytrzymania! Ale najbardziej niepokoiło ją to, że jest też niewzruszony jak mur.

11

Constance Streatham-Carstairs - tak ostatnio się przedstawiała - rozsunęła zasłony i wyjrzała przez okno. Zobaczyła długą aleję wysadzaną wiekowymi dębami, których gałęzie zwieszały się smutno pod ciężarem mokrego listowia. Drzewa przypominały żałobników chylących się nad grobem przyjaciela. Melancholijny widok pasował jak ulał do jej nastroju. Niewiele brakowało jej do płaczu, tak głęboki zawód przeżyła. A więc to prawda. Sara wychodziła za mąż. Wszystko było czarno na białym w liście, który doręczono poprzedniego dnia przez specjalnego posłańca. A dziś miała przyjechać Sara z narzeczonym. Wkrótce będzie ślub, mąż weźmie w swoje ręce jej sakiewkę i wtedy - Constance była tego pewna - Streathamowie stracą wszystko.

A to znaczyło dla niej, że do końca swych dni pozostanie zamknięta w tym więzieniu. Łzy napłynęły jej do oczu. To było niesprawiedliwe. Miała zaledwie trzydzieści sześć lat. Poślubiła bogatego człowieka i spodziewała się życia w luksusie, jakiego wcześniej nie знаła. Tymczasem skończyła w tej dziurze, gdzie nie miała przyjaciół ani nikogo, kto mógłby ją docenić. W dodatku po liście Sary wszystkie jej nadzieje prysły. Równie dobrze mogłaby odsiadywać wyrok w więzieniu Newgate.

Nienawidziła tego domu. Longfield przebudowano nie po to, żeby dobrze się tu czuła, lecz by sprostać wyobrażeniom jej męża o tym, jak powinien mieszkać właściciel ziemski. Inni bogaci ludzie stawiali majestatyczne marmurowe budowle w stylu klasycystycznym, a tymczasem Samuel Carstairs kupił walący się

elżbietański dwór z ciemnymi dębowymi boazeriami, dymiącymi kominami i żałośnie małymi okienkami, przez które światło prawie nie wpadało do środka. Głowy i poroża jeleni, które zdobyły wielką salę, podobnie jak posępne portrety nikomu nie znanych przodków sprzedano na licytacji. Tylko ten salon i jej sypialnię umeblowano tak, jak sobie zażyczyła. Wymieniono boazerię na jaśniejszą, bladożółtą, a belkowane sufity zastąpiono misternymi klasycystycznymi sztukateriami.

Równie dobrze mogła była oszczędzić sobie i mężowi pracy i tego wydatku. Nikt nigdy nie przyjeżdżał do Longfield z wizytą. Krąg ich przyjaciół ograniczał się do niewielkiego towarzystwa, w którym się obracali: miejscowy lekarz, proboszcz, wojskowi w stanie spoczynku i im podobni. W każdym razie tak było przed procesem Sary. Przez ostatnie trzy lata nawet ta mała grupka bardzo stopniała.

Wszystko ułożyłoby się zupełnie inaczej, gdyby starsza pasierbica poślubiła wicehrabiego Hale'a. Takie okazje nie zdarzają się niedoświadczonym pannom zbyt często. To ona, Constance Carstairs, była siłą sprawczą planowanego związku. Kierowała nią niezaspokojona ambicja wspięcia się wyżej po drabinie społecznej. Gdyby mieli w rodzinie kogoś z tytułem i odpowiednie koneksje, mogliby zacząć bywać w znacznie elegantszym towarzystwie niż elita Stoneleigh. Ale Sary nie udało się namówić na to małżeństwo, a Samuel Carstairs nie nalegał. Ta dziewczyna zawsze stawiała na swoim.

Constance pomyślała, że jej zgorzknienie nie wzięło się z niczego. Samuel Carstairs nigdy tak naprawdę nie pogodził się ze śmiercią pierwszej żony. Przez cały czas stawiał Marię na piedestale, tak samo jak Sarę. Często podkreślał, że córka odziedziczyła po matce zdrowy rozsądek. Że zna wartość pieniędzy i nie tęskno jej do wielkomięjskich rozrywek. Ta lista cnót wydłużała się w nieskończoność. Constance nawet może by to mężowi wybaczyła, gdyby w końcu nagroził ją za tyle lat poświęceń, a tymczasem po jego śmierci dostała tylko wdowią rentę, która nawet w części nie wystarczała na utrzymanie jej i trojga dzieci na odpowiednim poziomie.

A teraz Sara miała wyjść za mąż.

Constance poczuła, że musi napić się czegoś mocnego. Koniecznie.

Odrzuciła się plecami do okna i potoczyła wzrokiem po obec-

nych w pokoju. Jej synowie, Simon i Martin, z zapałem roztrząsali mocne strony dwóch renomowanych bokserów, którzy mieli w tym tygodniu stoczyć walkę w pobliskim Romsey, natomiast córka Lucy siedziała skulona na kanapie, rzecz jasna z nosem w książce.

Z pewnością nie zauważąliby, gdyby ich matka wymknęła się po cichu na górę, gdzie w garderobie miała ukrytą butelkę brandy. Z drugiej strony w każdej chwili mogli nadjechać narzeczeni, a Sara natychmiast by ją przejrzała. Zawsze tak było.

Sara miała wyjść za męża.

Constance nie uwierzyła synom, gdy jej o tym powiedzieli. Ale po liście pasierbicy nie mogła dłużej ignorować tej wiadomości. Teraz musiała poważnie się zastanowić. Jedną cechą niewątpliwie zaćmiewała Carstairsów: miała więcej ambicji niż reszta rodziny razem wzięta. Sara i Anne zmarnowały swoje okazje. Ona nie zamierzała popełnić tego samego błędu. A gdyby żadna okazja się nie nadarzyła, trzeba będzie ją stworzyć.

Początek już zrobiła. Pozyskała wpływowego sprzymierzeńca, który mógłby otworzyć przed nią wszystkie drzwi, jeśli Sara zgodziła się sfinansować sezon Lucy w Londynie. Gdyby bowiem córka pojechała do stolicy, to matka naturalnie musiałaby jej towarzyszyć. Dlaczego nie? Constance uważała, że jest o wiele za młoda, żeby spoczywać w rodzinnym grobowcu zwanym Longfield. Miała zamiar po przyjeździe do Londynu zrezygnować z nazwiska Carstairs. Ten pomnik ku czci zmarłego męża był dla niej jak kamień u szyi. Lucy Streatham i jej młodzieńczej matki nikt nie skojarzy z wydarzeniami w Stoneleigh. Gdyby los się do niej uśmiechnął, nie musiałaby więcej wracać do Longfield.

Ale wszystko było w rękach Sary.

Ją namówiłaby łatwo, bo pasierbica miała słabość do Lucy. Ale jej narzeczoney stanowił osobny problem. Constance wiedziała, że dopiero gdy go pozna, będzie mogła zdecydować, jak rozegrać swoje karty.

Nie. Powinna poczekać z tym drinkiem do czasu, aż pozna tajemniczego nieznajomego.

- Sara musiała wam coś napomknąć o tym człowieku, którego chce poślubić - powiedziała do synów.

- Nic a nic - odrzekł ponuro Martin. - Tylko tyle, że po ślubie mąż będzie rozporządzał jej majątkiem.

Constance podciągnęła spódnicę i usiadła obok córki na kanapie.

- Wyprostuj się, Lucy - zakomenderowała. - Nie jesteś już dzieckiem. W twoim wieku miałam męża. - Zamilkła, gdy córka posłusznie odłożyła książkę i usiadła sztywno wyprostowana. Pomyślała, że córce nie zbywa na urodzie i rozumie, ale brakuje jej stylu. Miała stanowczo za mało ogłady,

Simon ziewnął i zerknął na zegar stojący na kominku.

- Wkrótce się dowiemy, jak on wygląda - powiedział. - Na pewno niedługo przyjadą.

Constance spojrzała na niego groźnie.

- Moim zdaniem traktujesz to zbyt lekko, Simon. Chyba rozumiesz, jakie znaczenie może mieć ślub Sary dla całej rodziny? Ten człowiek prawdopodobnie jest łowcą posagów. Bądź co bądź, kto ożeniłby się z kobietą, która miała proces o morderstwo?

- Uniewinniono ją - spokojnie zwrócił jej uwagę Simon.

- Nie w tym rzecz!

Constance głośno nabrała powietrza do płuc. Wyglądało na to, że otaczają ją sami głupcy. Ona jedna widziała w tym małżeństwie poważne zagrożenie. Nawet z Simonem musiała rozmawiać ostrożnie. Tyle się dla niego poświęcała i co? Naprawdę powinien jej okazać więcej lojalności.

- Chcę powiedzieć tylko tyle, że ten człowiek może się okazać nikczemnym łowcą posagów - dokończyła.

- Czyli może być podobny do nas? - spytał oschle Simon. Ponieważ zaś wyglądało na to, że matka jest bliska wybuchu wściekłości, dodał z rozbijającym uśmiechem: - O Sarze można niejedno powiedzieć, ale nie to, że jest głupia. Jeśli trafi na nikczemnego łowcę posagów, to pokaże mu drzwi.

Constance spiorunowała wzrokiem syna, który kiedyś był jej oczkiem w głowie.

- Niech Oksford nie uderza ci do głowy, Simon - poradziła mu oschle. - Jesteśmy tutaj ubogimi krewnymi i lepiej, żebyś o tym pamiętał.

- ' Jak mógłbym zapomnieć, skoro nieustannie nam to powtarzasz?

- W każdym razie pilnuj się, żeby nie powiedzieć niczego, co mogłoby zaniepokoić Sarę. Żadnych ironicznych uwag. Żadnych ataków złości. To się odnosi również do ciebie, Martin.

- Chwileczkę - odparł buńczucznie Martin. - Ja nie...

Głos matki zagłuszył jego słowa.

- Lucy, postaraj się pokazać, że masz trochę ikry. Pamiętaj, że od ciebie zależy przyszłość rodziny.

- Och, na miłość boską - przerwał jej Simon. - Lucy jest tylko dzieckiem.

Constance groźnie zmrużyła oczy.

- Miałeś już szansę, Simon, razem z Martinem, i obaj ją zaprzepaściliście. Teraz kolej na Lucy i nie pozwolę, żebyście jej pomieszali szyki. - Ponieważ nie napotkała sprzeciwu, mówiła dalej: - Póki Sara jest w Longfield, nie będzie wymykania się do szynków, walk kogutów, nie będzie hazardu i walk bokserskich. Zrozumiano?

- Będziemy po prostu wielką szczęśliwą rodziną, tak jak zawsze - mruknął Simon.

Matka zdecydowała się puścić mimo uszu ten sarkazm. Zerknęła na zegar i bodaj dziesiąty raz spróbowała odgadnąć, co mogło zatrzymać Sarę.

Utknęli milę od domu, w koleinach, które deszcz zamienił w błotnistą maź. Sara oświadczyła, że jest bezradna, została więc w ciepłym i suchym powozie, natomiast Max wysiadł, by pomóc woźnicy. Pierwszy raz od dłuższego czasu Sara się uśmiechnęła, pierwszy raz miała bowiem poczucie, że coś układa się nie po jego myśli. A kiedy jeszcze przewrócił się w błoto i wstał, klnąc ze złości, wybuchnęła głośnym śmiechem.

W Salisbury wcale nie było jej do śmiechu, gdy spotkali się z panną Beattie. Bea wpadła w zachwyt nad niespodziewanym obrotem spraw, ale przecież nie wiedziała wszystkiego. Usłyszała od nich tylko tyle, że Max namówił pana Townsenda, żeby ten pozwolił mu zająć jego miejsce. Nie było trudno zinterpretować błysk w oczach Bei. Gospodyni miała nadzieję, że małżeństwo z rozsądku stanie się całkiem prawdziwym związkiem.

Sara chciała powiedzieć opiekunce, kim jest Max, ale on zaprotestował. Jego zdaniem, sprawą najwyższej wagi było to, żeby wszyscy uważali go wyłącznie za kandydata na jej męża. Przecież to właśnie miała być przynęta na Williama. Gdyby wyszło na jaw, że Max jest wydawcą „Couriera”, jego wiarygodność mogłaby zostać zakwestionowana. Wprawdzie panna Beattie

świadomie na pewno by go nie zdradziła, ale gdyby wymusnęło jej się nieostrożne słowo i usłyszała je niewłaściwa osoba, cały wysiłek mógłby pójść na marne.

Sara westchnęła i mocniej otuliwszy się narzutką, rozmyślała dalej. Max zaprosił pannę Beattie, żeby pojechała z nimi do Longfield, ona jednak odmówiła. Potem powiedziała podopiecznej na osobności, że tylko by zawadzała. Sara nie próbowała zmienić jej decyzji.

Na tym więc stanęło.

I w ten oto sposób ugrzęzła w błocie razem z Maksem Worthe'em, człowiekiem, który zaszczuwał ją od trzech lat. Czyżby oszalała? Co ją, u licha, opętało, żeby zgodzić się na takiego współnika? Z pewnością nic jego urok. William przy pierwszym spotkaniu też był uroczy i co z tego dla niej wynikło?

Nie uległa też natręctwu Maksa, mimo że próbował z niego uczynić metodę. Dlaczego wobec tego ustąpiła?

Nie, nie ustąpiła. Prawda była taka, że nie miała wyjścia. Wprawdzie wołałaby męża, ale lepszy narzeczony niż nic. Może człowiek, który przysyłał jej listy, jednak się przestraszy. W najgorszym razie zyskiwała trochę czasu na zrobienie tego, po co wróciła do Longfield.

Jej myśli zdryfowały ku wdowiemu domkowi i ostatniemu spotkaniu z Williamem.

Zadrzała i podniosła głowę, po powóz nagle potoczył się naprzód. Nie odjechał jednak daleko, a gdy przystanął, do środka wszedł Max.

- Tylko niech pani nic nie mówi - zapowiedział surowo.

Milczała, ale jej stłumiony chichot zabrzmiał dość głupio.

Max zacisnął usta, zaraz jednak zrozumiał komizm sytuacji i również się uśmiechnął.

- Muszę wyglądać jak dzika świnia.

Potwierdziła skinieniem głowy.

- A chciałem zrobić dobre wrażenie na pani rodzinie.

- Jakie to ma dla pana znaczenie, co oni pomyślą?

Zdjął zabłocone okrycie wierzchnie i wytarł nim buty oraz spodnie.

- Mam być zaślepionym narzeczonym, prawda? To naturalne, że chcę zrobić dobre wrażenie na rodzinie wybranki.

- Chce pan powiedzieć, że powinni pana polubić, żeby mógł

pan ich zaskoczyć, kiedy się tego najmniej spodziewają? Oni nie mogą panu w niczym pomóc, a ja nie życzę sobie, żeby wypytywał ich pan na prawo i lewo. Dość już się wycierpieli.

Spojrzał na nią zdziwiony.

- Słyszałem, że pani jest w nie najlepszych stosunkach z rodziną. Wzruszyła ramionami.

- Uważają mnie za skapiradło. Zdaje im się, że siedzę na studni z pieniędzmi, która nigdy nie wyschnie. Ale poza tym rozumiemy się całkiem nieźle.

- To dlaczego nie byli na pani procesie?

- Słucham?

- Dlaczego rodzina nie przyjechała na proces, żeby podtrzymać panią na duchu?

- Bo nie chciałam, żeby tam byli. Tłum by się na nich rzucił. Simon, najstarszy, miał wtedy tylko piętnaście lat. Co mógłby zrobić? Powiedziałam więc Constance, że najlepiej mi pomogą, zostając w domu. Zresztą nie chciałam, żeby mnie widzieli na ławie oskarżonych. Nie chciałam, żeby usłyszeli... - Głos jej się załamał i tylko pokręciła głową. Dopiero gdy zaczerpnęła tchu, mogła mówić dalej. - Anne też nie powinna była tam przyjść. Przeżyłam wstrząs, gdy zobaczyłam, że wezwano ją na świadka. To był pomysł mojego adwokata. Uznał, że proces przybiera niekorzystny obrót i że zeznanie siostry pomoże oczyścić mnie z zarzutów. Ale ja wiedziałam, że nie wytrzyma przesłuchania. Anne zawsze okropnie się płacze, kiedy ktoś przypiera ją do muru. Dlaczego pan tak na mnie patrzy? O czym pan myśli?

- Myślę, że rodzina jest dla pani bardzo ważna. Zrobiłaby pani dla nich prawic wszystko. Prawda, Saro?

- Niech pan nie zaczyna przemów w takim tonie. Moi bracia byli wówczas o wiele za młodzi, by mieć cokolwiek wspólnego ze zniknięciem Williama. Lucy była dzieckiem. Anne... Anne po prostu stoi poza wszelkimi podejrzeniami, sam pan się o tym przekona, gdy ją pan pozna. A Constance nie miała żadnego motywu, żeby zabić Williama. Jak więc pan widzi, nie mam powodu kogokolwiek osłaniać.

Przyjrzał się jej twarzy.

- Nigdy nie słyszałem, żeby nazwała pani któregoś z braci „przyrodni”.

- Czy to dziwne? Razem dorastaliśmy. Mieszkaliśmy w tym samym domu. Nie wiem, o co panu chodzi.

- Ale nigdy nie nazywa pani Constance matką.

- Ona woli, żebym mówiła do niej po imieniu. Do czego pan zmierza?

- Do niczego. Po prostu próbuję sobie wyobrazić pani rodzinę. Kiedy ich pani ostatnio widziała?

- Constance, Lucy i Anne trzy lata temu, ale utrzymuję z nimi kontakt listowny. Co do chłopców, to od czasu do czasu mnie odwiedzali. Nie mogę powiedzieć, żebym tego chciała. Moim zdaniem lepiej byłoby, gdybyśmy się nie widywali. Oni mieli swoje życie, ja miałam swoje. Ale chłopcy dorastali, wpadali w kłopoty... w każdym razie moje listy nie odnosiły skutku, więc doszłam do wniosku, że powinniśmy jednak porozmawiać osobiście.

- Czyli inaczej mówiąc, chciała ich pani pouczyć, tak?

Zrobiła gniewną minę.

Max zareagował jednak tak, jakby odpowiedziała twierdząco.

- Niech pani nie czyni sobie wyrzutów. Chłopcom w tym wieku trudno jest przemówić do rozsądku.

- A pan umiałby to zrobić lepiej?

- Mam nadzieję. Bądź co bądź sam byłem kiedyś chłopcem.

Jacy oni są?

- Kto?

- Pani bracia. Pani rodzina. W gruncie rzeczy nie powiedziała mi pani o nich wiele.

- Pan nie mówił mi o swojej rodzinie dosłownie nic!

- Ja spytałem pierwszy.

- Nie mamy wiele czasu. Jesteśmy prawie na miejscu.

- Niech pani powie tylko kilka zdań. Na to czasu wystarczy.

Spojrzała na niego tak, jakby bardzo go nie lubiła, lecz mimo to ustąpiła.

- Mówiłam już panu, że Simon i Martin są koryntianami. Wystaliśmy ich do Oksfordu, żeby się kształcili, ale w tej dziedzinie jak dotąd ani jeden, ani drugi nic tam nie osiągnął. Poza tym jednak bardzo się różnią. Simon, starszy, lubi się obracać w eleganckim świecie. Myślę, że można to nazwać ogładą. A Martin... cóż, ma dopiero siedemnaście lat. To jest chyba bardzo trudny wiek dla chłopca.

Powiedziała to takim rozmarzonym tonem, że Max nie mógł się nie uśmiechnąć.

- A Lucy? - spytał.

Sara westchnęła.

- Nie wiem, po prostu nie wiem. Gdy wyjeżdżałam z Longfield, była uroczym dzieckiem. Ale teraz myśli tylko o sezonie w Londynie. Najprawdopodobniej ciągle słyszy o tym od matki. Tylko że to nic nie załatwi. - Spojrzała na niego z kwaśnym uśmiechem. - Constance sądzi, że nie chcę pomóc Lucy ze względu na koszty. Ale mnie nie chodzi tylko o to. Nie mamy odpowiednich koneksji. Kto odwiedzałby Lucy, gdyby pojechała do Londynu? Kto zapraszałby ją na przyjęcia? Kto przyszedłby na bal wydany na jej cześć? Nikt, kogo znam. A nawet gdyby stał się cud i wszystkie drzwi nagle się przed nią otworzyły, co by się stało, gdyby ktoś przypomniał sobie, że siostra Lucy była sądzona za morderstwo? To by przekreśliło wszelkie jej szanse. Constance twierdzi, że warto spróbować. Ale ja jestem innego zdania.

- I to czyni panią potworem?

- Mniej więcej.

- A Anne? Jaka ona jest?

- Cicha. Zamyślona. Jeszcze w wieku dziewczęcym jej największą ambicją było zostać zakonnica. Nie sądzę, żeby się kiedykolwiek z tego wyleczyła. - Nie lubiła mówić o Anne, więc szybko zmieniła temat. - Teraz pańska kolej. Kim są pana rodzice, Max. Gdzie mieszkają?

Skrzyżował ramiona na piersi.

- Moim ojcem jest lord Lyndhurst - odpowiedział. - Mieszka razem z moją matką niedaleko Winchester.

Zmarszczyła czoło.

- Słyszałam o zamku Lyndhurst, chociaż nigdy nie widziałam go na oczy.

- Należy do mojego ojca. Tam się urodziłem.

- Utrzymanie zamku musi kosztować fortunę.

- Do czego pani zmierza, Saro?

Spojrzała na niego spod przymrużonych powiek.

- Hmm. Czy przypadkiem nie szuka pan bogatej dziedziczki, z którą można by się ożenić, Max? Wie pan, pański tytuł za mój majątek?

Wyprostował się.

- Stanowczo nie!
- To dobrze. Bo mój majątek nie jest na wymianę. Poza tym nie sędzę, żeby można było utrzymać zamek z mojego udziału w kapitale ojca. - Gdy przeszył ją złym wzrokiem, odpowiedziała mu pogardliwym uśmiechem. - O, jesteśmy na miejscu.

Max zrezygnował z ciętej repliki i wyjrzał przez okno, a tymczasem powóz skręcił i zatrzymał się między dwiema kamiennymi kolumnami ze stróżówką po jednej stronie.

- A gdzie jest Stoneleigh?
- Mniej więcej milę dalej. Dlaczego pan o to pyta?
- Bez szczególnego powodu. Po prostu usiłuję zorientować się, gdzie jestem.

Drzewa i krzewy po jednej stronie podjazdu tworzyły taki gąszcz, że nie sposób było dojrzeć, co znajduje się za nimi. Max chciał spytać, czy wdowi domek ma jakiś związek z głównym budynkiem, ale uznał, że nie jest to właściwy moment. Zauważył bowiem, że Sara nagle bardzo się usztywniła.

- Zdenerwowana? - spytał.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy i Max mógł się przekonać, jaka niepewność, ile obaw musi ją dręczyć. Potem jednak odwróciła wzrok i odezwała się całkiem obojętnym tonem:

- Czy to pana dziwi?

Nie. Zdenerwowanie wcale go nie dziwiło. Nie rozumiał jednak, czego Sara się obawia.

- O, znowu pan ma tę swoją minę. O czym pan myśli, Max?

- O niczym szczególnym.

Tak naprawdę myślał jednak o tym, że jest najwyższy czas, by ktoś pomógł Sarze dźwigać te ciężary, które składała sobie na ramiona. Bardzo żałował, że nie poznał jej przed procesem, zanim nabrał do niej uprzedzeń. Był bowiem przekonany, że tej uroczej, zdecydowanej, lecz mimo to dość bezbronnej pannie potrzebny jest rycerz, nawet wbrew jej woli, i nie widział powodu, dla którego nie miałyby zająć tego miejsca.

Gdy Max zobaczył dom, cicho gwizdnął. Był to klejnot epoki elżbietańskiej, któremu oszczędzono smutnego losu wielu wiekowych rezydencji. Pozostał nietknięty, nie miał klasycystycznej fasady, która szkodziłaby jego masywnemu pięknu, ani skrzydeł

dobudowanych bez poczucia stylu. Z kamiennymi murami, po których pięł się bluszcz, i solidnymi wieżyczkami, górującymi nad narożnikami, budynek mógłby uchodzić za miniaturę Hampton Court, rezydencji kardynała Wolseya, z tych czasów, zanim późniejsze pokolenia nieodwracalnie zniszczyły ją kolejnymi przeróbkami.

- Kiedy zbudowano ten dom? - spytał z podziwem.

- W końcu szesnastego wieku. Początkowo należał do bogatego kupca winnego, który w końcu doczekał się nawet pośledniego stanowiska na dworze. Chyba pan więc rozumie, że zrobiło to duże wrażenie na moim ojcu.

- Jest piękny.

- Zgadza się. Ale zanim uniesie się pan zachwytem, Max, muszę pana ostrzec, że mój ojciec przywrócił oryginalny wystrój także wewnątrz.

- To znaczy?

- Niektórym ludziom Longfield wydaje się zbyt surowe, zbyt prymitywne.

- A pani uwielbia to miejsce?

- Byłam tu szczęśliwa - odpowiedziała zwyczajnie.

Milczeli, gdy wynajęty powóz wtoczył się przez bramę na wewnętrzny dziedziniec. Jeszcze zanim woźnica zatrzymał pojazd, drzwi domu otworzyły się i wysypali się z nich lokaje.

Gdy zabierali bagaże, Sara uśmiechała się i witała każdego z nich po imieniu. Max stał nieco z boku i dokładnie się wszystkim przyglądał. Sarze wcale nie było spieszno, żeby schronić się przed deszczem, zastanowiło go więc, czy rzeczywiście interesują ją losy służby, czy po prostu ogarnął ją lęk przed wejściem do środka.

Wkrótce jednak rozmowy ze służbą się skończyły, Sara wyprostowała się i obróciła ku domowi. Gest wydał się Maksowi dziwnie wzruszający. Bardzo chciał dzielić z nią tę chwilę.

- Służę ramieniem - powiedział.

- Nie boję się spotkania z rodziną, jeśli o to panu chodzi.

- Pani nie, ale ja tak. Proszę.

Jednak coś drgnęło w jej niezłomnym spojrzeniu, które z wolna zaczęło się stawać coraz cieplejsze.

- Na ile pana znam, jutro cała rodzina będzie panu jadła z ręki.

Minęli niedużą sien i weszli do wielkiego holu. Czekają na nich

czworo ludzi w sztywnych, wystudiuowanych pozach. Wszyscy mieli ciemne włosy i choć bardzo się różnili, każde zwracało uwagę swą urodą. Gdy Sara do nich podeszła, wydali jednocześnie ni to westchnienie, ni to okrzyk:

- Sara!

Milczenie przerwała najmłodsza w tej grupce osoba, urodziwa panna o delikatnych rysach, cała spowita w biały muślin. Max uznał, że musi to być Lucy.

- Myślałam, że nigdy nie wrócisz- powiedziała drżącym głosem. Zrobiła kilka drobnych, eleganckich kroczków w stronę przyrodniej siostry, przystanęła, i z dziecięcym entuzjazmem rzuciła się jej w ramiona. - Och, jak bardzo za tobą tęskniłam, Saro!

To uczucie jest szczere, pomyślał Max, przyglądając się, jak Sara obejmuje dziewczynę. A potem zrobiło się wielkie zamieszanie, bo wszyscy nagle ożyli i zaczęli mówić jedno przez drugie. Simona i Martina, koryntian na dorobku, Max zaszczycił jedynie powierzchownym spojrzeniem. Całą uwagę skupił bowiem na kobiecie, do której Sara zwracała się per „Constance”.

Macocha! - pomyślał i osłupiał.

Constance Carstairs wydawała się stanowczo za młoda jak na matkę trojga obecnych tu dorastających dzieci. Prawdę mówiąc, sprawiała wrażenie rówieśniczki Sary. Skórę miała gładką, rysy delikatne tak samo jak córka, a jej ciemne lśniąco włosy otaczały twarz w kształcie serca.

Figurę miała Constance równie młodzieńczą jak twarz. Jedwabna suknia w kolorze jasnego bursztynu nadawała jej skórze miodowy połysk. Bez wątpienia była to kobieta, która umiała pokazać swoje walory.

Sara przejęła inicjatywę.

- A to jest człowiek, dzięki któremu stałam się najszcześliwszą kobietą świata, lord Maxwell Worthe, mój narzeczony.

Constance uniosła starannie regulowane brwi i z zainteresowaniem przyjrzała mu się błyszczącymi zielonymi oczami.

- Witam, lordzie Worthe- powiedziała, kładąc nieznaczny nacisk na tytuł.

- Tak naprawdę to „lordzie Maxwell” - poprawił ją. - Ten tytuł jest grzecznościowy, pani rozumie.

- Bardzo się cieszę, że mogę w końcu pana poznać - oznajmiła niskim, melodyjnym głosem Constance.

Max wiedział, że jest to prawda. Widywał już takie spojrzenia kierowane na swoją osobę. U kobiet, które uważały go za pociągającego i chciały, żeby o tym wiedział. Każdy mężczyzna ma w sobie jakąś dozę próżności i Max nie stanowił wyjątku. Jeśli intuicja go nie myliła, Constance należała do kobiet, robiących furorę wśród mężczyzn, lecz mających bardzo niewiele przyjaciółek.

- Jest mi bardzo miło - odpowiedział i delikatnie pocałował podaną mu dłoń.

Tak samo powitał Lucy, która natychmiast spłonęła rumieńcem i odwróciła się z chichotem. Martin skłonił się i mruknął coś niezrozumiałego, natomiast Simon zmierzył go jawnie wrogim spojrzeniem.

- Ty musisz być Simon - powiedział Max. - Jak się masz?

Simon w odpowiedzi ledwo skinął mu głową, prawie niegrzecznie.

Sara, której nie interesował ten ceremoniał, spytała pogodnie:

- A gdzie jest Anne?

Constance odwróciła karcące spojrzenie od starszego syna.

- Gdzie mogłaby być, jak nie oddawać się dobroczynności? Siedzi u naszego nowego proboszcza, pana Thornleya. Powiedzia-łam jej, kiedy przyjeżdżacie, ale wiesz, jaka jest Anne. Czasem zastanawiam się, czy ona w ogóle zna się na zegarze.

- Na pewno przyjdzie na kolację - powiedziała najwyraźniej nie zmartwiona tym Sara.

- Nie liczyłabym na to. Ona spędza teraz więcej czasu na plebanii niż w Longfield. Ciągłe chodzi na spotkania modlitewne. Nie zdziw się, ale czasem przeciągają się one do późna. - Constance wzruszyła ramionami. - Anne jest pełnoletnia i nie odpowiada przed nikim, odkąd porzuciłaś... och, chciałam powiedzieć: odkąd wyjechałaś.

W ciszy, która zapadła po tych słowach, Max spojrzął na Sarę. Wyglądała tak, jakby nagle uszło z niej życie. Stała nieruchomo, całkiem bezbronna.

- Saro - odezwał się cicho. - Czy mam posłać po nią kogoś ze służby?

Na dźwięk jego głosu ocknęła się.

- Ze służby?

- Żeby przyprowadził Anne.

- Wielkie nieba, nie! Jeszcze służący straciłby rachubę czasu

i gdzieś się zagubił. Anne tak działa na ludzi. Chodźmy, Max, pokażę ci twój pokój.

W milczeniu ruszyli po schodach, ale gdy byli już dość wysoko, doleciał ich hałas z parteru, tak jakby wybuchła tam kłótnia. Słów nie można było rozróżnić, z pewnością jednak dominował głos Constance. Teraz wcale nie wydawał się melodyjny. Pobrzmiewała w nim bardzo groźna nuta.

A więc ta kobieta, dzięki Bogu, nie jest doskonała, pomyślał Max, Constance bowiem wydała mu się bardzo powabna, aczkolwiek nawet nie w połowie tak powabna jak smukła, sztywno wyprostowana kobieta, idąca przed nim po schodach i prowadząca go Bóg wie gdzie.

12

Sara weszła do sypialni i cicho zamknęła za sobą drzwi. Powiedziała służącej, że z rozpakowaniem rzeczy można poczekać. Przez kilka minut chciała побыć sama.

Nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co robi, zdjęła narzutkę, rozwiesiła ją w nogach olbrzymiego łóża i wolno przeszła przez cały pokój, by stanąć przy oknie. W dole ciągnęły się wypielegnowane trawniki, które dalej ustępowały miejsca młodniakowi, jeszcze dalej zaś, nad czubkami drzew, widoczne były wieże Stoneleigh.

Po procesie mieszkańcy miasteczka nie byli do niej życzliwie nastawieni. Jeszcze teraz myśl o przechadzce po ulicy albo pójściu do kościoła wydawała się więc Sarze dość przerażająca. Nieważne. Jeśli wszystko ułoży się zgodnie z planem, miejscowi ludzie nawet nie zdążą się zorientować, że wróciła, jak znowu jej tu nic będzie.

Nareszcie dotarła do domu, swojego ulubionego miejsca na świecie, ale już myślała o tym, żeby stąd wyjechać.

Wiele razy wracała do domu z różnych podróży, ale żaden powrót nie był podobny do tego. Gdy przyjeżdżała ze szkoły, bracia i siostry szaleli z zachwytu, ale naturalnie zawsze pamiętała, by każdemu przywieźć drobny upominek. Czekał też na nią dumny ojciec. I była Constance, narzekająca, czasem naburmuszona, ale nigdy nie ponura. I Anne...

Nie mogła myśleć o siostrze, bo zbierało jej się na płacz. Kiedyś dobrze się rozumiały, ale teraz Anne zamknęła się w sobie. Z jej listów Sara nie mogła wiele wyczytać. Od dnia zniknięcia Williama

siostra poświęciła cały swój czas i energię kościołowi i tylko o tym pisała.

Czyżby dręczyły ją wyrzuty sumienia? Czy dlatego oddała się dobroczynności? Jak wiele zapamiętała z tamtej nocy?

Sara odwróciła się plecami do okna i zatrzymała wzrok na miniaturowym portrecie nad sekretarzykiem. Spomiędzy ramek spojrziała na nią ojciec. Twierdzono, że w niego się wrodziła, że są podobni nie tylko z wyglądu, lecz również z charakteru. Z wyglądu owszem, temu nie mogła zaprzeczyć. Mieli te same szare oczy i bujne ciemne włosy. Ale Sara wiedziała, że nie umiałyby dorównać ojcu. Był bardzo bystry i doskonale znał ludzką naturę. Tylko dzięki niemu rodzina trzymała się razem. Ją to zadanie przerosło, czego dowiodło życie. Dałaby wszystko za to, by ojciec mógł zstąpić z portretu, objąć ją i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze.

Nigdy nie był czuły, nie rozpieszczał Swoich dzieci, a mimo to tęskniła za nim. Gdy żył, zawsze mogła na niego liczyć. A teraz została sama.

Usiadła na krawędzi łoża, dotknięta poczuciem klęski. Ale jej wzrok znów zawędrował do portretu ojca i to pomogło jej się pozbierać. Ojciec obdarzył ją zaufaniem. Nie wolno jej było go zawieść.

Pomyślała o Maksie. Gdy na niego patrzyła, widziała dwóch ludzi: bezwzględного korespondenta „Couriera”, który zaszczywał ją od trzech lat i którego śmiertelnie się bała, oraz uroczego dandysa, który oczarował ją w zajeździe w Reading.

Specjalny korespondent. Miała te słowa mocno wryte w głowie i wiedziała, że nigdy ich nie zapomni. Ten człowiek podsycił pamięć ludzi, którzy powinni byli dawno już zapomnieć o Sarze Carstairs. Sara bała się więc tego człowieka i go nienawidziła.

Za to człowiek, który, jak jej się zdawało, owładnął ją swoim czarem, po prostu nie istniał. Nie miało sensu łądzić się nadzieją. Przecież wcale nie znała Maksa Worthe'a. Reading zdawało jej się teraz oszukańczym snem, wytworem naiwnej fantazji. Rzeczywistość bowiem była taka, że do Longfield zjechał specjalny korespondent „Couriera”.

Gra jeszcze się nie skończyła.

Reading. Wbiła wzrok w ścianę, a pamięć zaczęła podsuwać jej obrazy z tamtej nocy. Gdy poczuła łzy pod powiekami,

stwierdziła, że nie wolno jej się rozklejać. Energicznie wstała, podeszła do dzwonka i pociągnęła za sznur.

Gdy weszła służąca, Sara przeglądała zawartość szafy z ubraniami. Wszystkie suknie miały przynajmniej trzy lata, ale i tak były o wiele lepsze niż stroje, które przywiozła ze sobą.

Otrzeпаła szarą atłasową suknię z drobno haftowanymi gałązkami winorośli na staniku i rąbku.

- Ta będzie dobra - powiedziała do służącej. - Masz na imię Marta, prawda? Jesteś córką kucharki.

- Tak, psze pani. Nie myślałam, że pani będzie mnie pamiętać. Jak pani wyjeżdżała, pomagałam w kuchni.

- Pamiętam twoją matkę. Jak ona się czuje?

Marta posmutniała.

- Mówi, że albo zabiorą ten nowy piec, albo ona sobie stąd pójdzie. Ale naprawdę wcale tak nie myśli - zastrzegła się szybko. - Ona nigdy nie była poza Longfield.

- Ojej.

Sara nie wiedziała, co powiedzieć. Postanowiła pomyśleć o tej sprawie później.

- Marto, wyprasuj mi szybko tę suknię i przyslij tutaj lokaja z wodą do kąpieli - poprosiła. - I powiedz matce, żeby przygotowała kolację godzinę później niż zwykle. Przez ten czas powinienam się doprowadzić do porządku.

Po wyjściu pokojówki Sara zaczęła się rozbierać. To, co miała na sobie i co przywiozła, należało wyprać, odczyścić i dać do parafii dla biednych. Przez trzy lata ubierała się tak, żeby nie zwracać na siebie uwagi, ale w końcu przestała się ukrywać, więc mogła sobie sprawić przyjemność. Chciała elegancko się ubrać i ładnie wyglądać. Naturalnie nie miało to nic wspólnego z Maksem Worthe'em. Po prostu chciała żyć jak zwyczajna panna w jej wieku.

Miała na to niewiele czasu i chciała go wykorzystać,

Wystarczyło pół godziny, żeby Max gruntownie zrewidował swój pogląd na klejnot architektury elżbietańskiej, który Samuel Carstairs przywrócił do dawnej świetności. Warunki były doprawdy prymitywne, toaleta znajdowała się w ciasnej klitce, mieszczącej misternie rzeźbiony tron z otłuczonym nocnikiem pod pokrywą, a sznur od dzwonka nie działał, co zmusiło Maksa do zstąpienia

w niższe rejony domu, by osobiście przyzwać służącego. A gdy przyniesiono wodę do kąpieli, była letnia. W połowie kolacji Max doszedł do wniosku, że jedzenie jest straszne, dom okropny, a rodzina nie lepsza.

Naturalnie rozumiał, że wszyscy są go ciekawi, ale to w niczym nie usprawiedliwiało ich bezceremonialnych pytań, którymi dosłownie go zasypali. Czuł się zupełnie jak w starciu z Mightym Jackiem Cleaverem. Kim są jego rodzice? Gdzie mieszkają? Jak poznał Sarę? Dlaczego ona nie nosi zaręczynowego pierścionka? Kiedy będzie ślub? Jaki jest jego zawód? Jakie są perspektywy kariery zawodowej? Skąd ma grzecznościowy tytuł?

Maks chciał sprawić wrażenie, że żeni się z Sarą dla pieniędzy, ujawnił więc tylko tyle, ile chciał, by o nim wiedziano. Powiedział, że rodzice mieszkają za Winchester, w walącym się zamczysku, które stopniowo odbudowują. Sarę poznał w zajeździe w Reading i natychmiast uległ jej czarowi. Pierścionka zaręczynowego narzeczona nie nosi, bo jeszcze nie mieli czasu żadnego wybrać. Ślub odbędzie się wkrótce, gdy tylko uda się załatwić specjalne pozwolenie. Tytuł grzecznościowy przeszedł z ojca na syna, więc w przyszłości, gdyby dopisało mu szczęście i miałby potomków, oni również będą nosić ten tytuł. Natychmiast zauważył, że Sara i jej rodzina nie mają pojęcia, na czym polega mechanizm dziedziczenia tytułów, a on nie zamierzał ich w tej mierze oświecać.

- Nie powiedziałaś nic o swoim zawodzie, Max.

Na dźwięk głosu Sary podniósł głowę. Ich oczy się spotkały, w jednych kryła się tajemnica, w drugich była nieufność. Pierwszy raz przy stole zwróciła się bezpośrednio do niego.

Gdy zobaczył ją, jak schodzi na posiłek, odebrało mu dech z wrażenia. Wyglądała oszałamiająco. Zwiewnie. Elegancko. Jak prawdziwa dama. A jego kusiło, żeby pokazać, że to jest jedno wielkie kłamstwo.

Początkowo sądził, że to dla niego Sara tak się przeistoczyła. Było to całkiem możliwe, zwłaszcza jeśli zauważyła, jak podczas powitania patrzył na Constance. Wkrótce jednak zachwiał się w swoim przekonaniu. Twarz miała nieruchomą i pozbawioną wszelkiego wyrazu, jakby wykuto ją z marmuru. Naturalnie Max wiedział swoje i był pewien, że ten spokój jest tylko udawany.

- Ale równie dobrze mogę wam to powiedzieć sama. Max właściwie niewiele robi. Jest koryntianinem.

- Tak jak Simon i Martin? - spytała naiwnie Lucy.
- To zależy - odrzekł Max. - Bo widzisz, Lucy, sprawdzianem dla koryntianina jest jego biegłość w sporcie.
- Max jest bokserem - ciągnęła Sara.

Martin szeroko otworzył usta ze zdumienia, a potem przewrócił oczami.

Simon, doskonale naśladowujący wzorzec eleganckiego mężczyzny znudzonego życiem, jednym spojrzeniem otaksował przyszłego szwagra i skwitował swoje oględziny mrugnięciem.

- To ciekawe - powiedział. - Nie miałbym nic przeciwko obejrzeniu pana w akcji.

Martin parsknął pod nosem.

- Och, nie widzę przeszkód - odrzekł swobodnie Max. - Możesz na to liczyć.

Bracia wymienili szybkie spojrzenia, po czym Simon powiedział jakby nigdy nic:

-- Niedługo w Stoneleigh będzie jarmark. I walki bokserskie. Może chciałby pan spróbować sił?

Pozytywna odpowiedź była dla Maksa sprawą honoru (i ratowania twarzy). Poza tym nie wątpił, że ma dość umiejętności, by poradzić sobie z jakimś wiejskim zabijaką, zwłaszcza z młokosem pokroju Simona.

Po tej wymianie zdań rodzina Sary skupiła się na swoim ulubionym, jak się zdawało, zajęciu, czyli utyskiwaniu we własnym gronie. Simon chciał, żeby rozpalić ogień, bo jest zimno. Martin nie chciał. Lucy chciała jechać na weekend do dziadków w Romsey. Constance jej tego zabroniła. Nikomu nie smakowała kolacja (o to Max nie mógł ich winić), ale zjedli wszystko do ostatniego kęsa, jakby następny posiłek czekał ich najwcześniej za miesiąc.

Sara mówiła bardzo niewiele, ale ilekroć otwierały się drzwi, odwracała głowę, żeby sprawdzić, kto wszedł. Widocznie czeka na pojawienie się siostry, pomyślał Max i bardzo go zaintrygowało, co kryje się za nieobecnością Anne i niepokojem Sary.

Próbował nabić na widelec kawałek smażonego ziemniaka, ale okazał się twardy jak kamień, więc Max uznał, że lepiej zachować użębiecie w całości. Pieczona wołowina przypominała garbowaną skórę, lecz głodny człowiek nie może zanadto wybrzydzać. A jednak po heroicznej walce i pierwszym kęsie mięsa odłożył nóż i widelec. Gdyby to był jego dom, szybko zmieniłby kucharkę.

- Nasza kucharka nie przyzwyczała się jeszcze do nowego pieca - powiedziała Lucy.

- Do nowego pieca?

Lucy skinęła głową.

- To jest cud techniki, w każdym razie tak twierdzi mama, ale kucharka go nie lubi. Woli robić wszystko po staremu.

- Wszystko jedno, jakich metod używa pani Hardwick- powiedział Martin z pełnymi ustami. - Jedzenie i tak jest paskudne.

- Przecież wszystko zjadłeś - zwrócił mu uwagę Max.

- Z przyzwyczajenia - odparł Martin. - Kiedy byliśmy mali, ojciec nie pozwalał nam odejść od stołu, póki nie zjedliśmy wszystkiego, co nam nałożono. „Oszczędność rodzi dostatek”, taką miał naczelną zasadę. Był strasznym kutwą.

- Dzięki jego naczelnej zasadzie mieszkamy w tym pięknym domu, a wy otrzymacie najlepszą edukację, jaką można otrzymać - stwierdziła oschle Sara.

- Co za pożytek z posiadania pieniędzy, jeśli nie można ich wydać? - wtrącił Simon.

Sara pozwoliła się sprowokować.

- Jeśli wydamy wszystko co do pensa, to nie zostanie nam nic, z czego mógłby być pożytek - odparła.

- Przecież ojciec zostawił ci miliony - zaperzył się Martin.

- Ładne mi miliony! Poza tym to jest kapitał oddany w zarząd powierniczy. Żyjemy z procentów. Nie jesteś w stanie tego zrozumieć?

- Gdybyśmy sprzedali dom, mielibyśmy mnóstwo pieniędzy - włączyła się do rozmowy Constance.

Sara spojrzała na macochę jak na niedorozwinięte dziecko.

- Constance - odezwała się łagodnie - to jest nasz dom. Nie możemy go sprzedać. - Zwróciła się do Lucy: - Mnie się tutaj podoba. Skan i przerobienie pona.

- Gdyby tylko Sara chciała nam dać naszą część pieniędzy, każdy mógłby robić, co chce - skwitował Martin.

Gdy Sara przycisnęła dłonie do skroni, Max poczuł, że wszystko się w nim burzy. Miała wygląd osaczonego zwierzęcia, a to wcale mu się nie podobało. Sięgnął po kieliszek, upił duży łyk wina - przynajmniej to jedno miało dobry smak - i w ogólnym zamieszaniu zagrzmiął głosem, który niezmiennie wprawiał w popłoch dziennikarzy i redaktorów „Couriera”:

- Zdaje się, że mam coś do powiedzenia na ten temat.

Martin spojrział na niego krzywo.

- Co pan ma na myśli?

Max uśmiechnął się zagadkowo.

- To, że kiedy Sara wyjdzie za mąż, ustanie zarząd powierniczy nad kapitałem.

Cisza, która nagle zapadła, wydała mu się niemal ogłuszająca.

Uniósł kieliszek i wypił następny łyk wina.

Simon pierwszy zrozumiał, w czym rzecz.

- I pan zacznie rozporządzać naszymi pieniędzmi.

- Waszymi pieniędzmi? - powtórzył uprzejmym tonem Max. - Chyba coś niewłaściwie pojmujecie. Wasze pieniądze są wasze. Nic mnie nie obchodzi, co z nimi robicie. Co innego pieniądze mojej żony. - Uniósł kieliszek, przepijając do Sary. - Czy ktoś tu wspomniał o milionach? Sara, nie miałem pojęcia, że jesteś tak drogocenna. Masz przede mną sekrety.

Martin odwrócił głowę i mruknął kwaśno:

- Mama miała rację. Łowca posagów jak nic.

Spojrzenie, jakim Sara obdarzyła Maksa, było tak pełne ognia, że można by na nim zagotować wodę, pozostał jednak niewzruszony.

- Czy chcesz coś powiedzieć, kochanie? - spytał.

- Chcę powiedzieć, że... że moja rodzina... to znaczy, że nigdy nie zostawiłabym rodziny samej sobie.

- Naturalnie - zgodził się z nią Max. - Wszyscy będą zawsze mile widziani w naszym domu.

Drzwi się otworzyły i znów zapadła cisza. Lokaj posprzątał to, co zostało na stole. Nikt nie odzywał się również przy następnym daniu, dawno jednak w tym domu nie było tak wymownego milczenia, które w każdej chwili mogło dać początek otwartej wojnie.

Max po kolei przyglądał się obecnym. Oprócz Lucy wszyscy bez przerwy narzekali albo próbowali się przypochlebić. Nie uszło jednak uwagi Maksa, co w ten sposób osiągają. Sara pozwalała im sobą manipulować, a narzędziem manipulacji były bardziej lub mniej subtelne apele do jej sumienia. Miała poczucie winy z powodu tego, że była ulubienicą ojca i że właśnie dlatego majątek Carstairsów dostał się w szlachetnych intencji zmierzała w złym kierunku.

Max doszedł do wniosku, że tej rodzinie potrzebny jest ktoś, kto będzie odporny na ich fochy, ktoś taki jak on, kto pomoże im wziąć na siebie odpowiedzialność za własne życie.

Dobrze jednak wiedział, że jego pobyt w Longfield ma za cel przede wszystkim odkrycie, co stało się z Williamem Neville'em. Sprawa była poważna. Znajomość z Sarą i stosunki z jej rodziną nie miały aż takiego znaczenia.

Jedynym punktem zaczepienia, jaki miał w tej chwili, były listy wysyłane do Sary z Winchester. Przynajmniej w tym względzie jej wierzył, bo nic innego nie wyjaśniałoby jej panicznego pragnienia uporządkowania swoich spraw i ucieczki do Ameryki. Gdyby się okazało, że William nie żyje, o czym Max był zresztą przekonany, to listy musiał wysyłać ktoś z bliskich Sary, ktoś, kto znał miejsce jej pobytu, a może nawet był teraz w tym pokoju.

Nikt nie zaproponował panom brandy po kolacji. Wprawdzie Max nie zamierzał pobudzać młodych Streathamów do nowych występków, chciał jednak spędzić z nimi trochę czasu na osobności choćby tylko po to, by pokazać im, że w tej sferze jest nowy przewodnik stada, więc niech się lepiej podporządkują, bo jak nie...

Po posiłku rodzina przeszła do salonu, z tym że Simon i Martin zaraz ulotnili się bez słowa wyjaśnienia. Wyglądało na to, że przejawy dobrych manier w tym domu są nie częstsze niż śnieg w tropikach. Nikt jednak nie poczytywał nikomu za złe takiego zachowania. Tutaj po prostu uchodziło ono za normalne.

- Czy ma pan ochotę na sherry, Max? - spytała Constance. W jednej ręce trzymała karafkę, w drugiej dwa kryształowe kieliszki.

Siedzieli na krzesłach przy kominku. Ponieważ nie było już Martina, nikt nie sprzeciwiał się rozpaleniu ognia. Sara i Lucy usiadły do fortepianu w drugim końcu pokoju i zaczęły grać utwór na cztery ręce.

- Wolałbym coś mocniejszego, jeśli pani ma - powiedział.

- Może wszyscy by woleli. - Constance odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się, a jej zielone oczy spojrzały na niego bardzo zalotnie. - Nie w tym domu. Musi pan zrozumieć, że mój mąż był z natury bardzo wstrzemięźliwy. Nie godził się na mocne

alkohole. Pozwalał wyłącznie na sherry i wino, i to tylko w święta Bożego Narodzenia.

- Przecież był piwowarem.

- Tak. Czy nie sądzi pan jednak, że w ludzkim zachowaniu nie ma logiki? Samuel odziedziczył browar po swoim ojcu, ale nigdy tego nie zaakceptował. Teraz, gdy Samuela już nie ma, pozwalamy sobie na sherry i wino przy szczególnych okazjach. Ja tam nie mam do tych trunków serca, ale tutaj rządzi Sara.

- Rozumiem. - Wziął kieliszek od Constance, upił z niego łyk, skrzywił się i odstawił naczynie. Wolał brandy. Pomyślał, że Sara nie będzie miała innego wyjścia, jak się do tego przyzwyczaić.

Spojrzął na Constance. Jej delikatne brwi wygięty się w łuk.

- Chciał pan coś powiedzieć - przypomniała mu wdowa.

- Pomyślałem tylko, że Sary nie było w domu trzy lata, więc miała pani dość czasu, żeby ułożyć wszystko po swojemu.

Najpierw wyglądało to tak, jakby poczuła się urażona, zaraz jednak jej pełne usta wygięły się w uśmiechu.

- Chwileczkę. - Wstała i szybko wyszła z pokoju. Wkrótce wróciła z butelką i podała ją Maksowi. - Tylko musimy pić brandy w kieliszkach do sherry - powiedziała. - I niech pan pamięta: gdyby nas nakryto, to ja nic o tym nie wiem.

Ten szczodry gest bardzo podniósł prestiż Constance w oczach Maksu. Szybko odlał sherry do karafki. Zrobił to całkiem otwarcie, ale Sara i Lucy były zajęte przy fortepianie, więc jego zachowanie pozostało nie zauważone. Potem nalał do kieliszków brandy i postawił butelkę w mało widocznym miejscu, za krzesłem.

Po pierwszym łyku trunku poczuł się o wiele lepiej. Usiadł na krześle i zaczął słuchać dźwięków fortepianu. Nie znał się na muzyce, ale wiedział, że Sara i Lucy grają dobrze. Ich palce śmięły po klawiaturze w idealnej harmonii.

Harmonia nie ograniczała się zresztą do samego ruchu rąk. Była widoczna również w sposobie siedzenia. Panny stykały się ramionami i obie szeroko się uśmiechały, a raz po raz któraś z nich chichotała. Przynajmniej Lucy naprawdę się cieszyła z powrotu siostry.

Gdy utwór dobiegł końca, pianistki wybuchnęły radością. Widać było, że są zadowolone ze swojego wykonania. Obserwując Sarę, Max czuł się jak malarz, któremu modelka odmówiła nieruchomego siedzenia. Ciągłe wydawało mu się, że już zdołał uchwycić to co

najważniejsze, lecz po każdym poruszeniu musiał zaczynać szkicowanie od nowa.

- Powiedziała ci, że ćwiczyłam - odrzekła Lucy w odpowiedzi na coś, co powiedziała Sara.

Gdy wstały od fortepianu, nadal się uśmiechały. Sara na chwilę skrzyżowała spojrzenia z Maksem, powędrowała wzrokiem dalej i nagle zmartwiała. Radość życia uleciała z niej w jednej chwili.

- Anne - odezwała się ochryple..

Max obrócił się ku drzwiom. Do pokoju weszło dwoje ludzi. Kobieta stanęła nieruchomo nieco przed mężczyzną. Ubranie miała podarte i przemoczone, włosy, ciemne jak u Sary, spadały jej w nieładzie na ramiona. Nikt nigdy nie nazwałby tej kobiety urodziwą ani tym bardziej piękną. Ale jej twarz zwracała uwagę wyrazistymi, głębokimi rysami, prostymi, ciemnymi brwiami i oczami, które wydawały się tym większe, że cera kobiety była bardzo jasna.

A więc to jest Anne, pomyślał i powoli wstał, zajmując taką pozycję, by widzieć obie siostry jednocześnie.

Anne machnęła ręką.

- Nasz gig przewrócił się, gdy przejeżdżaliśmy przez bród pod Stoneleigh. Dlatego nie mogłam cię w porę powitać. Czy kiedykolwiek mi to wybaczysz?

Sara zamrugła.

- Gig się przewrócił?

Anne skinęła głową.

- Pan Thornley, nasz proboszcz, mocno się uderzył, więc nie mogłam go zostawić samego. Gdyby akurat nie przejeżdżał Drew, nie wiem, co bym zrobiła.

Podczas tej krótkiej przemowy na wargi Sary wrócił uśmiech.

- Ale już jesteś z nami - powiedziała, podchodząc do Anne. - I tylko to się liczy.

Maksowi wydawało się, że w siostrzanym uścisku jest wiele rezerwy, ale nie, uczucia w nim nie brakowało. Potem Sara zaczęła załamywać ręce nad stanem odzienia Anne, ale ta nie pozwoliła się wygonić z pokoju, zanim siostra nie przedstawiła jej Maksa.

Oczy, które badały jego twarz, były tak samo ciemnoszare jak u Sary. Anne wydawała się onieśmielona, przemiła i bardzo niepewna siebie. Nie mogła składnie zbudować zdania.

- Mam nadzieję... to znaczy wiem, że pan i Sara będziecie

bardzo szczęśliwi. Witam w Longfield. - Nagle roześmiała się cicho. - Przepraszam, ale muszę zmienić to przemoczone ubranie. Nie, Saro, dziękuję, Lucy mi pomoże. Ty musisz zostać i porozmawiać z Drew. Ja zaraz wrócę. - Z tymi słowami opuściła pokój, a za nią wyszła Lucy.

Sara wpatrywała się przez chwilę w zamknięte drzwi, wreszcie jakby oprzytomniała i spojrzała na młodego mężczyznę, stojącego obok niej.

- Jak się masz, Drew?

- Cieszę się, że wreszcie cię widzę na własne oczy. To dobrze, że wróciłeś do domu, Saro.

Wyciągnął do niej ramiona, a ona pozwoliła mu się objąć, jakby było to zupełnie naturalne. Max zerknął na Constance. Popijała „sherry” i obserwowała Drew znad brzegu kieliszka. Max jakoś zdołał przywdziać maskę życzliwości i czekał coraz bardziej zniecierpliwiony, aż uścisk się skończy.

Wreszcie ci dwoje ze śmiechem odsunęli się od siebie i Sara dopełniła formalności.

- To jest Drew Primrose - powiedziała. - Przyjaciel naszej rodziny i współwłaściciel miejscowej kancelarii adwokackiej. Drew, to jest mój narzeczony, lord Maxwell Worthe.

Wzmianka o kancelarii odświeżyła pamięć Maksa. Już kiedyś widział Drew Primrose'a. Był jednym z pomocników adwokata broniącego Sary przed sądem. Max przypomniał sobie, że oskarżona zatrzymywała spojrzenie na tym młodym człowieku tak, jakby oprócz tego cała sala była pusta.

Jak na adwokata Drew był mocno zbudowany, Max ocenił go na około trzydziestu lat. Miał dość ciemne Włosy, niebieskie oczy i regularne rysy, które mogłyby wydawać się miłe, gdyby nie głębokie bruzdy na czole. Max odniósł wrażenie, że choć Drew w tej chwili się uśmiecha, często zdarza mu się marsowa mina. Ciemny surdut i beżowe spodnie za kolana były przedniej marki, choć nie spełniały wymogów najnowszej mody. Oczy, które mierzyły Maksa przenikliwym spojrzeniem, były tyleż przejrzyste, co chłodne.

Wymienili ukłony i zwyczajowe grzeczności. Max przekonał się, że wiadomość o zaręczynach Sary nie stanowiła dla Drew Primrose'a zaskoczenia. Równie oczywiste było, że młody adwokat nie popiera tego kroku.

Max zdobył całkiem nowe doświadczenie, wyglądało bowiem na to, że nikt w tym domu go nie aprobuje. Sara była bogatą dziedziczką, więc każdego mężczyznę, który się do niej zbliżył, traktowano podejrzliwie. Nie wiedział, czy śmiać się z tego, czy przyjąć postawę pełną godności. Gdyby ci ludzie wiedzieli, kim jest, całowaliby go po butach.

Sara wzięła Drew pod ramię i zaprowadziła go do kominka.

- Napijesz się sherry?

- Obawiam się, że nie mogę - odparł. - Mam zjeść kolację z Heatheringtonami, więc muszę wrócić do domu, żeby się przebrać. Dobry wieczór, pani Carstairs. - Skinął głową Constance. - Proszę mi wybaczyć zabłocony strój. Nie byłoby mnie tutaj, gdyby nie nalegania Anne. Nie puściłaby mnie, gdybym nie przywitał się z Sarą.

- Mam taką nadzieję! - wtrąciła się Sara. - Myślę zresztą, że kilka minut nie sprawi Heatheringtonom różnicy. Mam rację?

- Pewnie tak. Ale zawsze jestem punktualny, więc martwiliby się, co się ze mną stało.

- Max, proszę usiąść. Zastłania pan ogień - powiedziała Sara.

Posłusznie usiadł, ale Drew stał nadal, niewzruszony namowami Sary.

- Chciałem tylko sprawdzić, czy Anne nic się nie stało - rzekł. - Była dość mocno wstrząśnięta tym wypadkiem.

- A co z biednym panem Thornleyem? - spytała Constance. - Zdaje mi się, że to on najbardziej ucierpiał.

- Jaki jest ten nasz nowy proboszcz? - spytała obojętnie Sara.

- Pompatyczny - odrzekła natychmiast Constance i upiła duży łyk z kieliszka. - Wiem, co mówię. Przewodniczy kościelnemu komitetowi, który organizuje jarmark.

Młody adwokat puścił mimo uszu tę kontrowersyjną uwagę.

- W każdym razie nic złego się nie stało, Anne wyszła z wypadku cała i zdrowa. - Popatrzył na Maksa. - Myślę, że wkrótce znów się spotkamy, lordzie Maxwell. Na pewno chce pan usłyszeć ode mnie informację o stanie majątku Sary. Przypuszczam, że jest pan zorientowany, jakie pieniądze wchodzi w grę.

Max dobrze rozumiał, że zachowuje się irracjonalnie, bo przecież miał uchodzić właśnie za łowcę posagów, mimo to czuł się głęboko sfrustrowany niską opinią ludzi o jego osobie. Ale po-

nieważ irytacja brała nad nim górę, nie potrafił wykrzesać z siebie tyle uroku co zwykle.

- Jeśli chce pan spytać, czy wiem, że Sara dziedziczy majątek po ojcu, to owszem, wiem. Należę do ludzi, którzy uważają, że mężczyźnie jest równie łatwo zakochać się i w bogatej kobiecie, i w biednej. Uważam się zresztą za bardzo szczęśliwego człowieka z tego powodu, że udało mi się usidlić Sarę.

- Słusznie - zabrzmiała chłodna odpowiedź.

- Czy jutrzejszy termin nie będzie zbyt wczesny? Mam na myśli rozmowę o majątku Sary. Nie chodzi o to, żebym był chciwy, ale stan moich finansów w obecnej chwili jest dosyć zawikłany. Miałem nadzieję, że będę mógł pożyczyć niedużą sumę na poczet ślubu.

- Max, zachowuj się przyzwoicie. - Sara roześmiała się. - Czasem, żartując, przekraczasz granice dobrego smaku. Chodź, Drew, odprowadzę cię do bryczki.

Obdarzyła Maksa takim spojrzeniem, jakim matka karci małego recydywistę, i wyszła z adwokatem.

Max podszedł do okna i wyrzał na dwór.

- Nie zobaczy ich pan z tego miejsca - powiedziała Constance, przeszywając go bystrym spojrzeniem. - Okna pokoju położonego naprzeciwko wychodzą na dziedziniec, a tam prawdopodobnie Drew zostawił swoją bryczkę.

- Zapewniam panią... - zaczął Max, ale nie dopowiedział zdania. Uśmiechnął się potulnie. - Mam wrażenie, że oni są sobie bardzo bliscy.

- Bardzo. Razem dorastali. Ojciec Drew był ogrodnikiem w Longfield. Naturalnie Drew jest starszy od Sary, więc zawsze darzyła go wielkim podziwem. Kiedyś jego ojciec i ja myśleliśmy, że... nieważne, to dawna historia. Nic z tego nie wyszło.

- Dobrze mu poszło w życiu - powiedział Max. - Nie znam wielu synów ogrodnika, którzy wykształciliby się na adwokatów.

- Mój mąż płacił za jego wykształcenie. Sara sobie tego zażyczyła, a ojciec nigdy niczego jej nie odmawiał. Ale nie był to wcale akt dobroczynności, lecz pożyczka. Z tego, co wiem, Drew spłacił ją co do pensa.

Max rozważył w milczeniu tę informację, a w końcu rzekł:

- Ten człowiek jest dość młody jak na odpowiedzialność, która na niego spada. Czy w kancelarii nie ma starszego wspólnika?

- Jest, ale Sara nalegała, żeby jej sprawy prowadził Drew i tylko Drew. Pokłada w nim wielkie zaufanie. Nie tylko służy jej pomocą jako adwokat, lecz również zarządza sprawami Longfield.

- Chce pani powiedzieć, że jest tu rządcą?

- Można to tak nazwać. Ja wiem tylko, że dogląda naszych spraw. Kiedy nie ma go w Stoneleigh, zwykle można go znaleźć właśnie tutaj. Wprawdzie kiedy Sary nie było, widzieliśmy go tu może parę razy, ale teraz, po jej powrocie, na pewno będzie zaglądał częściej. Czy pan gra w karty?

Machinalnie skinął głową. Nie mógł zdecydować, czy Constance chce wzbudzić jego zazdrość, czy też po prostu należy do kobiet, które nie umieją ugryźć się w język, kiedy trzeba.

Gdy spojrzała na nią ponownie, okazało się, że wyjęła talie i siedzi przy zielonym stoliku, zręcznie tasując karty.

- Tak - powiedziała, gdy pochwyciła jego wzrok. - Mam wprawę. Najczęściej stawiam pasjanse. Sam pan zobaczy, jak to jest. Simona i Martina przeważnie nie ma w domu, a jeśli są, znajdują sobie inne zajęcia. Anne udziela się w kościele. Lucy ćwiczy grę na fortepianie. A Sara, cóż, jej zdaniem jestem osobą, która zawsze próbowała z nią rywalizować o względy ojca. Nie jesteśmy zaprzyjaźnione. Zagramy w pikietę?

Max usiadł naprzeciwko Constance.

- A inni? Czy nie powinniśmy na nich poczekać?

- Może minąć sporo czasu, nim się pojawią. Drew i Sara nie widzieli się trzy lata. Mają sobie wiele do opowiedzenia, nie sądzi pan? Listy są bardzo niedoskonałą namiastką szczerzej, serdecznej rozmowy.

Max spojrzeł na wachlarzyk kart w dłoni i poprzestawiał je. Zauważył, że ma pusty kieliszek, sięgnął więc po butelkę i nalał sobie do pełna brandy.

13

Sara pomachała Drew na pożegnanie i wnet jego bryczka wytoczyła się z dziedzińca, ta sama jednokonna bryczka, którą kupił, gdy został współlnikiem w kancelarii. Simon i Martin na jej widok niezmiennie wybuchali śmiechem. Sara obiecała sobie, że jeśli tylko Drew zgodzi się przyjąć od niej taki prezent, to któregoś dnia kupi mu nowiutką kariolkę, która nie budziłaby kpiących uśmiechów jej braci.

Przez lata Drew stał się dla niej kimś bardzo ważnym. Jeszcze jako chłopiec był zawsze spokojny i poważny, teraz - jako młody człowiek - w niczym się nie zmienił. Ale coś z nim było nie tak. Sara to czuła. W salonie zachował się wyjątkowo sztywno i oficjalnie. Owszem, spodziewała się, że potraktuje w ten sposób Maksa, ale nie ją i nie Constance. Przecież był prawie członkiem rodziny.

Przez trzy lata jej nieobecności w domu wszystko się zmieniło. Czemu to przypisać?

W rozmowie Drew wspomniał wdowi domek i to nią naprawdę wstrząsnęło. Chciał, żeby zrównała go z ziemią, bo włamują się do niego włóczędzy, a konstrukcja nie jest bezpieczna. Reszta dachu, jak powiedział, może runąć w każdej chwili.

Uspokoiła go, mówiąc, że myśli o odbudowie. Ale ta wymówka nie mogła posłużyć na długo.

Ogarnęło ją okropne przeczucie zbliżającego się spełnienia klątwy. Musiała wyjechać z Longfield najszybciej, jak to możliwe, i jeszcze namówić Anne, żeby zrobiła to samo.

Z tą myślą wróciła do domu i skierowała się prosto do pokoju siostry. Lucy dała się stamtąd wywabić i bardzo zadowolona, pobiegła poszukać nowych nut, które Sara kupiła dla niej w Bath.

Anne siedziała przy toalecie w nowej sukni z niebieskiego jedwabiu i próbowała ułożyć sobie włosy. Sarze przemknęło przez myśl, że siostra chorobliwie schudła. Musiała bardzo się starać, by zachować uśmiech na twarzy.

- Pomogę ci - powiedziała, siłąc się na lekki ton. Podeszła do Anne. - Nawet jako dziecko miałaś dwie lewe ręce do układania włosów.

- A ty zawsze byłaś na miejscu, żeby mnie poratować, czy nie tak, Saro?

W głosie Anne zabrzmiała dziwna nuta, na którą Sara postanowiła nie zwracać uwagi.

- Po to są starsze siostry. - Zebrała gęste, długie włosy z pleców Anne i zaplotła je w schludny warkocz. - Masz szpilki? - spytała.

- Widzę tylko jedną. Chyba musiały powpadać do strumienia.

- Nieważne. Mam we włosach tyle szpilek, że starczy dla nas obu.

Gdy szpilki znalazły się na swoim miejscu, Anne wstała i sięgnęła po szal.

- Nie, poczekaj - powstrzymała ją Sara. - Chcę z tobą porozmawiać. Tylko kilka minut. Trzy lata się nic widziałyśmy, a w pisaniu listów też nigdy nie celowałaś.

Anne usiadła wygodniej na krześle, a jej siostra przycupnęła na krawędzi łoża.

- W Longfield prawie nic się nie działo, więc nie miałam ci o czym opowiadać - powiedziała Anne. - Ale...

- Tak?

Do oczu Anne napłynęły łzy.

- Tęskniłam za tobą, Saro. Bardzo za tobą tęskniłam. Kiedy dowiedziałam się, że wracasz do domu, ledwie w to mogłam uwierzyć. Zostaniesz trochę, prawda?

- Naturalnie, moja droga.

Sara raptownie wstała, potem uklękła przy krześle siostry i uściskała ją tak, jak to zawsze robiła. Matki prawie nie pamiętała, ale pamiętała, że pocieszała Anne, gdy ojciec, najdelikatniej jak umiał, powiedział im, że mama jest teraz w niebie, więc jego małe córeczki muszą być dzielne.

Sara zawsze była silniejsza niż młodsza siostra, nit; emocjonalnie, lecz fizycznie. Anne przechodziła wszystkie dziecięce choroby i często leżała w łóżku. Sara siedziała wtedy przy niej nie tylko dla dotrzymania towarzystwa, lecz również ze strachu, że anioły zabiorą jej siostrę do nieba, do mamy. Powzięła mocne dziecięce postanowienia, że na to nie pozwoli, nawet gdyby miała stoczyć walkę z samym Archaniołem Gabrielem.

Ale psychicznie Anne nie była słaba. Trzeba było kobiety z silniejszymi nerwami niż Sara, by wytrzymać w roli żony Williama Neville'a.

Sara siedziała tuż przed siostrą.

- Powinnaś była pisać częściej.

- Wiem, ale jak sama powiedziałaś, nigdy nie celowałam w pisanie listów.

Sara uśmiechnęła się.

- Miałaś mnóstwo do powiedzenia o panu Thornleyu. Lubisz go, prawda?

- Bardzo życzliwie się do mnie odnosi, jeśli o to ci chodzi.

- Sądziłam... - Sara zawahała się, po chwili jednak dokończyła myśl: - Z tonu twoich listów wносиłam, że to może być coś więcej.

Anne spojrzała na swe splecione dłonie.

- Przecież to byłoby niemożliwe. Wciąż jestem mężatką. Nie wiemy, co się stało z Williamem, i dopóki się tego nie dowiemy, nie wolno mi nikogo pokochać. - Spojrzała na siostrę z rozpaczą w oczach. - Gdybyś tylko wiedziała...

Sarę przeszły ciarki.

- Co?

Anne spuściła oczy.

- To nie ma znaczenia.

- Nie, powiedz mi.

- Tylko tyle, że chciałabym pamiętać, co się stało tamtej nocy.

- Nic się nie stało. Było tak, jak ci powiedziałam. Położyłam cię do łóżka. Dałam ci laudanum. Siedziałam z tobą do rana. William nie wrócił tej nocy do domu. - Sara wstała. - Posłuchaj mnie, moja droga. A gdybym powiedziała ci, że... zastanawiamy się z Maksem nad zamieszkaniem w Ameryce. Czy pojechałabyś z nami?

- Masz na myśli wyjazd z Longfield na zawsze?

- Mogłybyśmy wracać tu na wakacje.

Anne uśmiechnęła się smutno.

- Cieszę się twoim szczęściem, Saro. Podoba mi się twój Max. Naturalnie musisz jechać. Ale ja nie mogę opuścić Longfield.

- Nie możesz czy nie chcesz? - spytała Sara w nagłym ataku złości.

Siostra dotknęła jej dłoni.

- Saro, proszę cię...

Ale ją niełatwo było teraz uspokoić.

- Twoja lojalność wobec męża, który traktował cię jak śmieć, jest żałosna! On na to nie zasługuje. A jeśli żyje? Jeśli wróci? Jakie życie będziesz wtedy miała? Jeżeli pojedziesz ze mną do Ameryki, obie uwolnimy się raz na zawsze od Williama. Nie rozumiesz tego, Anne?

Anne znowu smutno się uśmiechnęła.

- Próbujesz wszystko za mnie załatwić, Saro, tak jak zawsze. Ale tego nie możesz załatwić. Nikt nie może. - Wstała. - Chodźmy do innych. Chcę lepiej poznać twojego Maksa.

Sarę ogarnęła rozpacz.

- Ale...

- Nie możesz tego załatwić, Saro - odezwała się cicho Anne. - Nie możesz zmienić ani mnie, ani moich uczuć. Dlatego, proszę cię, nie próbuj tego.

Pozornie wieczór był udany, taki sam jak inne w Longfield, pomyślała Sara. Max z Constance grali w karty, ona ćwiczyła z Lucy na fortepianie, w końcu zjawili się nawet Simon z Martinem i ten drugi dał się uprosić do zaśpiewania w duecie z Anne.

Byłby to całkiem udany wieczór, gdyby przez cały czas nie czuła rosnącego napięcia Maksa. Ilekroć na niego spoglądała, napotykała jego spojrzenie, czujne, taksujące. Bardzo ją to onieśmielało. Nie mogła się odprężyć. Miała wrażenie, że sztywnieją jej mięśnie karku i coś ssie ją w dołku. Wcale nie żałowała, gdy wreszcie wszyscy rozeszli się do swoich pokojów.

Max dognał ją na schodach.

- Można by pomyśleć, że mnie celowo unikasz.

- Hm?

- Unikasz, pani. Uciekasz przede mną.

-- Nie. - Uniosła wyżej dłoń trzymającą świecę, żeby oświetlić schody. - Po prostu jestem zmęczona, Max, to wszystko.

Gdy doszli do drzwi jej sypialni, odwróciła się, by życzyć mu dobrej nocy, on jednak ją uprzedził.

- Nie zaprosisz mnie do środka? Jesteśmy zaręczeni i mamy wziąć ślub. To daje mi pewne przywileje.

- Na przykład?

Leniwie się uśmiechnął.

- Domyśl się.

Już się domyśliła, o co mu chodzi, więc gdyby nie trzymała świeczki, wymierzyłaby mu siarczysty policzek. Wyczuła jednak bijący od niego zapach brandy i wszystko stało się dla niej jasne.

- Jesteś pijany! - powiedziała.

- Pijany! - Wydawał się szczerze zdumiony tym zarzutem. - Jestem dżentelmenem, a dżentelmen wie, kiedy przerwać picie alkoholu.

- Skąd wzięłeś brandy? - spytała bardzo groźnie.

Potarł nasadę nosa.

- Dżentelmen nigdy nie mówi za dużo.

- Co podsunęło ci myśl, że jesteś dżentelmenem, Max?

Ruchem, który był zbyt ślamazarny, by ją zaniepokoić, Max oparł ręce o drzwi. W ten sposób ją uwięził.

- Nie pamiętasz tej nocy, kiedy się poznaliśmy? Wtedy byłem dżentelmenem, Saro. Powiem więcej. Byłem prawie święty! I potem zawsze już tego żałowałem.

- Tamtej nocy... - Głos jej zadrżał, więc skupiła całą uwagę na tym, żeby zamaskować to drżenie. - Lepiej zapomnijmy o tamtej nocy.

- Łatwo ci powiedzieć. Dostałaś swoją nagrodę. Ale proszę popatrzeć na mnie. - Wyciągnął przed siebie trzęsące się dłonie. - Jestem jak galareta. Czy nie przyszedł czas na to, żebym i ja ją dostał?

Uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Najwyższy czas, dlatego gdybym miała szpicrutę w ręce, niechybnie byś ją dostał. Dobranoc, Max!

Nacisnęła klamkę i wsunęła się do pokoju, ale Max okazał się dla niej za szybki, nawet po wypiciu alkoholu. Zdażył wsunąć stopę gdzie trzeba i odepchnąć zamykające się drzwi z taką siłą, że aż zatrzeszczały zawiasy. Potem wszedł do pokoju. Sara

odstawiła świecę i pospieszyła zamknąć drzwi, żeby ktoś, kto akurat przypadkowo znalazł się w korytarzu, nie odniósł niewłaściwego wrażenia.

Gdy obróciła się plecami do drzwi, Max stał oparty o jedną z nóg łóża.

- Czy masz coś przeciwko temu, że zapalę cygaro? - spytał.

- Chcesz powiedzieć... że również palisz?

- Piję. Palę. Kocham się z pięknymi kobietami. - Chociaż wydawał się stać w całkiem rozluźnionej pozycji, z oczu biło mu wyzwanie. - Czy to ci przeszkadza, Saro?

Zaczynała dostrzegać humorystyczną stronę tej sytuacji i może nawet roześmiałaby się, gdyby tylko nie wspomniał kochania się z pięknymi kobietami.

- Szczerze mówiąc, nic mnie nie obchodzi, co robisz.

- Dziękuję!

Z tymi słowami podszedł do kominka i posługując się świecą, zapalił cygaro. Gdy wypuścił pierwszy obłoczek dymu, Sara delikatnie kaszlnęła. Max uśmiechnął się.

- Nie aprobujesz moich zwyczajów, Saro?

- Nie aprobuję twoich metod, Max. Nie lubię być zmuszana do niczego, na co nie mam ochoty.

- A ja cierpię.

- Nie zaprosiłam cię tutaj.

- Ale Drew Primrose... Hm, jego powitałaś z otwartymi ramionami.

Zmarszczyła czoło.

- Co takiego?

- Mówię o Drew Primrosie. Takich ludzi lubisz? Świętoszkowatych, prostolinijnych, krótko mówiąc: pruderyjnych.

- Słuchasz zbyt pilnie moich braci.

- I macochy. Powiedziała mi, że zawsze darzyłaś Drew wielkim podziwem.

- To było w dzieciństwie. Ale on jest bardzo przyzwoitym człowiekiem. Szanuję go.

Stała pośrodku pokoju, a Max zaczął ją okrażać. Odniosła dziwne wrażenie, że upodobniła się do figury w jakimś zatęchłym muzeum, a on wyszukuje wszystkie jej niedoskonałości.

- Drew jest przyzwoitym człowiekiem - powtórzył, krzywiąc

się. - A co z Williamem Neville'em. Czy też był przyzwoitym człowiekiem?

- Znasz odpowiedź na to pytanie.

- Mimo to miałaś z nim romans.

Oczy jej zabłyśły, a potem spochmurniały.

- Czy to ci przeszkadza, Max? - odpowiedziała mu jego własnymi słowami.

- Owszem. - Cisnął cygaro do kominka i zbliżył się do Sary. - Jestem przyzwoitym człowiekiem. Może nie tak przyzwoitym, jak twój nieoceniony Drew, ale o wiele lepszym od Williama Neville'a.

- Więc?

- No, więc jak będzie?

Zdrętwiała.

- Z czym jak będzie?

Ujął ją za ramiona i pochylił głowę. Odezwał się ochrypłym głosem:

- Może dokończymy to, co zaczęliśmy tamtej nocy w Reading, kiedy wszedłem przez okno? Saro, chcę tego tak samo jak ty. Dlaczego się opierasz? Co masz do stracenia?

Zatoczył się do tyłu, mocno odepchnięty przez Sarę. Zanim zdążył odzyskać równowagę, popchnęła go znowu.

- Ty ordynarny, ohydny, pijany lubieżniku- syknęła. Tymczasem zdążyła już prawie wypchnąć go za drzwi, Trzęsąc się ze złości, przesłała mu miążdzące spojrzenie. - Czy to ma być przykład tego, jak uwodzisz kobiety? Obrażasz je? Jeśli tak, bardzo by mnie zdziwiło, gdybyś... gdybyś...

- Gdybym co?

- Gdybyś nie był prawiczkiem! Nieporadny młokos byłby lepszy od ciebie.

- Poczekaj, Saro. Wcale nie chciałem cię obrazić.

- Nie?! - Była tak wściekła, że słowa ledwie przechodziły jej przez gardło. - Czy nie wiesz, że nie wypada wypominać kobiecie byłych kochanków, proponując jej swoje towarzystwo w łóżu? Może z innymi tak ci się udawało, Max, ale ze mną się nie uda!

- W złości jesteś prawdziwą piekielnicą - powiedział kwaśno.

- A ty po pijanemu jest skończonym osłem! - odpaliła natychmiast.

- Nie jestem pijany!

- A jaki?

- Roznamiętniony. Rozgorączkowany. Rozkojarzony. Jeśli wkrótce nie będziesz moja, to oszaleję.

Odebrało jej mowę.

- Posłuchaj, proszę - próbował jeszcze argumentować, kładąc jej ręce na ramionach. - Nie rozumiem, na czym polega problem. Włożyłaś dzisiaj wieczorem tę piękną suknię po to, żeby mnie uwieść, prawda? No i mnie uwiodłaś. Dlaczego więc nie chcesz wpuścić mnie do łóża, żebym mógł pokazać, co naprawdę oznacza słowo „przyzwoity”.

- Co takiego? Ty... ja... co? - Nagle odzyskała głos. W pokoju rozległo się potężne crescendo: - Won! Won! Won! Jeśli nie wyjdiesz natychmiast, obudzę krzykiem cały dom!

Nie dała mu czasu na jakąkolwiek reakcję, bo po prostu odsunęła go na bok, szarpnęła za klamkę i gdy drzwi się otworzyły, wypchnęła go na korytarz. Potem zatrasnęła mu drzwi tuż przed nosem i szybko zamknęła je na klucz.

Po chwili klamka się poruszyła.

- Saro!

Milczała.

- Nie mam świecy. Tu jest ciemno jak w grobie. Jak mam znaleźć drogę do swojego pokoju?

- Nie zabłądzisz na pewno - syknęła przez drzwi. - Twój pokój przylega do mojego.

Przez chwilę panowała cisza, potem klamka poruszyła się znowu.

- Czy mam iść w lewo, czy w prawo, na południe czy na północ, a może na wschód albo zachód? To jest takie dezorientujące. Dlaczego w korytarzu nie ma świec? Słyszałem o oszczędności, ale to jest wręcz śmieszne. Można by pomyśleć, że nie masz pensa przy duszy.

Sara zazgrzytała zębami, ale po chwili otworzyła drzwi i wcisnęła Maksowi świecę do ręki.

- Tędy - powiedziała, obracając go we właściwą stronę i na wszelki wypadek pokazując kierunek wyciągniętą ręką. - I uważaj, żeby nie spowodować pożaru - dodała groźnie.

- Dziękuję. - Z całą dostępną sobie w tej chwili godnością Max zaczął się oddalać.

Sara zatrasnęła drzwi i ponownie zamknęła je na klucz. W pokoju śmierzdziało cygarem, więc podeszła do okna i otworzyła je na oścież. W mroku zauważyła migające światelko, które po chwili zgasło.

Widocznie Drew jeszcze pracuje, pomyślała, bo światełko paliło się w jego gabinecie, urządzonym w dawnym domku ogrodnika, gdzie Drew urodził się i dorastał. Był obowiązkowy do przesady. Często do późnej nocy siedział nad księgami majątku i czasem nocował w domku ogrodnika, chociaż na stałe mieszkał w Stoneleigh. Jak Max Worthe, specjalny korespondent „Couriera”, miał czelność krzywo patrzeć na Drew? Zresztą co ją to obchodziło? Umiała poznać prawdziwego przyjaciela, a Drew na pewno nim był.

Ale skoro jest w domku ogrodnika, lepiej dziś w nocy nie wychodzić z domu, pomyślała.

Wsunęła sobie palce we włosy i zaczęła wyjmować szpilki. Nic nie układało się tak jak w jej przewidywaniach. Próbowała jeszcze raz porozmawiać z Anne. Tłumaczyła, że nie muszą jechać aż do Ameryki. Mogłyby znaleźć przytulny domek w Szkocji lub Irlandii. Siostra była jednak niezłomna.

Gdyby Anne uparła się zostać w Longfield, to i ona, Sara, musiałaby tu zostać.

Należało też pomyśleć o Maksie. Było z nim znacznie więcej komplikacji, niż się spodziewała.

Spojrzała na piękną suknię, którą miała na sobie, skrzywiła się i zaczęła ją zdejmować.

W dawnym domku ogrodnika Constance przeciągnęła się na ciasnym łóżku jak kocica, zadowolona ze spełnienia, które ukoronowało burzliwe chwile namiętności. Położyła dłoń na nagim torsie kochanka.

- Bardzo dużo ryzykujemy, spotykając się w tym miejscu, Beckett. Sara wróciła do domu. Drew na pewno zacznie tutaj nocować, nic będzie umiał się powstrzymać.

Beckett przekręcił się na bok, usiadł na łóżku i zapalił cienkie cygare od świecy, stojącej na gzymsie kominka. Cygara dostał w prezencie od Constance. Niewielu lokajów doświadcza takiego królewskiego traktowania, pomyślał i uśmiechnął się szeroko. Dzięki łaskawości Constance miał niewyczerpany zapas najlepszych cygar i wybornej brandy, a drobne prezenty łatwo było zamienić na gotówkę. W łóżku Constance też nie była najgorsza, chociaż Beckett wolał młodsze, podobnie jak sir Ivor. Chętniej

różniłyby córkę, Lucy, niż matkę. Ale nie robił tego dla przyjemności, w każdym razie nie tylko. Był to środek prowadzący go do celu.

On i nikt inny zamierzał wystąpić o nagrodę za znalezienie szczątków Williama Neville'a.

Gdy wrócił do łóżka, Constance leżała okryta prześcieradłem.

- Myślisz, że znowu będzie nocował w domku, jeżeli panna Carstairs wróciła? - spytał.

Constance przyglądała mu się spod na wpół przymkniętych powiek. Był bezwstydnie nagi; podziwiała grę jego mięśni. Był młody, silny i piękny. Nic jej nie obchodziło, że pracuje jako lokaj u lady Neville. Dzięki niemu jej życie w tej przeklętej dziurze stało się przynajmniej znośne.

- Nie wiem, ale nie chcę głupio ryzykować - odrzekła z powagą w głosie.

- Wciąż się w nim kochasz? - spytał urażonym tonem.

Żałowała, że w ogóle powiedziała mu o Drew. Ale z Beckettem tak dobrze się rozmawiało. Stał się częścią jej życia, gdy potrzebowała przyjaciela, po tym jak Drew ją rzucił.

- Nigdy go nie kochałam - powiedziała. - Po prostu oboje byliśmy samotni.

- A ja? Co czujesz do mnie?

- Wiesz, że zrobiłabym dla ciebie wszystko.

Cisnął cygaro do kominka i usiadł na krawędzi łóżka. Uśmiechając się, zsunął z Constance prześcieradło.

- Chcę się z tobą kochać w twoim łóżu - powiedział schrypniętym głosem. - W Longfield.

Spojrzała na niego zdumiona i pokręciła głową.

- Beckett, nie. To jest zbyt niebezpieczne. Ktoś może nas zauważyć.

- Nie zauważą, jeśli zachowamy ostrożność. Sama wpuściłabyś mnie do domu i nikt by o tym nie wiedział. Przecież powiedziałaś, że zrobiłabyś dla mnie wszystko.

- Nie.

- Chcę tego. To będzie podniecające.

Szeroko rozłożył nogi kochanki i zaczął ją głaskać. Gdy jęknęła, uśmiechnął się.

- Powiedz „tak”, Constance.

Wreszcie dała mu żadaną odpowiedź. Pomyślał o Lucy, wdrapał się na Constance i dał jej to, czego chciała.

Beckett popatrzył na Constance oddalającą się ku domowi i ruszył ścieżką w stronę wdowiego domku. Instynkt podpowiadał mu, że William jest pogrzebany gdzieś w tamtej okolicy. Sara Carstairs nie miała czasu ani okazji, żeby ukryć ciało daleko od domu. Do tej pory jednak jego poszukiwania nie dały wyników. Obawiał się, że nigdy nie znajdzie szczątków Williama Neville'a, jeśli Sara Carstairs go do nich nie zaprowadzi albo mu nie powie, gdzie można je znaleźć.

Doskonale wiedział, że lord Maxwell Worthe nie jest zainteresowany nagrodą. Worthe chciał mieć tylko artykuł do swojej gazety. Ale nikt w Longfield nie zdawał sobie z tego sprawy.

Beckett parsknął śmiechem. Wyglądało na to, że on i lord Worthe są ulepieni z tej samej gliny. Obaj bezwzględnie dążyli do postawionego sobie celu. Ale on miał przewagę nad lordem. Pięć tysięcy funtów stanowiło dla niego fortunę. Dla jej zdobycia nie cofnąłby się przed niczym. Żadne ryzyko go nie przerażało.

14

Następnego ranka Sara zasnęła, a po przebudzeniu cierpiała na dokuczliwy ból głowy. Nie miała ochoty stanąć twarzą w twarz z Maksem, ale nie dlatego że była na niego zła, lecz dlatego że była zła na siebie. Roznamiętniona. Rozgorączkowana. Rozkojarzona. Te określenia dobrze oddawały stan, w jakim znalazła się po jego wyjściu. Ocknęła się w tak zmiętej pościeli, jakby przez jej sypialnię przetoczył się huragan.

Żałowała, że nie może poprosić nikogo starszego i bardziej doświadczonego o wyjaśnienie, dlaczego ten człowiek wywiera na niej takie olbrzymie wrażenie, jak to jest możliwe. Specjalny korespondent „Couriera”. Ktoś, komu przede wszystkim zależało na artykule do swojej gazety. Nie chciała go pragnąć, ale wyglądało na to, że tamtej nocy w Reading otworzyła puszkę Pandory. Teraz ponosiła konsekwencje.

Postanowiła zwalczyć swoją słabość. Nie miała wyboru. Max Worthe był niebezpiecznym człowiekiem.

Myśli kłębiły jej się w głowie, potęgując pulsujący ból, uznała więc, że dobrze jej zrobi przejażdżka po parku. Właśnie schodziła na parter, gdy Max ukazał się w sieni. Natychmiast się cofnęła, żeby jej nie zauważył. Najwyraźniej właśnie skądś przyjechał. Już miała zawrócić do sypialni, ale Max wszedł do pokoju śniadaniowego. Korzystając z tego, przemknęła przez sieni i uciekła na dwór.

Był wspaniały dzień na przejażdżkę. Po ulewie z poprzedniego dnia grunt był wilgotny, ale nie błotnisty. Świeciło słońce, a wiatr z zachodu przywiał ciepłe powietrze znad wybrzeża. Stajenny

wyprowadził jej klacz, piękne zwierzę z białą strzałką na nozdrzach i białymi pęcunami. Klacz radośnie powitała Sarę, dotykając pyskiem jej karku.

- Stęskniła się do panienki.

- Ja do niej też - odrzekła Sara. - Gdzie jest Dobbs?

- Szczotkuje Arrogance, panienko. Mam go zawołać?

Jeśli Dobbs, masztalerz w Longfield, szczotkował Arrogance, to jedyną osobą, która mogła dosiadać ogiera, był niewątpliwie Max. Sara się zdumiała. Kiedyś Arrogance należał do Williama, który zepsuł charakter konia. Od tej pory nikt nie mógł dosiąść tego ogiera.

Pokręciła głową.

- Nie, nie jadę daleko. Tylko na wzgórze.

Ruszyła w górę stoku szeroką przecinką w gęstwinie buków i cisów.

Nie było tu sadzawek, fontann ani świątyń dumania, które ostatnio weszły w modę. Jej ojciec przywrócił parkowi jego pierwotny wygląd terenu do polowania. Jedyna różnica polegała na tym, że miękkie serce nie pozwalało ojcu polować.

Na tę myśl uśmiechnęła się.

Początkowo po prostu rozkoszowała się widokiem okolicy. Niebo było bezchmurne, promienie słońca przedzierały się przez gęsty baldachim liści nad jej głową i tworzyły misterne, rozedrgane wzory na ziemi. Od zapachu wilgotnej darni, pryskającej spod końskich kopyt, mogło się zakreślić w głowie.

Naszły ją wspomnienia, miłe, choć nostalgiczne, wspomnienia dni, gdy wraz z Anne uczyły się jeździć na szetlandzkich kucach. Zawsze pilnował ich Dobbs, który teraz był masztalerzem. Żyły wtedy beztrosko i pogodnie, tak jak pogodny był dzisiejszy dzień.

Drzewa rosły coraz rzadziej, wreszcie na szczycie Sara przystanąła. Przed nią ciągnął się łańcuch niskich kredowych wzgórz, nie porośniętych drzewami, lecz upstrzonych plamami janowca. Na pastwiskach pełnych słodkiej trawy pały się owce, które słysząc ją, bez zbytniego zainteresowania podnosiły łby, a potem wracały do swojego poprzedniego zajęcia.

Ze wzgórz ciągnęły się wspaniałe widoki. Najbardziej na prawo leżało miasteczko Stoneleigh, w którym na brzegu rzeki, podobne jak w Bath, stłoczyły się kamienne domy. Bliżej, u podnóża pagórka, na którym się zatrzymała, było Longfield - stajnie i domy

robotników rolnych wyglądały jak oaza wśród bujnej zieleni drzew. Wdowi domek był zasłonięty, choć znajdował się zaledwie pół mili za Longfield, natomiast po drugiej stronie doliny ciągnęły się żyzne pastwiska i bogate farmy Hampshire.

Lekko ścisnęła boki klaczy i Bonnie puściła się wyciągniętym kłusem. W tej części wzgórz na jeźdźców czyhały pułapki. W kredowym gruncie wieśniacy wygrzebali kiedyś wiele prymitywnych ziemianek, były też ruiny dawnych fortyfikacji, pełne zdradliwych dołów. Po zniknięciu Williama właśnie w tej okolicy mnóstwo ludzi szukało jego ciała.

Sara nie chciała jednak myśleć ani o Williamie, ani o swoich kłopotach. Chciała po prostu poczuć powiew wiatru na twarzy i przypomnieć sobie, ile radości daje szybka jazda konno.

Jeszcze raz ścisnęła boki Bonnie i klacz pognała galopem. Wkrótce znalazła się na szczycie następnego pagórka i jeszcze następnego. Nic nie przeszkadzało Sarze w tym pędzie, a przed nią rozciągała się szeroka połać nieba. Czuła słońce grzejące ją w plecy, wdychała zapach wiatru i janowca. Było jej lekko na duszy. Poczuała się wolna, beztroska, w tej chwili po prostu cieszyła się biegiem klaczy, której tryskały spod kopyt kawały darni.

Na najwyższym wzgórzu zwolniła bieg klaczy do stępa, potem przystanęła. I wtedy zobaczyła jeźdźca na białym koniu, który zbliżał się w jej stronę. Ustawiła Bonnie tak, by lepiej go zobaczyć. Najpierw sądziła, że to Simon na Eclipse, ale gdy człowiek podjechał bliżej, poznała w nim sir Ivora Neville'a.

Zdumiała ją to. Sir Ivor nigdy nie jeździł po tej części wzgórz, a każdym razie Sara nie pamiętała, by kiedykolwiek spotkała go w okolicy. W przeświadczeniu sir Ivora Samuel Carstairs i jego rodzina byli niewiele lepsi od służby, toteż spotkanie ich na swej drodze stanowiłoby poważny dyshonor.

Gdy nieco otrząsnęła się z zaskoczenia, ogarnęło ją przerażenie. W pierwszym odruchu chciała rzucić się do ucieczki. Ojciec Williama był ostatnią osobą, którą chciała spotkać. Zdusiła jednak w sobie ten impuls, ponieważ było już za późno. Za plecami miała gąszcz jałowców i jeżyn, po prawej ziemianki i ruiny fortyfikacji. Sir Ivor odciął jej drogę odwrotu.

Zatrzymał się tak, że gdyby próbowała uciec, mógłby zajechać jej drogę. Był przystojny, ale gdy ogarniała go złość, fioletowiwały mu żyły na nosie i policzkach. Teraz było to dobrze widać.

Sara drżącą ręką pogłaskała klacz po karku, przygotowując się na to, co miało nastąpić.

Sir Ivor oddychał ciężko, a jego głos brzmiał chrapliwie.

- Ty suko! Czy całkiem nie masz wstydu? Wróciłaś tu, gdzie zamordowałaś mojego syna? Czy to właśnie tutaj ukryłaś jego ciało? Na wzgórzach?

Głos drżał jej tak samo jak dłonie.

- Nie ukryłam ciała pańskiego syna. Uniewinniono mnie od zarzutu morderstwa.

Gdy zbliżył się do niej jeszcze trochę, stężała.

- Wracaj tam, skąd przyjechałaś! - rzucił wściekle. - Tu nie ma dla ciebie miejsca.

- Longfield jest moim domem. Zamierzam tu zostać.

Powiedziała nie to, co trzeba. Sir Ivor trzymał w dłoni szpicrutę; groźnie nią potrząsał. Znowu podjechał bliżej. Sara zawróciła Bonnie i poderwała ją do galopu.

Nie miała innego wyjścia, jak skierować się prosto na ruiny fortyfikacji. W pędzie pomyślała, że o to właśnie chodziło sir Ivorowi. Wściekłość i rozpacz oślepiły tego człowieka. On naprawdę sądził, że udało jej się uniknąć słusznej kary za morderstwo. Gdyby zdarzył jej się wypadek podczas przejażdżki konno, nikt nie wiedziałby, co naprawdę zaszło. Sir Ivor uznałby zaś, że dostała to, na co zasłużyła.

Mimo że pędziła na złamanie karku w stronę twierdzy, wciąż panowała nad Bonnie. Słyszała coraz bliższy łoskot kopyt rumaka sir Ivora, nie poddała się jednak panice. To był jej majątek, tę część wzgórz znała więc jak własną kieszeń. To samo można było powiedzieć o Bonnie.

Skupiona na swym zadaniu, przesadziła pierwszy rów, wyrównała krok klaczy i poderwała ją do drugiego skoku. Jeszcze jedna przeszkoda, i Bonnie znalazła się na wąskiej ścieżce prowadzącej w dół.

Droga przed nimi była wolna.

Sara nie obejrzała się za siebie. Ucichły już odgłosy pościgu, ale nie mogła znieść myśli o nienawiści wrytej na twarzy sir Ivora. Zawsze gardziła tym człowiekiem, ale w tej chwili, gdy powinna go nienawidzić ze wszystkich sił, znienacka ogarnęło ją współczucie.

Wychodząc ze stajni, nadal myślała o sir Ivorze.

- Gdybym wiedział, że wybiera się pani na przejażdżkę, poczekałbym na panią.

Obróciła się i ujrzała nadchodzącego Maksa. Zbliżał się od strony domków, w których mieszkali parobcy.

Na widok jej twarzy zmarszczył czoło.

- Czy nic pani nie jest?

Nie zamierzała zwierzać mu się ze spotkania z sir Worem, powiedziała więc beztrąsko:

- Spadłam z konia. Za mało ostatnio ćwiczyłam. - Spojrzała dalej, na drogę, którą przyszedł Max. - Był pan u Drew?

- Tak, ale go nie zastałem.

- Znajdzie go pan w Stoneleigh. Oprócz mnie ma także innych klientów.

Razem ruszyli w stronę domu.

- Constance mówi, że Drew czasem sypia w dawnym domku ogrodnika- rzekł Max.

- Tylko wtedy, gdy pracuje do *późna*.

- Czy pracował do późna tej nocy, gdy zniknął William?

Nagle zatrzymała się i spojrzała mu prosto w twarz.

- Nie sądzi pan chyba, że Drew ma cokolwiek wspólnego ze zniknięciem Williama!

- Zadałem pani proste pytanie.

- Nie- odparła rozłoszczona. - Wtedy go nie było. Pojechał w interesach do Bristolu, jeśli musi pan to wiedzieć. Zresztą jaki motyw mógłby mieć Drew, żeby zabić Williama?

- Saro, jest pani swoim najgorszym wrogiem. Nie dopuszcza pani myśli, że ktokolwiek oprócz pani mógłby mieć motyw. A kto wie, jakie myśli się lęgną w cudzej głowie?

Chciało jej się płakać. Najpierw wstrząsnęło nią spotkanie z sir Ivorem, a teraz to. Max nigdy się nie podda. Uwierzył w jej niewinność i postanowił oczyścić jej imię. Ale to nie było takie proste. To w ogóle nie było proste.

Gdy ujął ją za ramiona, nie cofnęła się, żeby uniknąć pocałunku. Ich usta zetknęły się na moment, delikatnie, prawie niezauważalnie. To była bardzo subtelną pieśczętą.

- Po co to było?

- To - szepnął - były przeprosiny za wczorajszy wieczór.

Pocałował ją znowu, ale tym razem położył jej rękę na karku,

więc nie mogła zrobić uniku. Po chwili już wcale tego nie chciała. W jego objęciach czuła się bezpieczna i podziwiana. Zaraz potem obudziła się w niej namietność. Po głowie tłukły jej się dwa słowa: gdyby tylko... gdyby tylko... gdyby tylko...

Jej dłoń oparta o tors Maksa zacisnęła się w pięść. Wargi jej nabrzmiały. Pragnęła, by ten pocałunek trwał jak najdłużej.

Max pierwszy się cofnął. Uśmiechnął się, widząc jej rozmazaną minę.

- Ja też - powiedział. - Nigdy w życiu nie czułem nic podobnego.

Serce biło jej jak młotem. Ledwie wyszeptała odpowiedź:

- Nie.

- Pogodzi się z tym pani prędzej czy później, Saro. - Uśmiechnął się w zadumie. - Ale mam nadzieję, że prędzej. Za długo była pani sama. Pragnę to zmienić.

Bardzo chciała mu uwierzyć. Miała ochotę pogłaskać go po policzku, lecz nagle wrócił jej zdrowy rozsądek. Zatrzymała rękę w pół drogi, po czym dotknęła nią swojej skroni.

- Zdaje się, że ten upadek zrobił na mnie większe wrażenie, niż mi się zdawało - powiedziała. - Muszę napić się słodkiej herbaty.

W milczeniu wrócili do domu.

Pili herbatę w salonie, gdy zjawiła się Anne. Tuż za nią wszedł do pokoju mężczyzna, najwyraźniej proboszcz. Był starszy, niż spodziewała się Sara, mniej więcej czterdziestoletni, ubrany w czerń. Miał kwadratową twarz, wydatne usta i długi, orli nos.

Anne zadośćuczyniła wymogom grzeczności, po czym zaprosiła pana Thornleya, by usiadł i wypił z nimi herbatę.

Duchowny spojrzał na Sarę z promiennym uśmiechem.

- Proszę pozwolić, szanowna pani, że podziękuję jej za hojne wspieranie pracy naszego kościoła. Może być pani pewna, że pieniądze, które zbieramy, co do pensa wydajemy na polepszenie sytuacji biednych w parafii. Ufam, że możemy liczyć na pani pomoc przy organizacji jarmarku?

Udzieliła niewyraźnej i niewiele znaczącej odpowiedzi, podświadomie spodziewając się, że zaraz zauważy w zachowaniu proboszcza oznakę niechęci lub wręcz obrzydzenia. Wprawdzie

uniewinniono ją od zarzutu morderstwa, ale to nie oczyściło jej w oczach świata. Martwiła się jednak niepotrzebnie. Proboszcz odnosił się do niej ze szczerą życzliwością. Przystała więc zaciskać dłonie i stopniowo czuła się coraz swobodniej.

Zostawiła Maksowi wyrażenie podziękowań za życzenia, jakie złożył im proboszcz z okazji zbliżającego się ślubu, sama zaś skupiła się na obserwacji Anne. Twarz siostry wydawała się spokojna i nie zdradzała nic, co Sara mogłaby potraktować jako oznaki wyjątkowo ciepłego uczucia dla pana Thornleya.

- Czy w parafii jest wielu ubogich, proszę księdza? - spytał Max.

- Tak, lordzie Maxwell. Nawet w stosunkowo zamożnej parafii, takiej jak nasza, zawsze są ubodzy. - Dołożył jeszcze dwie kostki cukru do herbaty. - Ale nie ma w tym nic dziwnego, czyż nie? Świat nie przetrwałby bez ubogich.

- Nie bardzo rozumiem tę myśl - powiedział Max.

- Gdyby niższe warstwy nie były ubogie, nie byłyby też przedsiębiorcze. Wydawałyby pieniądze na alkohol i jeszcze bardziej zdrożne pokusy. Naturalnie - zastrzegł się natychmiast - nie zwalnia nas to z obowiązku okazywania im chrześcijańskiego miłosierdzia.

- Czy chce ksiądz powiedzieć, że chodzi o te same pokusy, którym ulegają warstwy wyższe? - spytał chłodno Max.

Proboszcz stracił kontenans. Przez chwilę przyglądał się Maksowi tak, jakby obserwował ciekawy okaz cmy pod mikroskopem.

- Chcę powiedzieć - odezwał się w końcu - że dobry Bóg powołał jednych do przewodzenia, a innych do posłuszeństwa i służby. Każdy z nas ma swoje miejsce, lordzie Maxwell.

Max przytknął filiżankę do ust i upił duży łyk herbaty.

- Niech mi ksiądz powie, czy dobry Bóg powołał pięcioletnich chłopców do tego, by odebrani rodzicom, wspinali się po szybach wentylacyjnych i czyścili kominy? Czy ksiądz wie, ile takich małych biedaków co roku ginie od poparzeń lub uduszenia? I że specjalnie ich się głodzi, żeby byli chudzi i mogli się zmieścić do każdego komina? A co z dziećmi, które wysyła się do kopalń, żeby ciągnęły wózki z węglem? Czy również tych malców Bóg powołał do tego celu?

Pan Thornley wydawał się zaskoczony, ale jeszcze bardziej zdumiała się Sara. Początkowo była nieobecna duchem, rozmyślała o sir Ivorze. Gdy skupiła się na rozmowie, zauważyła, że Max jest dziwnie podenerwowany, nie wiedziała jednak dlaczego.

Proboszcz się uśmiechnął.

- Zdaje się, że ma pań miękkie serce, lordzie Maxwell.

Max się nie uśmiechał.

- Nie chcę księdza urazić, ale nie dostałem odpowiedzi na swoje pytanie.

Zapadła śmiertelna cisza. Proboszcz zrobił się czerwony jak piwonia. Max zmiądzzył w palcach okruch grzanki, nie odrywając wzroku od twarzy duchownego.

- Przecież z pewnością liczą się nie słowa, lecz uczynki - wtrąciła się cicho Anne. - A pieniądze, które zbieramy podczas jarmarku, pójdą na wyposażenie szpitala dla biednych. Czy nie to jest najważniejsze?

Proboszcz skinął głową.

- Ta prosta, dziecięca wiara przynosi pani chwałę, panno Carstairs.

Max już otworzył usta, żeby zripostować, ale Sara mu przeszkodziła.

- Dzbanek jest pusty - powiedziała. - Czy mam zadzwonić, żeby podano świeżą herbatę?

Gdy tylko proboszcz z Anne wyszli, Sara spojrzała na Maksą bardzo kwaśno.

- Doprawdy, Max, byłeś bardzo niegrzeczny dla pana Thornleya.

Max skrzywił się z niesmakiem.

- Spotykałem już ludzi tego rodzaju, chociaż niewielu z nich, dzięki Bogu, było duchownymi.

- Jakiego rodzaju?

- Ignoranci, głupi ludzie, którzy nie wiedzą, o czym mówią, a co gorsza nie chcą wiedzieć. Bo gdyby wiedzieli, to pewnie musieliby coś z tym zrobić. Saro, czy wiesz, jak ćwiczy się kominiarczyków?

- Nie.

- Muszą mieć bardzo twardą skórę, żeby mogli wspinać się po kominach i nie zetrzeć jej sobie do żywego ciała. Dlatego zmusza się ich do stania przed dużym ogniem, żeby ich kolana i łokcie... - Urwał, spojrzał na nią gniewnie i wydał westchnienie. - Nie. Może nawet lepiej, że tego nie wiesz.

Rysy miał ściągnięte, a oczy błyszczały mu z oburzenia. Chciała go dotknąć, powiedzieć mu, że rozumie, ale naturalnie nie rozumiała niczego.

- Przepraszam - powiedziała. - Nie wiedziałam. I masz rację. Nigdy się nad tym nic zastanawiałam.

Jego napięcie z wolna ustępowało, aż w końcu się uśmiechnął.

- Gdybyś była prenumeratorką „Couriera”, wiedziałabyś o tym. W zeszłym roku wydrukowaliśmy cykl artykułów o życiu biedoty i nie były to artykuły napisane tak, żeby się je miło czytało. Zresztą wywołały burzę protestów wśród naszych czytelników.

- Czytelnicy współczuli?

- Przeciwnie. Uważali, że powinno się wychłostać redakcję albo w ogóle zamknąć gazetę za wyrażanie takich wywrotowych poglądów. Niektórzy wróżyli nam, że doprowadzimy cały kraj do anarchii. Większość listów była utrzymana w tonie, jakiego używa pan Thornley.

- Czy nikt was nie poparł?

- Niewielu. - Wydawał się rozczarowany. - Ale biedacy nie czytują gazet, bo większość z nich nie umie czytać. A nawet gdyby umieli, nie mieliby ani pieniędzy, ani czasu do stracenia. Są zbyt zajęci zarabianiem na kawałek chleba w młynach albo kopalniach, żeby takim ludziom jak my żyło się lepiej. Są tak biedni, że sprzedają swoich synów w niewolę, którą my nazywamy terminem. Ale córki cierpią jeszcze gorszy los. Bo...

Opamiętał się, zaczerpnął tchu i wolno wypuścił powietrze z płuc.

- Chcę po prostu powiedzieć, że biedni nie mają głosu. Ktoś musi stanąć w ich obronie. Ale naturalnie masz rację, że nie powinienem być tak niegrzecznie potraktować gościa. Przepraszam za swoje zachowanie.

Tego sobie nie wyobrażała: Max żarliwie broniący jakiejś sprawy. Znała „Courier” tylko jako gazetę goniącą za sensacjami, takimi jak jej proces. Gdy teraz przyglądała się Maksowi, zdawało jej się, że nie potrafi dostrzec prawdziwego Maksa Worthe'a.

Piekły ją oczy, w gardle ją ścisnęło.

- Jesteś bardzo dziwnym człowiekiem - rzekła.

- Jeszcze nigdy nie powiedziałaś mi nic równie miłego, Saro. Ich oczy się spotkały.

Sara poczuła, że natychmiast musi się odezwać, by ukryć zmieszanie.

- Udzielam ci specjalnego pozwolenia. Możesz być niegrzeczny wobec pana Thornleya tyle razy, ile tylko zechcesz. Constance miała rację. On rzeczywiście jest pompatyczny.

Max wypił duży łyk herbaty i popatrzył na nią w zadumie.

- Niepotrzebnie się martwisz. Anne nie jest zakochana w proboszczu.

Nie zdawała sobie sprawy z tego, że tyle po niej widać.

- Skąd ta pewność?

Zrobił zabawną minę.

- Bo twoja siostra wydaje mi się wrażliwą osobą, a proboszcz jest gburem!

Sara wybuchnęła śmiechem.

- Szybko wydajesz sądy o ludziach, prawda, Max?

Uśmiech znikł z jego twarzy.

- Omyliłem się, Saro, co do ciebie i gorąco tego żałuję. Zresztą zamierzam ci to wynagrodzić.

- Nie... - Potrząsnęła głową, zerwała się na równe nogi i wybiegła z pokoju.

Max wypił jeszcze łyk herbaty. Nie jest tak źle, pomyślał. Robię postępy. Powoli oswajał Sarę. Miał prawo się spodziewać, że jeśli utrzyma tempo, to przed końcem stulecia będzie jadła mu z ręki.

Sir Ivor zatrzasnął za sobą drzwi biblioteki i podszedł prosto do kredensu, na którym stała taca z karafkami. Nalał sobie czystej brandy, wypił do dna i jeszcze raz nalał trunku do pełna. Serdecznie życzył tej suce, żeby skreśliła kark, kiedy skakała przez rowy. Że też akurat ona musiała się urodzić w czepku, ta kobieta, która uciekła katowi spod szubienicy. Ladacznica. Wdała się w romans z jego synem pod samym nosem siostry. Nie miał pretensji do Williama o to, że ją wziął.

Wiedział jednak, że jemu nie wolno się do niej zbliżać, bo inaczej to on trafi na szubienicę.

Nie rozumiał tylko, co w tym wszystkim robi lord Maxwell. Czy to jego Sara Carstairs sprowadziła do Longfield jako narzeczonego? Lady Neville właśnie tak twierdziła. Ha, wkrótce panna Carstairs przekona się, że sięgnęła zbyt wysoko. Dziedzicowi lorda Lyndhursta nawet przez myśl by nie przeszło, że mógłby się ożenić z córką piwowara, w dodatku oskarżoną kiedyś o popełnienie

zbrodni. Lord Maxwell był arystokratą. Nie skompromitowałby rodzowego nazwiska, żeniąc się z nierządnicą.

Sir Ivor nie miał innego wyjścia, jak spokojnie poczekać, aż lord Maxwell złoży mu wizytę i wyjaśni, w czym rzecz. Musiało mu chodzić o artykuł do jego gazety. Może również o dostęp do łóża Sary Carstairs. Sir Ivor uśmiechnął się. Do tego właśnie ta kobieta była dobra, do zabawiania mężczyzny.

Z dworu dobiegł go odgłos dziewczęcego śmiechu, więc podszedł do okna i spojrział w dół. W rosarium była lady Neville ze swym lokajem. Rozległ się następny chichot, bardzo drażniący nerwy sir Ivora. Zaraz po ślubie powiedział żonie, że ma kryształowo czysty śmiech, prawie jak górski strumień, no i potem musiał słuchać tego śmiechu przez trzydzieści lat.

Tę szklaneczkę brandy saczył już bez pośpiechu. Jenny miała młodzieńczy śmiech, ale szczery i prawdziwy. Była czysta, a on lubił czyste panny. Nie spieszył się z odebraniem jej dziewictwa. Ale na myśl o Jenny zaczął znacznie ciężiej oddychać.

Odstawił kieliszek, zamknął okno i zaciągnął zasłony. Wiedział, że trzy pociągnięcia za sznur dzwonka sprowadzą Jenny do pokoju. Wstał i podszedł do sznura.

15

Kolacja zaczęła się całkiem niezle. Głównym daniem był comber barani, który okazał się idealnie dopieczony. Wszyscy zauważyli nagły wzrost umiejętności kucharki. Ale tylko Sara zdawała się wiedzieć, że jest to wyłączna zasługa Maksa. Patrzyła na niego z miną pełną podziwu.

Odpowiedział na to spojrzenie nieznacznym wzruszeniem ramion. Problem było bardzo łatwo rozwiązać. Nikt do tej pory nie pokazał kucharce, jak używać nowego pieca. Dano jej tylko plik instrukcji, które były bezużyteczne, kobieta bowiem nie umiała czytać, a wstydziła się do tego przyznać. Maksowi też tego nie powiedziała, on jednak szybko zorientował się w sytuacji.

Nie zamierzał bynajmniej dzielić się swoją wiedzą z innymi. Cokolwiek by zrobił, zostałyby to błędnie odczytane, więc uznał, że lepiej nie kusić licha. Poza tym osiągnął cel: wreszcie dostał smaczną kolację.

Dopiero Anne, całkiem niechcący, wsadziła kij w mrowisko.

- Dobbs powiedział mi, że jeździł pan rano na Arrogance i dobrze sobie z nim radził.

- Uczciwiej byłoby powiedzieć, że Arrogance dobrze sobie radził ze mną - odrzekł Max. - Przewidywał, co mam zamiar zrobić, zanim zdążyłem to sobie Uświadomić.

- Max jest bardzo skromny - włączyła się do rozmowy Sara, szeroko się uśmiechając, choć jej ton wskazywał na wręcz przeciwne znaczenie tych słów. Gdy jednak zauważyła minę Simona, głos uwiązał jej w gardle.

Simon głośno odsunął krzesło od stołu i wstał.

- Kto mu pozwolił wziąć Arrogance'a na przejażdżkę? - spytał Sarę. Był wściekły.

- Sądzę, że Dobbs - odrzekła Sara. - Co w tym złego?

- Jemu pozwoliłaś jeździć na tym koniu, a mnie nie pozwalasz?

- Sara nie ma z tym nic wspólnego, Simon - wyjaśniła zbołałym głosem Anne. - Trzy lata nie było jej w domu. Dobrze wiesz, że teraz Dobbs decyduje o tym, kto dosiada Arrogance'a. To jest bardzo krnąbrny koń. Potrafi być niebezpieczny. Przecież wiele razy cię zrzucił, prawda? Widocznie Dobbs uznał, że Max go opanuje.

- Jak mam się nauczyć nad nim panować, skoro nie daje mi się szansy?

Anne spuściła wzrok.

- Porozmawiam z Dobbsem i przekonam się, co ma w tej sprawie do powiedzenia. Może gdyby Max pojechał razem z tobą...

- Max! - Simon pogardliwie parsknął. - Jak to miło z jego strony! Ciebie może Max omotał, ale mnie nie.

- Dość tego, Simon - ucięła cicho Sara.

Młodzieniec zazgrzytał zębami.

- Wcale nie dość, jeszcze dużo do tego brakuje. Czy wy wszyscy jesteście ślepi? Nie widzicie, co się dzieje? On tu będzie rządził. Nic już nie będzie tak jak dawniej. Co innego, gdyby on szanował Sarę, ale nic, ona go nic nie obchodzi. - Zwrócił się do przyrodniej siostry: - Naprawdę nie widzisz, kim on jest? Owszem, ma ogłade, to przyznaję. Ale jest łowcą posagów. Lord Maxwell! Grzechnościowy tytuł, bez wątpienia kupiony. On cię zrukuje, Saro, zrukuje nas wszystkich.

Sara wolno wstała. Mocno ścisnęła w dłoni serwetkę, a twarz miała kredowobiałą.

- Powiedziałaś już naprawdę dość, Simon. Albo przepraszam Makska, albo wyjdź z pokoju.

- Nie jestem małym chłopcem, żebyś mnie pouczała!

- To przestań się zachowywać jak mały chłopiec.

Simon zaklął i szybko opuścił jadalnię. Martin spojrzął na swój talerz, zawahał się i ruszył śladem brata.

Przy stole nastąpiło ciężkie milczenie, jedno z tych, którym Max w myślach nadał miano longfieldzkich. Sara z powrotem usiadła. Obecni kolejno brali do ręki sztuce i wracali do jedzenia.

Max, o dziwo, czuł sympatię do Simona. To musiało być głęboko frustrujące dla młodzieńca, zwłaszcza takiego, który uważał się za koryntianina, że trzeba podporządkować się obcemu człowiekowi, a zwłaszcza obcemu, którym się pogardza. Gdyby Max wiedział, że młodzieńcowi nie wolno jeździć na tym wierzchołku, pewnie wzięłyby innego, choćby tylko po to, by nie urazić dumy chłopaka. Ale Arrogance to był tylko pretekst. Musiało zajść jeszcze coś innego, co naprawdę Simona rozeźliło.

Max pomyślał, że jest najwyższy czas na męską rozmowę z tym młodzieńcem.

Anne odsunęła krzesło od stołu.

- Lepiej pójde go trochę uspokoić- powiedziała i z tymi słowami opuściła jadalnię.

Anne była pewna, że Simon i Martin poszli do stajni, i szła szybko w tamtym kierunku, gdy nagle zauważyła zbliżającego się jeźdźca. Na dziedzińcu pojawił się Drew Primrose. Była to ostatnia osoba, którą Anne chciała zobaczyć. Kiedyś zastała go ze swoją macochą i od tej pory nie potrafiła na niego patrzeć, nie okazując niechęci.

- Witaj, Anne - powiedział.

Przestała przejmować się Simonem i Martinem. Obróciła się na pięcie i wróciła do domu. W sieni przystanęła i kilka razy odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić. Nie miała do Drew pretensji o romansowanie, skoro kobieta, której pragnął, była poza jego zasięgiem. Ale miała pretensje o to, że romansował z Constance. Równie dobrze mogło się zdarzyć, że to Lucy, Simon albo Martin weszliby do domku tamtego popołudnia i znaleźli matkę w łóżku Drew.

Constance jej nie widziała, ale Drew owszem. Stanęła jak wryta w jego gabinecie, bo poznała głos kobiety, dochodzący zza zamkniętych drzwi. Widocznie jednak narobiła hałasu, bo zanim zdążyła otrząsnąć się ze zdumienia i wyjść, Drew uchylił drzwi i wszedł do gabinetu. Był ubrany tylko częściowo i miał potargane włosy. Patrzyli na siebie bez słowa przez długą, długą chwilę. Anne wiedziała, że nie potrafi ukryć obrzydzenia. A od tego dnia trudno jej było znieść obecność Drew w tym samym pomieszczeniu.

Może zresztą przesadzała. Constance była samotna. Drew rów-

niez. To rozumiała. Nie chciała tylko pogodzić się z tym, że spotykali się tak blisko domu.

Na ścianie w sieni było lustro i przechodząc przed nim, Anne zwróciła uwagę na swoje odbicie. Przystanęła i rozpoczęła dokładne oględziny. Nie była piękną. Wiedziała, że William ożenił się z nią dla pieniędzy, ale mimo to była zadowolona. Sądziła wtedy, że na więcej nie może liczyć. Los spłatał jej okrutnego figła. Nawet jej skromne nadzieje okazały się wybujałe. William był okrutny i brutalny, a jej życie zamieniło się w koszmar.

Sara nie znała nawet połowy prawdy. Myślała, że siostra jest przykładną żoną. Ale Anne nie była przykładną żoną i teraz płaciła cenę za swoje grzechy.

Bała się. Max Worthe zadawał wszystkim mnóstwo pytań. Przecież Sarę niewinniono. Dlaczego więc nie mógł zrezygnować z tych przesłuchań.

Głęboko odetchnęła, żeby trochę się uspokoić. Proboszcz powiedział jej, że Bóg jest miłosierny. Bardzo chciała w to uwierzyć, bo czasem zdawało jej się, że żyje w piekle.

Pamiętając o sokolej bystrości Maksa Worthe'a, przykleiła uśmiech do twarzy i dopiero wtedy ruszyła po schodach.

A ego wieczoru nikt nie miał ochoty długo siedzieć w salonie. Wszystkich pochłaniały własne myśli. Constance wymówiła się bólem głowy i wyszła. Max wybrał spacer. Lucy z Anne zagrały partię warcabów, a potem znikły, natomiast Sara zaczęła szukać Simona i Martina.

Nie było ich w swoich pokojach i nikt ze służby nie wiedział, gdzie się podziali. Może i lepiej, pomyślała, wlokąc się po schodach do sypialni. Prawdopodobnie znowu zaczęłyby ich pouczać, zwłaszcza Simona, a nigdy nic dobrego z tego nie wynikało.

Przestępowała próg swego pokoju w bardzo minorowym nastroju. Osaczyły ją te same ponure myśli co zawsze. Starła się ułożyć wszystkie sprawy tak, żeby rodzina miała jak najlepiej, a oni nawet nie byli szczęśliwi. Wszyscy z wyjątkiem Lucy i Anne razili kłótnością, egoizmem, zapatrzeniem w siebie i nieznośną wulgarnością.

Czy zawsze tak było?

Sara bardzo chciała, żeby chociaż raz ktoś zainteresował się, czego jej potrzeba do szczęścia.

Podeszła do okna i wyjrzała na dwór. Chociaż minęła już dziesiąta, wciąż było dość jasno. Znowu zaczął padać deszcz, ale przynajmniej było ciepło. Tego wieczoru nie potrzebowała ognia w kominku.

Wolno odetchnęła. Wypuszczając powietrze z płuc, czuła, jak opuszcza ją zniechęcenie. Jej rodzina była okropna, to prawda, ale jedno musiała tym ludziom przyznać. Nikomu w najmniejszym stopniu nie przeszkadzał jej proces o morderstwo. Nie patrzyli na nią koso, nie snuli, tak jak inni ludzie, domysłów co do jej winy. Nie obawiali się, że teraz przyjdzie ich kolej. Traktowali ją tak samo jak zawsze.

Naturalnie byli przekonani o jej niewinności.

Gdyby tylko mogła wszystko zostawić po staremu.

Ale nie mogła. Musiała coś postanowić w sprawie wdowiego domku. Nie było jej stać na odbudowę do czasu, aż dostanie pieniądze ze spadku. Zresztą nawet gdyby miała pieniądze, nie chciała odbudować wdowiego domku. Drew miał rację. Lepiej było go zburzyć, i koniec.

Ze wszystkich możliwych stron wywierano na nią presję. Nie mogła dłużej grać na zwłokę. Dlatego przed kolacją zamieniła potajemnie kilka słów z Dobbsem. Poleciała mu co noc brać tylu ludzi ilu może, i pilnować, żeby we wdowim domku nie zatrzymywali się włóczędzy, Cyganie ani wędrowni robotnicy.

Teraz musiała zebrać się na odwagę i zrobić to, co do niej należało.

Gdy odwróciła się od okna, jej wzrok padł na toaletkę. Ujrzała złożony w pół kawałek eleganckiego papieru, oparty o jej srebrną szcztokę. Wiedziała, co to jest, jeszcze zanim po niego sięgnęła.

Z wierzchu widniało jej imię, wypisane równym pismem Williama. Palce jej drżały, gdy łamała woskową pieczęć.

Witaj w domu, brzmiała cała wiadomość.

16

Przestało padać, ale trawa była mokra, a z drzew leciało jeszcze tyle kropli, że Sara musiała podnieść kaptur narzutki. Co pewien czas odwracała się ku domowi. W żadnym oknie nie paliło się światło. Mimo to pilnowała, żeby kryć się w cieniu drzew i osłaniać latarnię ciałem. W prawej ręce ścisnęła pistolet ojca. Był ciężki i nieporęczny, ale dodawał jej otuchy. Bez niego nie miałyby odwagi wyjść z domu w środku nocy, a już na pewno nie po otrzymaniu liściku.

Witaj w domu.

Po długich wieczornych rozmyślaniach, które przysporzyły jej wielu cierpień, czuła się teraz dziwnie obojętna, jakby to, co miało się stać, było nieuniknione. Za kilka minut miała dowiedzieć się prawdy o Williamie. Nie wiedziała tylko, czy jej to w czymś pomoże. Jeśli to nie on wysyłał do niej te listy, robił to ktoś inny, ktoś z jej bliskich. Ktoś, kto jej nienawdził.

Ciężko jej było na sercu, że musi podejrzewać rodzinę. Gdy ocknęła się z pierwszego wstrząsu, ogarnęła ją czarna rozpacz. Tylko domownik mógł podłożyć liścik na toaletce: albo ktoś ze służby, albo ktoś z rodziny.

Cieszyła się tylko, że nie było z nią Maksa, gdy dostała tę wiadomość. On nie spocząłby, póki nie dowiedziały się, czyja to sprawa. A ona tak bardzo bała się odpowiedzi. Popełniła błąd, pozwalając Maksowi przyjechać do Longfield. Powinna była mu się sprzeciwić, powiedzieć, żeby robił swoje. Jakie miałyby to znaczenie, gdyby opisał ją w gazecie? Sprawy i tak nie mogłyby

ułożyć się gorzej. Max chciał oczyścić jej imię, ale gdyby prawda wyszła na jaw, tylko głębiej by ją pograżył.

W pobliżu trzasnęła gałązka. Sara zmartwiała. Stanęła sztywno i powoli uniosła pistolet.

Z lasu wyszedł borsuk. Nie bał się jej, raczej był zaintrygowany. Jego koralikowe oczka zdawały się ją taksować. Wreszcie zwierzę poruszyło nozdrzami i rozpląnęło się w mroku.

Gdy owionęły ją znajome letnie zapachy kapryfolium, jaśminu i nieco cięższy aromat róż, wiedziała, że zbliża się do wdowiego domku. Oczami wyobraźni widziała go w takim stanie, w jakim był kiedyś, zanim strawił go pożar. Pod ogrodowym murem obok rośło mnóstwo pachnących kolorowych kwiatów.

Pamięć zaczęła jej podsuwać różne obrazy. Oto ma osiem lat i stoi na murze. „Jestem królem zamku!” - woła i spada. Przestraszyła się wtedy co niemiara, chciało jej się płakać, ale musiała pocieszyć Anne, która wybuchnęła szlochem.

To dziwne, ale również teraz łzy napłynęły jej do oczu.

Dawniej wdowi domek najczęściej bywał wynajęty, ale gdy był pusty, nikt nie przeganiał stamtąd dzieciaków. Właśnie wtedy stał się ulubionym miejscem zabaw jej i Anne. Poznały wszystkie jego sekrety. I zachowały je tylko dla siebie.

Strach ścisnął ją za serce, musiała na chwilę przystanąć, żeby się opanować. Nie było już dla niej odwrotu. Z tą myślą zrobiła następny ostrożny krok nad wystającymi z ziemi pieńkami i zwalonymi gałęziami. Przy wielkiej żelaznej furtce do ogrodu zatrzymała się znowu. Kłódka była zerwana.

Światło jej latarni właściwie nie docierało do samego domku. Ruina pograżona w półmroku wydawała się dziwnie nietknięta i milcząca jak grób.

Skarciła się za tę mimowolną myśl i póki odwaga całkiem jej nie opuściła, zdecydowała się pchnąć furtkę. Weszła do ogrodu. Na miejscu grządek wznosiły się górki i dołki, porośnięte chwastami. Trzy lata temu konstabl i jego ludzie przewrócili ziemię w całym ogródku, szukając ciała Williama. Dokładnie przeszukali także dom, ale niczego nie znaleźli.

Nachodziły ją także inne wspomnienia, rozsądnie jednak postawiła im tamę. Nie myślała absolutnie o niczym, gdy wchodziła na schodki, otwierała drzwi i wreszcie stanęła w sieni. Tu uniosła latarnię, by się przekonać, jakie zniszczenia spowodował ogień.

Ruina była całkowita. Szerniałe bale leżały na podłodze jak trumienki. Ze zgrabnych schodów zostały tylko szczątki, które pozwalały domyślić się ich biegu. Spojrzała w górę. Latarnia nie dawała dosyć światła, Sara zobaczyła jednak plamy wieczornego nieba w miejscach, gdzie spaliło się poszycie. Przed nią, dokładnie naprzeciwko wejścia, znajdował się nie tknięty przez pożar kamienny kominek z zacisznymi wnękami po obu stronach.

Wspomnienia miała tak świeże, jakby wszystko zdarzyło się wczoraj. Bawiły się z Anne w chowanego, gdy o coś się potknęła. Była ukryta w jednej z wnęk, a siostra podchodziła coraz bliżej. Teraz trudno jej było dociec, jak wpadła na dziwaczny pomysł, by wspiąć się na ścianę we wnęcie; Dosięgła jednej z ozdobnych cegieł wysoko nad głową i nagle zawisła na niej, bo jej nogi straciły oparcie. Gdy walczyła o utrzymanie równowagi, podłoga się rozstała.

Naturalnie słyszały o znanych z krwawej historii Anglii tak zwanych dziuplach, w których duchowni ukrywali się podczas prześladowań katolików. Jedna z nich znajdowała się w Longfield, nie większa od dużej szafy. Ta we wdowim domku miała rozmiary niewielkiego pokoju.

Nie powiedziały z Anne nikomu o swoim odkryciu. Przede wszystkim ojciec ukarałby je, gdyby wiedział, że bawiły się we wdowim domku, poza tym przyjemnie było mieć swój sekret; dzieci to lubią. Obie były bardzo dumne, że nikt oprócz nich nie wie o pokoiku ukrytym pod kamienną posadzką.

Dotrzymywały tej tajemnicy aż do teraz.

Sara z trudem przełknęła ślinę i spróbowała trochę uspokoić wrywające jej się z piersi serce. Sporo czasu minęło, nim uznała, że może się poruszyć. Pochyliwszy głowę, skupiła uwagę na pokonywaniu przeszkód i omijaniu gruzów, które tarasowały drogę do kominka. Była może dwa metry od celu, gdy zmartwiała.

Zobaczyła dwie potężne belki dachowe, które zrzędzeniem losu runęły akurat w tym miejscu i zablokowały dostęp do kominka. Mogła podejść tylko do jednego naroża, ale akurat nie tego, do którego należało.

Odstawiła latarnię, odłożyła pistolet i spróbowała wcisnąć się do wnęki, żeby potem podważyć jedną z belek ramieniem. Na próżno. Dziecko może zmieścićoby się w tę szparę, ale dziecko nie miałoby siły odsunąć belki.

Jeszcze nie chciała się poddać. Przez chwilę zastanawiała się, co robić, potem natarła na belkę, ciągnąc ją z całych sił ku sobie. Zaciśnęła zęby. Czuła, jak pracują jej dawno nie ćwiczone mięśnie pleców i ramion, brzucha i ud. Ciągnęła za belkę, szarpała, próbowała nią poruszyć, ale bez skutku. Belka zaklinowała się.

Wreszcie Sara uznała swoją porażkę i bezwładnie usiadła na zwalonej belce. Była bliska płaczu. Tyle musiała znieść, żeby osiągnąć tak mizerny wynik. Naprawdę można wpaść w rozpacz. Nie wiedziała, co dalej robić. Do usunięcia tych belek potrzebny był silny mężczyzna albo para wołów. Może gdyby znalazła coś, co nadałoby się na dźwignię, albo przynajmniej kawał liny, miałyby większe szanse.

Właśnie sięgała po latarnię, gdy usłyszała jakiś chrobot, zupełnie jakby pod butem zachrząścił żwir. Odgłos dobiegł ją sprzed samego wejścia do domku. Poderwała głowę i zaczęła nasłuchiwać. Gdy odgłos się powtórzył, sięgnęła po pistolet i zdmuchnęła latarnię.

Max gwałtownie się poruszył i to wyrwało go ze snu. Przeciągnął się, by ulżyć obolałym mięśniom. Dopiero po chwili zorientował się w sytuacji. Był całkowicie ubrany i zasnął w miękkim fotelu. Był to fotel Simona, podobnie jak pokój.

Jeszcze raz się przeciągnął i wstał. Świeca już skwierczała, więc zapalił nową, którą znalazł na gzymsie kominka. Była trzecia nad ranem, Simona jednak wciąż nie było. Martina także nie.

Co, u diabła, obaj chłopcy robili poza domem o tej porze?

Głupie pytanie. Gdy sam był żywiołowym osiemnastolatkiem, miał mnóstwo na sumieniu, a rodzice naturalnie o niczym nie wiedzieli.

Należało zrezygnować z czekania i położyć się spać. Tym razem nie przeprowadzi męskiej rozmowy z Simonem, mimo że sobie to obiecał. Ale wkrótce i tak musiało do niej dojść, ponieważ jemu, Maksowi Worthe'owi, skądinąd łagodnemu i bardzo opanowanemu człowiekowi, stanowczo przejadło się użeranie z kłótliwymi i źle wychowanymi młodzieńcami. Był jednak zdania, że słowa nic tu nie załatwią. Należało odwołać się do siły pięści, naturalnie po dżentelmeńsku, i wyjaśnić sobie wszystko jak koryntianin koryntianinowi.

Krótko mówiąc, Max zamierzał sprać tego impertynenckiego szczeniaka na kwaśne jabłko. Tylko w ten sposób mógł sobie zasłużyć na jego szacunek. Martin, naturalnie, naśladował we wszystkim brata. Ale przyszedł czas, żeby wyszedł z jego cienia i dowiedział się, że ma swoje sprawy i własne życie.

Max wsunął rękę do kieszeni surduta i znalazł w niej cygaro. Wyszedł na korytarz, zabierając ze sobą świecę.

Sara bezszelestnie wstała i centymetr po centymetrze zaczęła się przesuwać ku drugiemu narożu kominka. Wreszcie przylgnęła do ściany, ukryta we wnęce. Znowu łomotało jej serce, a krew pulsowała w skroniach. Musiała zacisnąć usta, żeby nie było słychać jej gorączkowego oddechu. Wolno, bardzo wolno uniosła pistolet i oparła go o lewe ramię. Była ledwie żywa ze strachu.

Sekundy nieznośnie się ciągnęły. Ze swej kryjówki widziała tylko jedną część sieni. Ponieważ schody na górę nie miały obudowy, a w dachu ziały dziury, ciemność nie była nieprzenikniona; tu i ówdzie czerń znaczyły plamy szarości. Nagle jedna z nich zaczęła się poruszać i Sara zorientowała się, że to człowiek.

Trzymał się przy ścianie i przesuwał bardzo ostrożnie, podobnie jak wcześniej ona, żeby nie potknąć się o belkę albo kawał zwalonego muru. Po chwili sylwetka znikła w mroku, Sara jednak mogła dalej śledzić ruch człowieka, słyszała bowiem kroki przesuwające się po zasypanej gruzem posadzce. Co pewien czas człowiek przystawał, jakby i on nasłuchiwał, czy nikogo innego tu nie ma.

Słyszała czyjś oddech, czuła zapach, miała wrażenie, że widzi, jak jego oczy wypatrują jej w ciemnościach. To wcale nie było złudzenie. Ten człowiek wiedział o jej obecności, a ona wyczuwała jego złe zamiary, choć ich nie znała.

To nie był włóczęga, który szukał miejsca na nocleg. W uszach dzwięczało Sarze imię Williama.

Chciała odwieść kurek pistoletu, ale bała się, że intruz usłyszysz trzask. Bezpieczniej było dalej stać nieruchomo i poczekać, aż znowu zostanie sama, choćby miała nawet trwać tak całą noc.

Przybysz minął jej kryjówkę i poszedł w głąb domku, gdzie kiedyś znajdował się salonik, a dalej kuchnia i spiżarnia. Usłyszała

trzask krzesiwa, jeden, drugi. Była przerażona. Nieproszony gość znalazł świecę albo latarnię i próbował ją zapalić.

Natychmiast zakłębiły jej się w głowie bardzo przykre myśli. Ten człowiek mógł być tu przed nią, mógł też doskonale znać wnętrze domku. Za chwilę zapali świecę i znajdzie jej kryjówkę. Być może też jest uzbrojony. Wtedy nie będzie dla niej szansy.

Musiała uciec z tego miejsca, zanim zrobi się za późno.

Mimo że paraliżował ją strach, zmusiła się do kilku ostrożnych kroków. Po omacku zmierzała ku drzwiom. Wpadła na coś i syknęła. I wtedy usłyszała tego człowieka. Już się nie chował. Wiedział, gdzie jej szukać, i szedł prosto na nią.

Odezwał się w niej instynkt samozachowawczy. Przeskoczyła nad zwalonymi belkami, dopadła frontowych schodków i zbiegła na ziemię. Nigdy w życiu nie pędziła szybciej. Kilkoma susami dopadła furtki i już była na drodze. Wiedziała, że walczy o życie.

Nagle ktoś chwycił ją z tyłu. Krzyknęła. Drugi raz nie zdążyła, bo oplotły ją silne męskie ramiona, tak że omal nic pękły jej zebra. Szarpnęła się i zaczęła na oslep kopać. Chwył nie słabł. Milczenie napastnika było dla niej prawie tak samo przerażające jak jego brutalna siła. Z jego ust nie dobyło się ani jedno słowo, ani jeden odgłos. Słyszała tylko przyspieszony oddech.

Gdy poderwał ją z ziemi, zamachnęła się głową i uderzyła go w twarz. Zaklął i rozluźnił uścisk. Gnana strachem Sara wyrwała się na wolność i uderzyła na odlew pistoletem. Aż krzyknęła, tak wielka była siła uderzenia. Napastnik z jękiem upadł, a ona skoczyła między drzewa.

Szlochając z przerażenia, przedzierała się przez splątane gałęzie dzikich róż i ostrokrzewów. Nie szukała kryjówki. Jak oszalałe zwierzę, ścigane przez drapieżnika, pędziła przed siebie.

Wydawało jej się, że minęła wieczność, nim ujrzała światło przy drzwiach Longfield, mrugające do niej spomiędzy drzew. Nie zwolniła kroku. Chociaż złapała ją kolka, a nogi się pod nią uginały, gnała tak, jakby każda następna chwila mogła być jej ostatnią.

Gdy wyłoniła się spomiędzy drzew, ujrzała tuż przed sobą wielką, mroczną postać. Zachłusnęła się powietrzem i chciała się zatrzymać, ale była w zbyt wielkim pędzie. Znow zacinęły się wokół niej męskie ramiona...

- Przestań się wyrwać, Saro!

Głos Maks! Nie uspokoił jej jednak. Przeciwnie, jeszcze dołał oliwy do ognia. Mimo to przestała się wyrwać.

- To ty! - wysapała. - To ty tam byłeś! - Zachłannie nabrała powietrza ustami. - Jak śmiałeś tak mnie przestraszyć?!

Max spojrział w dal nad jej ramieniem.

- Gdzie byłem? O czym ty mówisz? Niedawno wyszedłem z domu. I co, u diabła, robisz na drodze w środku nocy?

- Jakbyś nie wiedział. Śledziłeś mnie! Celowo chciałeś mnie nastraszyć!

- Nic podobnego. Czekałem na Martina i Simona. Jeszcze nie wrócili do domu. A na dwór wyszedłem zapalić cygaro.

Oddech powoli jej się wyrównywał. Zamrugła, spojrzała na niego i wtedy przekonała się, że Max ledwie nad sobą panuje. Był wściekły, widocznie sądził, że wyszła z domu, żeby z kimś się spotkać.

Nie miała w tej chwili siły się z nim kłócić, nawet tchu jej brakowało. Najbardziej na świecie chciała znaleźć się w czterech ścianach Longfield, gdzie wszystkie drzwi i okna byłyby zamknięte przed nieproszonymi gośćmi.

Musiała wziąć się w garść.

- Wcale nie wyszłam po to, żeby się z kimś spotkać - powiedziała zdyszonym głosem. - Ale czy możemy porozmawiać potem? - Zasłoniła ręką oczy. - W życiu tak się nie przestraszyłam. Przed chwilą ktoś na mnie napadł.

Nie mogła powstrzymać łez. Max wydawał jej się tak silny i dawał poczucie bezpieczeństwa. Wszystko w nim było krzepiące, od prawie nieuchwytnego aromatu mydła po marsową minę. Czuła też, że palił cygaro, lecz choć nie znosiła woni tytoniu, tym razem wydała jej się ona piękniejsza niż najdroższe francuskie perfumy. Nawet z zamkniętymi oczami mogła powiedzieć, że jest przy niej Max.

Nie dręczył jej pytaniami. Wprawdzie w mroku niewiele było widać, ale czuł, jak Sara drży. Otoczył ją ramieniem i zaprowadził do kuchennych drzwi.

- Gdzie to się stało? - spytał cicho.

Zadrzała. Nie wolno jej było wspomnieć o wdowim domku.

- Niedaleko domu. O, tam. - Wskazała za siebie, uważając, by nie wyznaczyć kierunku zbyt dokładnie.

- Mam wrażenie, że powinnaś wypić szklaneczkę brandy. Na

szczęście akurat mam butelkę u siebie w pokoju. Idź tam, zamknij drzwi na klucz od wewnątrz, a ja za kilka minut przyjdę.

- Dokąd idziesz? - spytała.

- Muszę się rozejrzeć.

Nagle Sara znów zaczęła się bać.

- Nie! To może być niebezpieczne.

- Umiem dbać o własną skórę.

Puścił ją, wsunął rękę do kieszeni płaszcza i wyjął pistolet. Dopiero wtedy Sara uświadomiła sobie, że jest bez broni. Nie mogła sobie jednak przypomnieć, gdzie straciła pistolet.

- Nie odejdę daleko - zapewnił ją Max. - Upewnię się tylko, czy nikt nie kręci się koło domu, zgoda?

Wcale nie miała ochoty się na to zgodzić, ale zanim zdążyła zaprotestować, wepchnął ją do kuchennej sieni, zatrzasnął za nią drzwi i zamknął je od zewnątrz.

Na stoliku przy drzwiach stało kilka zgaszonych świec. Sara zapaliła jedną z nich od żarzącej się lampy i zasłaniając dłonią płomień, ruszyła schodami dla służby na górę.

Najpierw weszła do swojej sypialni, żeby trochę się oporządzić, ale gdy zapaliła kilka świec i przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze, przeżyła chwilę zgrozy. Wyglądała jak czarownica. Ubranie miała wymazane sadzą, podobnie jak twarz, włosy splecione, a ramiona podrapane kolczastymi krzewami.

Wstrząśnięta, usiadła na krześle przed toaletką, nie mogąc oderwać wzroku od swojego odbicia. Jak to się stało? W pewnej chwili przestała cokolwiek widzieć, myśli, które spychała w najciemniejsze zakamarki umysłu, przypomniały o sobie z niezwykłą ostrością.

Gdy wreszcie trochę oprzytomniała, raptownie wstała, podeszła do szafy i wyjęła nową suknię. Potem zaczęła się rozbierać.

17

Brandy piekła ją w przełyku, ale nie było to przykre doznanie. Po dwóch, a może trzech łykach Sara poczuła się odrobinę lepiej, a po kilku następnych mogła całkiem rzeczowo opisać napad. Naturalnie ujawniła przed Maksem tylko tyle, ile uważała za stosowne. Nie wspomniała wdowiego domku, ale pokazała mu liścik napisany ręką Williama.

W tej wersji wydarzeń nie mogła zasnąć, więc postanowiła iść na przechadzkę. Snując swoją opowieść, raz czy dwa tęskno spozjrzała na drzwi. Gdyby mogła kilka godzin wypocząć, łatwiej byłoby jej odpowiedzieć na wszystkie pytania Maksa. Tymczasem nie bardzo wiedziała, ile z tego, co się stało, powinna mu zdradzić, a ile przemilczeć.

Max rozpalił ogień i wygodnie usiedli na miękkich fotelach, stojących po obu stronach kominka. Gdy na niego spojrziała, przekonała się, że jest blady i zmęczony, a pod oczami ma ciemne półkola. Zdjął halsztuk i miał wymięte ubranie.

- Czy mógł cię napaść włóczęga?
- Nie. - Zamilkła, porażona nagłym wspomnieniem.
- Dlaczego nie? - dopytywał się Max.
- Nie pachniał jak włóczęga. - Uśmiechnęła się wątle. - Wtedy nawet nie zdawałam sobie z tego sprawy, ale teraz wiem, że czułam od niego wodę kolońską.

Max patrzył w ogień.

- Sprawdźmy, czy wszystko dobrze zrozumiałem. - Jego głos brzmiał dziwnie bez troski. - Ten list - wyciągnął ku niej kartkę -

czekał na ciebie, gdy kładłaś się spać. - Podejrzewała pani, że jego autorem jest William. I mimo to wyszła pani z domu, chociaż mógł się na panią zacząć?

Nie była przygotowana na krzyżowy ogień pytań, zwłaszcza że jeszcze nie całkiem doszła do siebie po napadzie. Każdym drobnym kłamstwem zastawiała na siebie następne sidła.

- Nie wiem, co wtedy myślałam, Max- powiedziała- ale z pewnością nie podejrzewałam, że William czyha na mnie pod domem. Nie mogłam zasnąć, już ci mówiłam. Byłam zdenerwowana. Wyszłam na przechadzkę. To wszystko.

Max uzbroił się w cierpliwość. Wiedział, że Sara nie mówi mu całej prawdy, ale nie miał pojęcia, jak skłonić ją do zdradzenia czegoś więcej. Wyraźnie nadal nie darzyła go zaufaniem i ta świadomość była dla niego przykra. Ale o wiele gorsze było dręczące go poczucie bezradności. Nie ulegało wątpliwości, że Sarę naprawdę ktoś napadł. Gdyby wcześniej przyszła do niego z listem, na pewno by się to nie zdarzyło. Teraz sam nie wiedział, czy chce ją przytulić i pocieszyć, czy ze złości przetrzepać jej skórę.

Mógł jednak mieć pretensje również do siebie. Do tej pory nie wierzył, by Sarze rzeczywiście mogło grozić niebezpieczeństwo. Sądził, że listy są wytworem zajadłej złości kogoś, kto jest nie całkiem przy zdrowych zmysłach. Niczym więcej.

Upił duży łyk brandy i rzekł:

- Nie sądzę, żeby to William cię napadł.
- Być może powiedziałabym to samo wczoraj, ale teraz sama już nie wiem. Przecież ten list dowodzi, że William żyje.

- To dlaczego cię nie zabił?

Szerzej otworzyła oczy.

- Co?

- Gdyby to był William, to czy nie chciałby cię zabić? Wiele razy powtarzałaś mi, że on pragnie twojej śmierci, żeby za pośrednictwem Anne zawładnąć majątkiem Carstairsów. Dlaczego więc napadł cię nie uzbrojony? Bo napastnik był nie uzbrojony, prawda?

Wolno pokręciła głową.

- Nie wiem. Ale broniłam się ze wszystkich sił. Może chciał, żeby to wyglądało na nieszczęśliwy wypadek?

Max zastanowił się nad tym i powiedział:

- Nie możemy zlekceważyć takiej możliwości, że to był ktoś inny.

Sara skuliła się na fotelu.

- Nie - odparła. - W to nie uwierzę.
- Saro, musisz przyjmować fakty. Kto ma dostęp do twojej sypialni? Kto mógł zostawić ten list?

- William mógł - odrzekła natychmiast. - Dobrze zna dom. Mógł nie zauważyć wślizgnąć się do mojego pokoju w czasie, gdy jedliśmy kolację.

Max nie wziął pod uwagę tego wyjaśnienia.

- To mógł być Simon. Albo Martin. Pierwsi wyszli z jadalni i jeszcze nie wrócili do domu.

- Niedorzeczność. Oni by mnie nie skrzywdzili. Pewnie wymknęli się na Walki kogutów albo do szynku. Nie pierwszy raz są całą noc poza domem.

Sara przeżyła głęboki wstrząs, ale on też, był więc zdecydowany doprowadzić swoje rozumowanie do końca.

- Może też za tym kryć się Anne. Wyszła z jadalni i ma najwięcej do zyskania, w razie gdyby tobie coś się stało. Och, wiem, że nie napadłaby cię osobiście, ale mogłaby mieć współnika.

- Nie - odparła Sara. - Nie mam zamiaru tego słuchać.

- Nie zapominajmy też o naszym nieocenionym panu Primrose. - W głosie Maksa zabrzmiała wroga nuta. - Może wolałby, żebyś była martwa, niż żebyś została żoną innego mężczyzny. W przypadku Constance motywem jest naturalnie zazdrość albo coś, o czym jeszcze nie wiemy. To może być każdy, Saro. Każdy! Rozumiesz?

Odstawiła szklaneczkę i powoli wstała. Spojrzała na Maksa zboląłym wzrokiem.

- Dlaczego się nade mną znęcasz? - Głos drżał jej tak bardzo, że aż trudno ją było zrozumieć. - Nie jestem głupia. Dobrze rozumiem, że jeśli nie William podrzucił mi ten list, to pozostaje tylko ktoś z moich bliskich. Ale wiesz co? - Jej głos nagle stał się wyższy. - Nie chcę wiedzieć, kto to jest. Nie chcę, żebyś prowadził śledztwo. Nie chcę, żebyś zwał kogoś w pułapkę. Daj spokój, Max. Zostaw po prostu tę sprawę.

Źle ocenił sytuację. Przeżyła głębszy wstrząs, niż mu się zdawało. Wyciągnął przed siebie dłoń w uspokajającym geście.

- Przepraszam, Saro. Masz rację. To prawdopodobnie rzeczywiście jest William albo ktoś, o kim jeszcze nie pomyśleliśmy. Chciałem tylko cię przekonać, że nie warto nierozważnie ryzykować. To jest zbyt niebezpieczne.

- Niebezpieczne! - Chwyciła się za głowę i odezwała się z pasją: - Nie byłoby żadnego niebezpieczeństwa, gdybym cię nie posłuchała. Powinnam była posłubić pana Townsenda. Wtedy ten koszmar byłby już za mną. Wszyscy byliby zadowoleni, a my moglibyśmy dalej żyć jak prawdziwa rodzina, bez podejrzeń, zatruwających nam myśli.

Zaczęła nerwowo chodzić po pokoju. Wciąż trzymała się za głowę, jakby cierpiała na straszliwą migrenę.

- Saro - powiedział spokojnie Max - nie zostawimy tego bez wyjaśnienia. Musimy się dowiedzieć, kto cię napadł, bez względu na to, kim okaże się winowajca. Na pewno to rozumiesz.

W okamgnieniu obróciła się ku niemu. Podeszła do jego fotela z grymasem wściekłości na twarzy.

- Nie dyktuj mi, co mam robić! Co ty wiesz?- Głos jej się łamał. - Jaka będzie korzyść z tego, jeśli się dowiem, że to Simon czy ktokolwiek inny napadł mnie dziś w nocy? To nas zniszczy jako rodzinę. Wszyscy będą musieli opowiedzieć się po jednej ze stron. Uważasz, że na to pozwolę? Poza tym sam mówiłeś, że ten, kto dokonał napadu, nie chciał mnie zamordować. Może chciał mnie tylko przestraszyć? Nie osądzam go. O, Boże, jestem ostatnią osobą do wydawania sądów o innych. Mój ojciec powinien był potraktować nas wszystkich jednakowo. Źle zrobił, że zostawił mi cały majątek. Jak mogę teraz winić rodzinę za to, że zwraca się przeciwko mnie? Nigdy nie wiadomo, jak się zachowa człowiek postawiony w ostatecznej sytuacji albo poddany ciężkiej próbie. Ale jeszcze nie jest za późno. Ułożę to wszystko jak należy. Przysięgam przed Bogiem, że tak będzie.

Znowu zaczęła chodzić po pokoju.

- Jeśli podniosę sumę, to może pan Townsend jednak zgodzi się mnie posłubić. - Zdawało się, że teraz głośno rozmyśla, zupełnie nie zwracając uwagi na obecność Maksa. - Tak, właśnie tak postąpię. Złożę mu ofertę, której nie będzie mógł odrzucić.

Max poderwał się z krzesła.

- Czy powinnam do niego napisać? Nie. Lepiej będzie porozmawiać z nim osobiście, nie sądzisz? Jutro. Pojadę jutro z powrotem do Bath i wtedy... - Nagle ukryła twarz w dłoniach, ramiona zaczęły jej się trząść. - Duszę się - wycharczała.

Max dopadł jej w dwóch susach. Przyłożył jej szklaneczkę do warg i wlał do ust brandy. Zakrztusiła się, splunęła i odepchnęła

jego rękę. Spróbował ponownie. Tym razem przełknęła trochę alkoholu, a polem, drżąc, westchnęła.

- Dziękuję.

- Usiądź teraz w fotelu i wypij tę brandy do ostatniej kropli.

Uśledzała go. Po chwili podniosła głowę i zmierzyła Maksa spojrzeniem.

- Beznadziejna sytuacja, prawda? Nie mam pojęcia, co robić.

Max rozumiał, że do takiego stanu doprowadził ją nie tylko napad, lecz również podejrzenia, zbyt bolesne, by mogła się z nich komukolwiek zwierzyć. To dlatego chciała wyjść za mąż i szybko zyskać dostęp do kapitału. Nie tylko z obawy przed tym, że William żyje.

Usiadł na piętach. Ich oczy znalazły się na jednym poziomie.

- Lepiej ci?

Skinęła głową.

- Widzisz nas w najgorszej z możliwych sytuacji. Mam na myśli moją rodzinę. Póki ojciec żył, wszystko wyglądało zupełnie inaczej.

Pomyślał, że niczym nie ryzykuje, mówiąc:

- On był trudnym człowiekiem, prawda?

Znów jednak Sara go zaskoczyła.

- Nie wiem, może potrzebowaliśmy dyscypliny. Nie masz pojęcia, jak bardzo mi go brakuje.

- Kochałaś go?

- Nawet więcej, podziwiałam. Nie zawsze we wszystkim się zgadzaliśmy, ale... och, Max, co ja mam zrobić?

Odpowiedź wyrwała mu się mimo woli, zanim zdążył ją przemyśleć.

- Naturalnie wyjść za mnie za mąż.

Zdębiała. On również. Po chwili nieznacznie się uśmiechnął. Dlaczego to musi być akurat ona? - pomyślał.

Sara zamruwała.

- Co powiedziałaś?

- Powiedziałem, że mnie poślubisz.

- Ożeniłbyś się ze mną ot, tak? - Strzeliła palcami.

- Nie „ot, tak”. Dokładnie przemyślałem sprawę i uważam, że to jest najlepsze rozwiązanie dla nas obojga.

- Jesteś gotów posunąć się aż tak daleko, żeby mieć artykuł do gazety? - spytała z pogardą.

Omali nie stracił cierpliwości, ale w porę przypomniał sobie, że

Sara ma za sobą ciężkie przejścia i wciąż potrzebuje słów otuchy. Wziął od niej szklaneczkę i odstawił na stół, a potem ujął jej dłoń.

- Proszę mnie posłuchać, Saro. Nie muszę się z tobą żenić, żeby napisać artykuł. Nawet gdybyś miała poślubić Townsenda, nadal byłbym blisko ciebie. A gdzie byłby Townsend? Wziąłby swoje pieniądze i znikł. Ktoś musi się tobą opiekować. Myślisz, że po uzyskaniu dostępu do kapitału ojca niebezpieczeństwo minie. Ale czy na pewno? Osobiście nie jestem przekonany, czy to wszystko ma związek z pieniędzmi. A jeżeli mam rację, to nawet gdybyś się ukryła i czekała na dwudzieste piąte urodziny, nie miałyby to znaczenia. Ktoś chce cię skrzywdzić. Znalazł cię poprzednio i teraz też by znalazł.

- Myślisz, że tego nie wiem? - spytała żałośnie.

Max popatrzył na jej pokaleczone ramiona.

- Gdybyś mnie poślubiła - zniżył głos - oboje mielibyśmy to, czego chcemy. Jeśli masz rację, niebezpieczeństwo ustanie, bo pieniądze po ojcu staną się twoją wyłączną własnością. Natomiast jeśli ja mam rację, to twój prześladowca najpierw będzie musiał mieć do czynienia ze mną.

Spojrzała mu w oczy.

- Posunąłbyś się tak daleko tylko po to, żeby mnie chronić? Ale dlaczego?

Podał jej powody, o których wiedział, że nie wzbudzą jej sprzeciwu.

- Bo czuję się odpowiedzialny. Bo moja gazeta podburzyła ludzi przeciwko tobie. Bo myliłem się co do ciebie i chcę naprawić swój błąd.

- Nie wiem, Max. Po prostu nic wiem.

Zdawało mu się, że jego los znalazł się na szali. Argumentował dalej:

- Również dlatego, że jeśli poślubisz kogoś innego, będę musiał go zabić. - Przesłał jej szelmowski uśmiech. - Spróbuj mi powiedzieć, że się mylę co do nas. Powiedz, że nie pragniesz mnie tak bardzo jak ja pragnę ciebie. Wtedy może, ale tylko może, pozwolę ci iść własną drogą.

Wziął ją za ramiona i pomógł jej wstać. Widział, że jego krótka przemowa wywarła na niej wrażenie. Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami, w których odbijało się niedowierzanie.

Nigdy nie myślał o sobie jak o człowieku pozbawionym skrupułów, ale dobrze wiedział, że wykorzystuje sytuację. Sara wciąż

była wstrząśnięta po napadzie. Sama przyznała, że nie wie, co robić. Max wytłumaczył sobie jednak, że prędzej czy później i tak przysłaby do niego z własnej woli. Niestety, wydarzenia potoczyły się zbyt szybko. Nie mógł dać jej więcej czasu.

Objął ją.

- Powiedz, że mnie poślubisz, Saro.

W oczach zalśniły jej łzy.

- To nie byłoby uczciwe wobec ciebie, Max.

- To ja będę oceniał, co jest uczciwe.

Musnął wargami jej usta.

- Max - szepnęła, na wpół ze zgrozą, na wpół błagalnie.

Przestała myśleć o czymkolwiek, gdy połączyli się w namiętym pocałunku. Tuliła się do niego, opierając głowę na zgięciu męskiego ramienia.

Max przyciągnął ją jeszcze bliżej, dłońmi wędrował po całym jej ciele. Czuła jego podniecenie i odruchowo na nie odpowiadała. Przemknęło jej jeszcze przez myśl, że to nie jest rozsądne. Ale nic jej to nie obchodziło. Żyła. Co więcej, nigdy nie czuła się bardziej ożywiona. A kto wie, co się miało zdarzyć nazajutrz.

Gdy zaczęła się wrywać, Max ją puścił, okazało się jednak, że chciała tylko uwolnić ramiona, żeby objąć go za szyję. Potem zaprosiła go do następnego pocałunku.

A więc kapitulacja. Sara mu się oddawała. Łoże było zaledwie o krok. Jego ciało domagało się od niego, by zrobił ten krok, a wtórował mu rozsądek. Gdyby teraz wziął Sarę, nie mogliby już nic zmienić. Z drugiej strony...

Max zaczął ze sobą dyskutować i to był fatalny błąd. Głos sumienia zwyciężył. Nigdy nie wykorzystał żadnej kobiety i z pewnością nie zamierzał tego zrobić z tą jedną, jedyną, z którą chciał się ożenić.

Niechętnie się cofnął.

-. Czy to znaczy, że mnie poślubisz?

Na chwilę zapadło milczenie, Sara bowiem nie od razu zrozumiała, o co Max ją spytał.

- Tak - szepnęła jednak po chwili. - Tak. - I znowu zaczęła szukać jego ust.

Pocałował ją delikatnie.

- Jesteś tego pewna?

- Tak.

Tylko to chciał usłyszeć.

Krzyknęła, gdy nagle się pochylił, poderwał ją z ziemi i wziął na rękę.

- Co...?

- Zaniosę cię do twojego pokoju. Nie, proszę bez sprzeciwów. Masz za sobą ciężkie przeżycia. Obiecałem cię chronić i wywiążę się z tej obietnicy, nawet gdyby to oznaczało ochronę przede mną. Musisz się dobrze wyspać, bo to jest tu teraz najbardziej potrzebne.

Przez chwilę czuła się straszliwie upokorzona, dostrzegła jednak wesołe ogniki w jego oczach, zadowoliła się więc przytuleniem głowy do jego torsu. Max miał rację. Była śmiertelnie zmęczona, stanowczo za bardzo, żeby myśleć w uporządkowany sposób. Wiedziała tylko, że on z nią jest i że jeszcze przez pewien, niedługi czas nie będzie się musiała o nic martwić.

Zaniósł ją do sypialni, ostrożnie opuszczył na łożo i groźnym tonem zapowiedział, że daje jej pięć minut, a najwyżej dziesięć na przebranie się do snu. Poczekał, aż Sara zamknie drzwi, potem poszedł na górę do pokoiów służby i zbudził jednego z lokajów. Musiał wiele przemyśleć i wiele zrobić, potrzebował też kogoś zaufanego, żeby czuwał nad Sarą. Wydał polecenia lokajowi i wrócił do jej sypialni.

Zasypiała już, gdy przypomniało jej się, jak ją napadnięto.

- Max? - Uniosła się na łokciach i z przerażoną miną rozejrzała się po pokoju.

Max siedział na krześle przy kominku i czytał książkę. Słyszając jej wołanie, szybko wstał i podszedł do łoża.

- Co się stało, Saro?

Pokręciła głową.

- Nic. Tylko... Max. - Znowu skuliła się w pościeli i zamknęła oczy.

Gdy zaczęła oddychać równo i powoli, odgarnął jej włosy z twarzy i wtedy odkrył długą krwawą pręgę, która ciągnęła się od ucha aż do podstawy szyi. Delikatnie przesunął po niej opuszkami palców i poczuł, jak wybucha w nim gniew. Nie był taki wyrozumiały jak Sara, nawet w połowie. Postanowił, że gdy znajdzie tego człowieka, który na nią napadł, weźmie na nim srogi odwet.

Wciąż jeszcze wpatrywał się w krwawą pręgę, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Poszedł je otworzyć.

Sara siedziała w łóżku, trzymając filiżankę w dłoni, i piła gorącą czekoladę, którą niedawno przyniosła jej służąca. Choć Marta powitała ją radosną nowiną, że na dworze jest piękny letni dzień, Sarze było zimno i miała dreszcze. Spała prawie do południa, mimo to nie mogła się zmobilizować i wstać. Najchętniej przykryłaby się po czubek głowy i zapomniała, że istnieje cokolwiek poza jej pokojem, w którym czuła się bezpieczna.

Nikt postronny nic domyśliłby się, że poprzedniego wieczoru ją napadnięto. Widocznymi pamiątkami po tym zdarzeniu były tylko długa czerwona pręga na szyi i zadrapania na ramionach. W razie potrzeby zawsze mogła jednak powiedzieć, że bawiła się z kotem w stajni. Miała też poobcierane kolana, ale to było niewidoczne.

Wolała, żeby nikt nie dowiedział się o napadzie, bo nie chciała odpowiadać na trudne pytania. Przede wszystkim jednak nie chciała budzić takich podejrzeń, z jakimi od pewnego czasu sama się borykała.

Choć próbowała, nie mogła wyrzucić z pamięci tych strasznych chwil. Raz po raz czuła na szyi silne męskie ramiona, obezwładniające ją i unieruchamiające jej ręce. Przypominał jej się lęk, jaki poczuła, gdy ramiona zacisnęły się mocniej i odcięły jej dopływ powietrza. I mieszany zapach wody kolońskiej i potu... a może tylko woń pnących róż i kapryfolium.

Szczegóły powoli się zacierały, wiedziała jednak, że nigdy nie zapomni, jaka była przerażona.

Znowu zaczęła drzeć.

Tyle miała do przemyślenia, tak wiele kłopotów, z którymi musiała sobie poradzić. Nie bardzo wiedziała jednak, w którą stronę się zwrócić, od czego zacząć. Nie znosiła takiej bezradności. Wprawdzie Max zaproponował jej drogę wyjścia, ale wahała się, czy z niej skorzystać. Nie miała pojęcia, jak postąpić, żeby było najlepiej.

Zatrzymała wzrok na krześle, na którym poprzedniego wieczoru siedział Max. Gdyby go tam nie było, nie miałaby odwagi zamknąć oczu.

A przedtem obiecała mu, że go posłubi.

Dotknęła warg, przypomniało jej się bowiem, jak Max ją całował. Gdy poczuła, że budzi się w niej namiętność, szybko odrzuciła kołdrę na bok i wstała z łóża.

Na dole lokaj powiedział jej, że w pokoju dziennym czeka na nią dżentelmen nazwiskiem Fallon. Nic poza tym o nim nie wiedział, dodał tylko, że pan Fallon przyszedł już dość dawno.

Młody człowiek, który wstał na jej powitanie, był średniego wzrostu i miał miłą, szczerą twarz. Włosy rzedły mu na skroniach. Miał na sobie schludny strój: ciemnogrnatowy surdut i beżowe spodnie za kolana. Przy butach nie było kutasików.

- W czym mogę pomóc, panie Fallon? - spytała i wskazała mu krzesło. Sama usiadła na kanapie.

Od razu przeszedł do rzeczy.

- Przed wyjazdem do Winchester lord Maxwell prosił mnie, żebym przekazał pani ten list. Znajdzie w nim pani odpowiedzi na wszystkie swoje pytania.

Wzięła od niego list, choć nawet nie zdawała sobie z tego sprawy. Popadła w odrętwienie. Natychmiast pomyślała, że Max się rozmyślił i postanowił jednak wycofać propozycję małżeństwa, tylko nie wie, jak jej o tym powiedzieć. Ale szybko odrzuciła tę myśl. Kim jak kim, ale tchórzem Maksa nie można było nazwać.

Pan Fallon mówił dalej:

- Lord Maxwell nie chciał pani budzić, bo wyjeżdżał o bardzo wczesnej porze. Właśnie dlatego do pani napisał.

Zdezorientowana, otworzyła list i przystąpiła do czytania. Max polecał jej Petera Fallona, swojego przyjaciela i współpracownika.

Peter miał się nią zaopiekować do czasu powrotu Maksa z Winchester, którego, gdyby wszystko ułożyło się pomyślnie, należało oczekiwać jeszcze tego samego wieczoru. Max zamierzał załatwić u biskupa specjalne pozwolenie, by zaraz po swoim powrocie poślubić Sarę w kaplicy w Longfield. Z oczywistych powodów nie dopuszczał nawet myśli o zwłoce. Co do niej, miała tylko trzymać się blisko Petera i dopilnować, żeby ksiądz był na miejscu.

A więc rzeczywiście nie było już odwrotu. Boże, co ona najlepszego zrobiła?

- Czy dobrze się pani czuje, panno Carstairs?

Podniosła głowę i stwierdziła, że Peter Fallon uważnie się jej przygląda.

- Nie wygląda pan na strażnika - powiedziała.

Spojrzał na nią beznamytnie.

- Siła fizyczna nie jest w tym przypadku konieczna. Po prostu nie może pani zostawać sama. Tak powiedział mi lord Maxwell. Gdziekolwiek pani pójdzie, będę pani towarzyszył.

- Jak pan zamierza urzeczywistnić ten zamiar? Nie będę tłumaczyć rodzinie, że jest pan moim prywatnym strażnikiem. To by ich tylko zaniepokoiło. Musiałabym im powiedzieć... - Zawahała się, nie wiedziała bowiem, ile Max wyjawiał temu człowiekowi.

Peter dokończył zdanie za nią:

- Musiałaby pani im powiedzieć o wczorajszym napadzie? Rozumiem. Będę bardzo dyskretny, może pani na mnie liczyć.

Patrzyła na niego przez bardzo długą chwilę, wreszcie spytała:

- Kim pan jest, panie Fallon?

- Pracuję dla lorda Maxwella - odrzekł bez wahania. - Jeśli chce pani dowiedzieć się więcej, musi pani spytać właśnie jego. Dla naszych celów możemy ustalić, że lord Maxwell zlecił mi napisanie czegoś o architekturze Longfield. To uzasadni moją obecność w tym miejscu. Ale tak naprawdę będę kręcił się w pobliżu i miał na panią oko. Gdyby zamierzała pani wyjść z domu, chciałbym o tym wiedzieć.

- Doprawdy, tym razem Max przesadził! - Raptownie wstała.

Peter również podniósł się z krzesła.

- To normalne, ale on jest w tym dobry. Proszę wykazać rozsądek, panno Carstairs. Pani nawet nie będzie zauważać mojej obecności. A po powrocie lorda Maxwella może mu pani wygarnąć.

Chciała dalej się złościć, ale jego na wpół smutnemu, na wpół

szelmowskiemu uśmiezkowi Petera Fallona trudno się było oprzeć. Trochę zmiękła i nawet kąci jej ust nieznacznie się uniosły.

- Z tego, co pan mówi, można wywnioskować, że i pan jest ofiarą metod lorda Maxwella - powiedziała.

- Często bywam - przyznał i ostentacyjnie zadrzał, jakby był na scenie.

Roześmiała się.

-* Proszę tu poczekać. Najpierw chcę ostrzec... to znaczy chcę powiadomić rodzinę, że bierzemy z Maksem ślub, a potem wrócę tu i wszystkim pana przedstawię.

Peter Fallon pozostał w pozycji stojącej, póki Sara nie opuściła pokoju. Potem usiadł i nalał sobie filiżankę kawy ze srebrnego dzbanka, który właśnie przyniosła służąca. Zdążył już zjeść talerzyk bułeczek porzeczkowych z masłem i zastanawiał się, czy nie poprosić o dokładkę. To jedno trzeba było zapisać Maksowi na plus. Zawsze dbał o wygodę człowieka, zwłaszcza jeśli przyjaciel - a może pracownik? - wyświadczał mu przysługę. Tu wystarczyło tylko pociągnąć za sznur dzwonka, a już przybiegał służący i przynosił wszystko, czego można sobie zażyczyć.

Od tego trzeba zacząć, pomyślał Peter. Od służby. Jeśli wczoraj wieczorem ktoś z nich podrzucił list pannie Carstairs, to nie da się tego ukryć. Naturalnie Peter nie zamierzał stawiać służbie pytań wprost, wolał dążyć do celu okrężną drogą. Miał inne metody niż Max i skromnie uważał, że są one znacznie bardziej skuteczne. Służba zawsze wie więcej, niż państwo mogliby sądzić. Peter liczył więc na zdobycie nieocenionych informacji.

Machinalnie dopił kawę, marszcząc czoło w zadumie. A więc taka była Sara Carstairs. Naturalnie widział ją dawno temu, podczas procesu, ale niezbyt wyraźnie, nie całą twarz. Poza tym wtedy miała kapelusz, nie czepek. Lecz po spotkaniu przed chwilą już się nie dziwił, że Max uległ jej czarowi. Sara Carstairs wcale jednak nie olśniewała urodą chociaż była całkiem ładna z tymi ciemnymi lśniącościami włosów, zaczesanymi do tyłu, i wyrazistymi szarymi oczami. Najbardziej fascynujące wydawało się w niej niezwykle połączenie dumy i bezbronności. Czy była morderczynią? Max musiał chyba zmienić zdanie na ten temat, a może przestało mieć to dla niego znaczenie.

Peter ziewnął raz i drugi. Nawet się nie dziwił swemu zmęczeniu. Pół nocy był na nogach. Wieczorem smacznie spał w łóżku

zajazdu Pod Kotem i Skrzypcami, ale o jakiejś nieludzkiej porze wyrwał go ze snu lokaj z Longfield, zmusił do wstania i zawiózł do swojego majątku na rozmowę z Maksem. Peter słyszał wcześniej plotki, że panna Carstairs zaręczyła się z jakimś łowcą posagów, więc bardzo był ciekaw, co słyhać u jego chlebobdawcy.

Teraz już wiedział i musiał przyznać, że w pierwszej chwili omal nie zemdlął z wrażenia.

Przed wyjazdem do Winchester Max był bardzo konkretny. Nie snuł długich opowieści jak zwykle, tylko zwięźle streścił mu fakty i wydał polecenia. Przede wszystkim panna Carstairs miała doczekać cała i zdrowa jego powrotu. Max nie życzył sobie, by dokądkolwiek chodziła sama. Poza tym Peter miał w miarę możliwości znaleźć odpowiedzi na ważne pytania. Max chciał wiedzieć, kto podrzucił liścik do sypialni panny Carstairs, kto znał charakter pisma Williama i umiałby go podrobić i gdzie byli wszyscy domownicy wieczorem, gdy doszło do napadu. Narzucająca się odpowiedź, że wszystko wymyśliła panna Carstairs i nie było żadnego napadu, widocznie nie przyszła Maksowi do głowy, a może nie chciał się nad nią zastanowić.

Peter dumał nad tym wszystkim, gdy panna Carstairs wróciła do pokoju. Na jej policzkach pojawiły się rumieńce, a w oczach miała bojowe błyski.

- Proszę tędy, panie Fallon - powiedziała. - Przedstawię pana domownikom.

Nigdy nie było bardziej żałosnego ślubu niż ten. Równie dobrze mógłby to być pogrzeb, choć nastrój obecnych zatruwała nie tyle żałoba, co zawiedzione nadzieje. W każdym razie Max nie miał głowy do czarowania bliskich Sary. W ciągu jednego dnia pokonał drogę do Winchester i z powrotem, był więc zmęczony i podenerwowany.

Co, u licha, wstrzymywało Sarę i Simona? Max obawiał się, że zaśnie, jeśli ta nieznośna cisza potrwa jeszcze trochę dłużej.

Rozejrzał się po kaplicy. Była ona urządzona w jednej z okragłych wież i mogła pomieścić najwyżej dwadzieścia osób. Tym razem było ich jednak tylko sześć, wliczając w to księdza. Martin czytał książkę, Constance gapiła się bezmyślnie w punkt przed sobą, Anne była pogrążona w modlitwie, a Lucy głąaskała kociaka.

Jedno tylko wpływało korzystnie na zły humor Maksa. Ani Simon, ani Martin nie mieli na ciele żadnych zadrapań. Nie wydawało się więc prawdopodobne, by któryś z nich napadł Sarę poprzedniego wieczoru. Ze względu na nią Max wolałby się co do tego nie mylić.

Właśnie, gdzie ona się, u diabła, podziała?

Byłoby niedobrze, gdyby w ostatniej chwili zmieniła zdanie. Przecież nie dał jej wyboru. Wprawdzie postanowił zachować się po rycersku, ale gdyby to zawiodło, był gotów uciec się do bardziej prymitywnych metod. Wywiozłby ją do swojego domku myśliwskiego w Kornwalii i trzymał tam, aż zmadrzeje. Nawet ślepy człowiek zauważyłby, że coś ich łączy. Jak kobieta może być taka tępa?

Pięć minut, pomyślał. Daję jej jeszcze pięć minut, a jak nie, to po nią pójde.

Książd znowu zaczął stroić miny. Max wstał z ławki i podszedł do niego.

- Co znowu? - spytał zniecierpliwiony.

- To jest sprzeczne z zasadami - odrzekł duchowny półgłosem. - Ślub powinien się odbyć w kościele, a nie w prywatnym domu. I przed południem, zgodnie z prawem.

- Biskup na wszystko udzielił zezwolenia, prawda? Może książd chce z nim o tym porozmawiać?

Typ argumentem zamknął usta proboszczowi.

Nareszcie, pomyślał. Przecież po rozmowie z biskupem był zabezpieczony pod każdym względem. Naturalnie skorzystał na tym, że biskup Hyde w latach szkolnych przyjaźnił się z jego ojcem. Max wyjaśnił mu, że obawia się napadu na pannę młodą i dlatego nie chce, żeby ślub odbył się w Stoneleigh, zwłaszcza że w Longfield jest kaplica. Podkreślił też konieczność pośpiechu. Biskup spojrzał na niego dziwnie smutno, ale podpisał wszystkie niezbędne dokumenty.

Dopiero gdy Max wracał do Longfield, uświadomił sobie, że prawdopodobnie niechcący zasugerował biskupowi, jakoby oblubienica w każdej chwili mogła urodzić dziecko z nieprawego łoża. Stąd to smutne spojrzenie.

Nie mógł pojąć, dlaczego to nieporozumienie go rozbawiło, bo gdyby nowina dotarła do jego rodziców, nasłuchałby się od nich niejednego.

Nagle odwrócił się, usłyszał bowiem skrzypnięcie drzwi. Do środka weszła Sara, wsparta na ramieniu Simona. Kaplica była ciasna, jednonawowa. Kilka kroków wystarczyło, by oblubienica stanęła u boku Maksa. Odnotował z niejakim zadowoleniem, że zadała sobie dużo trudu, by ładnie wyglądać. Włosy miała zakręcone i związane białą wstążką. Włożyła suknię z atłasu w kolorze kości słoniowej, a na nią dopasowany kolorystycznie spencerek, zapięty pod szyję na guziczki. W ręce trzymała bukiet białych kwiatów.

Natychmiast zapomniał o zmęczeniu i irytacji. Ujął ją za rękę. Palce jej drżały. Wyglądała tak, jakby byle co mogło ją sprowokować do ucieczki. Musiał pochylić głowę, by zrozumieć jej szept:

- Nie podpisał pan intercyzy.

Nie takie słowa spodziewał się usłyszeć. Już miał jej odpalić, że mógłby bez trudu kupić dziesięć takich majątków jak Longfield. No, może nie dziesięć, tylko dwa. Powstrzymał go jednak zwykły kaprys. Chciał, żeby Sara wierzyła mu bez zastrzeżeń. Żeby pokładała w nim tyle samo zaufania ile w swej żalostnej rodzinie. Chciał...

Uściśnęła mu dłoń.

- Słucham? - spytał dość opryskliwie.

- Max, jeszcze ma pan czas się rozmyślić.

Spojrzał jej w oczy. Były zatroskane, niepewne, bezradne. Ech. Postanowił zając jej myśli czym innym.

- Nie ma mowy - odparł. - Na pewno postarasz się, kochanie, żebym nie żałował swojej decyzji.

Proboszcz odkaslnął i zaczęło się nabożeństwo.

Constance pomogła jej przebrać się do łoża. Sara nie chciała korzystać z pomocy, ale nie śmiała odmówić, skoro wzięła ślub w sukni macochy. Zresztą nadejście Maksa było mało prawdopodobne. Jeszcze przy stole smacznie zasnął i trzeba było zanieść go do pokoju.

Nie miała o to do niego pretensji. Przez całą kolację jej rodzina siedziała ponura i milcząca, chociaż gdy Maksa zabrakło przy stole, wszyscy bardzo się ożywili. Dopiero Anne ich uciszyła.

- Czy wy jesteście ślepi?! - krzyknęła. - Nie widzicie, że Sara z Maksymem się kochają? Jego nie obchodzi jej majątek. To jest małżeństwo z miłości.

Wszyscy z Sarą włącznie osłupieli.

Sara odsunęła od siebie to wspomnienie, włożyła szlafrok i zwróciła się do Constance:

- Dziękuję, że pożyczyłaś mi suknię. Nawet gdybym uszyła sobie kreację specjalnie na tę okazję, nie byłaby piękniejsza.

- Uszyłam ją sobie z myślą o twoim ślubie. - Constance westchnęła i pokręciła głową. - Ale nigdy nie sądziłam, że ten ślub będzie tak wyglądał. Nie wiem, co powiedziała by twój ojciec, gdyby tu był. Niby zawsze byłaś tak rozsądna i opanowana, ale zdaje się, że wcale nie jesteś lepsza niż każda inna niemądra pannica. Pozwoliłaś się oczarować miłą twarzą i muskularnymi ramionami.

Sara dotknęła palcami jej czoła i wygładziła zmarszczki zatroskania.

- Maks jest nie tylko przystojny.

- Naprawdę? Skąd wiesz? Kim są jego rodzice? Skąd ma pieniądze? Czy w ogóle ma jakieś pieniądze? Osobiście szczerze w to wątpię. Nie, nie, moja miła. On specjalnie skłonił cię do małżeństwa najszybciej, jak mógł, zanim udało nam się czegokolwiek o nim dowiedzieć. Jest zwykłym łowcą posagów. Zrujnuje nas wszystkich. - Lśniące zielone oczy nagle złagodniały i Constance odezwała się bardziej przymilnym tonem: - Jeszcze nie jest za późno. Możesz uzyskać unieważnienie tego małżeństwa. Nie wpuszczaj go do sypialni dzień lub dwa, poczekaj na powrót Drew, to razem wymyślicie, co dalej.

- Nie chcę niczego wymyślać z Drew. Umiem sama decydować za siebie.

Constance otworzyła usta, ale Sara uciszyła ją wymownym gestem. Nie chciała z nikim się kłócić w wieczór swojego ślubu, ale dość miała wyrzekania na Maksa.

- Od tej pory będziesz mówiła o moim mężu z należnym szacunkiem, to samo odnosi się również do Simona i Martina - zażądała stanowczo. - A jeśli nie potraficie, to proponuję, żebyście od razu wyjechali z Longfield. Wiem, co mówię, Constance. Nigdy w życiu nie traktowałam swoich słów bardziej poważnie.

Jej macocha głośno zaczerpnęła tchu, bezmiernie zdumiona. Spojrzała krzywo na Sarę.

- Twój kłopot polega na tym, że nie znasz swoich przyjaciół. Nigdy nie przypuszczałabym, że usłyszę od ciebie takie słowa.

- Nie usłyszałaabyś, gdybyś pamiętała o zasadach dobrego wychowania.

Z suknią przewieszoną przez ramię Constance podeszła do drzwi. Ale jeszcze nie powiedziała wszystkiego, co zamierzała. Na progu odwróciła się do pasierbicy i dodała:

- Bardzo niesprawiedliwie oceniłaś swoich braci. Jak sądzisz, dlaczego wyrzucono ich z Oksfordu?

- Bo wdali się w bójkę z powodu jakiejś ladacznicy.

- Wcale nie. Bo wdali się w bójkę z twojego powodu. Bronili dobrego imienia przyrodniej siostry. Zresztą nie pierwszy raz. Tylko nie zdradź im, że ci to wyjawiałam. Byliby na mnie bardzo źli.

- Co? Constance...

Z triumfalnym uśmiechem wdowa odpłynęła w dal.

Sara poczuła się bardzo nieswojo. Przypomniała sobie, jak ostro skarciła braci, gdy powiedzieli jej, że zawieszono ich do końca semestru. Simon oświadczył, że w grę wchodził honor damy, i nie pozwolił Martinowi wyjaśnić nic więcej.

Zrobiła parę kroków, bijąc się z myślami. Przy oknie przystanąła i wyjrzała na dwór. W dawnym domku ogrodnika tym razem nie paliło się światło. Drew był prawie członkiem rodziny i Sara bardzo chciała widzieć go na swoim ślubie, ale Simon powiedział jej, że adwokat załatwia sprawy w Winchester.

Gdyby była tu Bea, na pewno miałaby jakąś mądrą radę. Ale gospodyni nie przyjechała do Longfield, bo wiedziała, jak bardzo podopieczna ufa jej sądom, a nie chciała stawać pomiędzy mężem i żoną.

Boże, co ja najlepszego zrobiłam? - jęknęła w duchu Sara.

Usiadła na krawędzi łóżka i długo jeszcze myślała, myślała, myślała.

19

Akurat miała zdmuchnąć świece, stojące na kominku, gdy do pokoju wszedł Max.

- Co ty tu robisz? - spytała zaskoczona.

Zdjął już surdut i został tylko w białej koszuli i spodniach.

- A gdzie miałbym być w noc poślubną? - odpowiedział pytaniem na pytanie. Wydawał się rozbawiony i wypoczęty. - Przepraszam, że zasnąłem przy weselnym stole. Jazda do Winchester zrobiła swoje, ale na szczęście już odzyskałem siły.

Udało jej się uśmiechnąć, choć nie było to łatwe.

- Rozumiem. - Splotła dłonie, żeby ukryć ich drżenie. - Max, jeśli chodzi o ostatnią noc...

- Co takiego?

- Chyba wyrobiłam w tobie niewłaściwe przekonanie.

- Jakie przekonanie, Saro?

Nie mogła znieść jego badawczego spojrzenia, więc odwróciła się i zaczęła skubać bukiet białych róż, który ułożyła dla niej Anne. Kwiaty stały teraz w wazoniku na komodzie. Gdy zerwała jeden pączek, po pokoju rozlał się dyskretny słodkawy aromat.

- Nie chcę, żeby to małżeństwo było prawdziwe - powiedziała. Gdy odwróciła się plecami do komody, ujrzała tuż przed sobą Maksę. Serce biło jej tak mocno, że nie była pewna, czy on tego nie słyszy. - Nie chcę, żeby to małżeństwo było prawdziwe - powtórzyła, tym razem patrząc mu prosto w twarz.

Usłyszał to wyraźnie, ale widział, że jej oczy mówią co innego. Powinien był już się do tego przyzwyczaić. Ilekroć próbował się

do niej zbliżyć, paliła za sobą mosty. Nie wiedziała, jak z wdziękiem się poddać.

Spodziewała się obrażonej miny, złości, ale Max po prostu uśmiechnął się do niej i powiedział:

- Musisz być bardziej przekonująca, Saro, bo inaczej zarzucę ci kłamstwo i tchórzostwo.

- Kłopot w tym, Max, że przyzwyczyłeś się do kobiet, które mdlejąc, padają ci w ramiona.

- Masz mocno przesadzone wyobrażenie o moich podbojach .- odparł. - Przyznaję, że bywałem przelotnie zainteresowany różnymi damami, ale nigdy żadnej nie zaproponowałem małżeństwa.

Nagle ogarnął ją wstyd.

- Och, Max, przepraszam. Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. Po prostu... - Bezradnie wrzuciła ramionami.

- Sądzisz, że jestem łowcą posagów?

- Skądże. I przepraszam za moją rodzinę. Są dla ciebie bardzo niemili.

- Uważasz, że chcę opublikować wielki artykuł w swojej gazecie?

- Nie zrobisz tego, jeśli mi to obiecasz.

- Czy mógłbym tego chcieć teraz, gdy jesteś moją żoną? A jeśli nie, to co się stało, Saro? Powiedz mi.

Stał tak blisko niej, że czuła ciepło ciała i zapach mydła. Jej zmysły nagle ożyły. Chciała odejść, przekonała się jednak, że nie może, bo ograniczają jej ruchy ramiona Maks.

Głośno nabrała tchu.

- Max, wiesz, kim jestem. Jestem Sarą Carstairs. Uniewinniono mnie od zarzutu morderstwa, ale dla większości ludzi to nic nie znaczy. Nadal uważają, że jestem winna, czego zresztą nie da się wykluczyć. Jak możesz wiedzieć z całą pewnością, że nie zabiłam Williama?

- Ach, więc o to chodzi. - Przez twarz przemknął mu uśmiech. - Wiem, że jesteś niewinna, ponieważ cię znam, a ci ludzie nie.

Te słowa były bardzo miłe, lecz obudziły w niej wyrzuty sumienia. Musiała przełknąć ślinę, żeby się odezwać.

- Nigdy nie zamierzałam naprawdę wyjść za mąż. Jak mogłabym żyć z takim piętnem, ze wstydem, gdybyśmy zechcieli mieć dzieci?

Pragnął ją objąć i pocałunkami uśmierzyć jej lęki. Zwalczył jednak tę pokusę, jeszcze bardziej pragnął bowiem, by Sara

przyjęła go sama, z własnej woli, bez żadnych sztuczek z jego strony.

- Simon i Martin chyba już pogodzili się z losem - powiedział. - Nie słyszałem, żeby narzekali.

- Nie narzekają, ale nie jest im łatwo się z tym pogodzić. - Spuściła oczy. - Constance powiedziała mi, że Simona i Martina zawieszono na uniwersytecie dlatego, że wdali się w bójkę, broniąc mojego dobrego imienia. - Znowu podniosła głowę. - Wiesz, co cię czeka?

Obdarzył ją jednym z tych uśmiechów, które najpierw wykwiwały mu na wargach, potem marszczyły policzki, aż wreszcie docierały do oczu.

- Przypomnij mi, żebym jutro przy śniadaniu uściśnął im dłonie.

- Max, ja mówię poważnie -- rozłościła się.

- Wiem o tym. I przy okazji chciałem spytać, kiedy Constance ci to powiedziała.

- Niedawno, kiedy pomagała mi się rozebrać.

Wszystko stało się jasne.

- I wtedy nagle odezwało się twoje sumienie?

- Uświadomiłam sobie, jaka jestem samolubna, jeśli o to ci chodzi. Wcale nie pomyślałam o tym, co byłoby najlepsze dla ciebie. Ale jeszcze nie jest za późno. Na pewno możemy uzyskać unieważnienie tego małżeństwa albo coś podobnego.

Znowu to samo. Jej oczy zadawały kłam słowom. Sara chciała być szlachetna, ale zupełnie jej to nie wychodziło. Nie zostawiły jej teraz za żadne skarby.

- Ja wiem, co jest dla mnie najlepsze - powiedział łagodnie, choć bez uśmiechu. - Ale chciałbym wiedzieć, co jest najlepsze dla ciebie.

- Nie rozumiem...

- Czego chcesz, Saro? Tak naprawdę.

Tak naprawdę chciała, żeby dalej stał tu i patrzył na nią tymi żywymi niebieskimi oczami, które umiały swym spojrzeniem przewyciężyć każdą jej wątpliwość. W świetle świec jego włosy wydawały się odlane z czystego złota. Pomyślała, że nigdy w życiu nie znała tak pięknego mężczyzny.

Stał z opuszczonymi ramionami i nie próbował jej dotknąć. Nie musiał. Przecież nie ukrywał swoich uczuć. Pragnął jej.

- Nie chcę cię skrzywdzić, Max - szepnęła ochryple.

- Nie, ale to zrobisz. I ja też będę cię krzywdził. Tego nie da

się unikać, Saro, bo jesteśmy tylko ludźmi. Ale ja chcę spróbować. A ty?

Wyciągnął rękę, ale jej nie dotknął. Zrozumiała, że postawił ją przed wyborem. Nikt oprócz niej nie mógł go dokonać. Wprawdzie przecząco pokręciła głową, ale nie była w stanie sprzeciwić się głosowi serca, a ono mówiło co innego.

Powoli zamknął dłoń na jej ręce i pociągnął ją ku sobie.

- Już nie ma odwrotu - szepnął zduszonym głosem. - Ani dziś, ani nigdy. Rozumiesz?

Powiedział coś jeszcze, czego nie zrozumiała, zaraz potem wspięła się na palce i z cichym westchnieniem zarzuciła mu ręce na szyję. Max poczuł nagły skurcz serca i złączył się z nią w pocałunku. Sara omal nie rozpląkała się z zachwytu.

Gdy przerwali pocałunek, oboje drżeli. Max jeszcze nigdy czegoś takiego nie doświadczył. Pragnął jej z całych sił. Od dawna wspominał noc, gdy się spotkali, a jego rozbudzona wyobraźnia za każdym razem dodawała inne zakończenie.

Wciągnął w nozdrza jej zapach i pożądanie ogarnęło go z jeszcze większą siłą. Czule głaskał ją po ramionach i upajał się miękkością włosów. Nieraz marzył o tym, że te ciemne loki spływają na niego jak zasłona, a Sara okrywa pocałunkami całe jego ciało.

Ocknął się, gdy usłyszał drżący śmiech.

- Jedno z nas musi zwolnić. Pomóż mi, Saro.

- Nie przestawaj - szepnęła sennym, rozmarzonym głosem. Otarła się o niego. - Umrę, jeśli przestaniesz.

- Do licha, próbuję być delikatny.

- Nie chcę, żebyś był delikatny.

Powiedziała prawdę. William wyrobił w niej lęk przed brutalną, męską siłą, ale ani przez chwilę nie przemknęło jej przez myśl, by Maksa przyrównać do szwagra. Zachwycały ją jego twarde mięśnie ramion i muskularny tors. Chciała wtulić się w niego najmocniej, jak umiała.

Znowu pocałował ją chciwie i namiętnie. Odpowiedziała mu tak entuzjastycznie, że aż zakręciło mu się w głowie. Porwał ich gorący strumień. Max zdarł z Sary szlafrok i zaczął gorączkowo rozpinąć guziczki koszuli nocnej. Wreszcie rozchylił stanik i zaczął chłonać żar jej nagiego ciała.

Gdy jęknęła, zaśmiał się cicho, i pociągnął ją na łóżko. W jednej

chwili uwolnił ją z koszuli nocnej, potem sam się rozebrał i położył obok Sary.

Chciał obsypać piaseczkami każdy skrawek jej ciała. Gdy i ona zaczęła nieśmiało poznawać go dotykiem, jego oddech stał się chrapliwy. Drżał z podniecenia, słuchając jej cichych westchnień.

- Saro, chyba nie mogę już czekać - odezwał się schrypniętym głosem.

- Nie chcę, żebyś czekał.

Pragnienie ją spalało. Nie była całkiem niewinna i wiedziała, czego należy się spodziewać. Ciało wibrowało jej jak doskonale nastrojone skrzypce. W tej chwili stała się kimś innym, śmiała, namiętną kobietą, której nie krępowały lęki i zakazy znane Sarze Carstairs.

Gdy ukląkł nad nią, coś ścisnęło ją za gardło. Nigdy nie знаła takiego mężczyzny: przyjaciela, kochanka, obrońcy, rycerza. Gdyby tylko była go warta...

- Płaczesz? - Dotknął jej rzes, a gdy cofnął rękę, miał mokre opuszki palców.

- Jesteś taki piękny, Max- szepnęła. - Boję się, że cię rozczaruję.

Przez wargi przemknął mu wąty uśmiech.

- Głuptasie - szepnął. Rozchylił jej nogi i opadł na nią. Ciasno oplotła go swym ciałem.

Pierwsze pchnięcie pozbawiło ją tchu. Wpiła Maksowi panokcie w plecy i próbowała uwolnić się od tego, co zadawało jej piekący ból.

Max zmartwił. Sara była dziewicą. To mu w ogóle nie przyszło do głowy. Była dziewicą. Wydawało mu się to niemożliwe, a jednak okazało się najprawdziwszą prawdą. Wiedział, że powinien w tej chwili się cofnąć, ale nie mógł.

Sara ostrożnie próbowała zmienić pozycję. Na czole Maksa zaczął perlić się pot. Każdym ruchem ciała Sara mimo woli wprowadzała go głębiej. Czuł, że jego panowanie nad sobą nie sięga już dużo dalej.

Gdy ból ustąpił miejsca dość nieprzyjemnemu doznaniu ciasnego wypełnienia, Sara wreszcie odetchnęła, a potem nagle całe jej ciało ogarnął bezwład.

Max uniósł głowę i popatrzył na nią. Czule pocałował ją w skrzywione usta.

- Gdybym wiedział, postarałbym się, żeby to było przyjemniejsze - powiedział.

- Gdybym ją wiedziała, toby mnie tutaj nie było! Poprzedni raz podobał mi się znacznie bardziej. W gruncie rzeczy...

Uciszył ją pocałunkiem, powolnym, zmysłowym, i pomógł jej zapomnieć o przykrym doznaniu. Gdy znów się w niej poruszył, stężała, przygotowana na ból. Ale, o dziwo, nie było bólu, tylko niezwykła wprost rozkosz.

A potem były jeszcze czułe słowa, morze cudownych pocałunków i napięcie, które rosło w niej z każdą chwilą, póki fala najwyższej rozkoszy nie uniosła ich obojga.

Mijały minuty. Ich oddechy powoli się wyrównywały, Wreszcie Max przetoczył się na bok i unióśł na łokciu, żeby lepiej Sarę widzieć. Wargi miała nabrzmiąte od pocałunków, włosy potargane. Ujął jeden z kosmyków i odsunął go z policzka.

- Dobrze się czujesz? - spytał cicho.

Popatrzyła na niego sennym, rozmarzonym wzrokiem, pełnym miłości. Dotknęła jego torsu. Nie rozumiała, jak to możliwe, że zwykłe cielesne doznania są tak głęboko poruszające.

- Dobrze.

Odgarnął jej włosy z szyi i znalazł to, czego szukał, długie zadrapanie. Z wielką czułością przesunął po nim palcem. Sara miała też siniaka na biodrze i startą skórę na kolanach. Obcałował wszystkie jej skaleczenia i zranienia.

Spojrzała na niego zaskoczona.

Ach, jak bardzo jej pragnął. Leżała w zmysłowej pozie, powabna jak żadna inna kobieta. Ale czuł też, że musi ją chronić jak najcenniejszy skarb. Przecież ktoś ją chciał skrzywdzić.

W małżeńskim łóżu okazało się jednak, że Sara go okłamała. Coś takiego mężczyźnie trudno jest znieść.

Pochylił się nad nią i pocałował ją w usta.

- Czy na pewno dobrze się czujesz?

Było w jego minie coś takiego, co nakazało jej ostrożność.

- Na pewno.

- To dobrze. - Rysy mu się wyostriły i wtedy powiedział już całkiem innym tonem: - A teraz czy byłabyś łaskawa mi wyjaśnić, co to ma, u diabła, znaczyć? Nigdy nie miałaś kochanka. Dlaczego mnie okłamałaś, Saro? Dlaczego powiedziałaś mi nieprawdę o Williamie Neville'u?

Przeniknął ją lęk.

- Co masz na myśli?

- Podczas procesu odczytano twoje listy do Williama. Byliście kochankami. - Pokręcił głową, całkiem zdezorientowany. - Ale przecież nie byliście kochankami.

- Ach, o to chodzi. - Nagle poczuła, że jest jej zimno, więc włożyła nocną koszulę. - Te listy były sfałszowane.

- To były fałszyfikaty?

- Nie. Napisałam je, owszem, tylko że na długo przed tym, jak William poślubił Anne. Miałam wtedy osiemnaście lat i myślałam, że jestem w nim zakochana. Nie datowałam listów. Zrobił to William po śmierci mojego ojca, bo próbował mnie nimi szantażować. Głos miała schrypnięty, co pewien czas przerywała wyjaśnienia, by wyrównać oddech. - Jemu nieustannie brakowało pieniędzy. Bez względu na to, ile mu dałam, zawsze było tego za mało na pokrycie jego karciany długów. Na szczęście wolał przebywać w Londynie niż w Hampshire. Kiedy wyjeżdżał, wszyscy byliśmy szczęśliwi. Ale gdy kończyły mu się pieniądze, wracał po więcej.

Przerzuciła nogi przez krawędź łoża i usiadła skulona. Max poczekał chwilę, a ponieważ milczała, powiedział delikatnie:

- Czy dopisałaś daty do tych listów, żeby dowieść, że mieliście romans za plecami twojej siostry?

- Nie udało mu się. Powiedziałam Anne prawdę o listach. W ogóle nie wiedziała, że mnie i Williama łączyło coś więcej niż zwykła znajomość. Nikt o tym nie wiedział. Dochowywaliśmy tajemnicy, bo William bał się, że jeśli jego ojciec dowie się o mnie, to go wydziedziczy. Nie zawsze mogliśmy się spotkać, więc czasem tylko wymienialiśmy listy. Ale byłam wtedy romantyczna i głupia.

Znowu zamilkła.

- Nie przerywaj, Saro - poprosił Max. - Powiedz mi wszystko, co o nim pamiętasz.

Obróciła głowę i spojrzała na niego.

- Po co?

- Bo wywarł taki głęboki wpływ na twoje życie. Chcę to zrozumieć.

- On niszczy wszystko, czego dotknie.

Max naturalnie zauważył, że użyła czasu teraźniejszego.

- To rozumiem. Ale co się stało, Saro? Dlaczego się odkochałaś?

- Miewał straszne napady złości i był chorobliwie zazdrosny. -

Nieznacznie wzruszyła ramionami. - Przerzął mnie. Kiedyś powtórzyłam przy nim plotkę, która o nim krążyła. Chodziło o miejscową pannę, która podobno nosiła pod sercem jego dziecko. - Spojrzała Maksowi w oczy. - Ludzie mówili, że William kazał jej pozbyć się tego dziecka i ona przez to umarła. Nie wierzyłam w te plotki. Ale kiedy spytałam go wprost, bardzo się przestraszył. Wpadł w panikę. Powiedział, że to wszystko są kłamstwa, a potem mnie uderzył.

Max syknął.

- Chyba nie chciał tego zrobić - dodała Sara. - Był tak samo wstrząśnięty jak ja. Przepraszał mnie bez końca. Ojcu powiedziałam, że wpadłam na drzwi. Ale potem nie chciałam już mieć nic wspólnego z Williamem. On nie mógł się z tym pogodzić. W ten sposób stałam się więźniem we własnym domu. Wstydziłam się zwierzyć ojcu z romansu z Williamem, jeśli romansem można to nazwać. W każdym razie gdybym wtedy przezwyciężyła wstyd, może życie Anne ułożyłoby się inaczej. William w końcu przestał mnie nachodzić i znowu wyjechał do Londynu, a ja myślałam, że na tym *koniec* sprawy.

Wstała z łóża, wzięła z podłogi szlafrok i naciągnęła go na nocną koszulę. Max tymczasem włożył spodnie. Ale ani na chwilę nie mógł oderwać oczu od Sary. Była taka drobna i delikatna. Mógłby ją objąć w talii samymi dłońmi. Ten, kto śmiał podnieść na nią rękę, musiał być zwierzęciem. Max bardzo chciał, żeby się okazało, że Neville żyje, bo wtedy któregoś dnia stanąłby z nim twarzą w twarz i mógł go zmasakrować.

- Tamtego roku ja i panna Beattie pojechałyśmy na wakacje do Szkocji. Nie było nas prawie trzy miesiące. Po moim powrocie William był już mężem Anne.

- Jak twój ojciec mógł na to pozwolić? Że też zgodził się na małżeństwo córki z Williamem Neville'em! Trochę znałem tego człowieka w Londynie. Miał opinię utracjusza i hazardzisty.

- Mój ojciec nie wiedział, co się dzieje w Londynie. A William potrafił być ujmujący. Krążyły o nim różne plotki, ale nie było konkretnych. Pamiętaj poza tym, że William był synem sir Ivora. Neville'owie są najstarszą rodziną w tej części Hampshire. Wszyscy szanują ich nazwisko. Ojciec był więc zachwycony. Przecież któregoś dnia William miał objąć schedę po ojcu i odziedziczyć tytuł. Co miałam powiedzieć? Spóźniłam się. Anne była związana ślubem. Miałam nadzieję, że wszystko ułoży się dobrze. Ale

w duszy obawiałam się najgorszego. Niestety, słusznie. Gdy ojciec dostał wylewu, William pokazał swoją prawdziwą twarz.

Sara nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, że wyjęła różę z wazonika i obdziera ją z płatków.

- Kiedy William zaczął wyładowywać swoją złość na Anne — ciągnęła - ojciec już nie mógł jej chronić. Pojechałam do sir Wora i błagałam go o pomoc, ale odmówił. Wydziedziczył syna za jego wysoki znacznie wcześniej, niż William ożenił się z Anne. A po jego ślubie sir Ivor nie chciał mieć nic wspólnego z kimkolwiek z Longfield.

Obróciła się do Maksa.

- Nie chciałam się poddać. Pomyślałam, że prawo będzie po stronie Anne. Sądziłam, że będę mogła uzyskać prawny nakaz opuszczenia naszej posiadłości przez Williama. Chciałam, żeby Anne od niego odeszła. - Głos zaczął jej się łamać, więc musiała odchrząknąć. - I czego się dowiedziałam? Że żona jest własnością męża. Nie może nic zrobić bez jego pozwolenia. On ją dosłownie posiada. Jeśli kobieta ma wpływowych męskich krewnych, wtedy znajduje się w lepszej sytuacji, ale kobieta zdana na siebie jest bezradna.

W każdym razie mój ojciec znalazł przed śmiercią sposób, żeby trzymać Williama w szachu. Zmienił testament i prawie cały majątek zapisał mnie. Z chwilą jego śmierci Anne dostawała trochę pieniędzy, ale nie była już wielką dziedziczką. To ja nią byłam i wkrótce nauczyłam się okiełznać Williama z pomocą pieniędzy. Kiedy był grzeczny, dostawał nagrodę, a gdy był niegrzeczny, karałam go. Kłopot w tym... kłopot w tym... - Łzy przerwały jej opowiadanie.

- Kłopot w tym - dokończył z nią Max - że on miał równie potężny oręż. Anne.

Skinęła głową.

- Bałam się zostawić ją samą z Williamem. Większość czasu spędzałam we wdowim domku, a jeśli musiałam gdzieś się oddalić, moje miejsce zajmował Drew. To dlatego praktycznie zamieszkałam w Longfield. Spokój mieliśmy tylko podczas pobytów Williama w Londynie. Ale on zawsze wracał.

Max poczekał, aż Sara opanuje uczucia, i powiedział cicho:

- A potem się zaręczyłaś.

Skinęła głową.

- Nie kochałam Francisca, ale całkiem go lubiałam. Pomyślałam, że mąż będzie lepiej sobie radził ze szwagrem niż ja. William

wpadł w szal, kiedy dowiedział się od przyjaciół o moich zaręczynach, ale wcale nie dlatego, że mnie kochał, tylko dlatego, że się przestraszył. Przecież w ten sposób Anne mogła wcale nie dostać swojego udziału w spadku po ojcu.

Sara nie widziała, że Max zaciska dłonie w pięści.

- Saro... - Zawahał się, ale musiał to wiedzieć. - Co się stało tamtej nocy, gdy William zniknął?

W jej głosie odmalował się strach.

- Nie wiem, Max, i taka jest prawda. Słowo daję, że nie wiem.

- Saro. - Wyciągnął do niej rękę. Podeszła natychmiast. Czule pocałował ją w usta. Potem sięgnął do kieszeni spodni, wyjął z niej chustkę i podał żonie, żeby wytarła, nos.

- Dlaczego nic z tego nie wypłynęło na procesie?

Wzruszyła ramionami.

- Bo to zniszczyłoby rodzinę. Tak powiedział mi pan Cole, mój adwokat. Proces sądowy jest jak partia szachów. Adwokat przedstawia tylko takie dowody, które pomagają mu wygrać proces. Nikogo nie obchodzi prawda.

- Ale listy...

Pokręciła głową.

- Przysięgli nie uwierzyliby, że William dopisał daty później, bo nikt nie wiedział, że znaleźliśmy się jeszcze przed jego ślubem z Anne. Podobnie było z tymi fragmentami listów, które pan Cole nazwał dwuznacznymi. Cytowałam Williamowi jego własne słowa. Sama byłam wtedy zbyt niewinna i niedoświadczona, by zrozumieć, że proste słowa mogą być wieloznaczne. Pan Cole nawet nie próbował przekonywać o tym sądu. Szczerze mówiąc, przypuszczam, że wcale nie wierzył w moją niewinność.

- Cole'a powinno się zastrzelić! - zapalczywie oświadczył Max.

- Dlaczego? Przecież wydostał mnie z więzienia. W procesie ważne jest tylko to, która strona wygrywa, a która przegrywa. Naprawdę nie mogę mieć pretensji do swojego adwokata.

- Nie myślę o tym! Naturalnie jestem wdzięczny Cole'owi, że cię wybronił. Ale te listy! To przez te listy nie mogłem uwierzyć, że William nie był twoim kochankiem.

Wydała ciche westchnienie, w którym było chyba również nieco urazy.

- A co z resztą moich kochanków?

- Jaką resztą?

- No, z tymi, których podobno był cały legion.
Uśmiechnął się szeroko.
- Och, o tych zapomniałem wiele miesięcy temu.
- Max, znamy się dopiero kilka tygodni.
- Naprawdę? - Uśmiechnął się do niej i odgarnął z jej twarzy niesforne kosmyki."- Mam takie wrażenie, jakbyśmy znali się zawsze. Zaraz, co to ja mówiłem?

Położyła ręce na jego ramionach.

- Właśnie tak czułam się w Reading tamtej nocy, gdy wszedłeś przez okno do mojego pokoju.

- Żałuję, że nie zrobiłem tego wiele lat temu. - Pocałował jej powieki. - I że nie mogłem być dla ciebie oparciem po śmierci ojca. - Pocałował ją w podbródek. - I że nie byłem w pobliżu, kiedy William cię uderzył. Głos mu zhardział. - Zabiłbym tego sukinsyna, gdyby chciał ci stracić choćby jeden włos z głowy. Saro...

Zakryła mu usta dłonią. Oczy miała zasnute łzami. Gdyby powiedział coś więcej, rozszochałaby się jak dziecko. Tyle lat nad sobą panowała. Musiała być silna, żeby chronić ludzi, których kochała. Max zmienił jej życie. Przed takim mężczyzną nie ma się tajemnic, można z nim dzielić najbardziej skryte lęki. Lata ćwiczeń zrobiły jednak swoje. Opanowała łzy.

- Nie chcę myśleć o Williamie - powiedziała. - Choćby na chwilę chcę o nim zapomnieć. Pomóż mi zapomnieć, Max.

Powoli unióśł dłoń i obwiodł palcem zarys jej twarzy.

- Coś cię dręczy.

- Nie. Tylko że...

- Co?

- Chciałabym wiedzieć, jak uwieść męża.

Obdarzył ją czarującym uśmiechem.

- Pokażę ci.

Okazało się to dla Makska czystą torturą. Sara bowiem rzeczywiście chciała się uczyć. Jak student badający swój przedmiot poznawała dotykiem każdą część jego ciała i zapamiętywała wrażenia. Aż trudno było mu uwierzyć, że jest jej pierwszym kochankiem. Nie było w tych eksperymentach ani krzty skromności, tylko ciekawość. Gdy wreszcie Max poczuł, że w każdej chwili może eksplodować, Sara nagle usiadła na piętach i w skupieniu ściągnęła brwi.

Wybuch nastąpił chwilę później, gdy zaczęła powtarzać wszyst-

ko, co robiła, zastąpiwszy palce wargami. Max nagle skoczył na nią i razem potoczyli się po łóżu.

- Max, kochanie! - krzyknęła, trzęsąc się ze śmiechu. -- Jeszcze nie skończyłam!

Zafascynowała go przemiana, jaka w niej zaszła. Pomyślał, że to właśnie pragnął zobaczyć. Oczy jej lśniły, skóra była zaróżowiona, zęby błyskały w szerokim uśmiechu. Sara wydawała się młodą, psotną, beztroską kobietą. Przypomniawszy sobie jej obraz z procesu: nieruchoma jak bryła lodu, obojętna na wszystko.

Pochwyciła jego spojrzenie, ale wydało jej się dziwne. Jakby Max był z czegoś niezadowolony. Jej uśmiech zgasł.

- Czyżbym cię zgorszyła? Byłam zbyt śmiała?

Ujął jej twarz w dłonie.

- Jesteś taka, jaka powinnaś być. Idealna.

- Och, Max. Nie stawiaj mnie na piedestale. Tylko cię rozczaruję.

- Nie mam zamiaru stawiać cię na piedestale. Najchętniej przykułbym cię do łóża i rzucał się na ciebie tak często, jak tylko miałbym okazję.

- Rzucał się na mnie?

- O, tak.

Oboje się uśmiechali, gdy ich usta się spotkały. I Max wcale się na nią nie rzucił. Okazał jej mnóstwo cierpliwości i delikatności, tyle, ile okazałby jej wcześniej, gdyby wiedział, że jest jej pierwszym kochankiem. Ich uśmiechy powoli topniały, oddechy stawały się cięższe, ciała spletały coraz mocniej. Była w tym namiętność, ale stonowana. Max się nie spieszył. Każdym pocałunkiem, każdą pieśzczotą próbował wyrazić to, z czym prawdopodobnie nie zgodziłaby się, gdyby próbował jej to powiedzieć. Pokazał jej, że jest piękna, że sprawia mu rozkosz, że czekał na nią całe życie.

A Sarze ciążyła wielka zgryzota. Bo Max pieścił kobietę, której wcale nie znał. Teraz już nie mogła przed nim uciec.

Lepiej było o niczym nie myśleć.

Przytuliła go i zaczęła wędrować dłońmi po jego rozgrzanym ciele. Oddając mu siebie, pokazała to, do czego w słowach nie przyznałaby się nawet przed sobą.

20

Sara rozmawiała z Simonem przy śniadaniu, gdy nagle wszedł Max, porwał ją w ramiona i wyniósł z pokoju do powozu czekającego przed domem.

Simon rzucił serwetę i wybiegł za nimi na dwór.

- Co pan robi z moją siostrą? Niech pan odpowie, do pioruna! I niech pan postawi ją na ziemi.

Sara również wpadła w popłoch.

- Max, co się dzieje?

Zabłyły mu oczy, przysłonięte ciemnymi rzęsami.

- Można powiedzieć, że cię uprowadzam.

Gdy Simon zaklął, Sara odezwała się kwaśno.

- Nie bądź głupcem, Simon. Max nie uprowadziłby mnie.

- A co takiego robi?

Tymczasem doszli już do powozu. Max, przez cały czas trzymając na rękach Sarę, zwrócił się do przyrodniego brata. Oczy błysnęły mu bardzo nieprzyjaźnie.

- Zabieram żonę w podróż poślubną. Masz coś przeciwko temu?

- W podróż poślubną?! - powtórzyła Sara. Tego zupełnie się nie spodziewała.

- Masz coś przeciwko temu? - spytał ją Max całkiem innym tonem niż Simona.

Spojrzała w jego roześmiane niebieskie oczy i zapomniała, że omal nie zgłosiła przed chwilą ostrego sprzeciwu. Miała mu powiedzieć, że byłoby elegancko, gdyby najpierw spytał ją o zdanie.

- Nie - odrzekła. - Nic a nic.

- Otwórz drzwi powozu, Simon - polecił Max.
Młodzieniec posłusznie wykonał polecenie.
- A co z jarmarkiem w Stoneleigh? - spytał.
Max ulokował Sarę na siedzeniu i sam również zajął miejsce w powozie.
- Jak to co?
- Zapisałem pana do walk bokserskich. Miałem na to pana zgodę.
- Do soboty wrócimy.
Simon zatrzęsnał drzwiami.
- Niech pan nie zapomni!
Dopiero gdy powóz ruszył, Simon pomyślał o tym, żeby zapytać Maksa, dokąd zabiera Sarę, ten jednak albo nie usłyszał pytania albo nie chciał na nie odpowiedzieć.
- Z domu wyszedł Martin.
- Co to za zamieszanie?
Wciąż naburmuszony Simon kopnął kamień, który łukiem poleciał w krzaki.
- Jadą w podróż poślubną - odrzekł.
- O! - Martin zerknął na ponurą minę brata i szybko odwrócił wzrok. - Wiesz, co myślę, Simon? Anne chyba ma rację. Max zakochał się w Sarze.
- Zakochał się? - Simon roześmiał się bardzo sztucznie. - Ty głupcze! Czy mężczyzna, który kocha kobietę, bierze z nią ślub w pośpiechu, zanim prawnicy przygotują intercyzę?
- Martin się najeżył.
- A skąd wiesz, że nie sporządzili intercyzy wcześniej, przed przyjazdem do Longfield?
- Sara nie zrobiłaby niczego za plecami Drew Primrose'a. Na pewno poprosiłaby go o radę. A Drew wyjechał.
- Nie pomyślałem o tym.
Odwrócili się i ruszyli do domu.
- Wiesz - odezwał się Simon - doskonale rozumiem, że bez względu na to, kogo poślubiłaby Sara, jej mąż prawdopodobnie nie podzieliłby się z nami majątkiem Carstairsów. Bądź co bądź jesteśmy tylko pasierbami. Ale diabli mnie biorą, kiedy pomyślę, że ten dorobkiewicz z grzecznościowym tytułem oskubie Sarę do ostatniego pensa.
- Martin wzruszył ramionami.

- Nic na to nie poradzimy.
- Pewnie nie. Ale chciałbym zobaczyć, jak mu się powinnie noga. - Nagle Simon odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem. Brat spojrział na niego nieufnie.
- Simon, coś ty zrobił?
- Musisz poczekać do soboty, to sam zobaczysz.

Max zabrał ją na wybrzeże, do małej wioski przy ujściu rzeki Test, leżącej w odległości zaledwie trzech godzin jazdy od Stoneleigh. Sara stopniowo się odprężyła. Wszystko dzięki Maksowi, którego śmiech był zaraźliwy. Zaraz na początku jazdy wytłumaczył jej, że muszą mieć trochę czasu tylko dla siebie. Nigdy przedtem nie był w podróży poślubnej i nigdy potem już nie będzie, więc nie pozwoli, by wścibscy krewni, którzy zazdroszczą im szczęścia, odebrali im to co najpiękniejsze w życiu. Na trzy dni i trzy noce zostaną tylko we dwoje. Zapomną o wszystkich kłopotach i będą żyć chwilą. Max obiecał Sarze niezliczone pieszczoty i pocałunki.

Łzy zapiekły ją pod powiekami. Gdyby tylko mogło to być takie proste, jak mówił Max. Odwróciła głowę, bo nie chciała zepsuć mu przyjemności. Ona, która nigdy nie płakała, stała się ostatnio nieznośnym mazgajem.

Max musnął wargami jej kark.

- Trzy dni, Saro. Czy nie mogłabyś na te trzy dni zapomnieć o wszystkim, co ci chodzi po głowie?

Trzy dni. Zabrzmiało to złowieszczo. Sara chciała, by ich szczęście nigdy się nie skończyło.

- Więc jak?

Odwróciła się do niego i wyczarowała promienny uśmiech.

- Zapomnieć o tym, co chodzi mi po głowie? Och, Max, czyżbyś nie wiedział, że teraz mam w głowie tylko myśli o tobie i naszych pieszczotach? I ty chcesz, żebym o tym zapomniała?

Gdy pochylił się, by ją pocałować, położyła mu ręce na torsie i odepchnęła go.

- Co znowu? - zdziwił się.

- Jeśli kiedykolwiek uśmiechniesz się w taki sposób do innej kobiety, to...

Błysnął białymi zębami.

- Tak?

To cię zabiję, pomyślała i przeszły ją dreszcz.

- To pożałujesz, że się w ogóle urodziłeś. Ten uśmiech należy do mnie. Rozumiesz?

Nagle spoważniał.

- Co chciałaś powiedzieć, Saro? Proszę, nie ukrywaj tego przede mną.

Udało jej się nasycić uśmiech namiętnym pragnieniem. Położyła mu rękę na udzie i przesunęła ją wyżej.

- A jak sądzisz? - szepnęła.

Pocałował ją, tak jak tego chciała, a gdy przestali się całować, Sara zażyczyła sobie, żeby opowiedział jej, jak został wydawcą „Couriera”.

Ciężko westchnął, lecz spełnił jej życzenie.

Z pokoju, do którego ich *wprowadzono*, ciągnął się widok na ujście rzeki, dalej zaś lśniły zabudowania Southampton. Można było napatrzeć się do syta z balkoniku, otoczonego kutą balustradą. Sara wpadła w zachwyty.

- Jak znalazłeś to miejsce? - spytała.

Max nadzorował pracę miejscowego lokaja, który wnosił ich bagaże. Sarze przemknęło przez głowę, że ta podróż wcale nie jest tak spontaniczna, jak jej się zdawało. Mąż musiał przecież pomyśleć o wynajęciu powozu i spakowaniu ich rzeczy.

Max poczekał, aż lokaj zostawi ich samych, i dopiero wtedy opowiedział:

- Spędziłem tu niejedno lato, gdy byłem chłopcem i odzyskiwałem zdrowie po zapaleniu płuc. To dlatego mojemu ojcu bardzo zależało na tym, żebym zajął się sportem, a zwłaszcza boksem. Chciał, żebym nabrał siły. No i nabrałem.

Nie umiała wyobrazić sobie Maksu, który nie byłby silny i pełen życia. Myśl o tym, że i on jest śmiertelny jak wszyscy, była dla niej bardzo bolesna.

- Anne też była chorowita jako dziecko - powiedziała. - Ciągłe leżała w łóżku, czytała książki i pisała wiersze.

Zdjawszy surdut, Max przewiesił go przez krzesło, a potem zrobił to samo ze spencerkiem żony. Pogłaskał Sarę po ramionach i wsunął palce w jej włosy. Uwielbiał, gdy powieki jej opadały, a piersi falowały, poruszone cięższym oddechem.

- Ja też pisałem wiersze, kiedy byłem chłopcem - wyznał.
- Objęła go wpół.
- Naprawdę? Nie wyobrażam sobie ciebie jako poety.
- Chcesz usłyszeć próbkę?
- Mmm. - Rozkoszowała się jego zapachem.
- Zaraz, zaraz... O!

*Wstawiły damę z Canterbury
Dwa... hm... pączki wielkie niczym cztery.
Niestety, jej mąż wykrył
W łóżnicy fakt dość przykry,
Ze woli ziółka niż desery.*

- Dość! Nazywasz to poezją? To zwykły wulgarny limeryk. Nawet Simon i Martin umieliby napisać coś lepszego.

- Wcale nie twierdziłem, że mam talent.

Zaczęła się śmiać, najpierw ostrożnie, po cichu, potem coraz głośniej, aż wreszcie cała dosłownie się trzęsła. Twarz jej pojaśniała, oczy spoglądały teraz znacznie radośniej. O to właśnie chodziło Maksowi. Chciał pokazać żonie, że życiem można się cieszyć.

Tylko jeden krok dzielił ich od łoża, mimo to Sara nie chciała go zrobić. Spojrzał na nią zdziwiony.

- Co się stało?

Pokazała mu otwarte okno.

- Czy wiesz, która jest godzina? Środek dnia.

Pociągnął ją za rękę.

- Obiecałem rzucić się na ciebie przy każdej okazji, która mi się nadarzy, i traktuję tę obietnicę poważnie. Należy mi się nagroda, bo oszczędziłem cię w powozie.

Szeroko *otworzyła usta ze zdumienia.*

- W powozie! Chcesz powiedzieć...

Skinął głową.

- Jeszcze tego nie próbowałem. Ale w twojej obecności mam nieodpartą pokusę.

Rzadko zdarzało jej się zawstydzić, tym razem poczuła jednak, jak szyje i policzki zalewa jej rumieniec. W oczach Maksu czytała, co się zaraz stanie, i znów ogarnęła ją dziwna słabość.

Gdy znienacka skoczył na nią, pisnęła i oboje upadli na łożo,

zanosząc się śmiechem. Złączyli się w pocałunku, ale gdy Max uniósł głowę, uśmiech znikł mu z twarzy. Sara drgnęła niespokojnie.

- Dlaczego ciągle mi się przyglądasz, Max? Dlaczego się na mnie gapisz?

- Bo chcę wiedzieć, co się dzieje w twojej ślicznej głowie. Chcę wiedzieć, co myślisz i czujesz.

- Już wiesz.

- Naprawdę? Chciałbym w to uwierzyć.

Nie miała pojęcia, co odpowiedzieć, ale nie musiała tego robić. Max westchnął i pocałował ją tak namiętnie, że wszystko poza tym straciło wszelkie znaczenie. Wziął ją prawie natychmiast, gdy jeszcze mieli na sobie ubrania, a ona poczuła, że pragnie spełnić każde jego życzenie. Nie było drugiego takiego człowieka na świecie. I nic nie mogło się równać z doznaniem, jakie miała, gdy Max wypełniał ją i poruszał się w jej ciele. Powinna cieszyć się szczęściem. Ale gdy przyszło spełnienie, zdawało jej się, że właśnie w tej chwili pęka jej serce.

W towarzystwie Maksa nie można było długo się smucić. Mąż postanowił ją oczarować, a ona chciała zostać oczarowana. Nieustannie ją rozśmieszał, na nowo uczył, jak się bawić. Wiele zabaw miało erotyczny posmak. Max nie widział zresztą powodu, by pieszczoty ograniczać do małżeńskiego łoża. Gdy szli na spacer brzegiem morza lub wchodzili do lasu, zawsze znajdował ustronne miejsce, w którym mogli się kochać. Najbardziej jednak zdumiewało Sarę wcale nie to, jak namiętnym kochankiem jest Max, lecz to, jak olbrzymie są jej apetyty. Wystarczyło znaczące spojrzenie męża, i już krew burzyła jej się w żyłach. Zanim go poznała, w ogóle nie wiedziała o istnieniu takich doznań.

Gdy nie oddawali się pieszczotom, często rozmawiali, starali się jednak unikać tematów, które mogłyby rzucić cień na ich szczęście. Sara dowiedziała się nieco więcej o rodzinie Maksa. Powiedział, że jest jedynakiem i któregoś dnia odziedziczy po ojcu tytuł.

Kolację jedli na balkoniku w swoim pokoju.

- Nie przeraż się tego - ciągnął Max. - Moi rodzice wiodą bardzo spokojne życie w zamku Lyndhurst. Ojciec poświęca większość czasu zarządzaniu majątkiem, a matka mu pomaga. -

Zobaczył niepokój w jej oczach, więc dodał obojętnie: - Nie bywamy na dworze i nie należymy do otoczenia księcia Walii. Spodoba ci się moja rodzina, Saro.

- Nie chcę mieszkać w zamku, Max.
- Nie musisz. Jestem dziennikarzem. Zamieszkamy w Londynie.
- Czy twoi rodzice wiedzą o mnie?
- Wysłałem do nich list przez specjalnego posłańca, kiedy

byłem w Winchester u biskupa.

Sara pochyliła się ku niemu.

- Czy oni znają moje nazwisko? Wiedzą, kim jestem?

- Saro, to była tylko krótka wiadomość. I tylko tyle można zawrzeć w liście. Dowiedzą się wszystkiego, kiedy pojedziemy tam, żebyś mogła ich poznać. Tymczasem oboje są w Derbyshire i nie wrócą jeszcze przez kilka tygodni.

Poznać rodziców Maksa. Tak daleko jej myślenie nie sięgnęło. Gdzie miała rozum? Co właściwie sobie wyobrażała?

Mocne palce męża ujęły ją pod brodę i zmusiły do spojrzenia mu w oczy.

- Jestem pewien, że moi rodzice bardzo cię polubią- rzekł. - Ale tak czy owak nie ma to najmniejszego znaczenia. Popatrz na swoją rodzinę. Gdybym słuchał tego, co mówią, powinienem przywiązać sobie młyński kamień do szyi i skoczyć do morza.

Nie mogła się nie uśmiechnąć.

- Same pasożyty, nie sądzisz?

Poklepał ją po policzku.

- No, już lepiej. Pamiętaj zawsze, że przysięgaliśmy sobie wzajemnie, nie naszym rodzinom. A teraz jeśli nie będziesz już jadła, to możemy wynająć parę koni i odbyć miłą przejażdżkę brzegiem morza, póki jest jasno.

Nie mogła się oprzeć czarującemu uśmiechowi męża.

- Chętnie.

Trzy dni minęły jak z bicza trząśł i oto znaleźli się na drodze prowadzącej z powrotem do Longfield. Im bliżej byli celu, tym bardziej milcząca stawała się Sara. Znowu zaczęła myśleć o przykrych sprawach: o Williamie, o wdowim domku, o listach, które mógł jej przysyłać właściwie każdy.

Usłyszała westchnienie Maksa. Wyciągnął do niej ramiona

i posadził ją sobie na kolanach. O dziwo, jednak wydawał się poważny.

- Nie wrócilibyśmy do Longfield, gdybym nie był przekonany, że potrafię zapewnić ci ochronę. Będę cały czas na miejscu. Peter Fallon też. Nic złego nie może ci się stać.

- Zastanawiałam się nad tym - odrzekła. - Max, co nas powstrzymuje przed spędzeniem gdzieś prawdziwego miodowego miesiąca? Nigdy nie byłam w Irlandii, a słyszałam, że tam jest pięknie. Może chciałaby z nami pojechać Anne.

Tak samo jak uwielbiała jego szczególnie uśmiech, nie znosiła pewnego wyjątkowego spojrzenia. Było ono nieufne, przenikliwe, a jedynym sposobem uniknięcia go było niewchodzenie w jego zasięg.

- Saro - odezwał się Max cicho. - Chyba nie ukrywasz czegoś przede mną? Czegoś, co powinienem wiedzieć?

Postarała się przybrać możliwie beznamiętny wyraz twarzy i powiedziała mu prawdę, chociaż nie całą.

- Chcesz odkryć, kto przysyłał mi te listy i kto mnie napadł. Ale ja nie jestem pewna, czy chcę to wiedzieć. Wysłałam za męża, więc myślę, że kłopoty się skończą. Czy nie możemy zostawić spraw ich własnemu biegowi? Przynajmniej na pewien czas?

- Nie wiem. Muszę się zastanowić.

Próbowała zsunąć mu się z kolan, ale ją przytrzymał.

- Chcę się z tobą kochać - szepnęła.

Rozejrzała się po wnętrzu powozu.

- Max, to niemożliwe. Tu nie ma dość miejsca.

- Dam sobie radę, jeśli mi pomożesz.

To było jeszcze jedno charakterystyczne spojrzenie Makska: oczy miał przymknięte, chrapki nosa nieznacznie rozszerzone, wargi rozchylone, oddech chrapliwy.

- Max - szepnęła i pokręciła głową, ale pozwoliła mu usadzić się okrakiem na kolanach.

Pocałował ją i objął jej pośladki. Potem zaczął przesuwając usta wzdłuż jej szyi, tycząc szlak czułymi mięśniami warg. Wreszcie dotarł na wzgórek piersi i znalazł grudkę, wyraźnie rysującą się pod tkaniną sukni.

- Max - szepnęła Sara i zacisnęła dłonie na jego ramionach, żeby utrzymać równowagę.

Zajął się garderobą. Po chwili Sara krzyknęła, poczuła bowiem nagle w sobie jego twardość. Uśmiechnął się do niej.

- Tak pięknie dajesz mi siebie - powiedział. - Jesteś moim marzeniem. Nigdy nie pozwolę ci odejść.

Powóz trząsał się na wybojach, Max podchwycił ten rytm i nadał go jej ciału. Wkrótce doznanie było tak silne, że Sara zadrżała. Głośno wykrzyknęła imię męża i ukryła twarz w dołku przy jego szyi. Razem wzniesli się na szczyty rozkoszy.

Wchodząc do wielkiej sali w Longfield, oboje się śmiali. Sara wbiegła po schodach na górę, a Max odwrócił się i skierował do niedużego przedsionka, który został zaadaptowany na gabinet Petera Fallona.

Słyszając skrzypnięcie drzwi, Peter podniósł głowę.

- Dobrze pan wygląda - powiedział. - Wydaje się pan wypoczęty.

Max przeciągnął się i uśmiechnął bardzo szeroko.

- Nigdy nie czułem się lepiej, Peter. Małżeństwo wyraźnie mi służy. Czy zaszło coś ciekawego podczas naszej nieobecności?

- To już wszystko? - Peter rozparł się na krześle. - Tyle tylko mi pan opowiedział i od razu do rzeczy?

Max nadal się uśmiechał.

- Jak słusznie zauważyłeś, dobrze wyglądam i jestem wypoczęty. To powinno ci wystarczyć za wszystko, o co wstydzisz się spytać i czego ja ci nie powiem, bo jestem dżentelmenem.

Peter spłonął rumieńcem, ale po chwili również szeroko się uśmiechnął.

- Mówiłem o... No, miałem na myśli widoki, ciekawe miejsca. Ale mniejsza o to. Najciekawsza wiadomość jest taka, że dziś rano złożył nam tu wizytę sir Ivor i wyszedł tak wściekły, że omal nie trafiła go apopleksja.

- Och, na pewno usłyszał o moim małżeństwie. Sądziłem, że później przekażę mu tę nowinę w cztery oczy. Może zresztą i tak to zrobię.

- W domu go pan nie znajdzie. Przyszło mu do głowy, że wybrał się pan z oblubienicą do zamku Lyndhurst, więc postanowił tam pojechać, by spotkać się z panem osobiście. Szkoda, że pan nie słyszał tego, co mówił. Podobno przynosi pan hańbę swojemu nazwisku i całej arystokracji. Jest pan oślizgłym gadem, kłamcą i oszustem. Sir Ivor pana zrujnuje. Długo przemawiał w tym tonie. Nie miałem pojęcia, że jest tak porywczy.

Max westchnął.

- Powinienem mu chyba współczuć. William był jego jedynym synem. A on naprawdę wierzy w winę Sary. W każdym razie w Lyndhurst sir Ivor nikogo nie zastanie. Moi rodzice są u rodziny wuja w Derbyshire. - Przysiadł *na biurku* i poczęstował się ostatnią słodką bułeczką, leżącą na talerzyku z niebieską obwódką. - Co powiedzieli domownicy na wizytę sir Ivora?

- Nic. Nie było nikogo oprócz mnie i służby. Cała rodzina jest zajęta przygotowaniami do jutrzejszego jarmarku. A sir Ivor nie chciał wejść do środka. Całą złość wyładował, stojąc na dziedzińcu.

- Poznał cię?

Peter pogardliwie parsknął.

- Skądże, jestem tylko najemnikiem, służącym. Tacy ludzie jak sir Ivor w ogóle mnie nie widzą. Powiedziałem mu, że jestem pana sekretarzem.

Max ugryzł bułeczkę i wbił wzrok w przestrzeń przed sobą.

Peter przyglądał mu się przez chwilę, a potem rzekł:

- Pańska tożsamość musi prędzej czy później wyjść na jaw, a kiedy to się stanie, nie należy się spodziewać nic dobrego. Rodzina pańskiej żony, służba i miejscowi ludzie, krótko mówiąc, wszyscy tutaj będą wściekli, odkrywszy, że goszczą wydawcę „Couriera”.

Max nic myślał jednak o swojej gazecie, tylko o Sarze. Nie chciała nikogo poślubić, bo jej nazwisko było naznaczone piętnem. Dlatego na przykład myśli o spotkaniu z jego rodzicami głęboko nią wstrząsnęła. I wiedział, że dopóki sprawa Williama nie zostanie do końca wyjaśniona, Sara zawsze będzie się obawiać reakcji ludzi na jej osobę.

Spojrzał na Petera.

- Mamy więc jeszcze jeden powód, żeby zdwoić wysiłki i energiczniej badać losy Williama Neville'a. Czy dowiedziałeś się czegoś w sprawie liściku podrzuconego mojej żonie?

- O, tak. Zdobyłem też kilka innych ciekawych informacji.

Max zamienił się w słuch, a Peter zaczął przedstawiać mu skomplikowane zestawienie, obejmujące wszystkich służących i miejsca, w których byli w krytycznym okresie. Miało to coś wspólnego z ogniem, którego nie rozpalono, i sprowadzało się do wniosku, że od zejścia Sary na kolację do chwili jej powrotu do sypialni w rzezonym skrzydle domu były zaledwie trzy osoby: służąca, Constance i Anne.

- Czy możesz kogoś z nich wyeliminować? - spytał Max.
- Służąca Marta raczej odpada. Gada jak najęta, niczego nie umie utrzymać w sekrecie. Poza tym nie miałyby motywu, w każdym razie żadnego się nie doszukałem. Za to Constance... - Peter uśmiechnął się z zadowoleniem. - O, ta dama sprawia nam niespodzianki.

Max zmarszczył *czoło*.

- Jakiego rodzaju?

- Ma romans z Drew Primrose'em, a jeśli w kuchennych plotkach jest coś z prawdy, to miała również wielu kochanków przed śmiercią męża. Dlatego nikt nigdzie jej nie zaprasza. Wcale nie z *powodu* pańskiej żony, lecz dlatego, że eleganckie damy ze Stoneleigh obawiają się jej uwodzicielskich zakusów wobec ich mężów.

- Wielki Boże! - Max spojrzął koso na rozradowaną twarz Petera. - Nie rozumiesz, zdaje się, że ta kobieta jest teraz członkiem mojej rodziny, ponoszę więc za nią odpowiedzialność.

Uśmiech Petera stał się jeszcze szerszy.

- Nie ma rady. Tak czy owak, proszę pamiętać, że to ona jest drapieżnikiem. Biedny Drew Primrose nie miał najmniejszej szansy. Wszyscy wiedzą, że wzdycha do pańskiej żony. Ale jest tylko człowiekiem.

Max zacisnął usta.

- Może to on wysłał listy. Może chce z powrotem zbliżyć się do Sary.

- Nie sądzę...

- Mnie się to wydaje logiczne. Może skłonił Constance, żeby podrzuciła ten ostatni liścik. Zresztą jest jeszcze jedna poszlaka. W dniu zniknięcia Williama Drew Primrose podobno był w Bristolu. Wątpię, czy ktoś sprawdził jego alibi. Sędzia pokoju i policja od początku byli przekonani o winie Sary, więc nie prowadzili zbyt wnikliwych dociekań. Sprawdź alibi Primrose'a.

- Dobrze. - Peter westchnął.

- Co z charakterem pisma? - spytał Max. - Kto mógł się podszyc pod Williama?

- W zasadzie każdy. Ograniczyłem liczbę podejrzanych do około dwudziestu osób. Tym tropem daleko nie zajdziemy.

- Warto było przynajmniej spróbować. Coś jeszcze?

Peter wyszczerzył zęby.

- Powoli stają się ekspertem w sprawach architektury zachodniego Hampshire.

Max zmarszczył czoło.

- Architektury?

- Zdaje się, że takie zajęcie wymyślił mi pan dla zachowania pozorów. I muszę panu powiedzieć, że to jest fascynujące. Ten sławny budowniczy Congreve, który podczas rewolucji działał w całym zachodnim Hampshire, szykował kryjówki dla monarchistów, którzy mieli powody, by unikać ludzi Cromwella.

- Co to ma wspólnego...? Ach, rozumiem. Chcesz powiedzieć, że ciało Williama *może* być ukryte w bardzo wielu miejscach.

- Tego się obawiam.

Max przełknął ostatni kęs bułeczki.

- Co służba mówi o Sarze? - spytał.

- To dopiero jest zaskakujące! - Peter bujał się na krześle. - Służących w ogóle nie obchodzi, czy jest winna, czy nie. Uważają, że prędzej czy później i tak ktoś by Williama zabił. Pogardzali nim. Myślę, że zrobiliby wszystko, co w ich mocy, żeby chronić pana żonę. Ale nie byłiby dobrymi świadkami ani dla oskarżenia, ani dla obrony. Za bardzo widać, że nie są bezstronni.

Max podszedł do drzwi.

- Przypomnij mi, żeby podnieść służbie zapłatę, kiedy to już się skończy. - Popatrzył na Petera. - I przypomnij mi też, że mam ci wypłacić dużą premię. Dobrze się spisałeś.

- Dużą premię? O jakiej sumie mówimy?

- Tysiąc funtów.

Peter wstał.

- Jutro z *samego rana* jadę do Bristolu.

- To nie jest takie pilne. Zostań tutaj na jarmark. Mam brać udział w walkach bokserskich. Muszę dać lekcję manier przyrodniemu bratu mojej żony.

Po zastanowieniu Max postanowił odwiedzić sir Ivora, na wypadek gdyby ten się rozmyślił i nie pojechał do zamku Lyndhurst. Tylko jednak stracił czas. Kamerdyner powiedział mu, że sir Ivor jest nieobecny i w ciągu najbliższych dni nie wróci, a lady Neville odpoczywa i nie przyjmuje gości.

Po powrocie do domu Max szedł przez sień, gdy usłyszał

podniesione głosy w bibliotece. Rozpoznał głos Drew Primrose'a. Drugą osobą była Sara, którą sprawiała wrażenie osoby nastawionej bardziej ugodowo.

Podszedł do drzwi, zapukał i wszedł do środka. Jego żona obróciła się.

- O, Max! - Podbiegła do niego z nieukrywaną radością. - Chciałabym, żebyś przemówił Drew do rozumu. - Wzięła go za ramię i zaprowadziła do biurka. - Prawdopodobnie źle zrobiłam, że nie porozumiałam się z nim w sprawie naszej intercyzy. Ale mieszkałam wtedy w Londynie i było mi dużo łatwiej skorzystać z usług kancelarii adwokackiej na miejscu.

Drew Primrose wyglądał jak buldog szykujący się do ataku. Nie spuszczał wzroku z Makska i cedził słowa przez zęby.

- Wyczekał pan, aż wyjadę, i wtedy wymógł pan na Sarze małżeństwo.

- Po co miałbym postąpić w taki sposób? - spytał uprzejmie Max.

- Żeby nie było czasu na uzgodnienie intercyzy. Żeby mógł pan ułożyć wszystko po swojemu! Czy nie tak robią łowcy posagów?

Sara zachnęła się.

- Drew, nie masz prawa tak mówić.

W pierwszym odruchu Max chciał wymierzyć adwokatowi siarczysty sierpowy w szczękę. Ale uznał, że gra powinna być czysta. Każdy dobry adwokat na miejscu Drew wpadłby we wściekłość. Sara miała duży majątek. On, Max Worthe, był człowiekiem znikąd. A teraz, ponieważ nie doszło do podpisania żadnej intercyzy, mógł robić z pieniędzmi żony, co mu się żywnie podoba. Mógł nawet zostawić ją bez pensa przy duszy.

Poklepał Sarę po dłoni i powiedział łagodnie:

- Moi adwokaci też byliby ze mnie bardzo niezadowoleni, Saro. Gdyby cokolwiek mi się stało, większość mojego majątku przeszłaby na twoją własność.

Nikt nie potraktował tych słów poważnie. Drew się skrzywił, a Sara cmoknęła.

- Przestajesz żartować, Max? Przecież mamy gotową intercyzę. Pokazałam ci ją. Przeczytałeś cały tekst. Pozostała bez podpisu, ale to jest tylko niedopatrzanie, które możemy niezwłocznie nadrobić.

Zrobiła wymowny gest i Max zobaczył, że dokument, który jest tak ważny dla jego żony, leży na stole.

Drew Primrose nie pozwolił się ułagodzić.

- Oszalałaś, Saro? Nie możesz w taki sposób podzielić majątku na kawałki. Anne powinna mieć zabezpieczenie, owszem, ale zapisy dla twojego przyrodniego rodzeństwa ojciec już zrobił. To nie jest twoja krew. Nie mają prawa domagać się udziału w majątku.

- Ach, więc pan już przeczytał intercyzę? - odezwał się Max. - Widzę, że przynajmniej w jednym się zgadzamy. - Zwrócił się do Sary: - Nie sądzę, by udostępnienie pieniędzy tym młodym ludziom wyszło im na dobre. Niech poczekają. Jeśli będziemy uważali, że zasługują na taki majątek, to im go prześlemy, ale najpierw muszą zmądrzeć i dorosnąć.

- Czy mam uwierzyć w to, że pan jest zainteresowany utrzymaniem rodziny Sary? - spytał chłodno Drew.

- Nic mnie nie obchodzi, w co pan wierzy. Ale w sprawie intercyzy ma pan rację. Powiem panu, co zamierzam. Napiszę do moich adwokatów w Londynie i poproszę ich, żeby przyjechali tutaj uzgodnić z panem warunki. Co pan o tym sądzi?

- Nie - zaprotestowała Sara. - Nie zgadzam się.

Żaden z mężczyzn na nią nie spojrział.

- Dlaczego miałbym panu ufać? - spytał zapalczywie Drew. Skrzyżowali spojrzenia.

- Bo nie damę panu wyboru.

Przez chwilę w pokoju panowała cisza, przerywana tylko szczekaniem psa w oddali. Drew Primrose wyraźnie miał ochotę powiedzieć więcej, nagle jednak poczerwieniał na twarzy, nacisnął kapelusz na głowę i szybko opuścił bibliotekę.

- Ten człowiek jest nie do zniesienia - powiedział Max, wpatrując się w otwarte drzwi. - Nawet wtedy, gdy ma na sercu twoje dobro.

- Max.

Spojrzał na żonę.

- Czy zamierzasz podpisać intercyzę czy nie? - spytała.

- Nie musimy o tym rozmawiać w tej chwili, Saro - odparł. - Nie patrz tak na mnie. Przecież nawet twój adwokat nie chce, żebym ją podpisał. Ona nie jest właściwie zredagowana. Zaczekajmy z tym do przyjazdu moich adwokatów. Niech uzgodnią szczegóły z Drew, a potem oboje podpiszemy dokument.

Sara pobladła, głos jej zaczął drżeć.

- Dobrze wiedziałeś, dlaczego muszę wyjść za męża. Nigdy nic robiłam z tego tajemnicy. Nie chcę takiej intercyzy, jaką przygotowują adwokaci. Chcę zapewnić ochronę mojej rodzinie. Tylko to zawsze miało dla mnie znaczenie. Nie poślubiłabym cię nigdy, przynigdy, gdybym wiedziała, że odmówisz podpisania tej intercyzy.

Maksowi drgnął mięsień w policzku.

- Ulegasz złości i nic wiesz, co mówisz.

- Akurat! - krzyknęła półprzytomnie. - Townsend przy tobie jest nikim. Nic dziwnego, że się go pozbyłeś. - Trzęsła się ze złości, urażona do żywego. - Powiedz, Max, jaka jest twoja cena? Powiedz mi, a przysięgam, że ci zapłacę.

Max zmrużył oczy. Sara aż się skuliła, gdy do niej podchodził. Ale on ominął ją i wyszedł na korytarz. Usłyszała jego wołanie, a po chwili wrócił do pokoju w towarzystwie służącego oraz Petera Fallona.

- Będziemy potrzebowali świadków- oznajmił, nie patrząc na nią.

Kazał złożyć jej podpis pod Intercyza, potem również on podpisał dokument, wreszcie przyszła kolej na świadków. W niecałą minutę było po wszystkim. Nikt nie odezwał się ani słowem. Wszyscy widzieli, że Max jest bardzo poruszony. Zaraz potem wyszedł z biblioteki w towarzystwie Petera Fallona, nawet nie spojrzawszy na żonę.

- Jesteś wolny, Arturze - powiedziała Sara do lokaja.

Intercyza wciąż leżała na stole, atrament był jeszcze mokry. Sara usiadła przy biurku i wlepiła wzrok w dokument. Dostała to, czego chciała, ale właśnie zaczynała rozumieć, że cena była znacznie wyższa, niż przypuszczała.

21

Sobotni ranek powitał mieszkańców Stoneleigh przelotnymi deszczami, ale zanim organizatorzy zjawili się na błoniach, żeby dopilnować rozstawienia jarmarcznych bud i kramów, wiatr przegonił *deszczowe chmury i wszyscy zgodnie doszli do wniosku*, że jest idealny dzień do świętowania.

Sara cierpiała wewnętrzne rozdarcie, miała bowiem wystąpić publicznie pierwszy raz po powrocie do domu. Z jednej strony chciała pokazać całemu światu, jak mało liczy się z jego opinią, z drugiej jednak myślała też o tym, by zamknąć się w Longfield, w garderobie, i nie wychodzić z niej, póki jarmark się nie skończy. Max nie okazywał jej współczucia. Powiedział, że jej decyzja jest mu obojętna. Gdyby postanowiła zostać w Longfield, będzie jej towarzyszył Peter Fallon. Jeśli o niego chodzi, zobowiązał się już, że będzie sprzedawał bilety do namiotu wróżów, więc nie może się z tego wycofać.

Poprzedniego wieczoru odwiedził ją w sypialni i kochał się z nią. Ale chociaż znów przeżyła rozkosz, czegoś jednak w tym brakowało. Nie byli naprawdę razem. Gdy oboje osiągnęli spełnienie, próbowała Maksowi wytłumaczyć, dlaczego sprawa intercyzy jest dla niej tak ważna. Wysłuchał jej w milczeniu, westchnął, potem odwrócił się na drugi bok i zasnął. Ona jednak przez pół nocy biła się z myślami.

Nie miała pojęcia, jak przetrwałaby ostatnie godziny, gdyby nie Anne. Siostra jednak doskonale rozumiała jej lęki. Wyszukała więc dla niej zajęcie, przy którym Sara przez większość czasu

mogła być ukryta przed oczami ciekawskich. Obie zajęły miejsce za płóciennym parawanem w wielkim namiocie, w którym damy z kółka parafialnego podawały herbatę nie kończącemu się strumieniowi chętnych. Zadaniem Sary i Anne było nakładanie kanapek i ciasta na opróżnione talerze i odsyłanie ich z powrotem do drugiej części namiotu. W ten sposób Sara musiała rozmawiać jedynie z damami, które z nią tam były, i z tymi, które przynosiły talerze.

Początkowo pracowały w milczeniu; atmosfera była napięta. Sarze zdawało się, że panie po prostu nie chcą powiedzieć nic niewłaściwego. Przed procesem znała je wszystkie, lubiła i szanowała. Były żonami miejscowych farmerów, kupców, ludzi wolnych zawodów. Składała im wizyty i podejmowała je w Longfield. Teraz jednak miała wrażenie, że język stanął jej kołkiem. Nie umiała wymyślić nic, co mogłaby powiedzieć.

Tylko jej siostra, chorobliwie nieśmiała Anne, raz po raz przerywała milczenie, pytając o mężów i dzieci różnych pań i próbując wciągnąć Sarę do rozmowy. Wreszcie udało jej się przełamać lody i w namiocie zapanował taki gwar, jakby procesu nigdy nie było.

Sara nie mogła powiedzieć, by wspaniale się bawiła, ale nie czuła się najgorzej. Na pewno było lepiej, niż się spodziewała.

Wreszcie Anne otarła wierzchem dłoni pot z czoła.

- Powinnyśmy zrobić sobie przerwę - powiedziała.

- Przerwę? - Sara wołała zostać tam, gdzie była w tej chwili.

Nie dano jej jednak wyboru. Zanim zdążyła wymyślić powód, dla którego nie może odejść od pracy, siostra pomogła jej zdjąć fartuch, a dwie inne panie przyszyły je zastąpić.

- Nie możesz się tu chować przez cały czas - powiedziała półgłosem. - Constance i Lucy zajęły nam miejsca przy stole. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

Na pewno nie będzie gorzej niż na procesie, pomyślała Sara. Przez chwilę zbierała odwagę, wreszcie skinęła siostrze głową i wyprostowawszy się, weszła do drugiej części namiotu.

Hałas był ogłuszający. Panie krzątały się wśród stołów, zabierając brudne talerze i rozkładając nową zastawę oraz sztucce. Nikt nie przejmował się tutaj etykietą. Chodziło wyłącznie o zebranie jak największej ilości pieniędzy, damy w fartuchach nie miały więc nic przeciwko temu, że zdarzało im się obsługiwać swoją służbę. Na Sarę nikt nie zwrócił uwagi.

Wypatrzyły Constance i Lucy. Sara chciała się do nich przyłączyć, ale Anne położyła rękę na jej ramieniu.

-- Jest z nimi matka Williama - powiedziała cicho.

Sara omiotła wzrokiem tamten stół i zobaczyła to, czego nie spostrzegła wcześniej. Lady Neville siedziała na wózku inwalidzkim i gestykułując, mówiła coś do Lucy i Constance. Uśmiechnęła się najpierw do jednej, potem do drugiej.

- Matka Williama przyłączyła się do prac kółka parafialnego i chociaż nie mogłabym powiedzieć, że się zaprzyjaźniłyśmy, to w każdym razie rozmawiamy ze sobą - wyjaśniła Anne. - Teraz, kiedy William nie żyje, lady Neville chyba żałuje, że sir Ivor go wydziedziczył, a mnie pozbawił dochodu.

Sara nie odpowiedziała na to ani słowem, ale nie zapomniała ani nie wybaczyła Neville'om okrucieństwa, z jakim odnosili się w swoim czasie do całej jej rodziny. Byli sąsiadami, ale równie dobrze mogliby mieszkać na drugim końcu Anglii.

Anne zerknęła na siostrę.

- Podejdziemy? Zniesiesz to *spotkanie*'?

Sara wiedziała, że spotkanie z matką Williama przerasta jej siły. Pokręciła głową.

- Kim jest ten przystojny dżentelmen, stojący obok niej? - spytała po chwili.

- To jest Beckett - odrzekła Anne. - Lokaj lady Neville. Ona nigdzie się bez niego nie rusza.

Beckett nie miał w sobie nic z lokaja. Był wyjątkowo przystojny, cały ubrany na czarno i spoglądał stanowczo zbyt śmiało. Zresztą również Constance przejawiała dużą śmiałość. W pewnej chwili Sara zauważyła, jak macocha upuszcza serwetkę. Constance schyliła się po nią jednocześnie z Beckettem. Gdy ich ręce pod stołem zetknęły się, oboje wymienili ciepłe uśmiechy.

Sara nie posiadała się z oburzenia. Lucy siedziała *tuż* obok matki, lecz na szczęście akurat słuchała lady Neville i nie zauważyła tego bezwstydneho zachowania.

- Oni są kochankami - zwróciła się Sara do siostry. - Są kochankami, prawda?

Anne wzruszyła ramionami.

- Nie wtrącaj się. Saro.

- Bądź pewna, że zamierzam położyć temu kres. Constance jest matką Lucy. Powinna być mądrzejsza.

- Nie miej do niej pretensji. - Anne zadrżały wargi. - Doskwiera jej samotność. A to nic jej wina, że jest piękna i budzi pożądanie mężczyzn. Daj jej spokój, Saro. Każdy musi żyć po swojemu.

W Sarze zrodziło się okropne podejrzenie. Kątem oka zerknęła na Anne. Wiedziała, że siostra jest bardzo nieszczęśliwa, i modliła się, żeby przypadkiem ten lokaj nie miał z tym nic wspólnego. Spróbowałyby się czegoś dowiedzieć, ale Anne już drugi raz ją napomniwała, żeby nie wtrącać się do cudzych spraw.

Lokaj lady Neville zauważył je. Śmiałym spojrzeniem dokładnie zmierzył Sarę i się uśmiechnął. Była jak lodowa rzeźba. Ze śmiechem pochylił się do lady Neville i szepnął jej coś do ucha. Zaraz potem popchnął jej wózek w kierunku wyjścia.

- Wygląda na to, że lady Neville także nie ma ochoty się ze mną spotkać - zauważyła Sara.

Lucy uśmiechnęła się radośnie, gdy przyrodnia siostra zajęła miejsce obok niej.

- Właśnie rozmawiałyśmy z lady Neville - powiedziała. - Czy znałaś jej córkę?

- Caroline- odrzekła Sara i skinęła głową, - Niezbyt dobrze. Ona była rok, a może dwa lata młodszą od Anne, poza tym Neville'owie nie zadawali się z towarzystwem ze Stoneleigh.

- Ona bardzo młodo umarła - włączyła się do rozmowy Anne. - Pamiętam, że ojciec woził ją do najlepszych lekarzy w Londynie i nic nie mogli jej pomóc.

- A propos sir Ivora. Czy jest tutaj? - zainteresowała się Sara. - Bo jeśli tak, to wołałabym jak najszybciej stąd iść.

- Ja też - powiedziała Lucy. - Nie lubię go. Kiedy na niego patrzę, dostaję gęsiej skórki.

- Lucy! - Constance trąciła palcem naszyjnik z pereł, który miała na szyi. - Co to za płóche szczebioty? Należ siostrom herbaty.

Sara odchyliła się na krzesło i zerknęła w stronę wyjścia. Pierwszy raz spotkała matkę Williama na jarmarku. Gdyby przewidziała obecność Neville'ów, nie odważyłaby się przyjechać.

Popatrzyła na Constance, Anne i Lucy. Wszystko wydawało się przebiegać zupełnie normalnie, a jednak odbierała jakieś niewidzialne prądy, których znaczenia nie rozumiała. Z pewnością nic miałyby takiego wrażenia, gdyby nie wywołali go lady Neville ze swym lokajem.

Co tu się działo, u licha?

Przy ich stole pojawił się Peter Fallon.

- Gdzie jest Max? - spytała Sara.

- Przepowiada przyszłość. - Zachichotał. - I wiedzą panie co? Naprawdę dobrze mu to idzie.

- Max przepowiada przyszłość? - Sara osłupiała. - Myślałam, że będzie tylko sprzedawał bilety.

Peter podsunął swoją filiżankę Lucy i poczekał, aż panna Streatham naleje mu herbaty.

- Miał to robić miejscowy lekarz, nie pamiętam, jak mu tam, ale wezwali go do pacjenta, więc lord Maxwell zajął jego miejsce. Przebrali go za Cygankę, nawet złote kolczyki mu dali. Nie poznałyby go panie.

Na chwilę zapadło milczenie, a potem wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Max podniósł wzrok znad kryształowej kuli i ujrzał Simona, który stał przy wejściu do namiotu z ironicznym uśmiechem na twarzy.

- Twoją przyszłość łatwo jest przepowiedzieć - rzekł Max. - Widzę wysokiego, jasnowłosego obcego, który wywrze głęboki wpływ na twoje losy. - Spojrzał w kryształową kulę. - Możesz mu to ułatwić albo utrudniać. Wybór należy do ciebie. - Podniósł głowę i wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Ale tak czy owak odmiana jest pewna, Simon.

Miejsce ironicznego uśmiechu na twarzy młodzieńca zastąpił posępny mars.

- Głupio pan wygląda w tej chustce na głowie i z kolczykami dyndającymi przy uszach!

- Naprawdę? Ale wcale nie czuję się głupio. Nie zdziwiłbym się, gdybym w poprzednim wcieleniu naprawdę był wróżem. Mam do tego talent. Wkrótce się przekonasz. Trzy pensy, proszę.

- Co?

- Nie przepowiadam przyszłości za darmo. Trzy pensy, proszę. Tylko nie myśl, że to jest cios poniżej pasa. Zbieramy pieniądze na szlachetny cel.

Simon wsadził rękę do kieszeni i odliczył trzy pensy, które Max dołożył do słoiczka, wypełnionego już po brzegi monetami.

- A skoro o ciosach mowa, to wkrótce zaczną się walki bokserskie - rzekł Simon.

Max wstał.

- Kto zajmie moje miejsce tutaj?

- Skąd mam wiedzieć?

- Nie mogę tak po prostu odejść! To jest mała kopalnia złota. Posłuchaj, zanieś ten słoiczek proboszczowi i powiedz mu, na czym polega kłopot. Jeśli nie uda mu się znaleźć nikogo, kto by mnie zastąpił, będzie musiał sam przepowiadać przyszłość. Dalej, biegnij. Ja tymczasem się przebiorę. Jak wrócisz, będę gotowy.

- Niech pan da ten skarbiec! - Simon wziął od Maksa słoiczek, zważył go w rękach i szybko wyszedł z namiotu.

Max ściągnął z głowy czerwoną chustę, a potem ostrożnie zdjął olbrzymie kolczyki. Szczerze żałował, że musi się z nimi rozstać,

Tylko popatrz - zwrócił się Max do Simona, gdy opuścili namiot wróżów. Wskazał długą kolejkę ludzi, którzy czekali na przepowiednię. - Zyskałem sławę. Kiedy zajmowałem miejsce doktora Trockle'a, stało tu zaledwie kilka osób. Nie wiem, co ludzie zrobią, kiedy usłyszą, że zmienił mnie proboszcz. Może nawet dojść do buntu.

- Niech sukcesy nie uderzają panu do głowy - zmiłogował go Simon. - To nie pański talent wróża ściągnął tutaj takie tłumy. Po prostu wszyscy chcą zobaczyć łowcę posagów, który omotał moją siostrę.

Max pokręcił głową.

- Wiesz, nigdy nie spotkałem takiej rodziny jak twoja. Nie chodzi mi tylko o Sarę. Wszyscy jesteście tacy sami. Myślicie wyłącznie o pieniądzech. Czy wy w ogóle nie umiecie się bawić? Przecież to nic nie kosztuje.

Simon spiorunował go wzrokiem.

- Łatwo panu tak mówić, skoro wszedł pan w posiadanie majątku mojego ojca.

Max przez chwilę przyglądał się chłopakowi.

- 'Sara nie wspomniała...

- O czym?

- Czy nie mówiła nic o intercyzie?

- Nie przy mnie. A dlaczego pan pyta?

Max nieznacznie się uśmiechnął.

- Myślałem...

- Co pan myślał?

- Myślę - Max uśmiechnął się znacznie szerzej niż przed chwilą - że twoja siostra ma szansę przejrzeć na oczy. Nawiasem mówiąc, gdzie ona się podziewa?

- Zmywa naczynia, bo skończył się poczęstunek.

- Sama? - spytał ostro Max.

Młodzieniec źle zrozumiał jego niepokój, a ponieważ bardzo go irytował dobry humor Maksa, rzekł złośliwie:

- Naturalnie nie sama. Jest z nią Drew Primrose. A wydawać by się mogło, że powinien zachowywać się rozsądniej, skoro Sara jest mężatką. - Osiągnął swój cel, bo Max raptownie zmienił się na twarzy.

- Miałem cię potraktować ulgowo - powiedział w końcu do uśmiechającego się kpiąco chłopaka. - Ale po tej ostatniej uwadze zmieniłem zdanie.

Simon ostentacyjnie wzruszył ramionami.

- Co, wszystkie chwytły dozwolone?

- Wszystkie chwytły dozwolone - potwierdził Max pęsepnie.

W milczeniu mijali budy, w większości już puste, bo handlarze wyprzedali towar. Tłumy zaczęły rzednąć, chociaż połykacz ognia i sztukmistrz wciąż mieli dużą klientelę. Jeszcze godzina, i jarmark się skończy, pozostanie tylko gigantyczne sprzątanie. Ale większość mężczyzn oglądała jeszcze ostatnią atrakcję: walki bokserskie.

Rozgrywały się tak daleko od kramów odwiedzanych przez damy, jak tylko było to możliwe na błoniach. Zresztą gdyby proboszcz postawił na swoim, boks w ogóle by nie było. Ale jarmark nie był imprezą kościelną. Zarządzali nim burmistrz i rada miejska, sami doświadczeni handlowcy, którzy doskonale wiedzieli, jak wyciągnąć od ludzi pieniądze.

Okolice ringu wygradzono linami, więc Simon zapłacił kasjerowi szylinga za siebie i Maksa, żeby wpuścić ich do środka.

- Sam - zwrócił się do kasjera. - To jest mój szwagier Max Worthe. - Zerknął na Maksa. - Sam jest u nas rzeźnikiem.

Max otaksował człowieka z małą twarzą, ubranego w brudny fartuch. Rzeźnik odwzajemnił mu się takim spojrzeniem, jakby widział przed sobą kawał wołowiny.

- I co, jak sądzisz? - spytał Simon.

Sam Weaver pokręcił głową.

- Daję mu jedną rundę, jeśli w ogóle się odważy.

Max obruszył się:

- Mój drogi panie...

Nie dokończył, bo Simon ujął go za ramię i pociągnął dalej.

- Jeśli zaraz nie stawimy się na miejsce, to nas zdyskwalifikują.

Nie słyszy pan? Tłum zaczyna się niecierpliwić.

Gdy Max przebił się przez ciżbę widzów, zobaczył platformę zbudowaną w taki sposób, żeby ludzie mogli dobrze widzieć, co się dzieje na ringu.

- To jest mój szwagier - powiedział Simon do mężczyzny, który najwyraźniej wszystkim tam kierował.

Maksa odhaczono na liście. Ucisnął dłoń Simonowi, życzył mu szczęścia, bo taki był zwyczaj, po czym rozebrał się do spodenek i butów. Wprawdzie miał nadzieję, że będzie mógł przeprowadzić rozgrzewkę, ale powiedziano mu, że nie ma na to czasu i wprowadzono go na ring.

I wtedy nagle wszystko stało się dla niego jasne.

- O, lord Maxwell we własnej osobie - powiedział jego przeciwnik ze złowrogim uśmiechem. - Co pan tu robi? Myślałem, że w Reading dostał pan swoją lekcję.

Spoglądał na niego z wysoka Mighty Jack Cleaver we własnej osobie. Maksowi zrzedła mina. Pomyślał o Simonie i zawrzał złością. Wiedział, że technicznie jest o niebo lepszy od Jacka Cleavera i mógłby go wypunktować jedną ręką. Niestety, ciosy nie robiły na tym osiłku najmniejszego wrażenia. Mięśnie miał jak z żelaza. Wystarczyło mu, że poczeka, aż przeciwnik się zmęczy, a potem zada jeden celny cios swoją pięścią i było po walce.

Simon wystawił go do wiatru.

Najlepiej byłoby wytłumaczyć, że zaszło wielkie nieporozumienie, i szybko się wycofać. Max wiedział, że jest to jedyne rozsądne wyjście. Tego z pewnością spodziewał się po nim Simon. Ale chłopak błędnie ocenił jego charakter. Teraz była to już sprawa honoru.

Max rozejrzał się po tłumie widzów i zobaczył obu braci w pierwszym rzędzie, tuż przy ringu. Martin ścisnął w dłoniach ręcznik, a Simon potrząsał butelką.

Ci dranie byli jego sekundantami.

Martin wydawał się zatroskany, skądinąd słusznie, za to jego brat pękał ze śmiechu. Max zazgrzytał zębami.

W tej chwili na ring wyszedł sędzia. Tłum wybuchnął entuzjazmem. Max i Mighty Jack wymienili uścisk dłoni i zajęły pozycje. Na komendę sędziego rozpoczęła się walka.

Martin zamknął oczy.

- Daj mi znać, kiedy będzie po wszystkim - powiedział do brata.

- Wielkie nieba! - krzyknął Simon. - Max właśnie trafił mistrza w dołek i nawet się nie skrzywił.

- Kto, Max?

- Nie, Mighty Jack. Trzeba przyznać Maksowi...! Martin, widziałeś? Widziałeś to? Max przyłożył mu... o, nie.

Martin otworzył oczy. Max leżał na deskach. Potrząsnął głową raz, drugi, potem dzwignął się na kolana i wreszcie wstał. Tłum oszalał.

Zwarli się znowu. Mighty Jack poruszał się po ringu jak wielki dąb, który z korzeniami wyrwał się z ziemi. Widać było, że Max jest dużo lepszym bokserem, ale w porównaniu z czempionem był jak sadzonka.

- Ale walka! - rzucił Simon i gwizdnął z wrażenia.

A potem Mighty Jack zadał potężny cios, Max zakręcił się jak bąk i poleciał do swojego rogu. Zdołał się podnieść i na szczęście dla niego skończyła się pierwsza runda.

Obaj bracia wskoczyli na ring. Maksowi leciała krew z nosa, ciężko dyszał. Simon wlał mu wody do ust, a tymczasem Martin ręcznikiem tamował krwawienie.

- W porządku, Max, dowiódł pan swego - powiedział Simon. - Nikt nie będzie się z pana śmiał, jeśli uzna pan się za pokonanego.

- Uznać się za pokonanego? Nigdy! - wyszczał Max przez zaciśnięte zęby. - Będę walczył, dopóki nie padnę.

Simon wyglądał tak, jakby się zaniepokoił, i to bardzo ucieszyło Maksa. Zamknął oczy i zaczął modlić się o cud.

- Ma pan morderczy prawy hak, Max. Czemu pan nie zaatakuje podbródka Mighty Jacka? - spytał Martin.

Max otworzył jedno oko i spojrzał ze złością na chłopaka.

- Bo nie mogę dosięgnąć, ot co — odparł.

Druga runda wyglądała nie lepiej niż pierwsza. Simon i Martin nie byli już zaniepokojeni, lecz śmiertelnie strwożeni. Max dyszał

jak stary miech. Słaniał się na nogach, krew płynęła mu z nosa i rozciętej wargi. Mimo to nie chciał się poddać,

Gdy wyszedł na ring do trzeciej rundy, tłum zamilkł. Czuł, że nogi się pod nim uginają, ale twardo trzymał gardę. Wszyscy wiedzieli, że Mighty Jack musi zadać jeszcze jeden, ostatni cios i walka się skończy.

Max wiedział to również. Stosował uniki i zwody, żeby nie nadzieć się na żelazną pięść, ale był już bardzo zmęczony i nie mógł porządnie skontrolować. Za to Mighty Jack w końcu trafił i Max znowu runął na deski. Wyglądało na to, że sędzia zakończy walkę, tłum zaczął buczeć, ale Max jeszcze raz się podźwignął.

Ktoś z widowni krzyknął:

- Trzymamy kciuki, wasza lordowska mość! Trzymamy kciuki! - Zawtórował mu dziki ryk reszty publiczności.

To rozproszyło na chwilę Mighty'ego Jacka. Max wykorzystał sytuację i zadał mu cios w szyję. Czempion cofnął się o krok, potrząsnął głową i odpowiedział uderzeniem od niechcenia, jakby dokuczała mu natrętna mucha. Max jeszcze raz upadł.

Simon chwycił brata za ramię.

- To już koniec. Tym razem musi być koniec. Dlaczego sędzia nie przerwie walki? Nie wstawaj, Max, nie wstawaj!

Ku jego bezbrzeżnemu przerażeniu Max ukląkł i jakoś zdołał wrócić do pozycji stojącej.

- Koniec rundy trzeciej! - zawołał sędzia mierzący czas i tłum zaczął wiwatować.

- Wygrał! - wrzasnął Simon. - Max wygrał!

Bracia objęli się i wyściskali, a potem wskoczyli na ring i podbiegli do Maksa.

Stał zamroczony. Nie bardzo wiedział, co się dzieje dookoła niego. Wytrzymał tylko trzy rundy i dobrze rozumiał, że to już koniec. Nie był w stanie nawet podnieść głowy, a co dopiero mówić o trzymaniu gardy.

Mighty Jack ścisnął mu dłoń i chwalił go, że twardy z niego przeciwnik. Simon i Martin wrzeszczeli mu do ucha, że jest jedynym człowiekiem w Stoneleigh, który wytrzymał trzy rundy z Mightym Jackiem. Dotarło też do niego, że wygrał suwerena. Ktoś uniósł jego ramię, a widzowie głośno wiwatowali. Nie mógł tego wszystkiego zrozumieć.

- Trzeba to uczcić! - krzyknął Simon.

Ściągnął surduty i zarzucił go na ramiona Maksowi.
Zwycięzca został jak należy zniesiony z ringu na rękach sekundantów. Za nimi szedł Mighty Jack.
Walka trwała pełne pięć minut.

Sara czekała na nich na podeście. Ramiona miała skrzyżowane na piersi, a minę bardzo srogą. Wszyscy leżeli już w łóżkach, a ona była w nocnej koszuli. Max wspierał się na ramionach obu Streathamów i przedstawiał żałosny widok. Policzek miał nabrzmiały, a wargę rozciętą. Szli we trzech jak szkolne łobuzy.

Wyczuła bijący od nich zapach alkoholu.

Na jej widok ożywienie panów w widoczny sposób przygasło. Sara bez słowa podeszła do drzwi sypialni i otworzyła je na oścież. Simon i Martin musieli wejść bokiem, żeby się zmieścić i nie puścić Maksa.

- Wygrałem suwerena, Saro - powiedział Maks. - Nie pytaj mnie za co, ale nagroda jest dla ciebie. Simon, daj jej suwerena.

Simon podał przyrodniej siostrze monetę, a ona odłożyła ją na stół bez słowa podziękowania i nawet na nią nie spojrzała.

- Zdaje się, że przywozłem drzewo do lasu - powiedziała Max. - • Po co suweren bogatej żonie?

Simon parsknął.

-- Nie patrz na nas takim złym wzrokiem, Saro - powiedział Martin. - Mieliliśmy małą uroczystość. Całe Stoneleigh zebrało się w zajeździe King's Head. Ale prawie nie piliśmy. Powiedz jej, Max.

- Prawie nie piliśmy - potwierdził Max.

Martin uśmiechnął się od ucha do ucha.

-- Max jest bohaterem w Stoneleigh. Max, powiedz jej.

- Jestem bohaterem. Au! Ostrożnie, Martin. To boli!

Sara wskazała im łoże i bracia z wielkim uszanowaniem złożyli tam Maksa, on jednak nie chciał leżeć.

- Czy ona często jest taka? - spytał braci. - Wiecie, milcząca i nadąsana. Skan i przerobienie pona.

Simon wybuchnął śmiechem.

- Nie. Zwykle nas poucza. Ale my jesteśmy tylko jej braćmi. Z tobą pewnie musi uważać.

- Wcale się nie dąsam - burknęła Sara, sprowokowana do odpowiedzi. - Tylko... tylko...

- Mów, mów - zachęcił ją mąż.

Z gniewną miną pomogła mu zdjąć surdut; nie zrobiła jednak tego delikatnie i Max jęknął.

Simon pociągnął ją za ramię.

- Ostrożnie, Saro. On dostał lanie, które dla większości ludzi byłoby śmiertelne. - Przypomniał sobie walkę i bardzo się tym podniecił. - Żałuj, że go nie widziałaś! Walczył z niebyle kim, z samym Mightym Jackiem Cleaverem! Ale dostał grzmoty. Byliśmy z Martinem przerażeni, bo zamiast zostać na deskach, dalej rwał się do walki. Nie rozumiesz, Saro? Max został zwycięzcą! Był jedynym człowiekiem w Stoneleigh, który wytrzymał trzy rundy z czempionem.

Sara wyglądała tak, jakby w każdej chwili mogła się rozpłakać.

- Och, Max - powiedziała. - Co ci nieznośni chłopcy ci zrobili? Czy to sprawka Simona? - Uklękła przy mężu i popatrzyła na jego poobijaną twarz. - Wiem. Myślałeś, że będziesz walczył z Simonem.

Słyszac to, młodzieniec spurpurowiał na twarzy.

- To nie była jego wina - rzekł Max. - Czy możemy rozmowę o tym przełożyć na później? Potrzebuję pomocy przy rozbieraniu. Chcę wziąć ciepłą kąpiel, a potem wypić dużą brandy, żeby nie myśleć o tym, co mnie boli. - Popatrzył na żonę. - Saro, pomóż mi.

- Och, Max. - Pociągnęła nosem, a potem schyliła się, żeby zdjąć mu but. Wzdrygnęła się, gdy przy okazji zobaczyła jego knykcie. Były poobcierane do żywego mięsa. - Och, Max, Max - powtórzyła cicho. Przytuliła jego dłonie do policzków i spojrzała na niego zasmucona.

Obdarzył ją swym specjalnym uśmiechem, od którego zawsze topniało jej serce.

Simon dźgnął brata łokciem.

- Chodźmy stąd - szepnął.

Martin skinął głową.

- Za dużo słodczy jak na mój gust.

Na palcach podeszli do drzwi. Martin wyślizgnął się na korytarz, ale jego brat jeszcze się odwrócił.

- Max... - Urwał i odchrząknął. - Zastanawiałem się, czy mógłbyś... Chciałem powiedzieć, że kiedy dojdiesz do siebie, to byłbym ci bardzo wdzięczny, gdybyś pojechał ze mną na przejażdżkę i pozwolił mi dosiąść Arrogance'a.

- Bardzo chętnie - cicho odparł Max.

Gdy drzwi się zamknęły, Sara spytała:

- O co tu chodziło?
- Myślę, że twój brat właśnie mnie przeprosił.
Sara zaczęła mu zzuwać buty.
- Nie słyszałam słowa „przepraszam”.
- Och, co tam. Mężczyźni mają inne sposoby przeproszania niż kobiety. - Zobaczył, że żona już poradziła sobie z pierwszym butem. - Zrobiłaś to tak szybko jak stajenny.
- Mam dwóch młodszych braci - powiedziała, jakby to wszystko wyjaśniało.

Maksowi rzeczywiście dużo wyjaśniło.
- Których bardzo kochasz - dodał.
- Naturalnie. Uwielbiam ich. Ale to nie znaczy, że jestem ślepa na ich wady.

Śmiech Maksa szybko zamienił się w jęk. Sara natychmiast stężała.

- Czy byłam nieuważna?
- Nie, nie. Wszystko jest dobrze, chociaż szklaneczka brandy bardzo by mi pomogła.

Zdjęła mu drugi but i poszła do jego pokoju po brandy. Gdy wróciła, Max siedział w łóżku, oparty plecami o poduszki. Twarz miał znacznie bledszą niż chwilę wcześniej.

- Poślę po doktora - powiedziała natychmiast.
- Nie. - Wziął od niej szklaneczkę i ostrożnie upił trochę alkoholu, a potem powiedział: - Nie byłby zadowolony, gdybyś go wezwała tylko po to, by mógł stwierdzić, że nic mi nie jest, a w każdym razie nic, czego nie wyleczyłby zdrowy sen. Wierz mi, Saro. Stoczyłem wiele walk i wiem, że nie mam żadnych uszkodzeń ciała, które byłyby niebezpieczne. - Uśmiechnął się do niej od ucha do ucha. - Poprzednim razem wytrzymałem z Mightym Jackiem tylko dwie rundy. Widocznie nabieram rutyny.

Sara miała bardzo kwaśną minę. Przez cały czas łyzy cisnęły jej się do oczu. Nie chciała oglądać męża w takim stanie, zbitego na kwaśne jabłko. Ale sam był sobie winien. Przecież nikt nie zmusił go do walki wbrew jego woli. A on w zasadzie powiedział jej, że zrobiłby to samo jeszcze raz.

Postanowiła do tego nie dopuścić, jeśli tylko będzie to w jej mocy. Ale teraz nie miała ochoty się o to wykłócać. Max sprawiał bowiem wrażenie tak słabego i bezbronnego.

- Zadzwoń na Artura, żeby przygotował ci kąpiel - powiedziała.

- To dobry pomysł.

Gdy wróciła do łóża, Max wyciągnął przed siebie szklaneczkę. Prawie nie tknął brandy. Wzięła od niego naczynie i odstawiła na stół. Zamknęła oczy.

- Drew Primrose był potem w King's Head- odezwał się. - Powiedział, że nie dałaś mu intercyzy, którą kazałaś mi podpisać. Czy to znaczy, że jeszcze się nad tym zastanawiasz?

Przez chwilę zwlekała z odpowiedzią.

- Może - powiedziała w końcu.

- Cieszę się, bo ta intercyza tylko zrujnowałaby twoją rodzinę. Dużo o tym myślałem i mam już własne poglądy na to, co jest dla nich najlepsze. Czy chciałabyś usłyszeć jakie?

Usiadła na krawędzi łóża.

- Znasz ich dopiero kilka tygodni, Max.

- To znaczy, że widzę wszystko ostrzej niż ty.

Szczerze w to wątpiła, ale była ciekawa, co wymyślił.

- Dobrze. Mów.

Nie potrzebował więcej zachęt.

- Zacznijmy od twoich braci. Są tacy, jak wszyscy młodzi ludzie w ich wieku. Będziemy przez nich mieli wiele bezsensownych nocy, póki się nie ustatkują. Ale zanim spróbujemy im w tym pomóc, poczekajmy, aż zdecydują, co chcą zrobić ze swoim życiem. - Ziewnął. - Poza tym, jeśli o nich chodzi, to zmieść Martinowi college w Oksfordzie. On w tej chwili za bardzo naśladuje brata. A tak będą mogli się widywać, ale Martin znajdzie sobie odrębny krąg przyjaciół. Musi się nauczyć stać na własnych nogach. Naturalnie przedyskutujemy z *nim tę sprawę*, ale sądzę, że teraz mnie posłucha. - Znowu szeroko uśmiechnął się do żony. - To będzie moja nagroda za lanie od Mighty'ego Jacka.

Dotknął czubkami palców policzka Sary, a gdy je cofnął, były wilgotne.

- Co ja znowu takiego powiedziałem? - spytał skonsternowany.

- Nie wiem. - Otarła oczy rękawem sukni. - Nie rozumiem, dlaczego leje mi się ciurkiem z oczu.

- Gdybym ja musiał opiekować się tą rodziną tyle lat co ty, to wprawdzie nie lałoby mi się ciurkiem z oczu, ale szybko bym oszalał.

Nagrodził go chichot przez łyzy. Pogłaskał Sarę po głowie.

- Nie jesteś już sama - oświadczył uroczyście. - Jestem z tobą. Jestem twoim mężem. Nie odgradzaj się ode mnie. Ani teraz, ani nigdy.

Sara wróciła do rzeczywistości. Pochyliła głowę, żeby Max nie mógł wyczytać niczego z jej twarzy. On jednak delikatnie przesunął jej palce na policzek, a potem ujął ją pod brodę, tak że musiała spojrzeć mu w oczy.

- Co się stało? - spytał cicho.

- Myślałam o Constance - odrzekła.

- Ach, o Constance. Ona ma rację. Sezon w Londynie byłby dobry nie tylko dla Lucy, lecz również dla niej. Jest samotna i dlatego zagraża nie tylko sobie, lecz również wszystkim mężczyznom w Stoneleigh.

- Myślisz, że o tym nie wiem - zaperzyła się Sara.

- Ona jest samotna - powtórzył cicho Max. - Taka kobieta potrzebuje męża. Jako mężatka będzie dużo szczęśliwsza i my też.

Sara westchnęła.

- To nie jest takie proste. Nie mamy znajomości w Londynie, a nawet gdybyśmy mieli, to kto poślubi kobietę o nazwisku Carstairs?

- Ja poślubiłem.

Zachichotała.

- Tak, ale...

Uciszył ją skinieniem dłoni.

- Mam przyjaciół w Londynie. Ale nie zajmujmy się teraz szczegółami. Skoro wiemy, na czym polega problem, możemy znaleźć rozwiązanie. Natomiast wydaje mi się, że pieniądze nie rozwiążą problemów twojej rodziny.

- Nigdy nie twierdziłam, że tak by było. I nigdy nie sądziłam, że pieniądze mogą wszystko załatwić. Owszem, chciałam chronić Anne, lecz zamierzałam również wypełnić wolę umierającego ojca. To wszystko.

Ujął ją za rękę i splełli palce.

- Wywiązałaś się z obowiązku, bo mnie poślubiłaś. Ojciec ufał twojemu osądowi sytuacji. Dlatego w testamencie pozwolił na to, by po twoim ślubie pełnomocnik przestał zarządzać kapitałem. Teraz my dwoje decydujemy o tym, w jaki sposób najlepiej można zaopiekować się twoją rodziną.

Sara uśmiechnęła się do męża.

- Pamiętam, że tamtej nocy w Reading myślałam o tym, jakim jesteś zycziwym i dobrym człowiekiem. Chyba muszę mieć anioła stróża i to on przysłał cię wtedy do niewłaściwego pokoju.

- A ja pamiętam, jak myślałem, że los się do mnie uśmiechnął i że jeśli z tego nie skorzystam, to już zawsze będę się zastanawiał, co straciłem.

Pochyliła się nad nim i ich wargi się zetknęły, ale gdy położyła dłoń na jego torsie, wzdrygnął się, więc zaraz cofnęła rękę.

- Przyznaj, Saro, że jestem twoim najwspanialszym darem losu.

- Nie przeczę, ale...

- Ale co?

Wcale nie była pewna, czy ona jest najwspanialszym darem losu dla niego.

- Chciałabym, żeby Anne była tak samo szczęśliwa jak ja.

- Gdyby udało nam się rozwikłać zagadkę Williama, to sądzę, że byłaby szczęśliwa, a w każdym razie na pewno zaznałaby spokoju.

- Myślałam, że zapomnimy o Williamie. Powiedziałaś, zdaje się, że już nie jesteś zainteresowany artykułem dla swojej gazety.

Powieki same mu opadały, dlatego nie zauważył błysku łęku w oczach Sary.

- Myślę o nas - sprostował, ziewając. - Nie chcę, żeby William rzucił cię na nasze życie. Znajdziemy go, Saro, a przynajmniej spróbujemy.

Przesłał jej senny uśmiech i ostrożnie ułożył się na boku.

- Kiedy wreszcie to wyznasz, Saro?

Przeszył ją dreszcz.

- Co?

- Że mnie kochasz. Wtedy ja wyznam... - Westchnął.

Stała i patrzyła na niego, a serce biło jej tak mocno, że wyrывało się z piersi.

Rozległo się pukanie, więc podeszła do drzwi. To był lokaj Artur. Odesłała go z powrotem. Max spał i nie chciała, żeby się zbudził. Nie chciała, żeby dokończył ostatniego zdania, ponieważ nie wiedziała, co by mu wtedy odpowiedziała.

Przykryła go puchową pierzyną, a sama usadowiła się na jednym z foteli. Ale chociaż próbowała ze wszystkich sił zasnąć, sen nie nadchodził.

Przez następne dni po Sarze nie było widać rozterek, jakie przeżywała, a im bardziej cierpiała z ich powodu, tym wydawała się spokojniejsza i cichsza. Żyła w świecie marzeń, pozwalała unosić się myślom, ale to dryfowanie nieraz kończyło się na skałach.

Problem Williama nie został zakończony. Max by na to nie pozwolił. Był zdecydowany oczyścić jej imię. Nie miała więc wyboru, musiała przygotować się na to, co miała zastać we wdowim domku. Postanowiła jednak iść tam bez Maksa, ponieważ nie jej skóra była w tym wszystkim najważniejsza.

Zaszła też nieprzewidziana komplikacja. Sara zrozumiała, że zakochała się w Maksie. A miłość, jak się okazało, jest bolesna. Sara miała na swoim koncie błędy, poważne błędy, nie życzyła sobie jednak, by ktokolwiek oprócz niej za nie płacił. Gdyby jej najgorsze przecucia miały się sprawdzić, była gotowa ponieść karę, nawet jeśli by oznaczało to dla niej utratę Maksa. Nie mogła splamić jego imienia.

Starannie wszystko zaplanowała. Zaczęła od zdobycia drugiego pistoletu na miejsce zgubionego i przysięgła sobie, że tym razem nie ucieknie, jeśli ktoś ją napadnie. Potem sprawdziła zapas laudanum w apteczce i stwierdziła, że jest go tam aż nadto dla jej potrzeb. Wreszcie poleciła uprzątnąć wdowi domek z gruzu i zwalonych belek. Powiedziała Drew, że zatrudniła budowniczego, który przyjrzy się wypalonemu szkieletowi domu i wyda opinię, czy warto go odbudować. A teren kazała uprzątnąć, żeby uniknąć wypadku, kiedy będą tam się kręcić robotnicy.

Praca zaczęła się jeszcze tego dnia, Sara tymczasem bardzo się ożywiła. Chodziła na nabożeństwa do kościoła, odwiedzała miejscowe sklepy, spędzała czas z Maksem, który dochodził do zdrowia. Wszystko to jednak było obliczone jedynie na przeczekanie do zakończenia prac we wdowim domku.

Już w dzień po jarmarku Max zorientował się, że z żoną coś jest nie tak. Wprawdzie nie mógł wstać z łóża i tego sprawdzić, ale gdy Sara przychodziła mu poczytać albo zjeść razem z nim obiad w pokoju, to chociaż traktowała go bardzo miło, wyraz jej twarzy wszystko zdradzał. Była o wiele za spokojna i za bardzo ugrzecznioma. Zamknęła się w swojej skorupie, odgrodziła od niego. Zdawało mu się, że rozumie, jaka jest tego przyczyna. Sara lękała się swoich uczuć, bała się przyznać przed sobą, że go kocha, bo to oznaczałoby jej słabość. Max bardzo tego żałował. On też nie szukał miłości, ale gdy pojawiła się niespodziewanie, wcale nie narzekał. Uznał, że tak musi być. Sarze mogło się wydawać, że potrafi utrzymać go na dystans, Max wiedział jednak, że gdy tylko odzyska siły, udowodni jej, jak grubo się omyliła.

Stopniowo zaczynał jednak rozumieć, że chodzi nie tylko o to. Jeden z robotników znalazł pistolet przy ścieżce prowadzącej do wdowiego domku, a lokaj przyniósł broń „panu”. Powiedział wtedy, że jest to pistolet Samuela Carstairsa. Nikt nie wiedział, skąd się wzięła broń w pobliżu wdowiego domku, ale Max długo rozmyślał nad zdarzeniami, które zaszły w noc napadu na Sarę, i powoli zaczął kojarzyć fakty.

Jego podejrzения nasiliły się jeszcze, gdy żona zaproponowała, żeby dla zwykłej wygody wrócił do swojego pokoju. A gdy robotnicy zaczęli sprzątać wdowi domek, nabrał absolutnej pewności.

Petera Fallona nie było cztery dni. Wracając z podróży, spotkał przed frontowymi schodami Longfield Maksa, który wyszedł mu na powitanie ze szklaneczką brandy w jednej ręce i cygarem w drugiej. Było już późno, dookoła paliły się świece. Gdy lokaje wnosili bagaże do domu, Peter wziął świecę i poszedł z Maksem do swego zaimprovizowanego gabinetu. Z salonu na górze dobiegły ich dźwięki fortepianu. Ktoś grał bardzo motoryczny utwór. Scarlatti, pomyślał Peter, ale nagle muzyka się urwała.

Po krótkiej chwili przyjacielskiej rozmowy przeszedł do rzeczy:

- Na ile mogę ustalić, Drew Primrose nie był w Bristolu tej nocy, gdy zniknął William Neville. Pytałem w hotelu, w którym rzekomo się zatrzymał, pytałem klientów, z którymi rzekomo miał się spotkać. Owszem, odbył wspomnianą rozmowę w Bristolu, ale dzień później, niż podał.

- A ze Stoneleigh do Bristolu można dojechać w ciągu jednego dnia - dodał Max. Rysował ołówkiem zawiłe ornamenty na kartce papieru.

Peter przyglądał mu się przez chwilę.

- Coś takiego! - zdumiał się. - Wysłał mnie pan do Bristolu, żebym sprawdził alibi Drew Primrose'a, a kiedy mówię panu, że alibi jest fałszywe, to wcale nie jest pan tym zainteresowany?

Max podniósł głowę.

- Jestem zainteresowany. Bardzo zainteresowany.

- A może jeszcze marnie się pan czuje?

- Już odzyskałem siły po walce, jeśli o to ci chodzi.

- Niech będzie. Ale mało jest w panu życia. Co się stało?

Max uśmiechnął się, ale jego głos brzmiał ponuro.

- Różne drobiazgi, które złożyły się w całość. Wiesz, Peter, sądzę, że dzisiejszego wieczoru będziemy mieli przesilenie. Na szczęście wróciłeś, więc będziesz dla mnie nieocenioną pomocą.

- Jak mogę panu pomóc?

Max wyjaśnił mu to w kilku krótkich zdaniach, a polem wstał. Peter próbował opanować się po szoku, jakiego doznał, słuchając chlebobdawcy, i wtedy Max wstrząsnął nim jeszcze bardziej.

- Aha, i nie pij tej brandy. - Wskazał nietkniętą szklaneczkę z alkoholem, którą postawił na biurku Petera. - Dała mi ją moja żona. Ten trunek jest nafaszerowany laudanum.

Z trudem ukrył głęboką urazę. Byli z Sarą mężem i żoną, byli kochankami. Bez wahania oddawała mu swoje piękne ciało. Ale jej serce nie należało do niego. Max zresztą szczerze wątpił, czy Sara w ogóle ma serce.

Próbował ją tłumaczyć i wiedział, że niektóre z tych usprawiedliwień są uzasadnione. Sarę nauczyła ostrożności twarda szkoła życia. Nie przetrwałaby, gdyby była zanadto ufna, a w przeszłości miała poważny powód, by mu nie ufać. Ale powinna wiedzieć, że odkąd zostali kochankami, tamto nie miało już znaczenia. I nie

miało, dopóki nie zażyczył sobie, by mu powiedziała, że go kocha. Wtedy nagle wyrósł między nimi mur. Sara zmarnowała coś niesłychanie cennego.

Musiała go mieć za głupca, który nie wie, ile jest dwa dodać dwa. Najwyraźniej zupełnie nic rozumiała, że William Neville wcale go nie interesuje. Jemu chodziło tylko o to, by ją chronić. Ale ona ciągle widziała w nim zagrożenie dla swojej ukochanej rodzinki.

Chyba rzeczywiście był głupcem, bo wybaczyłby jej wszystko, dosłownie wszystko... gdyby nie dała mu z uśmiechem na twarzy tej szklaneczki brandy, w której uczeń wyczułby dziwny smak.

Max upił malutki łyżeczek i natychmiast wyszedł z salonu, bo kusiło go, by udusić żonę.

Było oczywiste, że postanowiła unieszkodliwić go za pomocą laudanum, a potem wybrać się do wdowiego domku. On jednak postanowił złapać ją na gorącym uczynku i tym razem pod żadnym pozorem nie pozwolić jej na uniki i półprawdy.

Najpierw poszedł do swojego pokoju, którego używał tylko jako przechowalni rzeczy. Gdyby wcześniej skorzystał z pozornie niewinnej sugestii żony i zaczął tam sypiać, żeby móc palić cygara zawsze, kiedy przyjdzie mu na to ochota, zapewne Sara oszczędziłaby mu laudanum. Do diabła z jej kręactwami!

Znalazł drugą szklaneczkę, taką samą jak ta, którą przyniosła mu żona, i nalał do niej tyle brandy, by przekonać Sarę, że wypił sporo jej diabelskiej mikstury. Gdy wracał do sypialni żony, czuł, że jest bliski wybuchu.

Sara siedziała przy toalecie w nocnej koszuli i szlafroku i szczotkowała włosy. Wyglądała tak krucho jak porcelanowa figurka. Ale Max nie wierzył już swoim oczom. Wiedział, że jest twarda jak lód.

Cicho zamknął za sobą drzwi i podszedł do żony. Przyjrzała się w lustrze, jak upija długi łyk brandy ze szklaneczki, którą przyniósł z sobą.

- Tak nagle wyszedłeś z salonu - powiedziała.

- Chciałem zapalić cygaro. Masz piękne włosy. Czy mogę ci pomóc?

Odstawił szklaneczkę i wziął od Sary szczotkę. Pomyślała, że

jakoś się zmienił. Z tymi płowymi włosami wyglądał jak senny lew. I z pewnością był równie nieobliczalny. Zerknąwszy na szklaneczkę brandy, zaczęła się zastanawiać, czy może to być skutek laudanum.

Ich oczy spotkały się w lustrze. Max bynajmniej nie szczotkował jej włosów. Zanurzał w nich palce i burzył je, by powstał zmysłowy nieład.

- Nie kochaliśmy się kilka dni - powiedział.

- Nie. - Głośno nabrała tchu. - Brakowało ci tego?

Zaczął szczotkować jej włosy.

- Naturalnie. Jesteś niezrównana, kochanie. Jeszcze nigdy nie miałem w łóżu tak czulej i namiętnej kobiety, a ta pochwała o czymś świadczy. - Odłożył szczotkę i sięgnął po szklaneczkę.

- Max, nie powinieneś już chyba pić więcej brandy. Jesteś zupełnie jak nie ty.

Unióś szklaneczkę do ust i przechylił ją. Uśmiechnął się do żony, ale nie był to jej ulubiony uśmiech, raczej grymas, w którym kryło się coś okrutnego.

- Wiesz, jak się mówi. *In vino veritas*.

Odstawił szklaneczkę, przyciągnął Sarę do siebie, a gdy siedziała już u niego na kolanach, ujął jej twarz.

- Wiesz, co myślę, Saro?

Pokręciła głową. Ogarniał ją lęk.

- Myślę... -język zaczął mu się plątać - myślę, że miłość jest powszechnie przeceniana, nie sądzisz?

Z trudem przełknęła ślinę.

- Nie zastanawiałam się nad tym.

- Weźmy nas, na przykład. I tę pierwszą noc w Reading. Nie znaliśmy się wtedy. To nie była miłość, lecz czysto fizyczny pociąg. Pamiętam, jak bardzo pragnąłem uczynić cię moją kochanką. Jak to się, u licha, stało, że wzięliśmy ślub?

- Powiedziałeś... - Całkiem zaszczoła jej w gardle. - Powiedziałeś, że miałeś takie wrażenie, jakby los się do ciebie uśmiechnął.

- Czyżby? Pewnie ze zwykłej galanterii. - Zachichotał. - O, umiem być czarujący, kiedy chcę. Ty też, kochanie.

Czuła się tak, jakby ostry kawałek szkła rozdzierał jej serce. Max nie był sobą. Widocznie laudanum rozwiązało mu język. Ale przecież nie mówiłby takich okropności, gdyby nie miał ich w głowie.

Zsunęła mu się z kolan, wstała i spojrzała mężowi w oczy. Wiedziała, że za kilka minut Max uśnie. Wystarczyło ściągnąć go do łóża. Skoro zaszli w grze tak daleko, nie mogła pozwolić, by urażona duma przeszkodziła jej w planach.

Podeszła krok bliżej i zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Weź mnie, Max - szepnęła ochryple. - Chodźmy do łóża, weź mnie.

W tej chwili we wnętrzu Maksa coś umarło. Sara powinna była uderzyć go w twarz za te obelgi, wyrzucić z pokoju, a ona tymczasem zniżyła się do poziomu ładacznicy.

Nie miał zamiaru ciągnąć tej gry dalej. Powinien szeroko ziewnąć, zatoczyć się na łóżko i zostawić sprawy ich własnemu biegowi. Ale owaładnęła nim chęć odpłacenia Sarze pięknym za nadobne. Dlatego gdy poczuł dotyk jej warg, zamknął ją w miążdżącym uścisku.

Jego usta były gorące, twarde i bezwzględne. Sara spodziewała się czegoś zupełnie innego. Tymczasem wcale go nie uśpiła. Narkotyk wyzwolił w nim dzikość, o której istnieniu dotąd nie miała pojęcia.

Bezwładnie poddała się Maksowi, sądząc, że go w ten sposób ułagodzi, ale on już przesunął usta niżej i dotarł do wzgórków piersi. Zdecydowanym ruchem rozchylił poły szlafroka, a potem w ogóle zsunął go na podłogę.

- Popatrz na siebie - powiedział. - Czekasz na mnie.

Objął jej piersi, a potem zaczął drażnić sutki wargami, językiem i zębami. Sarę przeszył dreszcz.

Znowu pocałował ją w usta. Wdarł się językiem głęboko, cofnął go, by po chwili znów wrócić. Nigdy nie wyobrażała sobie, że tak może wyglądać pocałunek. Wszędzie czuła dłonie Maksa, które dotykały jej, poznawały ją, dokonywały coraz to nowych podbojów. Sara tylko cicho wdychała.

Nie przerywając pocałunku, Max wziął ją na ręce i zaniósł do łóża. Dziś nie było w nim czułości ani chęci dawania. Sara pomyślała, że tak prymitywne pożądanie powinno w niej budzić lęk. Była jednak daleka od lęku. I w niej odezwała się struna, z której istnienia nigdy nie zdawała sobie sprawy.

Nie знаła jeszcze takiego Maksa w łóżu. Tym razem zażądał całkowitej władzy nad jej ciałem. Ale w niej obudziło to uspiiony instynkt. Max nie udawał skromności, a ona nie czuła wstydu. On

miał ją całą dla siebie, dla swych dłoni i ust, a ona po prostu poddała się rozkoszy.

Zrzucił ubranie i ukląkł nad Sarą. Spojrzała nań, oszołomiona gwałtownością swych doznań. Gdy ich oczy się spotkały, zauważyła wahanie męża.

- Max?

- Nie psujmy tego słowami - odparł schrypniętym głosem.

Na chwilę rysy mu zmiękły, a twarz jakby posmutniała.

- Mój Boże - szepnął. - Co ja robię?

Nagle odwrócił się i opadł na pościel po drugiej stronie łóżka. Leżąc plecami do niej, próbował uspokoić chrapliwy oddech.

Nie spojrzał na Sarę.

- Przepraszam - powiedział. - Żaden mężczyzna nie powinien zachowywać się tak bezwstydnie wobec żony. Nie wiem, co mnie naszło.

Sara poczuła straszną gorycz. Tymi słowami Max zamienił ich piękne, wspólne przeżycie w coś brudnego, złego. Zawstydził ją.

- To... to przez brandy - szepnęła.

Westchnął i okrył się kołdrą.

- Czy przez brandy? Nie wiem.

Ona również odwróciła się plecami do niego po swojej stronie łóżka. To przez laudanum, pomyślała, ale przecież ona nie wzięła laudanum i nie piła brandy. Jak- więc mogła tłumaczyć własne reakcje?

Leżała w ciszy i nasłuchiwała. Narkotyk zaczynał działać. Oddech Maksy wyrównał się i uspokoił. Odczekała jeszcze, aż i ona odzyska spokój, potem ostrożnie wstała z łóżka i zaczęła się ubierać.

Gdy ukradkiem wyślizgnęła się z sypialni, Max jednym skokiem zerwał się z łóżka. Ubrał się w koszulę, spodnie, włożył surdut i chwycił buty. Wypadł na korytarz, ale na podeście schodów przystanął i zaczął nasłuchiwać. Tak jak przypuszczał, Sara wybrała schody dla służby. Musiała stracić na tym trochę czasu, Max bowiem przewidująco zamknął tylne drzwi na klucz. Dzięki temu mógł ją teraz wyprzedzić.

Na dworze szybko naciągnął buty. Z mroku wyłonił się Peter Fallon.

- Wszystko gotowe? - spytał Max.

- Nie czuję się pewnie z bronią. - Peter wyciągnął przed siebie pistolet, który dał mu chlebowdawca.
- Więc lepiej uważaj - poradził mu Max. - Sara będzie uzbrojona, a założę się, że wie, jak strzelać.
- Mogłaby mnie zabić? - spytał niedowierzająco Peter.
- Na pewno by tego nie zrobiła, gdyby wiedziała, że to ty. Ale w ciemności niewiele widać. Pamiętaj, masz za nią iść i pilnować, żeby nic złego jej się nie stało. Nie wchodzi do domku. Czekaj na zewnątrz, póki cię nie zawołam.
- Czy jest pan pewien, że ona idzie do wdowiego domku?
- Absolutnie pewien - odrzekł Max.

Sara weszła do środka tak bezszelestnie, że omal nie oświetliła go latarnią. Stał niedaleko wejścia, za masywną belką, która podtrzymywała jeszcze istniejącą część dachu. Miał rację co do pistoletu. Gdy go mijają, zauważył, jak coś błysnęło w jej dłoni.

Odwróciła głowę, więc szybko schował się przed jej wzrokiem. Była bardzo ostrożna, rozglądała się na prawo i lewo, by zdobyć pewność, że nikt za nią nie szedł. Większość kobiet bałaby się wyjść samotnie w nocy, zwłaszcza gdyby ktoś je niedawno napadł. Widocznie jednak Sara uważała, że gra jest warta świeczki.

Wiedział, po co tu przyszła. W domku znajdowała się dziupla, dawna kryjówka duchownych, w której łatwo można zmieścić, na przykład, zwłoki. Ale Max nie miał pojęcia, gdzie szukać wejścia do dziupli. Dokładnie zbadał wszystkie zakamarki domku, ciągnął za wszystkie wystające metalowe części, próbował obracać ozdobne cegły. Szukał kłapy w podłodze. Na próżno.

Bez Sary nie miał szans na znalezienie wejścia.

Przeżył trudne chwile, gdy na pewien czas stracił ją z oczu. Znikła w głębi domku. Postanowił poczekać jeszcze minutę lub dwie, a potem ruszyć za nią. Ale była tam znacznie krócej. To też stanowiło środek ostrożności. Chciała być absolutnie pewna, że nikt jej nie śledzi.,

Potem podeszła do wielkiego kamiennego kominka z wnękami po obu stronach. Odłożyła latarnię i pistolet. Max poczuł pulsowanie krwi w żyłach. Gdy przeszukiwał domek, kominek interesował go najbardziej. Wydawał się logicznym miejscem. Ale szczęście mu nie dopisało. Nie znalazł niczego podejrzanego, jeśli nie liczyć

ozdobnych cegieł, wystających ze ścian wysoko we wnękach. Owszem, próbował nimi poruszyć, ale bez rezultatu, ogarnęło go więc zniechęcenie.

Sara weszła do wnęki po lewej stronie kominka. Max nie rozumiał, co się dzieje. Wyglądało to tak, jakby wspinała się na ścianę. Chyba oszalała. Niechybnie musiało się to skończyć upadkiem. Ale Sara znalazła uchwyt. Rozległ się metaliczny zgrzyt i tępy łoskot, a ona zeskoczyła na posadzkę.

A więc to tak, pomyślał Max. To nie jedna czynność uruchamiała mechanizm. Trzeba było nastąpić na określoną cegłę, chwilę poczekać i dopiero wtedy obrócić ozdobną cegłę u góry. Pomysłowe. Nic dziwnego, że ani jemu, ani policji nie udało się odkryć wejścia.

Przyszedł czas się ujawnić. Sara nie miała jeszcze pistoletu w dłoni.

- Dobry wieczór powiedział, stając w kręgu światła.

Musiał przyznać, że żona ma mocne nerwy. A może po prostu zmartwiała jak przerażony królik.

- To ja, Max - powiedział i bardzo powoli zaczął do niej podchodzić.

Wciąż stała nieruchomo. Ale im był bliżej, tym lepiej widział grę uczuć w jej oczach: najpierw zdumienie, potem strach i wreszcie niezłomne opanowanie, które zawsze go niepokoiło.

Dumnie uniosła głowę.

- Nie wypiliśmy brandy, którą ci dałam?

- Masz na myśli laudanum. - Nie potrafił ukryć goryczy. - Nie, nie wypiliśmy.

Na chwilę spuściła wzrok.

- To znaczy, że chciałeś mnie upokorzyć. Laudanum nie ma z tym nic wspólnego.

Może nawet zawstydziłby się, gdyby nie kipiał w nim gniew, że Sara próbowała go uspić. Prawdopodobnie uraził jej dumę, ale jego duma została po prostu starta w proch.

- Zastanawiałem się, jak daleko jesteś gotowa się posunąć, żeby zatrzymać mnie w sypialni. - Skłonił się przed nią z zamiarzoną przesadą. - Nawet ja nie spodziewałem się, Sara, że aż tak daleko. Co mogę powiedzieć nic oprócz tego, że wobec twojej gorliwości zapomniałem nawet o szacunku, jaki należy się ode mnie żonie?

Uniosła brwi.

- To znaczy, że na próżno się poświęciłam.

Ta pogardliwa riposta była bardzo bolesna, ale Max uznał, że dość już kłótni. Schował pistolet do kieszeni. Potem obejrzał kominek, ale nie dostrzegł wejścia do kryjówki.

- Gdzie to jest, Saro? - spytał.

Spuściła głowę.

- Z drugiej strony kominka. Ale zanim tam wejdiesz, chcę wyznać, że to ja zabiłam Williama Neville'a. Rozumiesz? Ja i nikt inny.

Twarz Maksa ani drgnęła.

- Rozumiem więcej, niż ci się zdaje. - Wziął do ręki latarnię. - Tylko nie próbuj uciekać.

Zaśmiała się nieszczerze.

- Gdzie mogłabym uciec, żeby „Courier” mnie nie znalazł? Powinieneś być z siebie dumny, Max. Przysiągłeś, że znajdziesz miejsce ostatniego spoczynku Williama Neville'a i udało ci się.

- *Saro...*

Odwróciła się. Wpatrywał się przez chwilę w jej wyprostowane plecy, potem cicho zaklął i obszedł kominek dookoła. Wejście znajdowało się w podłodze, tuż przy ścianie. Nie musiał jednak z niego korzystać. Wystarczyło uklęknąć i spuścić latarnię do dziupli. Pomieszczenie miało około dwóch metrów na dwa. Mogłoby się w nim zmieścić kilka osób, ale dorosły człowiek nie stanąłby tam, nie schylając głowy. Miejsce było zasnuwane pajęczynami. Ale niczego innego oprócz pajęczyn tam nie było.

To nie tam spoczywał William Neville.

Max wrócił do Sary. Siedziała na posadzce z kolanami podciągniętymi pod brodę. Zerknęła na niego.

- Znalazłeś go - powiedziała beznamytnie.

- Nie, Saro. Dziupla jest pusta. Nie ma ani zwłok Williama Neville'a, ani nic innego.

Przez chwilę zdawało się, że Sara nie rozumie znaczenia tych słów. Jej twarz zastygła w bezruchu, oddech zamarł. Nagle jednak otrząsnęła się z odrętwienia. Z cichym okrzykiem zerwała się na równe nogi i pobiegła do kryjówki. Max ruszył za nią.

- Weź latarnię i sama zobacz - powiedział.

Uklęknęła z latarnią przy otworze i zajrzała do środka. Gdy ponownie się wyprostowała, trzęsły jej się ramiona.

Usiadła oparta o kamienną ścianę, a na jej twarzy odmalowało się śmiertelne zmęczenie.

- Co to ma znaczyć? - szepnęła. - Co to ma znaczyć?

Max bardzo chciał ją objąć i powiedzieć, że wszystko dobrze się skończy. Ale na razie nic nie było dobrze. Max wiedział, że Sara nie zazna spokoju, dopóki nie powie mu całej prawdy, dopóki się nie dowiedzą, jaki los spotkał jej szwagra.

- Czyli William jednak przyszedł do wdowiego domku tamtej nocy - powiedział cicho.

Skinęła głową i rękawem narzutki otarła łzy z oczu.

- Opowiedz mi, co się stało - poprosił Max.

- Prawie wszystko już ci opowiedziałam. Byłam na górze i zajmowałam się siostrą. William posłał po mnie jeszcze z rana. Anne poroniła, bo ją pobił, toteż ktoś musiał się nią zaopiekować. Myślę, że William miał poczucie winy. Zawsze je miał, gdy był trzeźwy. Dlatego nie został w domu. Bał się spojrzeć mi w oczy. Pojechał po doktora, a potem schronił się w miejscowym zajeździe, żeby zapisać zgryzotę. Ja tymczasem podjęłam mocne postanowienie, że zabiję go, żeby już nigdy nie ważył się podnieść ręki na Anne.

Wrócił do domu pijany i bardzo zły. W Stoneleigh dowiedział się, że mam poślubić Francisa. Rozumiał, co to dla niego oznacza. Przed ślubem przygotowuje się intercyzę. A ja poleciłam adwokatom tak ją sporządzić, żeby Anne miała zabezpieczenie finansowe, ale William nie mógł tknąć jej pieniędzy. Usłyszał o tym, więc wpadł w furję. Znowu narobił sobie karcianych długów i potrzebował pieniędzy. Chciał dostać je natychmiast. Tym razem jednak nie mogłam mu pomóc. Nie uwierzył mi i zagroził, że skrzywdzi Anne.

Stałam na schodach i zasłoniłam mu wejście na górę. Gdybym myślała rozsądnie, przygotowałabym sobie pistolet i wpakowałabym w niego kulę. A tak miałam tylko swoje ręce. I zrobiłam z nich użytek.

Gdy wtuliła głowę między kolana i zaczęła przeraźliwie szlochać, położył jej dłoń na ramieniu. Chciał ją objąć, ale go odepchnęła.

Cofnął rękę. Twarz miał białą jak kreda.

Sara otarła łzy dłońmi.

- Naturalnie walka nie była równa. Powalił mnie jednym ciosem. Uderzyłam plecami o ścianę kominka. - Głos jej stężał,

ale nie zadrżał. - Wtedy chwyciłam za pogrzebacz i pobiegłam za nim po schodach.

Max czuł, jak cały jego świat chwieje się w posadach. Wlepił wzrok w resztkę konstrukcji, kilka nadpalonych słupów, które kiedyś prawdopodobnie podtrzymywały solidne, rzeźbione stopnie z dębowego drewna. Wyobraził sobie Williama idącego na górę. Czy mógł być lepszy sposób skrzywdzenia Sary niż wyładowanie złości na jej siostrze?

Sara wbiła wzrok w dłonie.

- Uderzyłam go w plecy - powiedziała. - Odwrócił się i skoczył na mnie. Pamiętam krzyk Anne i łoskot czegoś, co spadło i roztrzaskało się o posadzkę. - Nie mogła się zdobyć na to, by opowiadając, patrzeć na Maksą, więc zamknęła oczy. - Uderzyłam go jeszcze raz i jeszcze. Nagle uświadomiłam sobie, że już nie wstanie i nie będzie mnie gonił, więc odrzuciłam pogrzebacz.

Dla uspokojenia zaczerpnęła tchu i odkasznęła.

- Nie wiem, jak długo stałam tam jak skamieniała i wpatrywałam się w jego ciało. Wreszcie przyklekłam, żeby sprawdzić, co mu się stało. Miał głęboką ranę na czole, krew lała mu się na halsztuk. Prawdopodobnie przewrócił się na osłonę kominka. Nie wiem. Nie wyczułam pulsu. Nie widziałam, żeby oddychał. Może mi nie uwierzysz, ale w tej chwili myślałam tylko o tym, żeby go ratować. Ogarnęło mnie przerażenie. - Znów otarła łzy i na chwilę przerwała opowiadanie. - Pobiegłam do spiżarni, za kuchnię. Anne trzymała tam leki. Szukałam soli trzeźwiących. Wzięłam ręcznik, miskę zimnej wody i butelkę brandy. Gdy wróciłam do sieni, po Williamie nie było śladu.

Zamilkła, więc Max spytał łagodnie:

- Czy dlatego pomyślałaś, że ciało Williama jest w dziupli? - Nie odpowiedziała. - Czy to Anne go zabiła?

- Nie! - Jej krzyk odbił się echem o ściany. Pokręciła głową i powtórzyła szeptem: - Nie.

- Więc co się stało, Saro? Powiedz mi!

- Anne siedziała na najniższym stopniu schodów. Ale była oszołomiona. Wcześniej dałam jej laudanum, dokładnie tyle, ile kazał lekarz, więc nie bardzo wiedziała, gdzie się znajduje. Prawdopodobnie usłyszała odgłosy mojej walki z Williamem i zeszała na dół, żeby sprawdzić, co się dzieje. Spytałam ją, gdzie jest William. Nie odpowiedziała. Nie rozumiała, co do niej mówię.

Ulżyło mi, kiedy pomyślałam, że go nie zabiłam, że po prostu odzyskał przytomność i sobie poszedł. Zaprowadziłam Anne z powrotem do łóżka, ale znowu zaczęło się krwawienie, więc nie mogłam jej zostawić. To była najstraszniejsza noc w moim życiu. Bałam się, że William wróci z przyjaciółmi albo z konstablem. Nie wiem zresztą, co wtedy myślałam. Koniecznie chciałam sprowadzić pomoc dla Anne, ale nie mogłam jej zostawić, a w tym stanie nie doszłaby do naszego domu.

Sara patrzyła prosto na Maksa i przez chwilę widział, jak na jej twarzy malują się wszystkie straszne uczucia, które przeżyła tamtej nocy. Ciężko oddychała.

- Rano przyszli konstable - ciągnęła. - Wyglądało na to, że podejrzewają mnie albo Anne o zabicie Williama. Powiedziałam im, że nie wrócił na noc do domu. Dopiero później doszłam do wniosku, że jednak go zabiłam, a w ciągu tych kilku minut, które spędziłam w kuchni, Anne zaciągnęła zwłoki do dziupli. Po paru dniach, gdy czuła się już lepiej, spytałam ją, czy tamtej nocy widziała Williama, ale nie mogła sobie tego przypomnieć. Pamiętała tylko, że ją bił i że straciła dziecko, którego bardzo chciała. Zamierzałam zajrzeć do dziupli i sprawdzić, czy są tam zwłoki, ale nie zdążyłam. Władze opieczętowały wdowi domek. Potem mnie aresztowano. Po procesie znowu czekałam za długo. Domek spłonął, a ja musiałam wyjechać ze Stoneleigh. Resztę wiesz.

Zapadło długie milczenie. Sara oparła głowę o kolana, a Max wyciągnął z kieszeni cienkie cygareto i zapalił je od latarni. Stał obok niej, oparty plecami o kamienną ścianę, i wolno zaciągał się dymem, a potem patrzył, jak wydmuchiwane przez niego obłoczki rozplývają się w powietrzu. Wysoko nad głową widział gwiazdy.

- Dlaczego nie opowiedziałaś mi tego wcześniej? - spytał w końcu.

Spojrzała na niego ze znużeniem.

- Bo jesteś z „Couriera”, Max. Nie bałam się o siebie. Uniewinniono mnie i na pewno nie będę sądzona drugi raz za to samo. Co innego Anne. Twoja gazeta mogła jej bardzo zaszkodzić. Władze doszłyby do wniosku, że zabiłyśmy Williama wspólnie. Mnie nie mogłyby już przedstawić zarzutów, lecz jej tak. Ale teraz nie mogą, prawda?

- Nie. - Westchnął. - I uważałaś, że nie można mi zaufać?

- Ufałam ci, jeśli chodzi o mnie, ale Anne... - Zamyśliła się na chwilę. - W każdym razie nie chciałam ryzykować.

- A co, twoim zdaniem, stało się z Williamem?

- Myślę... - Zadrżała. - Myślę, że on żyje. Kto inny przysyłałby do mnie te listy? Jaki miałyby cel?

Max mógłby się z nią spierać, ale uznał, że nie czas na to. Musieli odbyć długą rozmowę i wiele sobie wyjaśnić.

Przyszło mu do głowy, że śmiertelne zmęczenie widać po nim nie mniej niż po Sarze.

- Chcę, żebyś wróciła teraz do domu - powiedział. - Nie wychodź z sypialni. Peter Fallon cię odprowadzi. Postaraj się odpocząć. Porozmawiamy rano.

Pomógłby jej wstać, ale nie chciał, żeby Sara znowu wzdrygnęła się na jego dotknięcie.

- Peter jest tutaj? - Jej głos zabrzmiał całkiem obojętnie.

- Stoi na straży przed domkiem.

Max wyszedł na schodki. Gwizdnął i wtedy Peter ukazał się przy furtce.

- Idź z nim - zwrócił się Max do żony.

Zamrugwała.

- A ty?

- Ja muszę odkryć, co się stało z Williamem - odparł.

- Czy opublikujesz tę historię w swojej gazecie? Mam na myśli to wszystko o mnie i Anne?

Wyszedł z domku, nie odpowiadając na jej pytanie.

Max nie miał kłopotów ze znalezieniem dawnego domku ogrodnika. Chociaż w oknach nie było światła, w okolicy paliły się latarnie zawieszane na słupach przy drodze do chat parobków, stojących wyżej na stoku wzgórza. Dawno już minęła północ, ale Maksa nic to nie obchodziło. Był w bardzo złym humorze, czego dowiódł, łomocząc pięścią do drzwi.

Po chwili przestał jednak walić, rozprostował dłoń i przyjrzał jej się uważnie. Nigdy w życiu nie zniżyłby się do poziomu Williama Neville'a. Nawet nie przyszłoby mu do głowy, żeby podnieść rękę na kobietę. Ale są inne sposoby zmuszenia kobiety do uległości. Tego wieczoru chciał wziąć Sarę, chociaż targała nim złość. Był natarczywy. Czy mu to wybaczy? I jak mógł jej wytłumaczyć coś, czego sam nie rozumiał?

Odsunął od siebie tę myśl i ponownie załomotał do drzwi. Nie otworzono mu, więc wykorzystując swój ciężki but, kopnięciem wyłamał zamek. Wszedł w mrok i natychmiast o coś się potknął. Puściwszy wiązanek soczystych przekleństw, po omacku skierował się ku ścianie, na której spodziewał się znaleźć kominek. Miał szczęście. Na gzymsie kominka leżało krzesiwo. Musiał wykonać kilka prób, wreszcie jednak udało mu się zapalić świecę, która stała obok. Potem obrócił się, by obejrzeć pokój.

Spodziewał się zobaczyć mniejsze pomieszczenie. Przypomniał sobie jednak, że ojciec Drew był w Longfield ogrodnikiem, dlatego miał większy dom niż inni pracownicy. Kiedyś musiał się tu mieścić salon, obecnie przerobiono go na gabinet. Przy oknie

stało biurko, a wzdłuż ścian ciągnęły się półki z książkami. Przedmiot, o który Max się potknął, okazał się krzesłem,

W sąsiednim pomieszczeniu znajdowała się kuchnia. Jej umeblowanie składało się wyłącznie ze stołu i krzesel. Były też garnki i przybory kuchenne, wszystkie czyściutkie jak narzędzia chirurgiczne. Następnie Max obejrzał dwie sypialnie, jedną całkiem pustą drugą z łóżkiem i krzesłem.

Drew Primrose całkiem nieźle się urządził, zważywszy na jego plebejskie pochodzenie. Ale nie zaszedłby tak daleko, gdyby nie myślał o Sarze. Skoro zaś ją kochał, to nie wydawało się prawdopodobne, by był autorem listów. Ponieważ jednak Max przytapał Drew na kłamstwie, traktował go z największą podejrzliwością.

Wrócił do gabinetu, postawił świecę na biurku i odłożył obok pistolet. Zasłony były zaciągnięte. Bez względu na wyniki poszukiwań w tym domu Max był zdecydowany jechać potem do Stoneleigh i wyciągnąć Drew z łóżka. Miał pytania, na które chciał dostać odpowiedź nie jutro, nie pojutrze, lecz natychmiast. Przypuszczał bowiem, że po wypytaniu adwokata Sary uda mu się uchylić rąbka tajemnicy Williama Neville'a. Tego wieczoru dowiedział się już niejednego, wprawdzie nie dość, by zdemaskować mordercę- a wciąż był pewien, że William nie żyje- niemniej jednak dostatecznie dużo, by znacznie zawęzić krąg podejrzanych. Pojedyncze informacje zaczynały układać się w całość. Do pełnego obrazu potrzebował jeszcze kilku kawałków łamigłówki.

Wszystkie szuflady były zamknięte na klucz. Wrócił do kuchni, znalazł tam ostry nóż i wziął się do pracy. W pierwszej górnej szufladzie znalazł dokumenty i listy, czyli to, co go interesowało. Z kieszeni surduta wyjął ostatni liścik, który dostała Sara, i zaczął porównywać charakter pisma. Nic się nie zgadzało.

Wyłamał następną szufladę, ale i tam nie znalazł nic ciekawego. Gdy wreszcie dostał się do najniższej i najgłębszej, odkrył butelkę brandy i rozmaite skarby. Zaczął po kolei wykładać przedmioty na blat. Była tam muślinowa chustka, perłowy kolczyk, jedna rękawiczka z kozłej skóry i koronkowa chusteczka do nosa z monogramem. Max pokręcił głową. Takie rzeczy mężczyzna o romantycznym usposobieniu trzymałby na pamiętkę swoich romansów. W szufladach Maksa nie było niczego podobnego.

Te przedmioty należą do Sary, pomyślał i zawrzała w nim złość. Rozłożył koronkową chusteczkę, by obejrzeć monogram. Zmar-

szczył czoło. Właśnie obwodził inicjały palcem, gdy usłyszał kroki przed domem. Puścił chusteczkę, chwycił za pistolet, odsunął się od wejścia i zamarł w oczekiwaniu.

Wszedł Drew Primrose.

- Przecież umówiliśmy się... - Znieruchomiał, gdy zobaczył, kto jest w pokoju, a na jego twarzy pojawił się wyraz wielkiego zdziwienia. - Pan? - Zerknął na swoje biurko, potem na pistolet w dłoni Maksa. - Co pan sobie właściwie wyobraża?

Max wskazał pistoletem krzesło przy wygaszonym kominku.

- Doszedłem do wniosku, że powinniśmy porozmawiać w cztery oczy, żeby Sara nie mogła pana osłaniać - odrzekł spokojnie.

Ani te słowa, ani pistolet nie wzbudziły strachu Drew Primrose'a. Wręcz przeciwnie. Sprawiał takie wrażenie, jakby w każdej chwili mógł rzucić się na Maksa.

- Niech pan tylko spróbuje -- ostrzegł Max -- to przestrzelę panu kolano, a potem dopilnuję, żeby stanął pan przed sądem, oskarżony o usiłowanie morderstwa.

- To jest mój dom. Pan wszedł tu bezprawnie!

- Przeciwnie. To jest moja własność, nabyta przez małżeństwo z Sarą. Niech pan usiądzie, Primrose, to odłożę pistolet.

Drew Primrose, dyszący wrogością, podszedł do drewnianego krzesła przy kominku i posłusznie usiadł. Max położył pistolet na biurku, tak by w razie czego go chwycić, a potem zmienił pozycję na wygodniejszą. Uderzył go wyraźny zapach alkoholu, zmieszany z wonią taniej wody kolońskiej.

- Nie wiedziałem, że są domy rozpusty w Stoneleigh, ale sądząc po zapachach, przychodzi pan prosto z burdelu. - Nie wywołał reakcji Drew, więc mówił dalej: - To mnie bardzo dziwi. Z tego, co o panu słyszałem i czego się dowiedziałem, jest pan bardzo zasadniczą osobą, wie pan, taki typ, co bez przerwy haruje, ma czyste sumienie i jest odrobinę świętszy od każdego innego człowieka.

Młody człowiek spurpurowiał na twarzy i odburknął:

- Nie muszę się przed panem spowiadać z tego, co robię, ani tłumaczyć ze swojego charakteru. Niech pan mówi, o co chodzi, i wynosi się jak najszybciej.

- Dobrze, nie owijajmy w bawełnę. Najpierw niech pan powie, gdzie pan był w noc zniknięcia Williama Neville'a.

- W noc... - Drew Primrose wytrzeszczył na niego oczy i w takiej pozie pozostał.

- Gdzie pan był, Primrose? - spokojnie powtórzył pytanie Max.
- W Bristolu.
- Niezupełnie. Kazałem to sprawdzić. Przyjechał pan do Bristolu następnego dnia wieczorem.

- I co się panu w związku z tym zdaje? Że zabiłem Williama Neville'a i ukryłem jego ciało?

- Właśnie tak uważam. Był pan zakochany w Anne Neville, prawda? Mąż się nad nią znęcał. Dlatego pan się go pozbył.

Drew Primrose siedział jak skamieniały.

- Skąd pan wie o Anne? - spytał ochryplym głosem.

Max wziął z biurka koronkową chusteczkę i spojrzał na nią.

- To jest własność Anne. Są tu jej inicjały. - Zerknął na Drew. - Wszyscy myśleli, że pan kocha się w Sarze, a panu wcale to nie przeszkadzało. Anne była mężatką. A pan ciągle przesiadywał w Longfield. Został pan tu rządcą i najczęściej nocował w tym domku. Ale nie po to, by być blisko Sary. Panu chodziło o Anne.

- Nawet jeśli tak, to co z tego? To nie znaczy, że zabiłem Williama Neville'a. - Spojrzał na swoją dłoń i zacisnął ją w pięść. - Nawet żałuję, że tego nie zrobiłem. Sukinsyn.

- Czy to pan był ojcem dziecka Anne? Czy dlatego zabił pan Williama? Bo dowiedział się o panu i Anne?

Drew Primrose odrzucił głowę do tyłu.

- Nie! Pan niczego nie wie. Nigdy nie byliśmy z Anne kochankami.

- To pan wysyłał listy do Sary, prawda? Chciał pan ściągnąć ją z powrotem do Stoneleigh, a potem pozbyć się jej, żeby wraz z Anne odziedziczyć majątek Carstairsów.

- Jakie listy? Nie wiem, o czym pan mówi.

Max nie dał mu czasu do namysłu, tylko pytał dalej:

- Czy *to* pan napadł Sarę we wdowim domku? Chciał ją pan zabić, prawda?

- Nie! Nie wiedziałem, że ktoś Sarę napadł!

- Czy ukartował to pan razem z Anne?

- Nie!

- Gdzie jest ciało Williama Neville'a?

- Nie wiem.

- No to niech mi pan powie, co pan wie, Primrose, bo moim zdaniem właśnie pan i Anne zyskalibyście najwięcej na śmierci Williama i Sary.

Drew Primrose zbladł jak ściana. Wbił wzrok w jeden punkt, usta wykrzywił mu grymas.

- Myli się pan - odparł.

Max głośno wypuścił powietrze z płuc.

- Więc niech pan powie mi prawdę. Gdzie pan był w noc zniknięcia Wiliama?

Drew przełknął ślinę.

- W Bath... nie, niech pan posłucha... Jechałem do Bristolu, ale zatrzymałem się w Bath na noc. Spędziłem ją z kobietą, którą poznałem Pod Białym Jeleniem. Byłem w rozpacz i nie widziałem powodu, dla którego nie miałbym szukać pocieszenia u ładnej kobiety. Owszem, kochałem Anne i ona mnie kochała. W końcu nawet namówiłem ją, żeby opuściła męża i uciekła ze mną. Ale wtedy dowiedziała się, że będzie miała dziecko, z Williamem, i to, jej zdaniem, wszystko zmieniło. Tak mi powiedziała. Byłem głęboko urażony i wściekły. No więc znalazłem sobie kobietę, żeby o tym zapomnieć.

Raptownie podniósł się z krzesła i stanął plecami do Maksa, przygarbiony, wsparty ramieniem o gzyms kominka.

- Nie zabiłem Williama, ale nieraz życzyłem mu śmierci. Mam nadzieję, że on nie żyje.

Max spojrzał na jego twarz naznaczoną rozpaczą i nagle obudziło się w nim współczucie.

- Musiał pan podejrzewać, że zabiła go Sara albo Anne.

- Anne nigdy nie podejrzewałem. Ona nie umie nienawidzić.

- Ale podejrzewał pan jej siostrę?

- Tak. Początkowo. Wiedziałem, że jest tylko jedno miejsce, gdzie mogła ukryć zwłoki, więc poczekałem, aż policja przestanie się tu kręcić, i sam sprawdziłem. Ale miejsce było puste.

- Wiedział pan o kryjówce we wdowim domku?- spytał z niedowierzaniem Max.

Pierwszy raz podczas tej rozmowy Drew się uśmiechnął.

- Anne powiedziała mi o niej bardzo dawno, kiedy jeszcze byliśmy dziećmi.

- A gdyby znalazł pan ciało Williama, co pan by zrobił? - spytał Max, mrużąc oczy.

Drew przestał się uśmiechać.

- Nie poszedłbym z tym na policję, jeśli o to panu chodzi. Jakoś bym się pozbył ciała. Wywiózłbym je wiele mil za Stoneleigh

i porzucił w jednym z tych kredowych dołów na wzgórzach. Ale wybrałbym takie miejsce, żeby ktoś znalazł zwłoki.

Max nie lubił Drew, ale nagle poczuł przypływ sympatii do tego człowieka. Każdy, kto pomagał Sarze, mógł liczyć na jego życzliwość.

- Chciał pan, żeby znaleziono ciało, bo wtedy Anne wiedziałaby, że jest wdową, i mogłaby pana poślubić - domyślił się Max.

Na wargach Drew zaigrał smutny uśmiech.

- Chciałem przywrócić Sarze dobre imię. Gdyby zwłoki Williama odnaleziono wiele mil *stąd*, odsunięto by od niej podejrzenia. Tak, wtedy myślałem tylko o dobrym imieniu Sary. Anne była już dla mnie stracona. Bo widzi pan, ona podejrzewała mnie o zamordowanie Williama. Nie wierzyła, że cały czas spędziłem w Bristolu, i naturalnie miała rację. Często powtarzałem przy niej, że zabiję Williama, jeśli jeszcze kiedykolwiek jej tknie. A on znowu ją pobił. Straciła dziecko. Co innego mogła potem pomyśleć?

Z powrotem usiadł i ukrył twarz w dłoniach.

- Nigdy nie przestałem szukać ciała Williama, bo chciałem dowieść Anne, że to nie ja go zabiłem. - Popatrzył na Maksa. - Pojechałem do Londynu i zaglądałem we wszystkie miejsca, w których bywał. Spotykałem się z jego przyjaciółmi. Ale ulotnił się jak kamfora.

- Sara uważa, że on żyje.

- Wątpię. Taki człowiek potrzebuje nieustannego dopływu pieniędzy, żeby móc uprawiać hazard. Sara była dla niego niewyczerpanym źródłem. Żywił do niej zapiekłą urazę o zmieniony testament Samuela Carstairsa. Uważał, że pieniądze należały się jemu. - Drew pokręcił głową. - A skąd wzięłyby pieniądze, jeśli nie od Sary? Ojciec go wydziedziczył. William nie miałby dokąd iść. Na pewno nie żyje.

Max stracił pewność siebie. Idąc do domu Drew, myślał, że wszystko już wie. Teraz znowu znajdował się na początku drogi.

- A o co chodzi z tymi listami i napadem na Sarę? - spytał Drew. - Czy pan to wymyślił, żeby zastawić na mnie pułapkę?

Max pokazał mu rzekomy list Williama i opowiedział o napadzie. Gdy Drew przewyciężył pierwszy wstrząs, zaczął stawiać różne pytania i snuć domysły. Wreszcie pokręcił głową.

- Gdybym to ja zabił Williama, na pewno nie chciałbym mącić i wysyłać do Sary listów ani rzucać się na nią w ciemności. Nie

kusiłbym licha. Ale to wszystko mi się nie podoba. Niech pan ją stąd zabierze. Niech pan wyjedzie ze Stoneleigh. William wciąż rzuca cię na życie nas wszystkich.

Wkrótce potem Max wyszedł od Drew. Ostatnie słowa adwokata nie przestawały mu dźwięczeć w uszach, więc przyspieszył kroku. Znowu wszystko zaczęło mu się układać, tyle że w inny sposób. Wciąż jednak parę faktów nie pasowało mu do układanki.

Jeszcze zanim dotarł do domu, wiedział, że stało się coś złego. W oknie sypialni Sary nie paliło się światło, w gabinecie Petera także było ciemno. Puścił się biegiem.

Ze świecą w dłoni wpadł do gabinetu Petera. Pokój był pusty. Zmroziło mu krew w żyłach. Przeskakując po dwa stopnie, pognał na górę, do sypialni Sary. Tu też nikogo nie zastał.

Pobiegł do pokoju Simona. Chłopak spojrział na niego zaspanymi oczami.

- Wielkie nieba, Max. Czy wiesz, która jest godzina?
- Gdzie jest Sara?
- Sara? Nie wiem.
- Ubieraj się. Trzeba postawić cały dom na nogi. Ja zajmę się służbą. Ty zbudź wszystkich na tym piętrze. Spotkamy się w salonie. Tylko szybko!

Napięty głos Maksa wyjaśniał wszystko. Młodzieniec bez namysłu sięgnął po ubranie.

- Co się stało Sarze?
- Zniknęła.

Światła paliły się we wszystkich oknach, a Max i cała służba z Longfield rozstawili się w tyralierę i na sygnał Maksa zaczęli powoli przesuwać się w stronę wdowiego domku, każdy z latarnią w dłoni. Simon pojechał do Stoneleigh po konstabla, a Martin pobiegł po Drew Primrose'a i parobków.

Max nie mógł uwolnić się od strasznych przeczuc. Czas uciekał, a instynkt podpowiadał mu, że jeśli nie uda się wkrótce znaleźć Sary, potem będzie za późno. Umierał z niepokojem.

W pół drogi do wdowiego domku znaleźli na drodze Petera Fallona. Miał paskudną ranę głowy. Leżał nieprzytomny, ale ocknął się, gdy Max wlał mu do gardła brandy.

- Kto to zrobił? - spytał.

- Nie widziałem go. Chodziło mu o pana żonę. Porwał ją. Nie wiem dokąd.

W tej chwili zjawił się Drew Primrose i zaczął zadawać pytania, na które nie było czasu odpowiadać. Max głośno wydawał krótkie rozkazy. Drew przejął dowodzenie nad poszukiwaniami, a dwóm ludziom kazano zanieść Petera do domu. Potem jeden z nich miał sprowadzić lekarza.

Przez cały czas Max modlił się, żeby Sarze nic się nie stało. Miał nadzieję, że ją tylko uprowadzono i że nie leży pod jakimś krzakiem martwa albo umierająca. W każdym razie musiał pilnie zająć się czymś, co zrobiłby już dawno, gdyby żona nie kazała mu zostawić w spokoju jej rodziny.

Constance i Anne były w salonie, śledziły przez okno postępy w poszukiwaniach. Słyszac kroki, obie odwróciły się do Makska. Anne miała na sobie ciemną suknię z długimi rękawami, zapiętą pod szyję. Constance wciąż była w negliżu.

Anne zacisnęła dłoń na poręczy fotela, jakby musiała się podeprzeć, żeby utrzymać równowagę.

- Niech pan mówi od razu, Max. Czy przynosi pan złe wiadomości?

- Nie. Nie mam żadnych wiadomości.

- Dzięki Bogu!

Constance ukryła twarz w dłoniach i wybuchnęła płaczem.

- Gdzie jest Lucy? - spytał Max. Starał się zachować pozory spokoju, żeby nie zarazić Anne i Constance swoim przerażeniem.

- Położyłam ją z powrotem do łóżka - odparła Anne. -- Ona nie wie, że Sara zniknęła, a ja jej o tym nie powiedziałam. Co się stało, Max? Dlaczego pan jest tutaj, zamiast szukać Sary?

- Myślę, że jedna z pań wie, gdzie ona jest - rzekł krótko.

- Co takiego? - Constance opuściła ręce i w niemym zdumieniu wytrzeszczyła oczy na Makska.

Anne zbladła, ale wciąż panowała nad głosem.

- Skąd takie przypuszczenie, Max?

- Niech pani wróci pamięcią do wieczoru, kiedy pokłóciłem się z Simonem przy kolacji - odrzekł Max. - Był wtedy na mnie zły, bo wzięłem ze stajni Arrogance'a. Po posiłku jedna z pań wślizgnęła się do pokoju Sary i zostawiła tam liścik, który miał ją przestraszyć.

- Co było w tym liściku? - spytała niepewnie Constance.

Max zaczynał się niecierpliwić.

- Mniejsza o to! - Spróbował mimo wszystko wrócić do łagodniejszego tonu. - Ważne jest tylko to, że jedna z pań zostawiła ten liścik. Teraz chcę się dowiedzieć, która to była. Proszę posłuchać. To nie jest gra towarzyska. Nie twierdzą, że któraś z pań chciała skrzywdzić Sarę. Ale na pewno ten list podrzuciła, a jeżeli wkrótce Sary nie znajdę, to potem może być za późno. Dlatego domagam się odpowiedzi. Natychmiast!

Constance gniewnie wykrzywiła twarz.

- Jak pan śmie coś takiego sugerować?!

Anne uniesieniem dłoni zmusiła ją do zamilknięcia.

- Nie zostawiłam żadnego listu, Max. Przysięgam.

- Ale pani wie, kto mógł ten list zostawić, prawda, Constance?

- Nie. - Głos wdowy zadrżał.

Max nagle zamachnął się ramieniem i z całej siły spuścił pięść na mały stolik. Constance cofnęła się o krok i jeszcze o krok. Max cały czas się do niej zbliżał.

- Niech mi pani powie, bo jeśli nie, to jak mi Bóg miły, dopilnuję, żeby powieszono panią za morderstwo, gdyby Sarze coś się stało.

- Nie myślałam... - Constance przełknęła łzy, strwożona ponad wszelką miarę. - Nie było go tylko minutę, może trochę dłużej. Powiedział, że zgubił rękawiczkę.

- Kto, u diabła? Kto?

- Max, niech pan przestanie. - Anne przyciskała dłoń do podstawy szyi. - Nie widzi pan, że coraz bardziej ją pan przeraża? To musiał być Beckett. Lokaj lady Neville. Na pewno widział go pan na jarmarku. On wszędzie chodzi ze swoją panią. - Zerknęła na Constance. - Powiesz mu sama czy ja mam to zrobić?

Constance bezwładnie osunęła się na krzesło. Oczy wychodziły jej z orbit, usta bezgłośnie się poruszały.

- Mój Boże, co ja zrobiłam? - wyszeptała wreszcie.

Anne westchnęła.

- Constance i Beckett są kochankami - powiedziała. - Widziałam Becketta w korytarzu tamtego wieczoru i powiedziałam potem Constance, że jeśli jeszcze raz sprowadzi kogoś ze swoich kochanków pod ten dach, to Simon się tym zajmie.

- To był tylko raz - jęknęła przez łzy Constance. - Jeden, jedyny raz.

- Dziękuję - powiedział Max. - Teraz niech panie idą na dół pomóc. Zaraz przyniosą rannego człowieka, trzeba się nim zająć. - Odwrócił się do wyjścia. - A kiedy zjawi się tu konstabl, proszę mu powiedzieć, że pojechałem do sir Ivora i radzę mu zaraz też się tam zjawić, bo inaczej ułatwię mu zmianę pracy.

Gdy opuścił pokój, Constance skuliła się na krześle, jej twarz wyrażała bezgraniczną rozpacz.

- Powiedział, że mnie kocha. I że chce zobaczyć, gdzie śpię. Powiedział, że chce mnie pieścić w moim łóżku, żebym pamiętała o nim zawsze, kiedy będę tam spała.

- Przystaniesz wreszcie myśleć tylko o sobie?- Głos Anne zabrzmiał z niezwykłą ostrością. - Słyszałaś Maksa. Mamy pomóc. Ludzie szukają Sary. Kiedy wrócą z poszukiwań, będą chcieli coś zjeść i czegoś się napić. Ubierz się szybko, spotkamy się na dole.

Constance skinęła głową, wstała i rąbkiem szlafroka otarła łzy.

- Musisz mnie nienawidzić.

- Nie, Constance. Nie nienawidzę cię. Czy nie wiesz, że ludzie, którzy mieszkają w szklanych domach, nie rzucają kamieniami?

Anne objęła ją ramieniem i obie wyszły z pokoju.

Sara słyszała ich głosy jak we śnie, ale była za słaba, żeby wzywać pomocy. W głowie czuła rozrywający ból, a szczęka dosłownie jej pękała. Ktoś ją trzymał, ale niestety nie mogła mu stawić oporu. Z jękiem próbowała otworzyć oczy, okazało się jednak, że ma zbyt ciężkie powieki.

Zaczęła wolno i głęboko oddychać, żeby opanować mdłości. Powoli wracała jej świadomość, a wraz z nią pamięć. Ktoś ją uderzył i straciła przytomność, kiedy próbowała przyjść z pomocą Peterowi Fallonowi. Napadnięto ich podczas powrotu do domu. To był ten sam mężczyzna, który zaatakował ją przedtem. Czuła zapach wody kolońskiej i poznała te same silne ramiona, które poderwały ją z ziemi.

Wreszcie udało jej się otworzyć oczy, choć znowu żałośnie jęknęła. Chciała się podnieść, ale ból głowy był nie do zniesienia. Przeraziła się, zorientowała się bowiem, że ręce w nadgarstkach i nogi ma przywiązane do drewnianego krzesła. Ciągnęła, szarpała się, zaciskała zęby i wyginała palce, żeby się uwolnić. Ale rzemienie tylko wrzynały jej się głębiej w ciało.

Znowu usłyszała głosy, męski i żeński, więc ostrożnie poruszyła głową, żeby zbadać, skąd dochodzą. Po prawej miała lekko uchylone drzwi i właśnie za nimi ktoś rozmawiał.

Instykt kazał jej znieruchomieć. Nie chciała, żeby tamci ludzie zorientowali się, że odzyskała świadomość, bała się bowiem, co wtedy z nią zrobią.

- Tylko spokojnie, zachowaj spokój! - powtórzyła sobie w myślach i ustami nabrała powietrza.

Zamrugawszy, zaczęła się rozglądać. Na ścianach były lichtarze ze świecami, od których biło upiorne światło. Przez chwilę miała wrażenie, że jest w kaplicy w Longfield. Kamienne ściany były zaokrąglone i stare, wydawały się złote. Okienka znajdowały się wysoko, tuż pod stropem, a w drugim końcu pomieszczenia zobaczyła ołtarz ze świecami. Ale w tej kaplicy nie było ławek. Był tylko ołtarz, krzesło, do którego ją przywiązano, i jeszcze jedno na kółkach. Wózek inwalidzki. W chwili gdy Sara go zobaczyła, zrozumiała, gdzie jest.

Wszystko ułożyło się w logiczną całość. Ludźmi, którzy nienawidzili jej najbardziej na świecie, byli sir Ivor i lady Neville.

Musiała pokonać następną falę strachu. Ci ludzie nie uciekliby się do ostatecznych środków, gdyby nienawiść nie odebrała im rozumu. Ale teraz nie mogli już jej puścić wolno. Urowadzenie było przestępstwem.

Wolała o tym nie myśleć, więc skupiła się na poznawaniu otoczenia. Spojrzała w stronę ołtarza i zmrużyła oczy, raziło ją bowiem światło dwóch świec, ustawionych na krańcach mensy. Między nimi stały dwa miniaturowe portrety i chociaż z daleka Sara nie mogła wyraźnie ich zobaczyć, to doskonale wiedziała, kogo przedstawiają. W pomieszczeniu unosił się zapach kadzidła i róż.

To nie była kaplica. To było sanktuarium.

Usłyszawszy czyjeś kroki przy drzwiach, instynktownie spuściła głowę na piersi, żeby nadal sprawiać wrażenie nieprzytomnej.

Ludzi było dwoje. Jeden z głosów, jak można było przewidzieć, należał do lady Neville. Ale wcale nie towarzyszył jej sir Ivor. To mógł być tylko jej lokaj, Beckett.

- Jak mocno ją uderzyłeś? - spytała lady Neville.

- Mocniej, niż chciałem. Ale nic miałem wyjścia. Walczyła jak tygrysyca.

- Widziała cię?

- Czy to ma znaczenie? Jej opiekun mnie nie widział, więc nie musi się pani obawiać, że nas znajdują. Zresztą już i tak będzie po wszystkim. Wystarczy, żebym został z nią pięć minut sam na sam i wyśpiewa mi to, co chcemy wiedzieć. Potem może pani z nią zrobić, co się pani podoba, pod warunkiem że dostanę obiecane pieniądze.

- Pięć minut sam na sam? - Lady Neville zachichotała. -

Beckett, chyba uważasz mnie za głupią. Jeśli zostawię cię z nią na pięć minut, to ją zgwałcisz. Tylko że Sary Carstairs nie można zgwałcić. To jest wszetecznicza. Pierwszego kochanka miała, gdy skończyła dwanaście lat. Jest nienasycona.

Becket wybuchnął śmiechem.

- Mogę być następny na jej liście. Żeby pani wiedziała, jak ona na mnie patrzyła podczas jarmarku! Gdyby nie było tam Constance, to z pewnością dzieliłbym już łożę z Sarą Carstairs.

- Lord Maxwell mógłby mieć coś przeciwko temu - oznajmiła kwaśno lady Neville.

- Myśli pani, że on ją kocha?

- Nie sądzę. Wspomnisz moje słowa, że ten ich związek to jest wiele hałasu o nic. Lord Maxwell napisze o Sarze Carstairs w swojej gazecie, a potem nie będzie jej już do niczego potrzebował i wtedy postara się o unieważnienie małżeństwa. Chciałam powiedzieć tylko tyle, że on nie pozwala się nikomu do niej zbliżać.

- Czyli chodzi nam o to samo!

- Naturalnie. Ale jeśli chcesz dostać nagrodę, to musimy znaleźć zwłoki Williama pierwi. - Westchnęła. - Zawsze sądziłam, że znajdziemy je we wdowim domku.

- Ja też, zwłaszcza po tym, jak Sara Carstairs kazała robotnikom uprzątnąć zgliszcza. Ale Lord Maxwell wpadł na ten sam pomysł. Przyszedł pierwszy i musiałem szybko się stamtąd wynosić.

- Czy jesteś pewien, że szczątków Williama tam nie ma?

- Już pani powiedziałem. Słyszałem, jak człowiek lorda Maxwella rozmawiał z Sarą Carstairs, zanim ją dostałem w swoje ręce. Nie doprowadziła ich do szczątków Williama. Pozostał nam tylko jeden sposób: zmusić ją do mówienia. Właśnie po to muszę z nią zostać pięć minut sam na sam. Potem będzie szczęśliwa, że może mi powiedzieć.

- Będiesz mógł z nią zostać sam na sam - lady Neville zaśmiała się - ale dopiero po tym, jak nam powie to, co chcemy wiedzieć. Rozumiesz?

- Mogę poczekać.

- No, pamiętaj.

Sara miała takie wrażenie, jakby przełknęła wielką bryłę kurzego tłuszczu. Czuła, jak oślizgła substancja zsuwa jej się w dół przełyku i zaczyna ciążyć w żołądku. Nie mogła powstrzymać jęku.

- O, przynajmniej wiemy, że jeszcze żyje - odezwała się lady

Neville, nadal bardzo rozbawiona. Podciągnęła spódnicę i zbliżyła się do Sary. - Powinieneś był wykazać więcej cierpliwości, Beckett. Miałeś poczekać, aż sir Ivor wyjedzie, i dopiero wtedy ją tu przywieźć.

- To był pani pomysł, nie mój. A do niej teraz trudno się dostać, bo bardzo jej pilnują. Dlatego skorzystałem z pierwszej nadarzającej się okazji. Zresztą sir Ivor nie będzie nam przeszkadzał. Mała Jenny zajmie go wystarczająco.

- Dość tego, Beckett! Masz mówić o sir Ivorze z szacunkiem. Zrozumiałeś?

Lokaj się naburmuszył.

- No, na co czekasz? - rzuciła jego chlebodawczyni. - Dawaj ją tutaj.

Sara wyczuła aromat róż, płynący od lady Neville, i przygotowała się na to, co ma się stać. Po chwili kaszłała i pluła, podetknięto jej bowiem pod nos buteleczkę soli trzeźwiących. Łzy stanęły jej w oczach, odwróciła głowę, żeby uciec przed żrącą wonią. Ale lady Neville w milczeniu podtykała jej buteleczkę pod nos, póki nie doszła do wniosku, że osiągnęła pożądany skutek. Dopiero wtedy cofnęła się o krok.

Łzy płynęły Sarze ciurkiem, ustami chciwie łąpała powietrze. Drżała na całym ciele i ze wszystkich sił starała się opanować strach. Tutaj nikt nie mógł jej przyjść z pomocą, bo nikt nie wiedział, gdzie jej szukać. Została zdana na łaskę kobiety, która najprawdopodobniej zabiła swojego syna, i jurnego mężczyzny. Sama nie wiedziała, kogo bardziej się bać.

Tylko spokojnie! Zachowaj spokój! - napominała się w duchu.

Popatrzyła na swoich prześladowców. Lokaj miał na sobie czarną liberię, lady Neville strój nocny. W różowiułkim frywolnym negliżu, dobrym dla panienki, wyglądała żałośnie, a nie młodo.

- Lady Neville! - Sara wcale nie musiała udawać drżenia głosu. Spojrzała na swoje więzy, syknęła i zaczęła się szarpać. - Dlaczego tutaj jestem? Co to wszystko ma znaczyć?

Powinna była zgadnąć, co nastąpi. Lady Neville nagle się zamachnęła i z całej siły uderzyła ją w policzek. Zrobiłaby to jeszcze raz, gdyby lokaj jej nie przeszkodził. Chwycił chlebodawczynię za nadgarstek i odciągnął.

Sara była odrętwiała z bólu i od nadmiaru przeżyć. Ale uderzenie, choć również bolesne, pomogło jej opanować przerażenie. Zro-

zumiała, że jeśli ma wyjść z tego miejsca żywa, musi zrobić właściwy użytek z rozumu.

- Niech pani się opanuje - burknął Beckett. Stanął pomiędzy lady Neville i Sarą. - Co będzie, jeśli ona znowu nam zemdleje?

- Zabiła mojego syna! - Lady Neville zasłoniła oczy dłonią. - Zabiła mojego syna!

- Zostałam uniewinniona! - krzyknęła Sara.

Lady Neville pogardliwie syknęła.

- Tylko dlatego, że nie znaleziono ciała Williama. - Uwolniła się z objęć lokaja, podeszła do ołtarza i wróciła, niosąc jedną z miniatur. - Popatrz na niego! - zażądała łamiącym się głosem.

Sara spojrzała w twarz Williama Neville'a, młodszego, niż go znała. Pociągłą twarz otaczały kręcone włosy. Wargi miał pełne, z kącikami uniesionymi w nieznacznym uśmiechu. Patrząc na tę ujmującą powierzchowność, nikt nie domyśliłby się okrucieństwa gnieźdzącego się w tym człowieku.

Przełknęła ślinę.

- Przykro mi - powiedziała - ale...

Lady Neville tupnęła nogą.

- Nie kłam! To musiałaś być ty! Czekałam na niego tamtej nocy, ale nie przyszedł do domu. - Twarz wykrzywił jej jadowity grymas. - Nie wiedziałas, że William nadal odwiedza matkę, co? On był dla mnie wszystkim, tak samo jak ja dla niego. Opowiedział mi wszystko o tobie i twoim skapstwie. Ja nigdy nie byłam dla niego skapa. Zawsze dawałam mu wszystko, co mogłam zaoszczędzić. To było takie niesprawiedliwe. Przecież te pieniądze mu się należały. William nigdy nie ożeniłby się poniżej swego stanu, gdybyś nie skłóciła go z ojcem.

Ten obraz domowej sielanki wiele wyjaśniał z charakteru Williama, ale Sara teraz się nad tym nie zastanawiała.

- Ja skłóciłam sir Ivora z Williamem? W jaki sposób?

- Rozповідаjąc o nim kłamstwa. - Głos lady Neville ciął jak bicz. - To ty puściłaś plotkę, że zgwałcił własną siostrę. A kiedy sir Ivor o tym usłyszał, wydziedziczył Williama. Ale to wszystko była twoja wina.

- Caroline? - Sara miała wrażenie, że rozstępuje się pod nią ziemia. Zatrzymała wzrok na ołtarzu, na portreciku córki sir Ivora. Czy to ona była tą miejscową panną, którą William podobno

zostawił na łasce losu? Jak z oddali usłyszała swój głos: - Czy Caroline powiedziała, że William ją zgwałcił?

- Jak mogła coś powiedzieć, skoro umarła? O nie, ty byłaś mądra. Poczekaj, aż Caroline spocznie w grobie, i dopiero potem zaczęłaś rozpowiadać te brudne plotki.

Sara spojrzała w wyblakłe mściwe oczy lady Neville i zrozumiała, że ta kobieta nie przyjmie żadnych argumentów. Jej nienawiść była tak wielka, że prawie można jej było dotknąć.

Lokaj zaczynał się niecierpliwić.

- To nas do niczego nie prowadzi. Nie ściągnąłem tutaj Sary Carstairs po to, żeby słuchać historii rodu. Chcę dostać nagrodę, a im szybciej się dowiemy, gdzie spoczywa ciało Williama, tym szybciej będę mógł o nią wystąpić.

Lady Neville nie odpowiedziała. Odstawiła portret syna na ołtarz, pocałowała go, potem pocałowała również portret Caroline i stanęła tuż przed Sarą.

- Długo modliłam się o ten dzień - powiedziała. - Kiedy wyjechałaś, wpadłam w rozpacz. Myślałam, że nigdy więcej cię nie zobaczę. Ale znalazłam sposób, żeby ściągnąć cię do domu.

- To pani przysłała mi te listy od Williama! - wyrwało się Sarze machinalnie.

Lady Neville promiennie się uśmiechnęła.

- Naturalnie. Potem razem z Beckettem cierpliwie czekaliśmy na twój powrót, żebyś zaprowadziła nas do Williama. Beckett powiedział, że będziesz chciała się upewnić, czy on nie żyje. Ale ponieważ nie zaprowadziłaś nas do grobu mojego syna, uznaliśmy, że trzeba zastosować bardziej drastyczne środki. No i jesteśmy tutaj.

Sarę znów ogarnęło przerażenie. Ze związanymi rękami i nogami nie mogła się bronić. Gorączkowo zastanawiała się, czy pomógłby jej krzyk. Z rozmowy wiedziała, że sir Ivor jest w domu, na pewno była też służba. Ale szczerze wątpiła, czy o tej porze ktokolwiek jest jeszcze na nogach. Zresztą nawet gdyby zaczęła krzyczeć i ktoś ją usłyszał, to jak by ją znalazł w takim zamczysku?

Zerknęła na lady Neville i nabrała przekonania, że nie uratowałaby jej nawet znajomość miejsca pochówku Williama. Ta kobieta miała twarz dziecka, okrutnego dziecka, którego nie obchodzi sprawiedliwość, chyba że to jemu coś się należy.

- Och Max... - Zaszlochała cicho, prawie niesłyszalnie.

Ale lady Neville usłyszała to i natychmiast się na nią rzuciła.

- O, tak. Nie zapominajmy o twoim droгим mężu. Myślałaś, że jesteś taka sprytna i że omotałaś lorda Maxwella. Czy myślisz, że Worth'owie z Lyndhurst przyjmą cię do rodziny? Nie ludź się! Lord Maxwell po prostu posługuje się tobą. Jest właścicielem i wydawcą „Couriera”. Chce mieć dobry artykuł do swojej gazety. Tak powiedział sir Ivorowi. Lord Maxwell nie ożeniłby się przecież z córką piwowara! Czas pokaże, że mam rację.

Sara puściła mimo uszu większość tej przemowy, uznawszy ją za bredzenie oszalałej kobiety. Lady Neville wciąż rozpaczała po stracie syna, a z ogromu cierpienia straciła władzę nad swym umysłem. Nie sposób było teraz przewidzieć, jak się zachowa.

Sara zerknęła na lokaja. Wpatrywał się w nią z zagadkowym uśmiechem. Zaciśnęła dłonie na poręczy krzesła.

- Dobrze pomyśl, zanim zrobisz coś nierozważnego - powiedziała do niego. Jej głos zabrzmiał błagalnie. - Lord Maxwell nie jest głupcem. Odgadnie, że masz coś wspólnego z moim porwaniem. A jeśli chcesz pieniędzy, to tego mi nie brakuje. Dam ci nagrodę, jeśli mnie wypuścisz.

- Nie! - krzyknęła lady Neville.

Beckett błysnął białą zębów.

- Niech się pani nie martwi. Nie jestem taki głupi! Znam takie damy i wiem, jak dotrzymują słowa.

- Czy pieniądze są dla ciebie tak ważne?! - krzyknęła Sara.

Uśmiech Becketta stał się pogardliwym grymasem.

- Ot, prawdziwa dama - rzucił. - Co ty i takie jak ty wiesz o życiu w służbie? Nigdy nie przepracowałaś ani godziny.

Spuścił głowę, ale wcześniej Sara zauważyła wściekłość bijącą z jego oczu. Jeszcze raz spróbowała zerwać więzy: z całych sił napięła mięśnie.

- Dostaję trzydzieści funtów rocznie - powiedział Beckett. - Trzydzieści! A większość lokajów ma połowę tego. Jesteśmy takimi samymi ludźmi jak ci, którym służymy, ale oni lepiej traktują swoje psy. A ja jestem ambitny. Mam różne plany i nagroda bardzo mi się przyda.

Sara wzdrygnęła się, gdy ujął jej twarz.

- Słusznie - rzekł. - Powinnaś się mnie bać. Musisz zrozumieć, że byłbym bardzo zły, gdybym nie mógł się zgłosić po tę nagrodę. Prawdę mówiąc, przywiązałem się do myśli, że ją dostanę. A łatwo

wpadam w złość. Trudno przewidzieć, co mogę zrobić, jeśli nie powiesz mi tego, co chcę wiedzieć.

- Beckett po prostu cię zabije, jeśli mu nie powiesz, gdzie są szczątki Williama, ale jeżeli to zrobisz, puści cię wolno - wtrąciła lady Neville. - Och, wiem, że nie można cię drugi raz postawić przed sądem za morderstwo, ale świat się dowie, że zabiłaś mojego syna. Tak czy owak, zapłacisz więc za swoją zbrodnię.

- Nie mogę wam powiedzieć, gdzie jest ciało Williama! - krzyknęła Sara - Bo... - Spojrzała na jedną zimną twarz, potem na drugą i zrozumiała, że prawda jej nie ocali. - Bo... - zawahała się, ale wnet podjęła decyzję - bo nigdy go nie znajdziecie. Muszę sama pokazać wam to miejsce.

- Kłamie - syknęła lady Neville. - Gra na zwłokę.

- Niech pani pozwoli jej dokończyć. No, dalej. Powiedz mi, gdzie to jest, a ja zdecyduję, czy kłamiesz, czy nie. Jeśli się okaże, że kłamiesz, to niech Bóg ma cię w swojej opiece.

Odpowiedź przysłała jej stosunkowo łatwo, gdyż w chwili, gdy ją napadnięto, Peter Fallon snuł różne domysły na temat miejsca, w którym ukryto zwłoki Williama.

- Ciało jest pochowane na wzgórzach, w tych starych anglosaskich umocnieniach nad Longfield. Ale nigdy go nie znajdziecie. Jest zarośnięte krzakami jeżyn i dzikiej róży. Policja też nie znalazła tego miejsca, bo tylko ja je znam. Odkryłam je wiele lat temu i zawsze miałam tam swoją kryjówkę.

Twarz lady Neville wykrzywiły rozpacz i wściekłość.

- To tam spotkałaś się z Williamem! Zwabiłaś go tam i zabiłaś! Postąpiła krok ku Sarze, ale Beckett znów ją powstrzymał.

- Jeśli pani ją zrani, nigdy nie znajdziemy ciała pani syna. - Spojrzał na Sarę. - Nie wierzę ci. Dwa razy w środku nocy byłaś we wdowim domku. Za pierwszym razem szedłem za tobą. Potem wystarczyło czekać co noc, aż znowu spróbujesz. Jeśli szczątków Williama nie ma we wdowim domku, to na pewno są gdzieś w pobliżu. A wzgórze są zupełnie gdzie indziej.

Sara nigdy nie myślała szybciej niż teraz.

- To była pułapka. Chciałam się upewnić, czy nikt mnie nie śledzi. Myślałaś, że jestem taka naiwna i nie sprawdzę, na jakim gruncie stoję? Dwa razy próbowałam i dwa razy nie byłam sama. A pamiętasz, gdzie znaleziono konia Williama? Właśnie na wzgórzach. Tam jest pochowane ciało.

Pani i jej kochanek wymienili spojrzenia, a po chwili lady Neville skinęła głową. Głośno odetchnęła.

- Poczekam tutaj na was. Ale pamiętaj, Beckett, kto wypłaca nagrodę. Jeśli nie znajdziecie szczątków Williama, nie licz na hojność mojego męża.

- Nie zapomnę o tym.

Sara drgnęła, gdy nagle lokaj odwrócił się do niej i ujrzała w jego ręce nóż. Wydała zduszony okrzyk. Ale Beckett tylko przeciął jej więzy, najpierw na rękach, potem na nogach. Zauważył jej przerażenie i szeroko się uśmiechnął.

- Wstań - powiedział.

Posłusznie wykonała polecenie, ale zatoczyła się, jakby była pijana. W głowie kłębiły jej się różne myśli, krew tętniła w uszach. Lady Neville powiedziała, że zostanie w domu, lecz choć mniejsza liczba strażników oznaczała większe szanse ucieczki, to Sara za nic nie chciała zostać tylko z Beckettem.

Będziesz mógł z nią zostać sam na sam, ale dopiero po tym, jak nam powie to, co chcemy wiedzieć.

Te słowa raz po raz do niej wracały. Nie wydawało jej się bowiem, żeby Beckett był skłonny słuchać czyichś poleceń.

- Pokaż mi, jak chodzisz - powiedział.

Zrobiła krok i zachwiała się. Siłą woli spróbowała jednak iść dalej. Jeśli miała ująć z życiem, to musiała być przygotowana na znacznie więcej niż kilka chwiejnych kroków. Musiała być gotowa do szybkiego biegu.

- W porządku, chodźmy - rzucił Beckett. Przyłożył jej nóż do gardła. - Ale pamiętaj, jeśli będziesz próbowała mnie oszukać, obetnę ci palce, jeden po drugim. A masz takie zgrabne paluszki.

Chwycił Sarę za łokieć i popchnął do wyjścia. Lady Neville otworzyła przed nimi drzwi.

- Będę tutaj, Beckett. Czekam na wasz powrót. Potem pójdziemy razem do sir Ivora i przekażemy mu dobrą nowinę.

Wypuściła ich i wróciła do sanktuarium, w którym czciła pamięć swoich dzieci. Była dziwnie pogodna. Kiedyś przysięgła synowi, że bez względu na to, ile czasu trzeba będzie ścigać jego mordercę, dopilnuje, by sprawiedliwości stało się zadość. I oto ten dzień wreszcie nadszedł.

Dom był istnym labiryntem długich, wąskich korytarzy i schodów, które dochodziły do podestów i prowadziły do innych wąskich korytarzy. Sara pomyślała, że już rozumie, dlaczego Beckett wybrał okrężną drogę. Na pewno wiedział, gdzie znajdują się pokoje służby i chciał uniknąć spotkania z kimkolwiek, do kogo mogłaby się zwrócić o pomoc. Prawdopodobnie nikt nawet nie usłyszałby jej krzyków.

Nie miała żadnego planu, wiedziała tylko, że musi uciec, ukryć się i przeczekać w ukryciu do rana, kiedy w domu zacznie się ruch. Była też pewna, że na wzgórzach nie ma dla niej szans na ucieczkę. Tam nie odważyłaby się spróbować. Była zamroczona, nogi się pod nią ugiwały. Musiała podjąć próbę, zanim wyjdą z domu.

Ale najpierw musieli znaleźć się w ciemności, dlatego Sara bardzo podupała na duchu, gdy stwierdziła, że we wszystkich kinkietach na korytarzu palą się świece. Dyżurny lokaj powinien był zgasić większość z nich wiele godzin temu, więc zapewne obowiązek ten należał do Becketta. Zdażyła już zauważyć, że ten w ogóle nie przejmuje się swoimi obowiązkami. Nienawidził swojego lokajskiego stanu i robił tylko tyle, ile musiał, żeby się nie narazić.

- W tym skrzydle rezydencji mieszka lady Neville - powiedział. Były to jego pierwsze słowa, odkąd opuścili apartamenty pani domu. - Mamy je wyłącznie dla siebie, jeśli nie liczyć pokojówki lady Neville, której w tej chwili nie ma na tym piętrze. Gdybyś chciała krzyżeć, nikt cię nie usłyszy.

Strach ścisnął Sarę za gardło.

Beckett przystanął koło jednego z kinkietów i wziął z niego świecę.

- Tam, gdzie idziemy, nie ma świec - powiedział.

Nie ruszał się, więc Sara zaczęła się od niego odsuwać. Starła się, żeby ten ruch wyglądał jak najnaturalniej. Nie mogła jednak wymyślić żadnej odpowiedzi.

Beckett wepchnął ją do wnęki przed jakimiś drzwiami.

- Podobam ci się, prawda?

Ciarki przebiegły jej po skórze. Miała wielką ochotę uderzyć go w twarz, żeby przestał się tak lubieżnie uśmiechać, ale wiedziała, że nie wolno go rozżościć. Powinna nawet udawać zainteresowanie jego osobą. Tylko czyby jej uwierzył?

- Tak - odparła z drzeniem w głosie.

Uśmiechnął się, patrząc jej prosto w oczy.

Schował nóż i sięgnął do klamki, znajdującej się tuż przy jej biodrze. Drzwi otworzyły się do środka. Wszedł za nią do pomieszczenia i zamknął drzwi na klucz. Gdy odstawiał świecę na gzyms kominka, Sara potoczyła wzrokiem dookoła. Nie traciła czasu na oględziny wielkiego masywnego łoża z misternie utkanymi zasłonami. Szukała broni i wypatrzyła ją prawie od razu przy osłonie kominka.

Beckett zdjął surdut liberii i starannie go złożywszy, powiesił na oparciu krzesła. Sara starała się udawać spokojną, ale ręce tak jej się trzęsły, że nie mogła rozpiąć guzików narzutki. Aż podskoczyła, gdy nagle Beckett się nad nią pochylił. Ujął ją za ramiona, a ona musiała szybko się opanować, żeby nie odtraćić go z obrzydzeniem.

Przeszywało ją spojrzenie ciemnych błyszczących oczu.

- Ty głupia suko. Czy naprawdę myślałaś, że możesz mnie oszukać? Chcesz zyskać na czasie, masz nadzieję, że ktoś cię uratuje. Ale przed tym nie ma dla ciebie ratunku.

Szarpnął ją za rękę i z całej siły przycisnął jej dłoń do swojego krocza. Przeraził ją tym tak, że instynktownie zamachnęła się i uderzyła go w twarz. Beckett pchnął ją na łoże. Błyskawicznie rzucił się na nią, ale zrobiła unik i zdołała się wyrwać. Zeskoczyła z łoża, dopadła kominka. Zdążyła chwycić za pogrzebacz i odwrócić się do lokaja.

Ten stanął wsparty pod biodra i zachichotał.

- Zapłacisz mi za ten policzek - powiedział. - Ale przecież tego chcesz, prawda? Niektóre kobiety lubią przemoc.

Kończąc ostatnie zdanie, znów się na nią rzucił. Z całej siły zamachnęła się pogrzebaczem. Żelazny pręt zawadził o ramię Becketta, ale siła uderzenia była zbyt mała. Lokaj tylko ryknął z wściekłości i pociągnął ją za sobą na podłogę. Broniła się ze wszystkich sił. Przetoczyli się kilka razy po podłodze i przewrócili krzesło. Kopiając i drapiąc, Sara zdołała zyskać wystarczająco dużo swobody, by dźgnąć lokaja palcem w oko. Zawył z bólu i ją puścił. Na czworakach zaczęła pełznąć w stronę pogrzebacza. Po drodze natknęła się na surdut lokaja i poczuła ostrą krawędź.

Dobyła noża, nim Beckett uzmysłowił sobie zagrożenie. Skoczył do niej i wtedy ostrze wbiło mu się głęboko w udo. Nastąpiła

chwila absolutnej ciszy i bezruchu. Potem Beckett zgiął się wpół i krzyknął z bólu.

- Ty suko! - wysapał. - Cholerna suko! Przecięłaś mi tętnicę.
- Mam nadzieję.
- Pomóż mi, ty suko! Potrzebuję lekarza.

Sara nie zadała sobie trudu, by odpowiedzieć. Podniosła surdut z podłogi, z kieszeni wyjęła klucz i szybko otworzyła drzwi. Wyrzuciła nóż, a potem zaczęła krzyczeć. Biegła korytarzem i wciąż krzyczała, krzyczała, krzyczała.

Jakby w odpowiedzi na jej wołanie o pomoc na dole rozległo się łomotanie i po chwili zagrzmiął głos wołającego ją Maksa. Zapomniała o bólu. Prawie frunąc, pokonała ostatnie stopnie.

- Mój Boże, Saro!

Max dopadł podnóża schodów, a ona rzuciła mu się w ramiona.

Sara nie pozwoliła sobie na długie wytchnienie. Zaraz wysunęła się z mocnych ramion Makska. Najpierw spytała go, co stało się z Peterem Fallonem, a gdy mąż zapewnił ją, że Peter ma się lepiej, opowiedziała mu w kilku zdaniach, jak znalazła się w domu sir Ivora.

Ostatnie słowa wyrzuciła z siebie w popłochu:

- Dźgnęłam nożem tego lokaja lady Neville. Może się wykrwawić na śmierć. Leży w jednej z sypialni. - Obróciła się ku schodom. - Nie wiem w której.

- Nic mnie to nie obchodzi, że wykrwawi się na śmierć. Tylko oszczędzi mi trudu, bo musiałbym go zabić!

Sara pociągnęła męża za rękaw.

- Jeśli nie myślisz o nim, pomyśl o mnie. Nie chcę być znowu sądzona za morderstwo.

- Gdzie jest sir Ivor? - spytał Max.

Patrzył gdzieś za jej plecy, więc Sara odwróciła się i wtedy zobaczyła w mroku lokaja ubranego w czarną liberię. Serce jej zamarło, ale zaraz zorientowała się, że ten człowiek jest starszy od Becketta. Nocny stróż, pomyślała z ulgą i pociągnęła nosem, żeby powstrzymać łzy.

- Tu nie ma nikogo oprócz mnie - powiedział lokaj. Wskazał ozdobny zegar na stole w sieni. - Wszyscy śpią.

- Zaraz się to zmieni - burknął Max.

Odepchnął Sarę, dobył pistoletu i strzelił w sufit zdobiony sztukaterią. Spotęgowany echem wystrzał mógł uchodzić za armatnią salwę.

Tego było Sarze za wiele. Złapała się za głowę, zatkała uszy i zaczęła się trząść jak osika.

- Brandy - powiedział Max. - Musisz napić się brandy. - Zwrócił się do lokaja: - Zaprowadź nas do biblioteki sir Ivora.

- Nikomu nie wolno...

- Natychmiast! - ryknął Max.

Trzaskały otwierane drzwi, zaalarmowani ludzie krzyczeli. Wyglądało jednak na to, że starego lokaja nic nie może wytrącić z równowagi. Wziął świecę i powiedział oficjalnie:

- Proszę tędy.

Gdy znaleźli się w bibliotece, Max posadził Sarę na krześle.

- Max, proszę cię - szepnęła drżąco. - Musisz znaleźć Becketta i zatamować krwawienie.

- Nie martw się. Znajdę go. - Podniesionym głosem zwrócił się do lokaja: - Przynieś brandy mojej żonie i zamknij drzwi na klucz, kiedy wyjdę z tego pokoju. Pod żadnym pozorem nie wolno ci zostawić mojej żony samej.

- Max, proszę cię, idź już! - krzyknęła Sara.

Skinął głową i opuścił bibliotekę.

Lokaj przekreślił klucz w zamku, a potem podał Sarze szklaneczkę brandy. Sara tak się trzęsła, gdy próbowała przyłożyć naczynie do warg, że wylała sobie trunek na narzutkę. Nie była pewna, czy nie dostaje ataku hysterii, bo kiedy lokaj zajął swoje miejsce przy drzwiach, jakby nic nadzwyczajnego się nie działo, a ona składała grzecznościową popołudniową wizytę, nagle zaczęła chichotać.

Odkąd niebezpieczeństwo minęło, nie mogła wziąć się w karby. Gdy jej nerwowy chichot zamienił się w spazmatyczną czkawkę, przyłożyła szklaneczkę do ust i pociągnęła duży łyk brandy. Zakrzuszyła się, część trunku wypłuła, ale łzy, które napłynęły jej do oczu, były skutkiem nie tylko alkoholu.

Było jej zimno, okropnie zimno.

Władczym tonem, który zapożyczyła od Maksa, zwróciła się do lokaja:

- Rozpal ogień.

Mężczyzna wykonał polecenie, a ona przesiadła się na inne krzesło, żeby znaleźć się bliżej ognia. Kominek był wielki, dwa razy taki jak największy w Longfield, więc szybko owionęło ją miłe ciepło. Przełknęła jeszcze trochę brandy, usadowiła się wygodniej na krześle i zaczęła się przyglądać, jak płomienie

przeskakuję z jednego polana na drugie. Z korytarza dolatywały ją odgłosy kroków i inne hałasy, ale nie zwracała na nie uwagi. Wciąż patrzyła w ogień i miała przed oczami kominek we wdowym domu.

Przez trzy lata cierpiała katusze, nie wiedziała bowiem, czy to ona, czy siostra zabiła Williama. Dopiero gdy zaczęły do niej przychodzić listy, uwierzyła, że William żyje. Ale listy pisała lady Neville, co musiało oznaczać, że William jednak nie żyje.

Dokąd poszedł tamtej nocy z wdowego domu?

Na pewno do kogoś, kto miał dość pieniędzy, by móc spłacić jego karciane długi. Przecież po to właśnie przyszedł do niej. Karciane długi należało regulować bezzwłocznie, dżentelmeni hołdowali bowiem żalosnemu niepisanemu obyczajowi, w myśl którego człowiek łamiący obietnicę spłacenia długu zaciągniętego przy zielonym stoliku natychmiast tracił twarz, chociaż nikomu nie przeszkadzało, że ten sam człowiek nie płacił swemu krawcowi, szewcowi, służbie i tym, których miał na utrzymaniu.

Lady Neville powiedziała, że William miał do niej przyjść tamtej nocy, ale się nie pojawił. Zawsze dawała mu wszystko, co mogła zaoszczędzić. Ale nie miała dość pieniędzy dla syna, nie miała nawet znaczącej części potrzebnej sumy. A sir Ivor nie pomógłby synowi, bo od lat ze sobą nie rozmawiali.

Sara podeszła do problemu od innej strony. Kto miał motyw i okazję, żeby zabić Williama? Niegdyś właśnie postawienie tego pytania doprowadziło do jej aresztowania i procesu. Kto miał motyw? Myśli zaczęły jej się mącić, dryfować. Wróciła do teraźniejszości, przed oczami przesuwały jej się sceny z ostatniej godziny, którą spędziła w apartamentach lady Neville. Usłyszała tam coś dziwnego. Małą Jenny... To było coś o małej Jenny. Skupiła się na tej myśli, lecz zanim zdążyła zaprząć rozum do pracy, wszystko samo ułożyło się w zupełnie nieprawdopodobny sposób.

To nie mogła być prawda.

Zaczęła powoli, kawałek po kawałku, sprawdzać rozumowanie i łamigłówka składała się coraz lepiej.

Ale wynik był bardziej niż nieprawdopodobny. Zresztą nawet gdyby okazał się prawdziwy, Sarze brakowało na to dowodu. W dodatku nie miała pojęcia, dlaczego jej myśli podążyły takim

dziwnym tropem. Jeszcze przed chwilą sączyła brandy, siedząc przy kominku, a zaraz potem cofnęła się w Czasie i znalazła we wdomim domku tamtego wieczoru, gdy ostatni raz widziała szwagra.

Odstawiła szklaneczkę i wstała. Nagle poczuła wielkie ożywienie. Wprawdzie miała tylko teorię, ale logiczną. I istniał jeden jedyny sposób, by ją potwierdzić.

Ktoś zapukał. Lokaj usłyszał głos sir Ivora i otworzył drzwi. Do biblioteki wszedł gospodarz, a tuż za nim Max.

Nie zaskoczyło Sary, że sir Ivor zdążył się ubrać. Pokazanie się publicznie w szlafroku byłoby poniżej jego godności. Wyglądał jak zawsze nieskazitelnie: beżowe spodnie za kolana, granatowy surdut, idealnie biała koszula. Natomiast Max sprawiał przy nim takie wrażenie, jakby w panice włożył byle co, gdy w jego domu wybuchł pożar.

Sir Ivor zaczął od wysłania lokaja do sieni, gdzie miał oczekiwać przybycia konstabla. Max podszedł do Sary.

- Lokaj nazwiskiem Beckett, tak? - spytał. - Próbował zbiec. Ale nie uciekł daleko, bo zostawiał za sobą ślady krwi. Nic mu nie będzie. Czekaj dobrze zamknięty pod strażą, aż przesłucha go konstabl. Na razie nic nie chce powiedzieć.

- A lady Neville?

- Zaraz do nas przyjdzie, gdy służąca skończy ją ubierać - zagrzmiął sir Ivor. Był bardzo zły; na jego nosie i policzkach wyraźnie było widać fioletowe żyły. Podszedł do Sary. - Jestem pewien, że lady Neville o niczym nie wie, a poza tym chcę powiedzieć, że nie wierzę w ani jedno słowo tej historyjki o uprowadzeniu. Mogę sobie najwyżej wyobrazić, że pani jest w zмовie z Beckettem, chociaż nie umiem dociec, co ma pani nadzieję zyskać w ten sposób.

- Mój sekretarz został dziś napadnięty, gdy odprowadzał moją żonę do domu - oznajmił Max. - Omal nie stracił życia. Niech lady Neville i jej lokaj wyjaśnią, w jaki sposób, ich zdaniem, to się stało.

- Powiedziałaś, że panu Fallonowi nic się nie stało - wtrąciła szybko Sara.

- Ma ranę głowy i wstrząs mózgu - wyjaśnił Max, nie odrywając wzroku od sir Ivora. - Ale mogło być dużo gorzej.

Sir Ivor paskudnie zaklął, odwrócił się i podszedł do kredensu,

na którym stała taca z karafkami. Nalewając sobie drinka, burknął przez ramię:

- Ostrzegam pana, że zamierzam wnieść skargę. To najście traktuję jak bezprawne wtargnięcie na cudzy teren. A jeśli Beckett będzie utrzymywał, że jest niewinny, wniosę również oskarżenie o usiłowanie morderstwa.

- Nie martw się. - Max poklepał żonę po dłoni. - Nie ujdzie im to na sucho. Wiemy, że zostałeś uprowadzona. Peter zdążył nam to powiedzieć. Poza tym mamy świadków, którzy potwierdzą, że Beckett był w Longfield tego wieczoru, gdy dostałaś list.

- Ha! - Sir Ivor odwrócił się z miną wyrażającą najwyższą pogardę. - Jeśli Beckett był w waszym domu, to jak tam wszedł? Lordzie Maxwell, kto jak kto, ale pan powinien wiedzieć, że ta kobieta nie ma żadnych zasad moralnych. Pod pańskim nosem romansowała z Beckettem...

- Ty...

Sara chwyciła męża za ramię, żeby nie rzucił się na sir Ivora.

- Nie, Max! Dość przemocy! Proszę.

Max przyjrzał się jej twarzy i rysy mu złagodniały.

- Wyglądasz tak, jakbyś zaraz miała zemleć - powiedział. - Zabiorę cię do domu, gdy tylko porozmawiamy z konstablami. Czy wytrzymasz do tego czasu?

- Jeśli mam mieć z tym cokolwiek wspólnego - odezwał się sir Ivor, wypiwszy jednym łykiem drinka - to raczej konstabl zabierze ją do aresztu. Ta kobieta nic się nie zmieniła. Historia się powtarza.

Max powiedział coś kojącego do Sary, ale go nie usłyszała. Pomyślała, że sir Ivor ma rację. Ta sytuacja była tak podobna do poprzedniej, że aż ciarki chodziły jej po plecach. Teraz aresztują ją i osadzą w Winchester, gdzie będzie czekać na proces. Znowu rozejdą się plotki i znowu wszyscy będą opowiadać pikantne historyjki o Sarze Carstairs.

Sytuacja była podobna, ale nie taka sama, bo tym razem Sara nie musiała milczeć. Nie musiała martwić się o Anne. Nie musiała się lękać, że jeśli powie prawdę, to wyśle siostrę na szubienicę.

- Ty hipokryto! - Przeszyła sir Ivora lodowatym spojrzeniem. - Ty kłamco! Ty tchórz! Poprzednio ocaliłeś własną skórę, bo zrobiłeś ze mnie kozła ofiarnego. Może nawet sama ci pomogłam swoim milczeniem. Ale tym razem nie licz na to.

Obaj mężczyźni popatrzyli na nią tak, jakby oszalała.

- Saro... - powiedział Max, marszcząc czoło.
- Nie, posłuchaj mnie! To on zamordował Williama. Zamordował własnego syna. Wiem, jak to się stało, i wiem dlaczego.
- Myślę, że pańska żona postradała zmysły - rzekł sir Ivor. - Ale niech mówi dalej. To jest całkiem interesujące. Przynajmniej jakoś zabijemy czas do przybycia konstabla.

Max wydawał się głęboko zatroskany.

- Przyniosę ci szklaneczkę brandy - powiedział.

Sir Ivor obszedł biurko i usiadł na krześle. Sprawiał wrażenie rozbawionego i to zachwiało pewnością siebie Sary. Przyjęła od męża szklaneczkę brandy, po czym odruchowo przytknęła ją do ust. I wtedy zauważyła, że jedna z dłoni sir Ivora jest mocno zaciśnięta w pięść. Sama używała tej sztuczki podczas procesu. Twarz miała przez cały czas pogodną, bo lęki i napięcie wyrażała zaciskaniem pięści ukrytej w fałdach sukni.

- William - zwróciła się do Maksa - chciał tamtej nocy dostać pieniądze. Najpierw przyszedł do mnie. Nie mogłabym mu jednak pomóc, nawet gdybym chciała, bo adwokaci opisali cały mój majątek, przygotowując intercyzę. Wiesz, że doszło do kłótni i szarpaniny, wiesz, co stało się potem. William wyszedł z wдового domku. Ale dokąd, Max? Kto miałby tyle pieniędzy, że mógłby spłacić jego karciane długi? Pomyśl o tym. W Stoneleigh są tylko dwie takie osoby: ja i jego ojciec.

- Do mnie by nie przyszedł! - wybuchnął sir Ivor. - Wydziedziczyłem go, gdy ożenił się z pani siostrą.

- Nie! - zaprotestowała Sara. - Pańska kłótnia z Williamem miała miejsce na długo przed jego ślubem z Anne. I to nie pan jego wydziedziczył, tylko on zerwał stosunki z panem.

- Pani oszalała!

Sara spojrzała na męża.

- Powiedziałam ci, że William bardzo się na mnie rozgniewał, gdy kiedyś powtórzyłam mu plotkę, którą usłyszałam.

Max skinął głową.

- William miał dziecko z miejscową panną, a potem zostawił ją na łasce losu.

Sir Ivor westchnął.

- Jeśli musicie wiedzieć, wydziedziczyłem go właśnie z tego powodu, do czego dołożyły się jeszcze nieodpowiedzialność i hazard.

- Ale to nie chodziło o jakąś miejscową pannę, tylko o pańską córkę. - Sarze zadrżał głos. - Gna wcale nie umarła na gorączkę piersiową. Nie wierzę, że zabrał ją pan do Londynu, żeby poradzić się najlepszych lekarzy. Wziął pan ją tam, żeby pozbyła się dziecka. Umarła, mając szesnaście lat! Jak pan mógł zrobić coś takiego?!

Twarz sir Ivora pobladła jak papier.

- Kto pani naopowiadał takich łągarstw?

- Beckett - bezwstydnie skłamała Sara. - On wie o panu wszystko, sir Ivor. I to on mi powiedział.

Przez chwilę patrzył na nią nieruchomym wzrokiem, a potem zwrócił się do Maksa:

- Musiałem chronić dobre imię rodziny - rzekł ochryple. - William i jego rodzona siostra! Jak mogłem dopuścić do rozejścia się takiej plotki? Pan zna eleganckie towarzystwo. Tak samo jak ja zrobiłby pan wszystko, żeby chronić dobre imię rodziny.

- Myli się pan - odparł oschle Max. - Mnie interesowałyby wyłącznie pożoenie tej biedaczki.

Sir Ivor odważemnił spojrzenie Maksa.

- Wcale się nie usprawiedliwiam. - Popatrzył na Sarę. - Ale gdybym chciał zabić Williama za to, co zrobił mojej córce, to dlaczego czekałbym aż tak długo? Dlaczego nie zabiłem go od razu? Moja córka umarła na rok przed ślubem Williama z pani siostrą.

- Długo się nad tym zastanawiałam - powiedziała Sara. - Wreszcie pojęłam, że William nie miał z tym nic wspólnego. To pan był ojcem dziecka swojej córki. Myślę, że Caroline powiedziała o tym bratu, a pan mu zapłacił za milczenie. Ale gdy William wydał pieniądze, wrócił po więcej. - Znów spojrzała na Maksa. - William tak postępował. Szantażował mnie, dostawał pieniądze, a kiedy się kończyły, wracał po następną porcję. To samo robił z ojcem. Widocznie tej nocy cierpliwość sir Ivora się wyczerpała, więc zabił syna. Ja byłam w podobnej sytuacji. Też go chciałam zabić, tylko że za nic nie pozwoliłabym, żeby winą za to obciążono kogoś innego.

Sir Ivor ciężko oddychał.

- Stanowczo nie będę słuchał więcej tych odrażających pomówień.

Nawet Max kręcił głową.

- Saro, to są poważne oskarżenia.

Zignorowała jego słowa. Wpatrując się w sir Ivora, spytała:

- Ile lat ma Jenny? Zna pan Jenny, sir Ivor, prawda? Małą Jenny. Pracuje u pana. Jest służącą. Beckett powiedział, że będzie z nią pan dziś w nocy. Ile ma lat? Dwanaście? Trzydzieści? - Zniżyła głos do szeptu. - Moja siostra Lucy też mi powiedziała, że na pana widok przechodzą ją ciarki. Powinnam była ją wypytać, ale nie przyszło mi do głowy, że mógłby ją pan napastować. W każdym razie nawet pańska żona wie, że lubi pan małe dziewczynki. Czy to dlatego nigdy nie dorosła? Ile dziewczynek pan napastował, sir Ivor? Czy sądzi pan, że to można utrzymać w tajemnicy? Dowiem się tego, przysięgam panu. Dowiem się.

- To łgarstwa! - ryknął sir Ivor. - Chorobliwe bredzenie! Niczego nie może pani dowieść!

Sara wolno odetchnęła.

- Właśnie, że mogę. Zabił pan Williama tamtej nocy w tym pokoju, a potem ukrył pan jego ciało w kryjówce pod kominkiem. Proszę spojrzeć na te ozdobne cegły. Kominek tutaj i we wdowim domku w Longfield stawił ten sam budowniczy.

- Congreve- podpowiedział Max. Podszedł do ściany i dokładnie ją zbadał. - Mój Boże. Masz rację, Saro.

- Kombinacja otwierająca...

Urwała, bo sir Ivor nagle chwycił ją od tyłu i zamknął w stalowym uścisku. Zrobił to błyskawicznie i bezszelestnie jak pantera. W dłoni trzymał pistolet. Gdy odwiódł kurek, Max odwrócił się w ich stronę.

- Niech pan nie robi nagłych ruchów - ostrzegł go sir Ivor - bo pańska żona zginie. - Przyłożył jej pistolet do skroni.

- Nie wierzyłem nawet w połowę tego, co powiedziała moja żona - stwierdził Max.

- Ja też nie - przyznała Sara. - Prawdę mówiąc, większość po prostu zgadłam. Max, kocham cię.

Max szeroko rozłożył ręce.

- Lepiej niech pan strzeli do mnie. - Powoli zbliżał się do żony i jej napastnika. - Bo jeśli chociaż włos z głowy jej spadnie, to przysięgam, że znajdę pana i zabiję gołymi rękami. - Zerknął za plecy sir Ivora. - O, konstablu, przyszedł pan akurat we właściwej chwili.

- Co to ma znaczyć?! - zagrzemiał od progu konstabl Evans, wielki, muskularny mężczyzna.

Sir Ivor zerknął w tamtą stronę i w tym momencie Max potężnym kopnięciem wybił mu pistolet z dłoni. Sara wyrwała się napastnikowi, a jej mąż wyprowadził potężny prawy hak na szczękę sir Ivora. Mężczyzna z jękiem upadł na kolana. Zdruzgotany, pochylił głowę i nie stawiał oporu, gdy konstabl skuł mu ręce za plecami, a potem postawił go na nogi.

- A teraz - odezwał się stróż prawa - czy mogliby mi państwo powiedzieć, co tu się dzieje, u diabła?

Konstablowi wcale nie spieszyło się, by zajrzeć do kryjówki, w której mogły spoczywać szczątki Williama. Pamiętał, że przed chwilą aresztował najbardziej wpływowego człowieka w zachodnim Hampshire, toteż zachowywał daleko posuniętą ostrożność. Gorzko teraz żałował, że młody Streatham przyjechał do jego domu, a nie do sędziego pokoju Orra. Orr był szlachetnie urodzony, dlatego lepiej wiedziałby, jak postępować z tym towarzyszem.

Konstabl nie znosił kontaktów z wyższymi warstwami. Ci ludzie zawsze byli tacy sami. Wydawało im się, że wystarczy, by coś powiedzieli, i już nikt nie ma prawa tego zakwestionować. Na tym zresztą polegał problem, bo każdy z nich opowiadał mu zupełnie co innego.

Jego pozycja była tym bardziej niezręczna, że jedną z osób oskarżających sir Ivora była Sara Carstairs, kobieta, którą trzy lata temu osobiście aresztował pod zarzutem zamordowania młodego Neville'a. Teraz była żoną człowieka o dość wysokiej pozycji i konstabl nawet nie bardzo wiedział, czy powinien się do niej zwracać per lady Worthe, czy lady Maxwell. Na wszelki wypadek pominał więc wszelkie wyrazy szacunku. Najbardziej chciał, żeby przyjechał Orr i wyręczył go w tej sprawie.

Od pewnego czasu musiał zresztą zajmować się aż czterema osobami, bo wkrótce po jego przybyciu do pokoju wwieziono na wózku inwalidzkim lady Neville. Ona zresztą sprawiała najwięcej kłopotu. Wciąż zrzędlawie groziła mu konsekwencjami z powodu aresztowania niewłaściwej osoby. Inni oczekiwali przyjazdu sędziego Orra znacznie spokojniej. Sir Ivor siedział nieruchomo jak kamienny posąg i prawie nie otwierał ust, Sara Carstairs miała

zamknięte oczy, a jej mąż wciąż namawiał ją do wypicia jeszcze jednego łyku brandy, którą podtykał jej pod usta.

Konstabl spojrzął na Maksa.

-- Co to właściwie było, sir?

Cierpliwość Maksa wyraźnie się kończyła. Wprawdzie szybko zauważył, że konstabl jest mało lotny i niemrawy, ale więcej nie był w stanie mu wybaczyć. Ten człowiek musiał być skończonym osłem, jeśli nie rozumiał, że sir Ivor ma coś na sumieniu.

- Proszę posłuchać. - Max starał się wykrzesać z siebie jeszcze trochę cierpliwości. - Kiedy pan wszedł, sir Ivor trzymał pistolet przy skroni mojej żony. Sir Ivor wie, że znaleźliśmy miejsce ukrycia ciała jego syna, więc gdyby dał mi pan kilka minut na znalezienie mechanizmu otwierającego zamaskowane drzwi, mógłbym udowodnić to, co mówię.

- Najpierw musi przyjechać sędzia Orr - odparł konstabl Evans. - On jest jedyną osobą władną przeszukać dom sir Ivora. - Konstabl nie był pewien, czy ma rację, ale wolał nic ryzykować.

Na dziecięcej twarzy lady Neville malowały się gniew i lek jednocześnie.

- To oburzające! William nie może być tutaj. Tylko Sara Carstairs wie, gdzie on jest. Czy pan nic nie rozumie, konstablu? Ściągnęłam ją do domu w tym jednym celu: żeby zaprowadziła mnie do miejsca, w którym spoczywają szczątki Williama. I gdyby pan się nie wtrącił, niechybnie by to zrobiła.

Pierwszy raz od dłuższej chwili sir Ivor się poruszył.

- Co ty mówisz, Jessico? W jaki sposób mogłaś sprowadzić tę kobietę do naszego domu?

- Wysyłałam do niej listy, w których naśladowałam charakter pisma Williama. Och, Worze, jak myślisz, po co zapisałam się do kółka parafialnego? Dlaczego zaprzyjaźniłam się z tą okropną Constance Carstairs i obiecałam jej pomoc we wprowadzeniu córki do towarzystwa? Chodziło mi o adres Sary Carstairs, żeby mogła wysyłać jej te listy niby od Williama. I o to, żeby ona wróciła do domu. Przecież odkąd dostała pierwszy list, musiała zacząć się zastanawiać, czy przypadkiem Williama nie ma jednak wśród żywych.

Lady Neville rozejrzała się i stwierdziła, że wszyscy jej się przyglądają, popisywała się więc dalej jak zdolne dziecko.

- Nikt nie zrozumie, ile wycierpieliśmy z sir Ivorem, nie

wiedząc, co się stało z naszym synem. Byłoby dla nas wielkim pocieszeniem, gdybyśmy mogli przynajmniej urządzić mu chrześcijański pogrzeb. Jak ktokolwiek może wątpić w miłość mojego męża do syna? Przecież wyznaczył nagrodę za wiadomość, która pomoże odnaleźć Williama. Nie powinniście dręczyć go pytaniami. Nie znajdziecie Williama w tym domu. - Wskazała drżącym palcem na Sarę. - Ona ukryła jego ciało na wzgórzach. Miała pokazać to miejsce Beckettowi, kiedy nadjechał lord Maxwell. Ją spytajcie. - Głos jej się załamał. - Zmuscie ją, żeby pokazała, gdzie ukryła ciało mojego syna.

Sir Ivor siedział na krawędzi krzesła; ręce wciąż miał skute za plecami.

- Sprowadziłaś tę kobietę do Stoneleigh? I ani słowem mnie nie uprzedziłaś?

Lady Neville zamrugała, słysząc szorstki ton męża. Uniosła rzadkie brwi.

- Beckett chciał zdobyć nagrodę, Ivor, ale uważał, że gdybyś o tym wiedział, mógłbyś mu jej nie dać. Ja z kolei tylko w ten sposób mogłam skłonić Becketta, żeby mi pomógł. - Nerwowo zaciskała i rozkurczała dłonie, jakby nagle zrozumiała, że mąż jest bliski ferii. - Zrobiłam to wszystko dla ciebie, Ivor. Kiedy zaczęłaś podwyższać nagrodę, zrozumiałam, jak wiele dla ciebie znaczy, żeby odnaleźć szczątki Williama. Zrozumiałam, że go kochałeś, i chciałam ci pomóc.

Sir Ivor zerwał się z krzesła i ordynarnie zaklął.

- Ty głupia krowo! - zagrzemiał. - Wysłałaś mnie na szubienicę.

Zaczął się zbliżać do lady Neville, ale Max szybko go odciągnął.

- Głupia krowo! - pieklił się sir Nor, próbując wyrwać się z uścisku Maksa. - Nie rozumiesz, co zrobiłaś? Ona była jedyną osobą, której się obawiałem. Nie chciałem, żeby kiedykolwiek tu wróciła. Zaczęłaś zadawać pytania, mącić wodę. Dopóki siedziała daleko stąd, nic mi nie groziło.

Zapadła cisza przesycona trwogą.

Sir Ivor drgnął, lecz nagle się ocknął. Trwoga dotknęła również jego. Przez chwilę jego twarz przypominała maskę rozpacz. Po chwili pokręcił głową i głośno odetchnął.

- Dlaczego mówisz takie rzeczy, Ivor? - Głos lady Neville nabrał histerycznie piskliwego brzmienia. - To ta kobieta zabiła Williama, Sara Carstairs. Wszyscy to wiedzą. Nikt nigdy nie przekona mnie, że to nie ona.

Sir Ivor spojrzął na konstabla.

- Ciało mojego syna jest dokładnie tam, gdzie mówi lord Maxwell, pod naszymi stopami. Jeśli naciśnie pan pierwszą cegłę od lewej strony, a potem czwartą kolejną, za koszem z polanami otworzą się drzwi w podłodze. Przyznaję się do zamordowania syna. Był łajdakiem i utracjuszem. Pokłóciliśmy się. Uderzyłem go. Tyle powiem i ani słowa więcej. A teraz niech mnie pan stąd zabierze, żebym nie musiał dłużej słuchać gadania tej głupiej krowy.

- Czy daje mi pan pozwolenie na przeszukanie domu? - spytał konstabl.

- Tak! Niech pan przeszukuje, tylko zabierzcie mnie stąd!

Konstabl Evans zawałał dwóch ludzi, którzy przyjechali razem z nim, kazał im wyprowadzić sir Ivora na zewnątrz i tam poczekać.

Lady Neville ukryła twarz w dłoniach i zalała się łzami.

- To nieprawda! Mój mąż kochał Williama. To sprawka tej kobiety. Musiała go urzec. Nie rozumiecie, że on bierze na siebie jej winę?

Wciąż jeszcze prowadziła swój monolog, gdy konstabl wyłonił się z kryjówki pod kominkiem.

- Jest William Neville - powiedział. - A w każdym razie to, co z niego zostało. Znalazłem zegarek z nazwiskiem właściciela, wygrawerowanym na kopercie.

- Chodźmy do domu - rzekł Max i wyciągnął rękę do Sary.

Gdy Sara z Maksem wrócili do domu, Longfield było rozjarzone światłami. Przez całą drogę Sara siedziała za mężem na grzbiecie Arrogance'a, a gdy wreszcie zeskoczyła z konia na podjeździe, podciągnęła *spódnicę i puściła się biegiem do drzwi*. W wielkiej sali było gwarно, ale na jej widok zaczęto posykiwać. Potem nagle wybuchła ogólna radość.

Sara rozejrzała się po twarzach i wyszukała osobę, którą chciała znaleźć. Anne stała w tłoku, trzymając półmisek pełen kanapek. Na jej widok odstawiła go na stół, wydała cichy okrzyk i zaczęła się przeciskać między służącymi i innymi ludźmi, którzy pomagali w poszukiwaniach. Siostry padły sobie w ramiona, śmiejąc się i płacząc jednocześnie.

Wreszcie Sara odsunęła Anne.

-- Posłuchaj mnie, kochana - powiedziała. - Znaleźliśmy ciało Williama. Jego ojca aresztowano pod zarzutem morderstwa. Rozumiesz? Zwłoki leżały w kryjówce pod kominkiem w bibliotece sir Ivora. Przez te wszystkie lata zwłoki Williama były w domu jego ojca.

Anne patrzyła na siostrę oszołomiona. Gdy wreszcie znaczenie tych słów do niej dotarło, ukryła twarz w dłoniach i zaczęła płakać. W tej chwili podeszła do nich Constance, a krok za nią Martin. Oboje wydawali się głęboko zasmuceni.

- Och, Saro, czy kiedykolwiek mi wybaczysz? - szepnęła zrozpaczona Constance.

Wtedy Sara zrozumiała, w jaki sposób Beckett wszedł do domu,

by podrzucić liścik w jej sypialni. Rozłożyła ramiona, a macocha mocno ją uściskała.

- Dzięki Bogu, że nic ci się nie stało - wyszlochała. - Dzięki Bogu.

Uścisnęli się we czworo, Sara, Anne, Constance i Martin, a gdy znowu stanęli osobno, wszyscy mieli mokre oczy. Sara potoczyła wzrokiem dookoła i stwierdziła, że Max uważnie jej się przygląda. Wyciągnęła do niego rękę. Podszedł do niej natychmiast.

Przez następną godzinę Sara bez końca opowiadała całą historię, najpierw rodzinie, a potem Peterowi Fallonowi, który usłyszał zamieszanie w wielkiej sali i odmówił powrotu do łóżka, póki wszystkiego się nie dowie. Wreszcie musiała powtórzyć wszystko po raz trzeci, gdy Simon przywiózł sędziego Orra i konstabla.

Z sędzią i konstablem spotkali się w gabinecie Petera Fallona. Był też Drew Primrose. Przed rozpoczęciem przesłuchania Max poczęstował wszystkich brandy. Sędzia pokoju, który był nowy w tej okolicy, miał smutną twarz i ponury uśmiech, lecz o dziwo wywierał kojący efekt na wszystkich obecnych. Przez większość czasu po prostu siedział i słuchał.

Gdy Sara powtórzyła mu wszystko, co wiedziała, powiedziała:

- Bardzo mnie ciekawi, w jaki sposób doszła pani do przekonania, że to sir Ivor jest mordercą.

- Domyśliłam się tego wtedy, gdy dostrzegłam motyw - odparła. - A zwróciło moją uwagę coś, co usłyszałam od Becketta i co wydało mi się obrzydliwe. Ale mogłam o tym spokojnie pomyśleć dopiero później, gdy już się tak nie bałam. Beckett w pewnej chwili powiedział, że sir Ivor nam nie przeszkodzi, bo jest zajęty małą Jenny. Pomyślałam, że gdyby William wiedział o małej Jenny albo o innych dziewczynkach w jej wieku, to na pewno ustawicznie szantażowałyby ojca, póki nie posunąłby się w tym za daleko. - Ręce zaczęły Sarze drżeć, więc upiła łyk brandy. - Potem pomyślałam o siostrze Williama. Wszystko zgadywałam. Nawet nie wiem, czy to jest prawda.

Konstabl Evans i sędzia Orr wymienili spojrzenia. Wreszcie ten drugi powiedział:

- Znaleźliśmy Jenny. Ma dopiero dwanaście lat. Pani przypuszczenia w tym przypadku były słuszne.

- Nie tylko w tym przypadku, sir - dodał konstabl. - Skargi na sir Ivora składano od wielu lat, ale nie mogliśmy nic w tej sprawie zrobić, bo nie mieliśmy dowodów.

- William musiał mieć dowód - wtrąciła się Sara. - Przynajmniej co do swojej siostry. A sir Ivor bez wątpienia zrobiłby wszystko, by ludzie się nie dowiedzieli, że zgwałcił własną córkę. - Przez twarz Sary przemknął bolesny grymas.

- Czy przesłuchanie nie może poczekać do jutra, panowie? - spytał Max. - Moja żona zaraz zasłabnie.

- Nie, nie - zaprotestowała Sara. - Chcę wiedzieć, co mówią lady Neville i Beckett.

- Lady Neville wciąż utrzymuje, że to pani zabiła jej syna - odrzekł sędzia Orr. - Nawet przyznanie się męża nie wywarło na niej wrażenia. Co zaś do Becketta, to wie, że stracił moźnych przyjaciół, i śpiewa jak ptaszek. Twierdzi, że tylko wypełniał polecenia lady Neville. Ciąfa Wiliama szukał, odkąd lady Neville przyjęła go do służby. A ponieważ poszukiwania spełzyły na niczym, razem z chlebobawczynią postanowili zwabić panią z powrotem do Longfield. Mieli nadzieję, że zaprowadzi ich pani we właściwe miejsce.

Sędzia spojrział na Maksa.

- Pańskie pojawienie się pokrzyżowało im plany. Beckett bał się, że znajdzie pan szczątki Williama wcześniej niż on, postanowił więc przyspieszyć bieg wydarzeń, uprowadzając pańską żonę.

- Czy to właśnie on włamał się do wdowiego domku? - spytał Drew.

- Przyznaje, że przeszukiwał go kilka razy, żeby znaleźć wejście do kryjówki, ale bez skutku. Kiedy lady Maxwell wkrótce po powrocie do domu złożyła tam wizytę, jeszcze umocnił się w przekonaniu, że to jest miejsce pochówku Williama.

- A potem próbował mnie uprowadzić. - Sara się wzdygnęła.

- Jak powiedziałem, Beckett obawiał się, że lord Maxwell znajdzie szczątki Williama wcześniej od niego i pozbawi go nagrody, dlatego próbował przyspieszyć bieg wydarzeń. Od pewnego momentu prawie bez przerwy czatował po zapadnięciu zmroku w okolicy domku, ponieważ był pewien, że pani jeszcze tam wróci.

Sędzia wstał, również konstabl wziął z niego przykład.

Sara myślała o dziewczętach, które napastował sir Ivor.

- Jaka część prawdy wyjdzie na jaw podczas procesu sir Ivora? Myślę o jego motywie zabicia Williama.

- Bardzo mała - odrzekł sędzia. - Sir Ivor dobrowolnie przyznał się do popełnienia morderstwa, ale wyjaśnił, że stracił cierpliwość i uderzył syna podczas kłótni o jego karciane długi.

- Może tak jest lepiej. - Sara bynajmniej nie ukrywała odrazy. - Och, nie dla sir Ivora, ale dla jego młodych ofiar.

- Bez względu na motywy sir Ivor zawiśnie na szubienicy za tę zbrodnię - rzekł Drew. - I nikt w Stoneleigh nie będzie go żałował.

Wyraziwszy tę gorzką prawdę, opuścił pokój.

Anne szukała Drew, więc gdy zobaczyła, że wychodzi z przed-sionka, rzuciła wszystko.

- Drew! - zawołała.

Spojrzał na nią obojętnie, mruknął pod nosem coś niezrozumia-łego i obróciwszy się na pięcie, ruszył do drzwi.

Anne potrzebowała dłuższej chwili, żeby dojść do siebie po tym afrontie. Czuła się tak, jakby Drew wymierzył jej policzek. Zawołała go jednak jeszcze raz, a gdy nie zareagował, zaczęła go gonić.

Zrównała się z nim na dziedzińcu. Chwyciła go za ramię i obróciła ku sobie.

- Drew, posłuchaj mnie, proszę.

Musiała zamilknąć, żeby złapać tchu. Drew wykorzystał to i powiedział chłodno:

- Nie mamy sobie nic do powiedzenia, Anne. Już nie.

Przytrzymała go za ramię, żeby znowu nie odwrócił się do niej plecami.

- Drew, bardzo cię proszę, posłuchaj mnie. Od dawna cierpię tak samo jak ty, nawet bardziej, bo przez cały czas byłam sama, a ty znajdowałeś pocieszenie u innych.

Skrzywił się.

- Nie udawaj, że to cię coś obchodzi. Ty znalazłaś pocieszenie w religii. Czy sądzisz, że możemy zacząć wszystko od początku, jakby nic się nie stało? Od trzech lat nie rozmawiasz ze mną ani na mnie nie patrzysz. Teraz dowiedziałaś się, że nie zabiłem Williama, i nagle uważasz, że wszystko jest w porządku? Gdybyśmy

zamienili się miejscami, gdybym to ja sądził, że ty zabiłaś męża, za nic bym cię nie opuścił.

Anne nie pozwoliła się zniechęcić jego stanowczym tonem. Tyle przynajmniej była mu winna.

- Posłuchaj mnie, Drew. Zraniłam cię, wiem, ale siebie zraniłam jeszcze bardziej. Owszem, myślałam, że zabiłes Williama, ale nigdy nie obciążałam cię odpowiedzialnością za jego śmierć. Winiłam siebie i tylko siebie. I byłam ledwie żywa ze strachu, bo bałam się, że cię złapią. Więc ślubowałam Bogu, że jeśli cię oszczędzi, to zapomnę o tobie. Uważałam, że za grzech kochania cię powinnam ponieść karę. - Łzy płynęły jej strumieniem po twarzy. - Jeśli przestałes mnie kochać, to trudno. I tak ulżyło mi, że mogę ci w końcu wszystko powiedzieć. Kocham cię, Drew. Nigdy nie przestałam cię kochać. I chcę, żebyś to wiedział.

Nie odpowiedział, więc zawróciła do domu.

- Poczekaj! - zawołał.

Jeszcze raz się obróciła.

- Dlaczego zostałaś w Longfield? - spytał Drew. - Jeśli ślubowałaś, że o mnie zapomnisz, to dlaczego nie wyjechałaś stąd i nie zaczęłaś nowego życia gdzie indziej?

- Chyba wiesz dlaczego. Żeby móc cię widywać, żeby być blisko ciebie. To było wszystko, co miałam. Nie mogłam zrezygnować i z tego.

Drew wydał zduszony okrzyk, wyciągnął do niej ramiona i mocno ją objął.

Zanim Sara i Max poszli na piętro, do sypialni, Sara prawie zasnęła na stojąco. Musiała jednak jeszcze coś załatwić przed zaśnięciem, wiedziała bowiem, że inaczej będą ją dręczyć koszmary.

- Zajrę do Lucy - powiedziała mężowi.

Zrozumiał. Słyszał przecież, jak wspomniała o Lucy, gdy oskarżała sir Ivora. Sara poszła więc do przyrodniej siostry, a on czekał na korytarzu. Była w środku może trzy minuty i wyłoniła się stamtąd z uśmiechem na twarzy.

- Co powiedziała Lucy? - spytał Max.

- Że raz, kiedy czekała przed kościołem na mamę po spotkaniu

kółka parafialnego, widziała, jak sir Ivor próbuje zwabić do swojego powozu Ellie, jedną z córek kowala. W tym muszę oddać sprawiedliwość Constance. Wychowała nas, dziewczęta, tak, żebyśmy były przygotowane na podstępny mężczyzn. Dlatego nasza Lucy podeszła prosto do tych dwojga, wzięła Ellie za rękę i powiedziała, że szuka jej matka. Od tej pory Lucy miała oko na sir Ivora. Szkoda tylko, że nie powiedziała o tym mnie albo Constance. Na tym polega kłopot. Często coś wiemy, ale nic nie robimy. Na przykład lady Neville wiedziała o Jenny. Jak mogła do tego dopuścić?

Wrócili do pokoju w milczeniu.

- Co się stanie z lady Neville i jej lokajem? -- spytała w końcu Sara.

- Jeśli będą mieli dobrego adwokata, to może unikną stryczka i spędzą resztę życia w więzieniu.

Zdjęła narzutkę i rzuciła ją na krzesło.

- Czy nie sądzisz, że to zbyt surowa kara?

- Za to, co ci zrobili? Nie. Nie mrugnąłbym okiem nawet wtedy, gdyby zawisli na szubienicy.

Odwróciła się do męża i uważnie mu się przyjrzała.

- Peter Fallon powiedział mi, że jesteś przeciwnikiem kary śmierci.

Wziął ją w ramiona.

- Człowiek, który widział nabity pistolet przy skroni żony, łatwo może zmienić poglądy na wiele spraw.

- Ha! Ja przynajmniej nie prosiłam sir Ivora, żeby do mnie strzelił. Nigdy nie zapomnę, jak szedłeś do niego z rozłożonymi ramionami, żeby przedziurawił cię kulą. Miałam ochotę sama cię zabić za to, co przez ciebie przeżyłam.

Uśmiechnął się szeroko.

- Musiałem posunąć się naprawdę daleko, żeby usłyszeć od ciebie dwa krótkie słowa. Powtórz je, Saro. Obiecuję, że ci to nie zaszkodzi.

- Kocham cię, Max.

- Ja też cię kocham.

Już miał ją pocałować, gdy nagle ziewnęła.

- Au! - Dotknęła szczęki. - Wciąż mnie tutaj boli.

- Zaraz cię położymy.

Gdy Sara usiadła na łożu, ukląkł przy niej i zdjął jej buty.

- Czy naprawdę sądziłaś, że „Courier” jest dla mnie najważniejszy? Czy dlatego nie chciałaś mi zaufać, Saro?

- Nie przywiązuję do tego zbyt dużej wagi, Max. Gdyby chodziło tylko o mnie, nie wahałabym się na pewno. Ale to dotyczyło również Anne. - Oparła się na łokciach i sennie spojrzała w sufit. - Ale to było wczoraj. Przez kilka godzin wiele może się zdarzyć. Mężczyzna, który chce oddać życie za żonę nie może być taki zły.

- Saro!

Zachichotała.

- Jest mi dobrze. Pewnie dlatego, że wreszcie raz na zawsze oczyściłam swoje imię. Anne nic nie grozi. No i nie spędzają mi snu z powiek te wszystkie straszne podejrzenia co do mojej rodziny. - Przełknęła ślinę, bo zaczęło jej się zbierać na płacz. - Wstyd mi teraz, że w nich zwątpiłam. Są kochani, nie sądzisz, Max?

- Nie używałbym tak mocnych słów.

Gdy znowu zachichotała, zmarszczył czoło.

- Ile brandy wypijałaś dzisiaj wieczorem?

- Policzmy. Dwie albo trzy szklaneczki, ale tylko dlatego, że siłą wlewałeś we mnie ich zawartość.

Uniosła ramiona nad głowę i ściągnęła suknię, a potem opadła na materac.

- Chcę, żebyś jak najszybciej napisał artykuł do „Couriera”.

- Naprawdę? - Odchylił pościel i przykrył Sarę.

Uniosła głowę.

- Nie oszukasz mnie, Max. Wiem, że nie możesz się doczekać, kiedy zasnę, bo chcesz wymknąć się do pokoju Petera Fallona i wziąć się do pisania.

- Nie masz nic przeciwko temu?

- Tym razem nie, bo wiem, że jesteś po mojej stronie. - Przetoczyła się na drugi koniec łóża i cicho westchnęła. - Współczuję wszystkim, którzy mają w tobie wroga. - Wydała tygrysi pomruk.

- Saro?

- Hm?

- Coś jeszcze mnie zastanawia.

- Co?

- Gdybyś znalazła ciało Williama we wdowim domku, to co byś wtedy zrobiła?

Przetoczyła się z powrotem do męża.

- Nie wiem, Max. Nie chciałam, żebyś się do tego mieszał, ale... Pewnie w końcu przyszedłabym do ciebie i poprosiła, żebyś pomógł mi się pozbyć jego doczesnych szczątków. Wiesz, trzeba byłoby wsadzić je do jakiejś skrzyni i wywieźć na wzgórze. Naturalnie miałam nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Przez chwilę przyglądał się jej badawczo, a potem zaśmiał się z niedowierzaniem.

- No, bo co innego mogłabym zrobić?

- Nic. Ale jestem wzruszony. Naprawdę.

Gdy skuliła się pod kołdrą i oczy jej się zamknęły, Max przykląkł obok łóżka.

- Saro - powiedział i odkaslnął. - Muszę powiedzieć coś o moim obrzydliwym zachowaniu wczorajszego wieczoru.

- Hm? - Nie otworzyła oczu.

Przeczesał włosy palcami.

- Byłem bardzo zły, że dałaś mi laudanum. Kiedy tu przyszedłem, kipiałem ze złości, że tak uraziłaś moją dumę. Straciłem głowę. To nie byłem ja, w każdym razie nie ten ja, do którego się przyznaję. Przepraszam, jeśli cię przestraszyłem albo wydałem ci się odrażający.

Chciał odgarnąć zabłąkane kosmyki z twarzy żony, ale rozsądek nakazał mu cofnąć rękę.

- Staram się wytłumaczyć ci... - brnął dalej. - Och, do diabła! Nie wszyscy mężczyźni są tacy jak sir Ivor. Kocham cię, Saro. Na pewno wiesz, że za nic bym cię nie skrzywdził.

Niespodziewanie otworzyła oczy i usiadła, wsparta na łokciach.

- Sir Ivor! - sapnęła z oburzeniem. - Nawet nie waży się porównywać siebie *do tego potwora*. Wcale *mnie nie przestraszyłeś*. Nie wydałeś mi się odrażający i nie skrzywdziłeś mnie. To było piękne. Cudowne, jeśli musisz wiedzieć.

Wtuliła się w jego objęcia.

- Okropne było tylko to, że nie skończyłeś tego, co zacząłeś. Tego być może nigdy ci nie wybaczę. Co, jeszcze jesteś ubrany? Chodź do łóżka, Max. Przytul mnie, po prostu przytul. Muszę znaleźć się ramionach dobrego człowieka, żeby zapomnieć o istnieniu takich potworów jak sir Ivor.

- Saro!

Serce Maksa przepętniały miłość i wdzięczność. Szybko się

rozebrał, zdmuchnął świece i położył się obok żony. Sara rzeczywiście przytuliła się do niego, położyła mu głowę w zagłębieniu przy szyi, a ramieniem objęła go w pasie. Max nie mógł jej nie pogłaskać. Jego dłonie przesuwały się po plecach żony, w górę i w dół, przyciągały ją coraz bliżej.

Dużo później uśmiechnął się szeroko i powiedział.

- To było cudowne, prawda?

Spojrzał na twarz żony. Sara smacznie spała.

Kilka dni później Max z Sarą siedzieli w salonie w Longfield i nadrabiali zaległości w korespondencji. Czekali na przyjazd adwokatów, żeby podpisać intercyzę. Sara zadrżała mężowi przez ramię, bo chciała zobaczyć, co napisał.

- Przecież wcale nie masz artretyzmu! - powiedziała.

- To jest szyfr- odparł. - Moi przyjaciele rozumieją.

- A co to znaczy?

- To znaczy...- spojrzął na nią i uśmiechnął się- że moje kawalerskie dni się skończyły. Jestem na dobre w małżeńskich okowach.

- Dziwna sprawa. Mnie się wydaje całkiem odwrotnie. Małżeństwo wyzwoliło mnie z wszelkich więzów. Jestem najszczęśliwszą kobietą na świecie.

- Czytaj dalej swój list, Saro. albo nie ponoszę odpowiedzialności za to, co się może stać.

Roześmiała się i podeszła do ławy pod oknem. Tam usiadła wygodnie i rozłożyła kartkę.

- List jest od Bei - powiedziała. - Napisałam do niej o sir Ivorze i dostałam odpowiedź.

Max obrócił się na krześle, żeby lepiej widzieć żonę. Napisał przyjacielom, że ma ostry atak artretyzmu, bo tylko tak umiał im wyjaśnić, jak bardzo się zakochał. Nie był poetą, a gdyby chciał przekazać to, co naprawdę czuł, uznaliby go za wariata.

- No, i co pisze panna Beattie? - spytał.

- Hm? - Sara podniosła głowę. - Och, znasz ją. Uważa cię za

księcia z bajki. Zawsze była przekonana, że jesteś moim przeznaczeniem i takie tam. Nie wstrząsnęło nią nawet to, że okazałeś się właścicielem „Couriera”. Twierdzi, że Bóg miewa czasem zagadkowe plany. Pod tym względem możemy się chyba z nią zgodzić. Napisałam jej też, że zamieszkamy w Londynie, a Bea obiecuje nas odwiedzić, gdy tylko się tam zadomowimy.

- Nie masz nic przeciwko mieszkaniu w Londynie?- spytał łagodnie. - Wiem, że twoje serce jest tutaj.

- Głupio mi to powiedzieć, ale wcale nie.

- Więc gdzie jest?

Złożyła list panny Beattie i schowała go do kieszeni, a potem podeszła do męża. Ujęła jego dłonie i położyła je sobie na sercu.

- Tam gdzie ty.

Przysunął dłonie Sary do warg i zaczął okrywać je pocałunkami.

- Och, moja najdroższa...

"Urwał, bo nagle otworzyły się drzwi. Do pokoju wsunęła się Anne.

- Max - powiedziała. - Drew chciałby zamienić z panem słowo. Jest w bibliotece.

Sara zerknęła na zegar.

- Czy adwokaci przyjechali?

- Nie - odparła Anne. - Drew chciał najpierw porozmawiać z Maksem. A ja chcę porozmawiać z tobą, Saro.

Max wstał.

- Spodziewałem się tego. - Zwrócił się do żony: - Przygotuj się na wstrząs, kochanie. Nie jesteś najszcześniejszą kobietą na świecie.

- Co?

Max wyszedł, a Sara uważnie przyjrzała się siostrze. Anne miała rumieńce, oczy jej błyszczały. Podeszła do Sary wolno, jakby z ociąganiem.

- Och, Saro, wychodzę za mąż za Drew - powiedziała. - On wciąż mnie kocha. Po tylu latach jeszcze mnie kocha. Jestem taka szczęśliwa. Prawie umieram z radości. Powiedz, że i ty się z tego cieszysz.

Sara w oszołomieniu wlepiła wzrok w Anne. Dopiero po chwili głośno odetchnęła.

- Naturalnie, że się cieszę, ale czy nie sądzisz, że to dość nagła decyzja? Od jak dawna go kochasz?

- Och, mniej więcej odkąd miałam trzy lata. Czy to, twoim zdaniem, wystarczy? - Anna uśmiechnęła się, widząc zdumioną minę siostry. - Miłość nie zawsze przychodzi łatwo, Saro, tak jak tobie i Maksowi. Mnie i *Drew* długo nic się nie układało, ale w końcu możemy być razem. Nie zazdrość nam naszego szczęścia.

- O tym nie ma mowy, kochana - powiedziała uroczyście Sara. - Zaslugujesz na to, by być najszczęśliwszą kobietą na świecie. Zawsze ci tego życzyłam.

- Saro, to nie tragedia! Nie płacz!

- Ja nigdy nie płaczę - odpowiedziała Sara, obejmując siostrę. Szlochała przy tym tak, jakby pękało jej serce.

Najświeższe wydanie „*Couriera*”, prosto spod prasy drukarskiej, przywiózł tego wieczoru specjalny kurier z Londynu. Wywołało to wielkie ożywienie w całym domu. Dla każdego członka rodziny był oddzielny egzemplarz, a Peter Fallon podjął się je poroznosić.

Simon przeczytał gazetę pierwszy i natychmiast przybiegł do brata. Parę minut później obaj wpadli do pokoju matki. Constance ubierała się do kolacji.

Wzięła gazetę, którą podetknęli jej pod nos, i przeczytała:

- „Sir Ivor Neville aresztowany pod zarzutem zamordowania syna”.

- Nie to - gorączkował się Simon. - Dalej. W trzecim akapicie.

Constance posłusznie spojrzała we wskazane miejsce.

- „Sara Carstairs, którą trzy lata temu uniewinniono od zarzutu zamordowania Williama Neville'a, znalazła kryjówkę w domu jego ojca. Przy pomocy męża, lorda Maxwella Worthe'a, wydawcy „*Couriera*” i dziedzica... - Constance osłupiała ze zdumienia - ...markiza Lyndhursta. - Spojrzała na synów. - Co to ma znaczyć?

- To znaczy - odrzekł Martin - że naprawdę mamy małżeństwo z miłości, a Max wcale nie jest łowcą posagów.

Simon skrzywił się i klepnął brata w ramię.

- To znaczy, Martin, że nie będziemy musieli chodzić do tej bezlitosnej Sary, jeśli znajdziemy się w tarapatkach. Możemy zawsze iść do Maksa. On ma miękkie serce. I więcej pieniędzy niż Sara.

Constance wydawała się nie przekonana.

- Słyszałam o Lyndhurstach. Czy przypadkiem nie mieszkają w walącym się zamku między Aylesford i Winchester? Tytuł może mają, ale nigdy nie słyszałam o żadnych pieniądzach.

- Tak to jest ze starymi rodami - powiedział Simon, przybierając pozę światowego człowieka. - Wierz mi, mamó. W Oksfordzie mnóstwo się mówi o lordzie Lyndhurstcie. Gdyby nie on, college dawno by już zamknięto z powodu braku funduszy.

Martin cicho gwizdnął.

- Chcesz powiedzieć, Simon, że ojciec Maksa to ten Lyndhurst?

- Naturalnie. Z tego, co słyszałem, markiz i lady Lyndhurst mają swoje dziwactwa. - Simon dotknął palcem wskazującym czoła. - Wiesz, tacy ekscentrycy, ale to w niczym nie przeszkadza temu, że należą do wiekowego i bardzo bogatego rodu.

Constance wyjęła chusteczkę i wydmuchała nos.

- Max był u mnie dzisiaj i powiedział, że powinniśmy wszyscy jechać na sezon do Londynu, ale nie zgodziłam się. Nie widziałam w tym sensu, skoro lady Neville nie może nas wprowadzić do towarzystwa.

- Lady Neville! - powtórzył zdumiony Simon. - To naprawdę nie jest ta klasa co lady Lyndhurst. Na twoim miejscu powiedziałbym Maksowi, że zmieniłem zdanie.

Martin włączył się do rozmowy:

- Czy przypadkiem adwokaci nie mieli się spotkać dziś po południu w sprawie intercyzy?

- I co z tego?

- Ciekaw jestem, jak Sara widzi naszą przyszłość. Może przy kolacji nam powie.

Rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju wszedł służący.

- Lord Maxwell czeka na państwa w bibliotece - oznajmił.

Constance zaczęła się rozglądać za swoją etolą, a gdy po chwili obróciła się w drugą stronę, była już w pokoju sama.

Simon wszedł do biblioteki, wymachując „Courierem” nad głową.

- Saro! - zawołał. - Jesteś bohaterką. Czytałaś ten artykuł?

- Nie wiedziałam, że już można.

- Wstydz się, Max - ciągnął Simon. - Że też pozwoliłeś nam zrobić z siebie takich głupków.

- Simon! - skarciła go Constance. - Usiądź i powściągnij język.

Max poczekał, aż wszyscy się zbiorą. Peter Fallon miał dołączyć do nich podczas kolacji, ale to była czysto rodzinna sprawa, więc zaprosił tylko członków rodziny, nie wyłączając Drew Primrose'a.

Stał oparty o gzyms kominka. Gdy wszyscy zajęli swoje miejsca, skinął na lokaja, który podszedł ze srebrną tacą. Stały na niej wysokie kieliszki ze zmrożonym szampanem.

- Szampan? - Oczy Lucy zrobiły się wielkie i okrągłe jak spodki.

- Mamy dziś szczególną okazję - wyjaśnił Max. - Chcę coś ogłosić. Anne i Drew zamierzają się pobrać tak szybko, jak tylko można załatwić formalności.

Zapanowało milczenie. Po chwili wszyscy jedno przez drugie zaczęli składać narzeczonym gratulacje. Max spojrzał na Constance. Rozmawiał z nią przedtem, bo chciał ją przygotować na tę nowinę, ale Drew go uprzedził. W każdym razie Constance go nie zawiodła. Uśmiechała się lekko, a jej gratulacje wydawały się szczerze. Anne i Drew wyglądali na bardzo szczęśliwych. Wszystko szło w jak najlepszym kierunku.

Max uniósł kieliszek.

- Za Drew i Anne! Niechaj żyją długo i szczęśliwie.

- Za Drew i Anne! - powtórzył chór. - Niechaj żyją długo i szczęśliwie.

Max skinął na lokaja, który na ten znak wyszedł z pokoju.

- Mamy też inny powód do świętowania - oznajmił Max. - Moja żona uważa, że właśnie dzisiaj wypełniła swój święty obowiązek, ale najlepiej niech powie wam o tym sama.

Sara zmierzyła wzrokiem wszystkich krewnych po kolei. Twarz jej promieniała.

- Przed śmiercią ojciec polecił mi otoczyć was opieką. Dzisiaj podpisaliśmy z Maksem intercyzę i jestem bardzo szczęśliwa, że udało mi się spełnić ostatnią wolę ojca. - Uśmiechnęła się do męża. - Może nie postąpiłam rozsądnie, lecz za to słusznie. Dziękuję, Max, że mi na to pozwoliłeś.

Wszystkie oczy zwróciły się ku niemu.

- Oznacza to, że majątek waszego ojca zostanie podzielony na równe części między wszystkie dzieci i pasierbów - wyjaśnił. - Chcę dodać, że Anne popiera taką decyzję. -- Na chwilę zawiesił głos. - Ale zanim zaczniecie snuć wielkie plany, jak wydać swoje

pieniądze, chcę wszystkich ostrzec, że ja i mój ojciec, lord Lyndhurst, będziemy waszymi pełnomocnikami do czasu ukończenia przez was dwudziestu pięciu lat. Dopiero wtedy otrzymacie swój nietknięty kapitał. Czy wyrażam się jasno?

Wszyscy mieli takie miny, jakby zawiadomił ich o śmierci bliskiej osoby, więc skorzystał z okazji i dodał jeszcze:

- Powiem wam to samo, co powiedział mi mój ojciec, gdy sam wszedłem w posiadanie sporego kapitału. Te pieniądze są wynikiem czyjejs ciężkiej pracy i poświęceń. Jeśli będziecie beztrudnie je wydawać, okażecie tym lekceważenie waszemu darczyńcy.

- Wielki Boże! - zawołał Martin. - Mówisz zupełnie jak Sara. Max spojrział na niego ze złowrogim uśmiechem.

- Dopóki rozumiesz, o co w tym chodzi, Martin, będziemy dogadywać się bez trudu.

Simon mrugnął do brata i zwrócił się do Maksa.

- Wszyscy już wiemy, jak został podzielony kapitał Samuela Carstairsa - powiedział. - Ale jako głowa rodziny mam prawo spytać cię, Max, w jaki sposób zabezpieczyłeś moją siostrę.

- Słusznie - przyznał Max, nie dopuszczając do ostrej repliki żony. - Może Drew, jako adwokat Sary, zechce odpowiedzieć na to pytanie.

- Nie waham się stwierdzić, że Sara jest dobrze zabezpieczona - zaczął Drew. - Na jej dożywotnią rentę składają się dochody z „Couriera” i innych inwestycji lorda Maxwella. Oczywiście oprócz tego ma prawo do majątku, obejmującego trzecią część dochodów lorda Maxwella z tytułu posiadania ziemi i nieruchomości.

Simon próbował obliczyć wielkość dochodu przyrodniej siostry, ale załamał się, nie mógł bowiem poradzić sobie z zerami na końcu liczby. Bez słowa skinął głową.

- Nie wydaje mi się, żeby to robiło na tobie wrażenie, Saro - powiedział Martin.

Sara sęczyła szampana i myślała o tym, że musi sobie zrekompensować stracone lata życia, a Max na pewno jej w tym pomoże.

- Przeciwnie, jestem pod wielkim wrażeniem. - odparła. - Mam pod dostatkiem wszystkiego, co jest naprawdę ważne. - Zerknęła kątem oka na męża. - Pieniądze są takim obciążeniem. Bez nich jestem szczęśliwsza. To Max mnie tego nauczył. Zresztą

nie muszę imać się prania, żeby związać koniec z końcem. Jestem zadowolona.

Wszyscy uznali to za wspaniały dowcip, więc śmiech wypełnił cały pokój. Max przyglądał się żonie z nieprzeniknioną miną.

- Chodźmy teraz na kolację - powiedziała radośnie Sara.

Sara weszła do sypialni po szal i zauważyła egzemplarz „Couriera” na stoliku przy łożu. Wzięła gazetę do ręki i zdążyła przeczytać pierwszy akapit, gdy do pokoju wszedł Max. Stał za nią i otoczył ją ramionami.

- Nie byłem sam na sam z moją piękną żoną, odkąd przyjechali tutaj adwokaci - powiedział.

Obróciła się i pocałowała go.

- Wiem. Ale będziemy mieli siebie potem, gdy przyjdzie czas na spoczynek.

Mocniej zacisnął ramiona, bo próbowała się oswobodzić.

- Saro...

- Słucham, Max.

- Czy nie przestałabyś mnie kochać, gdybym był bogatym człowiekiem?

Zaśmiała się gardłowo.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Po prostu odpowiedz.

Przez chwilę się zastanawiała.

- Sam powiedziałeś, Max, że mamy pod dostatkiem wszystkiego, co jest naprawdę ważne. Jesteśmy zdrowi. Mamy siebie. Mamy dość pieniędzy, żeby bez kłopotów żyć z mojej części kapitału i dochodów „Couriera”. A ty mi ciągle powtarzasz, że pieniądze nie mają znaczenia. Nie. Podobasz mi się taki, jaki jesteś.

Zmarszczył czoło, *gdy* Sara jednak *wysunęła się* z jego objęć i zaczęła nerwowo spacerować po pokoju, biorąc na chwilę do ręki to ten, to inny przedmiot. Nagle podniosła głowę i uśmiechnęła się.

- Przynajmniej nikt nie może cię teraz nazwać łowcą posagów, Max. Jestem warta zaledwie ułamek tego co dziś rano. Wiesz, co myślę? Myślę, że to mnie twoja rodzina potraktuje jak łowczynię posagów. Czy to nie jest ironia losu?

Podszedł do niej o krok.

- Moja rodzina? - spytał ostrożnie.
- No, wiesz, lord i lady Lyndhurst, którzy mieszkają w walącym się zamku za Winchester i przypadkiem są blisko spokrewnieni z rodziną królewską.

Uśmiechnął się do niej przewrotnie.

- To rzeczywiście jest bliskie pokrewieństwo, a oni są dokładnie tacy, jak ci opisałem. Mój ojciec prowadzi majątek, a matka mu pomaga. Ale nigdy nie powiedziałem, że zamek się wali. Przeciwnie, jest w doskonałym stanie. Moja matka nie dopuściłaby do tego, żeby było inaczej.

Sara wsparła się pod biodra i powiedziała ze złością:

- Dokładnie pamiętam, jak przy kolacji powiedziałeś, że twoi rodzice mieszkają w ruinie.

- Bo tak właśnie jest, jeśli spojrzeć z zewnątrz. Ale gdy wejdzie się w obręb zniszczonych murów, reszta okazuje się w doskonałym stanie.

- Nie powiedziałeś mi wcześniej, że mój majątek w porównaniu z twoim jest znikomy.

- Oho, wreszcie się w tym zorientowałaś. W moich kręgach, kochanie, popisywanie się bogactwem uważa się za przejaw złego wychowania. Szczerze mówiąc, Saro, nie widziałem w tym problemu. Od samego początku traktowałaś mnie jak łowcę przygód i nic niewartego koryntianina i po prostu uwierzyłaś w ten wizerunek.

- Co złego jest w byciu łowcą przygód? Szczerze mówiąc, miałam nadzieję, że trochę mnie nauczysz, jak się szuka przygód.

Zauważył błysk rozbawienia w jej oczach.

- Oj, pewnie, że cię nauczę. Pierwsza lekcja za chwilę.

Pisnęła przeraźliwie, gdy skoczył, żeby ją złapać, a potem ze śmiechem rzucił na łożo. Broniała się, ale wkrótce została pokonana.

- Jak dowiedziałaś się o moim majątku? - spytał.

- Lady Neville wytknęła mi twoją wysoką pozycję. Z wielką atencją wspomniała Worthe'ów z Lyndhurst, jakby Carstairsowie nic nie znaczyli. No i dostałam dzisiaj list od Bei. A Bea napisała, że dziedzic lorda Lyndhursta jest najbardziej poszukiwanym kawalerem w Anglii i powinnam całować cię po butach, że mnie chcesz. Ha! Nie waz się ze mnie śmiać, Max! Pochodzę z Cars-

tairsów z Long

ci, że mój prapradziadek...

Pocałunkiem zmusił ją do zamilknięcia.

- Moi rodzice będą tobą zachwyceni - powiedział ze śmiechem. - Ale tak naprawdę nie jesteś na mnie zła, prawda Saro? Skubnęła jego halsztuk.

- No, na początku byłam rozczarowana. Nigdy nie chciałam wejść do arystokratycznej rodziny. Pomyślałam nawet, że jeśli twoi rodzice przypominają sir Ivora i lady Neville, to się z tobą rozwiodę.

- Ale nie przypominają - odparł, dusząc się ze śmiechu.

- Nie wątpię, bo inaczej nie byłbyś sobą.

To pochlebstwo należało nagrodzić następnym pocałunkiem i Max skwapliwie wypłacił nagrodę.

Sara uśmiechnęła się do niego, spojrzała z zachwytem i szepnęła:

- A ponieważ jesteś sobą, wiem, że nigdy mnie nie zawiedziesz. Możesz być bogaty, możesz być biedny, tak czy owak jesteś moim wymarzonym mężczyzną. Kocham cię, Max, całym sercem. Nawet...

- Nawet więcej, uwielbiasz mnie - powiedział Max i znów ją pocałował.

Ze schodów doleciały do sypialni odgłosy śmiechu. Trzasnęły drzwi w korytarzu. Ktoś zaczął grać na fortepianie. Max i Sara tego nie słyszeli. Byli tylko dla siebie, a reszta wcale ich nie obchodziła.